

MICHAŁ KUSZEWSKI

TCHNIENIE
KATM

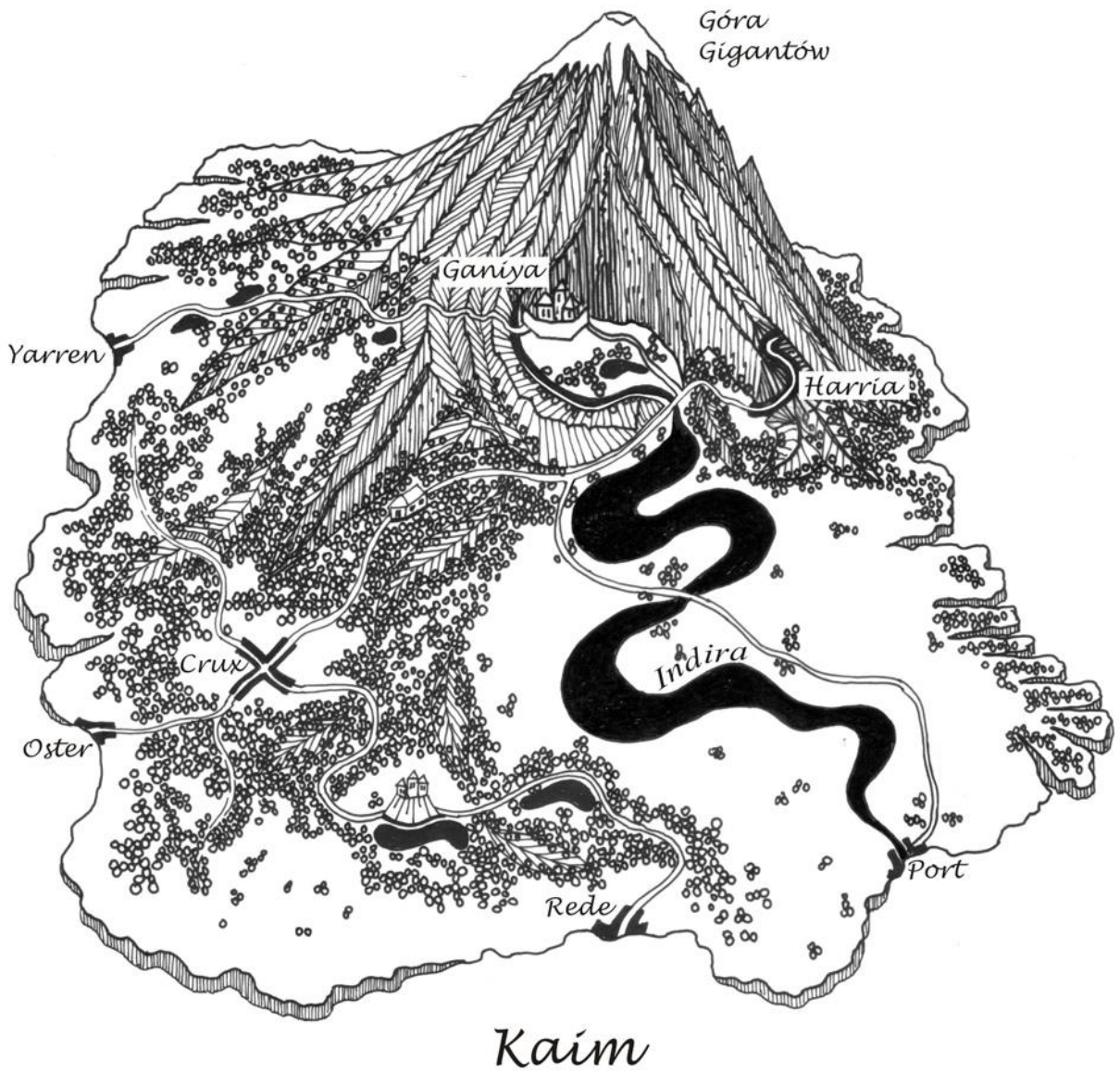


ALYN • TOM I

Książkę tę dedykuję mojej fantastycznej, niezłomnej, bohaterskiej mamie.

Spis treści

PROLOG	3
CZEŚĆ I	6
ROZDZIAŁ PIERWSZY	7
ROZDZIAŁ DRUGI	26
ROZDZIAŁ TRZECI	34
CZEŚĆ II	45
ROZDZIAŁ CZWARTY	46
ROZDZIAŁ PIĄTY	52
ROZDZIAŁ SZÓSTY	59
ROZDZIAŁ SIÓDMY	78
ROZDZIAŁ ÓSMY	87
CZEŚĆ III	96
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	97
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	108
ROZDZIAŁ JEDENASTY	129
ROZDZIAŁ DWUNASTY	136
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	143
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	148
CZEŚĆ IV	153
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	154
ROZDZIAŁ SZESNASTY	159
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY	164
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY	171
EPILOG	178
PODZIĘKOWANIA	180



Stat sua cuique dies

Dzień swój każdy ma

– *Eneida*, Wergiliusz (przekł. T. Kuryłowski)

PROLOG

Cztery tygodnie wcześniej

Chrupnęło i kawał gzymsu runął w dół. Minał ze świstem kilkanaście kondygnacji i wbił się bezgłośnie w miękki trawnik. O włos tylko uniknął spotkania z wybrukowanym chodnikiem.

Trzymając się kurczowo framugi, Alyn strzepnęła stopą białą mgiełkę pokruszonego kamienia, którą natychmiast porwał wiatr. Przesząpiła dziurę, zajrzała przez otwarte okno i natychmiast cofnęła głowę, gdy zauważyła, że strażnik podniósł się z siedziska. To, że ruszył wreszcie tyłek, było tą dobrą z dwóch wiadomości. Złą wyszeptał jej do ucha strach: wstał, bo usłyszał hałas, i zaraz podejdzie do okna.

Chwyciwszy dłonią drugą futrynę, złodziejka poprawiła szkła na nosie, wycofała się o krok i przykleiła plecami do ściany. Przed nią – i pod nią – rysowała się falująca gorącym panorama miasta. Bezlitosne zakkańskie słońce właśnie kończyło swą wędrówkę ku zenitowi, gnało mieszkańców z ulic i uliczek ku umownemu chłodowi wewnątrz. O tej porze nikt o zdrowych zmysłach nie patrzył do góry – nawet na majestatyczną wieżę, która wyrastała wysoko ponad posiadłością najbogatszego człowieka w mieście.

Zza drugiego okna dobiegło Alyn zduszone chrząknięcie i dźwięk oddalających się kroków.

Poszedł sobie?

Złodziejka na powrót przysunęła się do framugi i jeszcze raz zajrzała do środka. Pomieszczenie było puste. Odetchnęła i wśliznęła się, uważając, by nie potrącić pękatego wazonu, który – nie wiedzieć czemu – stał pusty tuż pod parapetem. W środku pachniało palonymi ziołami i kurzem z dywanów, których nikt od dawna nie kwapił się wytargać na zewnątrz i wytrześcić. Było równie gorąco jak na zewnątrz.

Cicho stawiając kroki, złodziejka podbiegła ku schodom w dół. Łysiejący wąsaty strażnik z pokaźnym brzuchem był już dwa piętra niżej i wyraźnie dokąś mu się spieszyło. Alyn wzięła to za dobrą monetę – miała więcej czasu, nim pojawi się jego zastępca. Zbiegła jedną kondygnację niżej i, gdy upewniła się, że nikt nie pilnuje łącznika z poddaszem willi, zagłębiła się w trzewia domu Hanso Trzeciego, najbogatszego człowieka w kraju.

W tej chwili, gdyby tylko ktoś ją zauważył, byłaby martwa. Gorzej – usunięta z powierzchni ziemi, wymazana z historii. Szef gildii kupców miał środki – i wolę – by tępić konkurencję najsukuteczniejszymi z metod. W końcu plotki o ćwiartowaniu, spalaniu i wmurowywaniu złapanych nieszczęśników w ściany podziemnych katakumb stolicy Zakkanu nie brały się znikąd. Jedyna nadzieja w tym – pomyślała, kierując się w głąb korytarza, na końcu którego miało się znajdować biuro Hanso – że w tym upale nikomu nie będzie się chciało wędrować po górnych piętrach budynku.

Solidne, okute i posrebrzane drzwi, które rozpychały się przed złodziejką w wątłej framudze, wskazywały na to, że dostała sprawdzone informacje. Jej zleceniodawca naprawdę pożądał tego zwoju, ale i oferował jedyną nagrodę, którą była skłonna przyjąć, by zaryzykować całą tę wyprawę.

Minęła otwarte wejście do przedsiionka biura i gdy sięgnęła do kieszeni po wytrych, tuż obok rozległo

się krótkie, agresywne chrapnięcie. Zamarła. Po prawej, za zasłoną szerokich, rozcapierzonych palców liści paproci, półleżąc na krześle, drzemała młoda dziewczyna. Ubrana była w lekkie, przewiewne sari utkane z materiału, na który nie byłoby stać przeciętnej pokojówki. Nieprzeciętnej prawdopodobnie też. Miała pełne, zaczerwienione policzki i drobny, spiczasty nos. Przed zaśnięciem ewidentnie próbowała przyjąć jak najwygodniejszą pozycję, ale ta wyraźnie zwiastowała rychłe zsuniecie się jej tyłka z siedziska i twarde lądowanie na posadzce.

Co ona tu robi? Czy to córka Hanso? Czy Hanso w ogóle ma córkę?

Alyn wypuściła z płuc powietrze najciszej jak mogła. Nie było możliwości, by zaczęła się włamywać do biura pod zadartym nosem chrapiącego dziewczęcia. Czas uciekał.

Spojrzała na ostrożnie wyjęty z kieszeni pęk wytrychów, a następnie przeniosła wzrok na nieznaną i powoli, z cichym chrzęstem skórzanej rękawiczki bez palców, zacisnęła na nim pięść. Gdzieś z tyłu głowy do jej świadomości natarczywie dobijał się obraz z odległej przeszłości...

*

– Ja naprawdę nie chciałam – powiedziała, łkając przez ściśniętą krtani. Wczepiła się z całej siły w jego koszulę i zatopiła mokrą twarz w jego piersi. – Było ich więcej... Troje...

– Nie przejmuj się – odpowiedział Toryn i przytulił ją mocniej. – Już dobrze. Nie będą cię więcej zaczepiali.

– Ja ją pchnęłam... Nie chciałam...

– No już, Myszo. Nie myśl o tym. Na pewno nic jej nie będzie.

– Nie możemy tu zostać, prawda? Boję się.

– Ja też. Ale wiesz co? Nie szkodzi.

– Co teraz?

– Pójdziemy nad rzekę. Jak nie nad tę, to nad inną. Albo jeszcze inną.

– Znajdziesz nam rzekę? Naszą rzekę?

Toryn kucnął przed siostrą i uśmiechnął się. Miał fioletowe podbite oko i nieładne rozcięcie nad brwią, z którego krew spłynęła po policzku i nakapała wprost na jego ulubioną jasnobrązową kurtkę. Alyn stwierdziła, że prawdopodobnie sama wygląda kropka w kropkę jak on.

– Przepraszam, że ci zasmarkałam ubranie.

– Daj rękę – powiedział, a jego czerwony uśmiech nabrał demonicznego wyrazu. – Obiecuję, że w rewanżu też ci kiedyś zasmarkam. Czasem musimy robić małe złe rzeczy dla większego dobra.

*

Złodziejka zeskoczyła z ostatniego występu i wylądowała miękko na twardych płytach chodnika. Sparzonymi, piekącymi niemilosiernie od dotykania rozgrzanej ściany palcami sprawdziła stan zawiniątka przy pasie. Było całe i nienaruszone, jeśli nie liczyć kilku kropel jej potu, które spadły na materiał i natychmiast odparowały, zostawiwszy po sobie plamki słonego nalotu. Rozejrzała się i nadstawiła ucha. Południową ciszę

na nowo zaczęły już powoli mącić w oddali narastający gwar rozmów i stukot kół wozów wyprowadzanych na bruk. Saahii po raz drugi tego dnia budziło się do życia.

Poruszając się tuż przy ścianie, Alyn podbiegła w stronę alejki, która prowadziła do ogrodu. Ten zaś wiódł do stawu zasilanego wodą z rzeki, która niedługim, ale całkiem szerokim i wzmocnionym przekopem wracała do Szikry. Owo nieautoryzowane wejście i wyjście do posiadłości Hanso Trzeciego zwykle zablokowane było solidną kratą, ale ludzie jej zleceniodawcy wykonali w nocy doskonałą robotę, nacinając pręty w taki sposób, że wystarczyło mocniej szarpnąć, by wyjąć ich fragment i następnie włożyć go na swoje miejsce. W końcu Hanso odkryje zapewne, któregoś złodziej dostał się na jego posesję, ale to już nie będzie miało znaczenia. Tym bardziej że nie będzie wiedział, kogo szukać.

Alyn uśmiechnęła się do swych myśli. Dwoma susami przecięła w poprzek nitkę okalającego willę deptaku i podbiegła po trawie w kierunku łaskawego cienia palm, które pilnowały wejścia do ogrodu. Załom i prosta droga do wyjścia były tuż-tuż, gdy kątem oka zauważyła, że kilkanaście kroków przed nią coś poruszyło się w trawie. Instynktownie kucnęła i poprawiła szkła na nosie.

To był chłopczyk. Miał kilka lat, głęboko śniadą cerę i krótkie, kręcone włosy. Był sam – w okolicy nie było ani widać, ani słyhać żadnego dorosłego czy innego dziecka. Przyszedł w to miejsce, przykucnął i bawił się czymś, co znalazł w trawie. Gdy ją zauważył, podniósł głowę i wbił w nią dwie białe latarnie szeroko otwartych oczu.

Alyn przełknęła ślinę. Jeszcze chwila, jeszcze moment i zacznie pisać. Albo płakać. Instynkt kazał jej brać nogi za pas, ale pozostała w bezruchu, patrząc prosto na jedyną osobę, której udało się dziś ją zauważyć. Chłopiec wstał i pochylił się, po czym zapał się mocno nogami i całą siłą dwóch rączek podźwignął swoją zabawkę.

To był biały, odłupany fragment gzymsu. Miał kształt łódki.

Na jego widok Alyn uśmiechnęła się szeroko i klnąc bezgłośnie przez zęby, przytknęła do ust wyciągnięty palec wskazujący. Następnie podniosła się powoli, pomachała chłopczykowi i marszem, truchtem, sprintem skierowała się ku wyjściu. Z wierzchu jej prawej rękawiczki krople potu rozmywały brunatne smugi krwi.

CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Maél is mé tó féran

Czas, abym odszedł

– *Beowulf* (przekł. własny)

Nie tak miał wyglądać ten poranek.

Sen Alyn był długi, ale nie przyniósł wypoczynku. Jeszcze zanim otworzyła oczy, poczuła, jak twarde węzły siatki wpijają się w jej bok z każdym przechylem kutra. Poduszka – sędziwy burtowy obijak – wysunęła się w nocy spod jej głowy. Ta zaś spoczywała częściowo na zdrętwiałym przedramieniu, a częściowo na śmierdzących rybą deskach pokładu.

Dziewczyna westchnęła ciężko, podniosła się na łokieć sprawnej ręki i otworzyła oczy. Zła wiadomość: było już widno, więc potwornie zasnęła. Jeszcze gorsza: Ulfr Wilmot – brodaty, ogorzały kapitan o policzkach czerwonych i okrągłych jak nektarynki – stał tuż obok i patrzył na nią. Na kaskadzie rudożółtych kłaków, która spływała z jego podbródka, mieniło się kilka srebrnych rybich łusek. W prawej dłoni – wielkiej jak pióro pagaja – trzymał zwój liny. Nie jakiejś zwykłej liny. Czysty biały sznur jaśniał w poblasku budzącego się dnia mocniej niż jakikolwiek żeglarski ogień, który dało się znaleźć na pokładzie „Freyi”. Ostatnim razem Alyn widziała tę cumę trzy i pół tygodnia temu. Natychmiast zrozumiała, dlaczego zamiast znajomego grymasu gniewu i rozczarowania na twarzy szypra dojrzała rzadki wyraz życzliwości. Gdzieś wysoko ponad ich głowami jęknęła mewa. Alyn podniosła się na kolana, odwróciła w stronę dziobu i wyjrzała ponad gdzieniegdzie zmurszałymi, ale solidnymi jak słowo marynarza deskami burt. Serce zabiło jej mocniej, gdy chwyciła za założony za kołnierz koszuli drucik okularów i osadziła porysowane szkła na nosie. Tuż przed sobą ujrzała lekko połyskującą, wiecznie pomarszczoną taflę spokojnej zatoki. Gdy jednak skupiła wzrok na horyzoncie, na moment wstrzymała oddech, po czym westchnęła, drapiąc się po swędzącym zgięciu łokcia.

– O, w dupę.

Słońce, które za jej plecami wyglądało zza różowego horyzontu, omiatało właśnie pierwszymi promieniami znajdujące się w oddali miasto. Najpierw spod porannego całunu szarości wyjrzały zwieńczenia wież dzielnicy handlowej – ogromne krople zaschniętej farby, które jakiś kapryśny malarz pacnął na las zapalek. Następnie czerwienią zapłonęły ściany gmachów administracyjnych i portowych. Wreszcie promienie padły na płaskie powierzchnie murów okalających metropolię, które wgryzały się dalej w niewidoczną z tej odległości połąć pustyni. Biel, róż i pomarańcz budynków Saahii jaśniały i wabiły strudzonych marynarzy niczym najpiękniejszy śpiew syren. Alyn złapała się na tym, że i ona dała się im zahipnotyzować.

– Ruszaj się, dziewczyno! – huknął kapitan Wilmot i rzucił w kierunku Alyn śnieżnobiałą cumę. – Przybijamy!

Młoda bosman bez trudu złapała ciężką linę, zupełnie nie po marynarzku zasalutowała przełożonemu i mrugnęła do niego, nie kryjąc radości. Uwielbiała morze – plusk fal, kołysanie okrętu i okazjonalne spotkania

z wielorybami. Nic jednak – nawet najlepszy z połowów – nie mogło się równać uczuciu, jakie towarzyszyło powrotowi z kilkutygodniowego rejsu i własnoręcznemu zawiązywaniu cumy przy saahijskim nabrzeżu. Do tego momentu jednak pozostało jeszcze sporo czasu i choć zamierzała go starym zwyczajem spędzić przepasana zwojem liny, nie znaczyło to, że dwójka majtków na „Freyi” – braci, którzy podobnie jak ona pochodzili z odległego kraju – mogła mieć wolne tego ranka. Alyn skierowała kroki wzdłuż lewej burty, płynnym ruchem zgarniając przywieszony do ściany kokpitu bosak, po czym chrząknęła i trzykrotnie uderzyła drewnianą rączką pręta o pokład.

– Galin! Timbur! Klar na pokładzie!

Spod zmęczonych solą i wiatrem desek idealnie zsynchronizowanym dwugłosem dobyło się zwyczajowe potwierdzenie „aye! aye!”. Pierwsze „aye!” było jeszcze lekko zaspane i zaskoczzone, drugie – pełne oddania, werwy i gotowości do działania.

*

Port Saahii, wyjąwszy niewielką flotyllę okrętów samoobrony wybrzeża, gościł głównie łodzie i kutry rybackie. Pomiędzy równymi szczeblami jego pirsów nieustannie kołysały się na falach dziesiątki kadłubów – zarówno solidnych żaglowych korabów handlowych, jak i obsługujących je wiosłowych łupianek. Na nabrzeżu było jeszcze tłoczniej. Przy niemal każdym stanowisku cumowniczym coś się działo. Rzucano trapy, doprowadzano pod nie wozy, wnoszono i wynoszono skrzynie, wieszano i zdejmowano żagle. Zgiełk setek rozmów, zaśpiewów i wykrzykiwanych rozkazów niósł się po wodzie na długie mile w głąb zatoki. Słońce wdrapało się już wysoko na niebo i zaczynało właśnie przypiekać.

Alyn stała na dziobie „Freyi”, która zmierzała w sam środek portowego kotła napędzana siłą młodzieńcych mięśni Galina i Timbura. Chłonęła całą sobą atmosferę napierającą od brzegu ciepłem i zapachem ciał, przypraw, owoców i perfum. Jej koszula – niegdyś biała jak owijająca ją cuma, teraz szarobura, poznaczona zaciekami rybiego śluzu, farby, mokrego drewna i krwi – nie odznaczała się na tle ubiorów innych cumowniczych gotowych do pierwszego od tygodni zeskoku na stały ląd. Mimo tego kilka uważnych par oczu zdążyło ją już wypatrzeć i śledzić niespieszną podróż kutra w głąb portu.

– Ejże, dziewczyno.

Kapitan pojawił się tuż obok niej i położył dłoń na jej ramieniu gestem, który nauczyła się interpretować jako opiekuńczy. Każdemu innemu mężczyźnie, który by tak zrobił, już dawno skreśliłaby nadgarstek. Wilnot zdawał się o tym podskórnie wiedzieć i choć na „Freyi” był panem i władcą niepodzielnym, korzystał z tego przywileju z umiarem. I zawsze jedynie wtedy, gdy sytuacja była dla obojga w jakiś sposób ważna.

– Oczy dookoła głowy – rzekł cicho. – Masz komitet powitalny.

W tej chwili zauważyła ich wszystkich. Kryli się – lub nie – za wozami, stertami skrzyń i worków. Powoli podążali wzdłuż pirsu za „Freyą”. Wypatrywali to jej manewrów, to miejsc, przy których mogła zostać przycumowana. Zastawiali na nią wnyki.

– Gwardia.

– Ano. Nie myśl, że nie wiedziałem, coś ty za jedna, gdy cię brałem na pokład pierwszy raz – palce kapitana zacisnęły się mocniej na ramieniu Alyn, aż drgnęła, ale natychmiast potem rozluźniły się całkowicie.

– U mnie konto masz czyste. To, co zarobiłaś, zarobiłaś uczciwą pracą. I za ten rejs również będzie czekać na ciebie zapłata. Po staremu, za trzy dni. Wiesz gdzie. Bardzo liczę na to, że się pojawisz. Ty albo przynajmniej ta twoja koleżanka, czarnuszka. No, ale my tu mieliśmy ozorami, a na prawej burcie zebrały się glony i nie ma mowy, byśmy w takim stanie wpływali do portu stolicy Zakkanu. Pojmujesz? Timbur da sobie radę z cumą. Aha, w mojej kabinie znajdziesz małe podziękowanie. No, idźże.

Miało być inaczej, pomyślała Alyn, czując narastający w piersi ciężar rozczarowania. Potrzebowała tego rejsu, by mogła powrócić, gdy już wszystko ucichnie. Z drugiej strony mogło być gorzej. Wilmot oferował jej drogę ucieczki, choć zupełnie nie było to w jego interesie. Z trudem powstrzymała się przed cmoknięciem tęgiego marynarza w jeden z jego okrągłych, wystających ponad zmierzwioną brodą policzków, wręczyła mu cumę i trzema susami dotarła pod pokład. Z zamykanej na kluczyk szafki przy koi wyciągnęła tobołek z ubra- niem, do którego zgarnęła z półki kilka ostatnich sucharów z suszonymi owocami. Do kieszeni wrzuciła skó- rzany mieszek, w którego środku przy każdym gwałtowniejszym ruchu ławica miedziaków ze szczękiem ostu- kiwała pojedynczego srebrnika. Gdy upewniła się, że niczego nie zostawiła, wybiegła na górę po schodach. Na rufie minęła Galina walczącego samotnie z wiosłem i krótkim gestem zmierzwiła mu czarne, kręcone włosy. Nie potrzebowała więcej, by przekazać mu, że wykonał podczas rejsu dobrą robotę. Sprawili się wszy- scy – dlatego ładownia aż w trzech czwartych wypełniona była srebrną zupą ryb pływających w zimnej wo- dzie, która jeszcze tydzień temu była hałdą kosztownych – zwłaszcza w Saahii – lodowych bloków. Zajrzała do kabiny kapitana. Choć nie bywała tu często, jej wzrok natychmiast padł na solidnego dorsza, który leżał na pulpicie, owinięty w bodaj jedyną czystą szmatkę na pokładzie. Bakszysz. Zwyczajowa zapłata dla tragarzy portowych za priorytetowe traktowanie rozładowywanego ładunku. Chwilę się wahała, czy przyjąć prezent, ale ostatecznie wygrał w niej pragmatyzm. Podobnych okazji ładownia kutra kryła jeszcze kilka, a ten kon- kretny wyglądał tak, jakby samodzielnie mógł ją wyżywić przez dwa dni. Akurat do czasu, kiedy kapitan zdąży opchnąć przynajmniej część ładunku, a ona będzie mogła się zgłosić po wypłatę.

Wychynęła na prawą burtę w momencie, gdy Wilmot wkroczył do pomieszczenia od drugiej strony, by chwycić za ster. „Freya” zbliżała się do swojego stanowiska, a wraz z nią drużyna czujnych i najwyraźniej wyjątkowo cierpliwych gwardzistów. Hanso Trzeci nie zwykł odpuszczać tym, którzy jak gdyby nigdy nic włamywali się do jego prywatnych komnat. Czując, jak serce wali jej w piersi, Alyn machnęła ręką kapitanowi ostatni raz, po czym usiadła na prawej burcie i przerzuciła przez nią nogi. Opuściła się na same ręce, odbiła lekko i wylądowała na pokładzie przepływającej akurat obok gondoli, tuż przed nosem wyraźnie zaskoczonego wąsatego wiosłarza w turbanie. Zanim ten zdążył wydusić z siebie choć słowo, dziewczyna odwróciła się do niego plecami, wzięła rozbieg, po czym w pełnym pędzie wykonała serię susów, lądując kolejno na tratwie wyładowanej skrzyniami prowiantu, rufie jednoosobowej żaglówki i kolejnej gondoli, by wreszcie uchwycić się sieci rozwieszanej na burcie przycumowanego do pirsu szkunera. Sznury zachrzęściły pod jej ciężarem, a do porannego zgiełku portu Saahii dołączyło zawroźnienie wąsatego wiosłarza z gondoli, który otrząsnął się właśnie z szoku hen po drugiej stronie kanału. Alyn pomachała mu wulgarnym marynarskim gestem, którego nauczył ją Wilmot, wdrapała się na burtę i zwinnie przeskoczyła na pokład.

Na statku roilo się od marynarzy i robotników portowych, ale nie wyglądało na to, by ktoś zwrócił jakąś

szczególną uwagę na nagłe pojawienie się rudej okularnicy. Dziewczyna uchyliła się przed skrzynią z warzywami, która wyrosła nagle na wysokości jej twarzy, po czym zeskoczyła na świecący łuskami pomarańczowej farby pokład i precyzyjnie się przez gęste chaszczki ciała aż do trapu. Gdy zeszła na szeroki, drewniany pomost, kucnęła, by złapać oddech. Jak się okazało, tuż obok siedzącej w cieniu babinki. Żebraczka była niezwykle drobna i pachniała przyprawami korzennymi. Była też niewidoma. Kiedy usłyszała dziewczynę, odruchowo popukała cicho w deski poskręcany kosturem i uniosła w oczekiwaniu wytartą skorupę kokosu. Alyn wrzuciła w nią miedziaka i kawałek suchara. Drugi włożyła sobie do ust. Ciągnąc twarde pieczywo, rozejrzała się uważnie w poszukiwaniu charakterystycznego granatu peleryn jej prześladowców. Nikt nie wskazywał jej palcem, nikt nie przeciskał się w jej stronę. To była połowa sukcesu. Teraz zostało jej wymknąć się z dzielnicy portowej, znaleźć Kai i jakieś wyjście z sytuacji, która – z każdą chwilą miała o tym coraz silniejsze przekonanie – zaczynała ją przerastać.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech i gdy tylko wyrósł przed nią pochód tragarzy skrzyń z owocami, podwinęła rękawy koszuli wysoko do ramion, „na robotnika”, po czym dołączyła do ich orszaku. Skryła się za wyładowanym po brzegi, podskakującym na każdej nierówności wozem ciągniętym przez dwóch ogolonych na tyso chłopców, z których żaden nie mógł mieć więcej niż czternaście lat. Drewniana fura toczyła się z hukiem w stronę nabrzeża i kryła ją przed wzrokiem tych spośród gwardzistów, którzy pozostali po drugiej stronie kanału po lewej stronie. Dla każdego, kto rozglądałby się za nią z prawej – gdzie również był kanał, a w nim rój pomniejszych łodzi i łódek klekoczących o pomost w rytm fal – była widoczna jak na dłoni. Ale stamtąd nikt prawdopodobnie nie patrzył.

Prawdopodobnie.

Biorąc pod uwagę, jak wymęczone były oprawki i jak porysowane szkła jej okularów, słowo to od dłuższego czasu siłą rzeczy towarzyszyło jej na każdym kroku. Cisnęło się na usta przy każdej próbie opisu rzeczy, które znajdowały się dalej niż o rzut średniej wielkości grejpfrutem. I jak grejpfrut było cierpkie. Miała głęboką i szczerą nadzieję, że Zakary – do warsztatu którego zamierzała się zresztą czym prędzej udać – dopełni umowy, bo niewidzenia przez ostatnie tygodnie miała już naprawdę dosyć.

Wóz z owocami wtoczył się płynnie we wciśnięte w bruk drewniane szyny, ale zamiast przyspieszyć jęknął i stanął na znak saahijskiego inspektora, który wyrósł przed nim znienacka wraz z przybocznym sekretarzem. Niski człowieczek o długich, ruchliwych palcach już na pierwszy rzut oka palił się wręcz, by wpisywać w rejestr każde najmniejsze uchybienie.

Nie chcąc czekać na rozwój wypadków, Alyn odbiła w prawo i skierowała się na ukos przez rozległy plac. Tam – w nieustającym gwarze, między zwałami worków, piramidami granitowych bloków i wielobarwnymi gajami bel zwiewnego materiału – targowano się, księgowano, przyjmowano, wydawano i transportowano różnej maści towary. Przyspieszyła kroku i przeskoczyła nad rzędem klatek z sennie gęgającymi gęsiami. Z otwartego kufra – którego właściciel, opuściwszy spodnie, akurat oglądał z zainteresowaniem swędzący pośladek – poczęstowała się pierwszym lepszym skrawkiem tkaniny. Trafiała w dziesiątkę, bo po błyskawicznej inspekcji okazał się całkiem zgrabnym czarnym kwefem. Wydawało się jej, że zza pleców dobiega do niej nawoływanie, ale nie odwróciła głowy. Z marszu przeszła w trucht. Przebiła się przez grupkę handlarzy, którzy drapali się po głowach przy przewróconej lawecie, z której wysypały się lichej – zwłaszcza pod względem

artystycznym – jakości rzeźby przedstawiające półnagie nimfy. Nabierając tempa, przemknęła szczeliną w ścianie rozstawionych wzdłuż drogi straganów i...

Ostatkiem siły woli zahamowała przed plecami gwardzisty. Niemal wbiła nos w jego granatową peleyrę. Jej właściciel wraz z kompanem wypytywał właśnie o „rudą dziewczynę w krótkich włosach” wystraszonego sprzedawcę krewetek. Na widok Alyn ogorzałem, obejmującemu w wyraźnej trwodze okrągły brzuch kupcowi oczy rozszerzyły się i niemal wypadły z orbit, ale nie dał rady wydać z siebie dźwięku poza głośnym czknięciem. Zanim wzrok gwardzistów podążył za znaleziskiem sklepikarza, dziewczyna jednym ruchem naciągnęła na siebie zdobyczne nakrycie głowy, zerwała z twarzy binokle (po raz kolejny gnąc ich spracowane oprawki) i wlepiła tępo wzrok pod nogi. Jej serce waliło jak młot. Gdy tylko żołnierz odwrócił się w jej kierunku, zdążyła zlokalizować odsłonięte palce stóp wystające z jego sandałów i obrała je na cel. Ręka mężczyzny wystrzeliła w jej kierunku, złapała ją za podbródek i pociągnęła go do góry. Alyn głośno złapała haust powietrza. Napięła mięśnie nóg, gotowa w każdej chwili kopnąć i rzucić się do ucieczki.

– Żołnierze, do mnie!

Okrzyk dobiegł zza jej pleców. Miała wrażenie, że był to ten sam głos, który słyszała za sobą, idąc przez plac. Spojrzała w twarz przysadzistego gwardzisty, który ją trzymał. Był w średnim wieku, miał kędzierzawą brodę i poziomą bliznę tuż nad prawą brwią. Śmierdział potem. Wypatrywał w tłumie za nią oficera i nie zaszczylił jej nawet spojrzeniem. Drugi, niewiele młodszy, poklepał go po ramieniu i wskazał coś ręką. Pierwszy jak na komendę puścił ją, warknął i odsunął zawalidrogę na bok, jakby rozgarniał gałęzie wyjątkowo lichego krzaku. Ruszył marszem przed siebie. Alyn powiodła za nim wzrokiem, rozmasowała gardło i – aby przypadkiem nie przyszło jej do głowy zrobić jakiejś krzywdy tchórzliwemu handlarzynie – trzema krokami wtopiła się w tłum, który zmierzał ku głównej bramie portowej. Gdy minęła bramę wejściową, puściła się pędem wzdłuż ulicy, która wiodła w stronę Kukh – cieszącej się wątpliwą renomą dzielnicy mieszkalnej dla niezamożnych mieszczan, artystów i studentów.

*

Zdyszana biegiem Alyn zwolniła tempo do truchtu, marszu, aż wreszcie przystanęła przy bramie przecinającej na wylot dolne piętro kamienicy – jednej z wielu odgradzających przybrzeżną część Saahii od śródmieścia. Otarła pot z czoła i oparła się o niewielką figurę nagiej kobiety, których pełno było w całym mieście. Założyła z powrotem szkła i spojrzała w górę. Isztar – patronka kupców, handlarzy i, jak twierdzili niektórzy, złodziei. W każdym innym mieście u jej stóp wierni wyznawcy składaliby kwiaty, drobne monety i palili świeczki ofiarne. Ale nie w stolicy Zakkanu. Tutaj każdy kamienny posąg, do którego mogli dosięgnąć „wyznawcy”, miał brzydkie, brunatne plamy na piersiach i łonie od ciągłego dotyku tysięcy rąk. Co podobno miało zagwarantować szczęście i powodzenie w interesach.

– Jasne... – mruknęła Alyn z przekąsem i rozejrzała się uważnie.

Wrzaski mew nad głową nie pozwalały jej zapomnieć o ostatnich tygodniach spędzonych na kutrze, nogi wciąż jeszcze nie przyzwyczyły się do pewnego oparcia, jaki dawał stały ład. Koła wozów rybnych stukały o bruk, kilku tragarzy portowych zapuściło się w te rejony, niosąc, pchając i ciągnąc pakunki z me-

blami. Nieliczni zwykli mieszkańcy tych okolic – a odróżnić ich jednym spojrzeniem od ludzi interesu z dzielnicy handlowej było niesłychanie łatwo – szli po prostu przed siebie.

Po drugiej stronie kamiennego tunelu sunął jeszcze większy sznur przechodniów i wozów. Nikt nie interesował się młodą bosman. Alyn wyprostowała się i policzyła w myślach minięte bramy. Do domu Kai miała nie więcej niż pięć minut szybkiego marszu.

I wtedy od strony miasta w bramę wbiegł mężczyzna. Wysoki gwardzista. Natychmiast znalazł ją wzrokiem.

– Hej, panienko!

Złodziejka zakłęła, ścisnęła w dłoniach przemoczoną szmatę opinającą dorsza, odwróciła się do żołnierza plecami i gorączkowo zaczęła opracowywać plan ucieczki. Była zdecydowanie po złej stronie kamienicy. Przed nią wznosiło się tylko kilka wątych pasów zabudowań ściśniętych w trwodze przed nieustępliwymi falami morza. Za nią i za zbrojnym natrętem w granacie czekał dający pewniejsze schronienie gęszcz metropolii.

– Alyn?! Alyn z Rowan? Siostra Toryna?

Dziewczyna wstrzymała oddech. Odwróciła się. Facet był młody, ubrany przepisowo, wysoki. Nie znała go, a prędzej znalazłaby halibuta w studni niż zaufała saahijskiemu gwardziście na garnuszku Hanso Trzeciego, najbogatszego obywatela Zakkanu, szefa gildii kupców Perły Pustyni, et cetera, et cetera.

Najwyraźniej ośmielony jej reakcją mężczyzna nabrał powietrza w płuca.

– Nazywam się...

– Cierpliwy ten twój szef! – choć jej głos zabrzmiał cokolwiek chrypliwie, Alyn skutecznie przerwała mężczyźnie, po czym wzięła się pod bok ręką i zaczęła powoli iść w jego kierunku. Miała nadzieję, że robi dokładne przeciwieństwo tego, czego się po niej spodziewał. – Czekał trzy i pół tygodnia na mój powrót z rejsu, wiedząc, że i tak wrócę. No i proszę, ma mnie jak na dłoni!

Podeszła do niego na odległość niezbyt solidnego bosmańskiego splunięcia. Tyle wystarczyło.

– Nie wyciągnąłeś broni!

Krzyknęła i zdrętwiała już lekko od kurczowego trzymania mokrej ryby ręką wskazała szablę przy jego pasie. Twarz gwardzisty podążyła za jej wzrokiem. I wtedy złodziejka jednym susem dopadła do zaskoczonego mężczyzny. Napierając barkiem, obróciła go, a następnie z całym rozpędem wyrzuciła mu dorszem w plecy. Huknęło tak donośnie, że po obu stronach bramy zatrzymało się po kilkoro przechodniów. Mężczyzna upadł na brzuch wśród confetti z rybich łusek i zanim zdążył się podnieść, okularnica o chłopięcej budowie, spracowanych dłoniach i wypłowiałych, pomarańczowych włosach przycisnęła go butem do ziemi. Następnie poprawiła oprawki na nosie i wycelowała w jego głowę otwarty pysk ryby.

– Powiedz temu tłustemu morświnowi, że sama z nim porozmawiam... – zawahała się na moment, szukając słów. – Kiedy mi się zachce!

Mężczyzna poruszył się spazmatycznie, niemal pozbawiając ją równowagi. Wyglądało, a na pewno brzmiało to tak, jakby parsknął ze śmiechu. Alyn nie zamierzała czekać na dalszy rozwój wypadków. Wyszarpnęła zza jego pasa szablę i z całej siły rzuciła przed siebie, prawie trafiając drepczącego w sobie tylko znanym kierunku, łyszego dziadka. Odwróciła się na pięcie i pognęła w tłum. Miała nadzieję, że zdobyła tym

prostym sposobem chociaż moment przewagi. A tyle jej wystarczyło, by zgubić się w lesie saahijskich budynków.

*

Spędziła trzy minuty, obserwując z ukrycia wejście do kamienicy. Nie zauważyła niczego ani nikogo podejrzanego. Zdawała sobie sprawę z gwałtu, który popełnia na modzie, nosząc stylowy czarny kwef w połączeniu z brudnym, marynarskim odzieniem, ale chwilowo nie miała pod ręką niczego lepszego. Cień budynku, o który się oparła, właśnie skończył wędrówkę w dół ścian domów po drugiej stronie ulicy. Koniec jego chłodnego jęzora muskał teraz ludzi wędrujących chodnikiem. Z jednostajnego ich strumienia co raz któryś odłączał się i znikał w drzwiach piekarni Habiba, rzadziej – balwierni madam Sefory, u której pracowała Kai. Drzwi palarni „Szisa nocna” o tej porze zamknięte były na głucho. Dwaj gwardziści, którzy minęli ją w odległości trzech kroków, nie byli zainteresowani niczym więcej ponad pałaszowanym w biegu, zakupionym chwilę wcześniej u Odeda, śniadaniem. Mimo wszystko nie chciała ryzykować wystawiania się na widok przy frontowych drzwiach i na szczęście nie musiała.

Wyczekała na odpowiedni moment, po czym odepchnęła się lekko od ściany i dała się ponieść potokowi ciał. Przeszła przez ulicę na ukos pewnym krokiem, po czym zagłębiła się w wąską przecznicę pomiędzy budynkami. Przejście było tak ciasne, że nie mogła całkowicie wyprostować wystawionych na boki ramion. Gdyby komuś przyszło do głowy przyjrzeć się chropowatym powierzchniom obu ścian, zauważyłby dwa idące w górę pasy przebarwień i startego tynku. Jej prywatna ścieżka, którą pokonywała z szeroko rozstawionymi rękami i nogami, wiodła pionowo w górę na wysokość nieokazałego kamiennego gzymsu. Ten owijał się wokół kamienicy, prowadząc bezpośrednio do okien mieszkania Kai. Alyn pokonywała tę drogę dziesiątki razy i ucieszyła się, że nawet po tak długim rejsie – mimo dwóch donośnych stęków, które z siebie wydała na ostatnich metrach błyskawicznej wspinaczki – stopy i łydki nawet jej nie zadrżały.

Okno było otwarte. Alyn zlustrowała wnętrze mieszkania i nadstawiła ucha. Colm – chłopak, z którym spotykała się Kai, był niegroźny, ale były rzeczy, które obie przyjaciółki zdecydowały bezwzględnie zatrzymać jedynie między sobą. To, że Alyn wdrapuje się po ścianach i kradnie błyskotki z domów saahijskich biznesmenów, a Kai następnie sprzedaje je przyjezdnym kupcom, nie było nawet pierwszą z nich.

Gdy upewniła się, że Colma nie ma w tej chwili w mieszkaniu, złodziejka zapukała lekko w okiennicę i postawiła nogi na podłodze. Kai wpadła do kuchni dosłownie moment później, furkocząc zwiewną, krwistoczerwoną sukienką – jedną z tych, których entuzjastki przedkładają elegancję nad wygodę, nawet w domu. Miała jak zwykle pomalowane karmazynem usta, krótkie, czarne włosy i drobne, perłowe kolczyki. Jej szyję opinała ciasna, czarna obróżka ozdobiona niewielkim wisiorkiem w kształcie słońca. Ku linii rzemyka wąskie witki wyciągał wyglądający zza kołnierza tatuaż bluszczu. Kai miała drobną budowę, ale nieustannie biła z niej pewność siebie. Odziedziczyła to po matce wraz z niewymuszoną naturalną atrakcyjnością, której Alyn zazdrościła jej szczerze i otwarcie.

Gospodyni odłożyła na stół chwycony po drodze nóż, gdy tylko poznała w intruzie swoją przyjaciółkę. Ta z ulgą odrzuciła wreszcie swój zmarnowany, wyposażony w skrzela oręż.

– Na Isztar, Alyn! Bałam się, że już cię mają. Nie miałam jak cię ostrzec.

– Kai.

Kobiety padły sobie w ramiona. Na moment.

– Nic ci nie jest?

– Śmierdę. Potrzebuję kąpieli.

– To prawda – Kai zaśmiała się serdecznie. Moment później jej twarz stężała. – Możesz nie mieć na nią czasu. Jest źle.

– Chyba wiem, co masz na myśli.

– Och, nie wiesz nawet ćwierci tego, co powinnaś. Chodź, dam ci jakieś świeże ubranie. I napij się wody. Szykowna ta twoja fidrygałka, swoją drogą.

– Ta fidrygałka – Alyn zdjęła kwef i spojrzała na niego z wdzięcznością – uratowała mi skórę.

– Nie będzie pasowała do tego, co dla ciebie mam.

Przeszły do garderoby, gdzie Alyn oparła się plecami o ścianę, po czym zjechała nimi na dół, aż siadła z wyprostowanymi nogami. Zmęczenie poranną gonitwą właśnie pukalo do drzwi, rozpalone mięśnie pulsowały pierwszymi zwiastunami bólu.

Kai otworzyła szafę i zaczęła mówić.

– Na początku szło według planu. Po tym, jak przekazałaś mi zwój i wypłynęłaś, w dzielnicy handlowej wrzało przez tydzień. Przeszukania, aresztowania, zastraszenie, co tylko sobie wymarzysz. Trzeci zaangażował i gwardię, i grupy mętów z sobie tylko znanych melin. Porozwieszał plakaty i listy gończe, posłał po najlepszych śledczych z Saahii i nomadów z okolicznych oaz. Wszystko po to, by złapać ciebie i odzyskać to, co mu ukradłaś. Do dziś nie wiem, jak wpadła na to, że to ty, ale i tak gratuluję. W jedną noc postawiłaś na nogi całą administrację miasta.

– Wiesz, co to było? Na tym pergaminie?

– Wiem, ale po kolei. Ten nieformalny stan wyjątkowy w dzielnicy handlowej, nie tylko zresztą tam, trwał tydzień. Ale potem wszystko nagle ucichło. Jak ręką odjął. Dopiero wtedy skontaktował się ze mną nasz hojny zleceniodawca, Silvestri. Myślał, że jego plan zwinął się i ugryzł w dupę, i że Hanso odzyskał zgubę. Ale ona była cały czas tam – Kai, przebierając bluzki i spodnie, wskazała palcem na górną półkę szafy, tuż pod sufitem. – Uwierz mi, tak bardzo nie chciałam wtedy być powierniczką tej mapy, że sprawdzałam codziennie, czy nadal leży, gdzie leżała, i niemal czułam, jak wypala mi dziurę. W ubraniach i w życiu, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. I tak, powiedziałam „mapy”. Bo tutaj robi się naprawdę interesująco. Załóż to, powinno na ciebie pasować. I jeszcze to. Otóż nie dalej jak miesiąc wcześniej do portu w Saahii przybił szkuner z Księstwa Kaim, z którego zszedł tylko jeden pasażer. „Zbieg”, jak go nazwał Silvestri, miał przy sobie odręcznie narysowany plan wskazujący ukryte wejście do królewskiego skarbcza na wyspie. Ot, po prostu. Isztar wie skąd i jak. Tak czy siak dotarł do Hanso i odbył z nim spotkanie, na którym przekazał mu pergamin. Po co? Tu na scenę znów wkracza nasz Silvestri. Pokaż się... A to co?

Kai skinęła na zaczerwienienie w zgięciu łokcia przyjaciółki.

– To? Roskar – Alyn wzruszyła ramionami i podrapała się machinalnie. – Bydlak jakich mało. Ostatni, którego złapaliśmy. Dwa dni temu kapitan Wilmot wyciągnął go w strzępach sieci na pokład. Rzucił się jak

poparzony. Dziabnął mnie, jak mu chciałam przyłożyć w łeb bosakiem. Wygląda brzydko, ale nic mi nie będzie. Zobaczmy lepiej te twoje ciuchy.

Alyn wyprostowała się i podciągnęła oliwkowe szarawary, a następnie założyła opadającą na biodra białą kurtę. W przeciwieństwie do spodni ta jej w nic nie piła.

– Kai, te nogawki...

– Hm, widzę. Dobrze, zdejmij je i daj mi moment. Na czym skończyłam? Ach, Silvestri. On, jak pewnie się domyślasz, też dotarł do „zbiega”. Swoimi sposobami dowiedział się, co zaszło u Hanso. Nie dziwne. Skoro znalazł nas w tym mieście, wie, jak dowiadywać się różnych rzeczy. Gdy spotkał się ze mną po twoim wypłynięciu, przekazałam mu pergamin, a on dał mi dowód wpłaty wynagrodzenia na nasze konta u Chandruka. I jest tego, moja droga, sporo. Mogłybyśmy jeszcze dziś pójść po całość, wyjechać, nie wiem, do Imoren albo jeszcze dalej. I mieć jeszcze na parę miesięcy.

– Jesteś cudowna, Kai.

– Wiem – dopiero teraz Alyn usłyszała to wyraźnie. Głos Kai, w miarę mówienia, zaczynał się coraz bardziej łamać. – I właśnie dlatego jesteśmy tu, a nie w suterenie, w twoim pokoju, gdzie mogłybyśmy to wszystko przeczekać. Załóż te i słuchaj mnie teraz uważnie. Co do dalszych losów mapy, Silvestri nie powiedział mi tego wprost, ale niejako potwierdził plotki, które słyszałam o tym, że Kaim zwleka już od dłuższego czasu ze zwrotem solidnej pożyczki, której użyczył jej Zakkan. Na odchodne stanął tuż przede mną, spojrzał mi w oczy i powiedział: *Toryn jest na Kaim. Powiedz jej to, tu nie będzie bezpieczna*. Więcej go nie widziałam. Dlatego pomyślałam... pomyślałam, że będę śledzić ruch portowy i akurat dziś... dziś...

Kai usiadła ciężko na podłogę, z trudem powstrzymując szloch. Alyn, choć próbowała z całych sił, nie mogła wyrzucić z serca rozpierającego poczucia nadziei. Kleknęła przy przyjaciółce. Dotknęła jej ramienia. Machinalnie.

– Wierzysz mi?

– To nie ma znaczenia, wiesz przecież. Bo ty mi wierzysz – Kai podniosła głowę. Jej oczy błyszczały od łez. – Nigdy nie lubiłam, gdy wypływałaś na tak długo. Zwłaszcza od kiedy zniknął Toryn. Stęskniłam się za nim, Alyn, choć zdążyłam go jednocześnie nienawidzić. Zwłaszcza teraz. Siebie też nienawidzę, bo robię wszystko, byś wyjechała.

– Jedźmy razem! – krzyknęła Alyn, choć głęboko w sercu czuła, że w swej nagłej, szaleńczej histerii wyrывa się ono na kilka długości przed rozum.

– Nie, Alyn. Część mnie pragnie tego bardziej niż czegokolwiek, ale nie jestem na to gotowa. I to nie tylko tu – Kai wskazała palcem swoje czoło, starając się mrugnąć zadziornie. Wyszło, jak wyszło. – Jedynek statek do Kaim wypływa dziś w południe. Nie wiadomo, kiedy będzie następny, na pewno nie w tym miesiącu. Ty jeszcze zdążysz, a kąpiel poczeka.

Alyn nie była gotowa. Wyczekiwała tego momentu od pół roku. Zbierała siły, wiedzę i środki po to, by odnaleźć brata, ruszyć mu na odsiecz, kiedy tylko będzie wiadomo, gdzie jest. Po to wkradła się do willi Hanso Trzeciego, po to wzięła to zlecenie. Bo Silvestri wiedział. I teraz, w dniu powrotu z własnego wygnania, w dniu wypłynięcia jedynek statku do miejsca, w którym miała jakąkolwiek szansę znaleźć Toryna, nie była gotowa.

– Jeżeli nie wypłyniesz – powiedziała Kai cicho, jakby czytając złodziejce w myślach – znajdą cię. Wiesz o tym. A Hanso zrobi sobie z ciebie przedstawienie. Na Isztar, Alyn, rozwaliłaś nos jego siostrzenicy.

– Dwa razy ją uderzyłam – szepnęła Alyn, nie wiedząc, czy powinna się śmiać, czy płakać. – Za pierwszym razem tylko ją obudziłam.

– Jedź. Jedź teraz. Póki ich zgubiłaś.

– Doprawdy, Kai... mam na poważnie wyjść do ludzi w granatowych szarawarach?

Obie wybuchły śmiechem. Czystym i szczerym. Śmiały się długo, wykorzystując tyle tchu, ile miały.



*

To nie ma znaczenia. Ty mu wierzysz.

Alyn wierzyła. Przybyła do Saahii w wieku 15 lat. Ona, jej brat Toryn i Kai. Trójka sierot, wygnańców z księstwa Rowan – miejsca, które zostawili na drugim końcu świata, by zapomnieć o tym, co ich tam spotkało, i zacząć nowe życie. Toryn zawsze miał słabość do Kai, ale nigdy nie przekroczyli granicy niewinnego flirtu. Traktował je obie jak siostry, a kobiety, które znajdował (miał do tego niespotykany dryg), trzymał z dala od ich małej „rodziny”. Alyn była mu zresztą za to skrycie wdzięczna. Ze wszystkich sił chciała wierzyć, że do szczęścia żadnemu z nich nie potrzeba więcej niż ich troje. Spędzili w Saahii sześć lat, mieszkając w slumsach, piwnicach i poddaszach. Zanim nauczył je radzić sobie w mieście, to Toryn utrzymywał całą grupkę. Nieraz dostawał za swoje trudy po głowie. To on ukradł dla niej pierwsze okulary Zakaremu, po czym i tak udało mu się z nim zaprzyjaźnić. Wreszcie znaleźli dla siebie miejsce w kamienicy przy piekarni Habiba i zakładzie madam Sefory. Toryn i Alyn kradli na zamówienie, okresowo zaciągając się na kutry rybackie, by przeczekać ewentualne obławy. Kai wyszukiwała klientów, targowała się i trzymała pieniądze. Oficjalnie układała fryzury w salonie dwa piętra niżej.

Pół roku temu Toryn zniknął. Rozpłynął się w powietrzu i nie napisał nawet pożegnalnego listu. Został je same. I choćby dlatego zasługiwał na to, by dać mu w pysk.

– Z drogi, niewiasto!

Po ulicy, tuż przy Alyn, przetoczył się z hukiem wóz wyładowany kamieniami. Za nim przemknęli dwaj dobrze zbudowani mężczyźni próbujący powstrzymać lawetę przed niekontrolowaną ucieczką w dół alei. Choć poranne słońce zdążyło już zamienić miasto w kamienny piec, złodziejka szczerzej opatulila twarz ostatnim podarkiem od Kai, lekkim szarym szalem czunri, i przyspieszyła kroku. Aby zdążyć, powinna już zmierzać z powrotem w stronę portu, ale został jej jeszcze jeden interes do ubicia. Brzdąkające denary otrzymane od przyjaciółki stłamsiły jej lichego srebrnika i miedziaki w sakwie jak szlacheckie wojsko pacyfikujące powstanie chłopskie. Sprawiały, że czuła się cokolwiek nieswojo. Jak swoja własna, tłusta, wyładowana pieniędzmi ofiara.

Minęła gwardzystów przesłuchujących tragarzy, którzy lamentowali nad roztrzaskanym na murze wozem, i weszła na szeroki, wybrukowany białym marmurem Most Maharadży. Przez lata użytkowania kamień utracił swój blask, ale w pełnym świetle słonecznym wciąż potrafił oślepić przechodniów i zachwycić absolutnie każdego, kto widział go po raz pierwszy. Wzniesiona nad rzeką Szikrą konstrukcja stanowiła jedną z głównych bram dzielnicy handlowej Saahii. Po drugiej stronie wznosił się rząd strzelistych wież kupieckich, za którymi krył się rozległy plac targowy – ludzkie mrowisko i tętniące serce żyjącego z handlu miasta. Ożywał wraz z pojawieniem się na horyzoncie pierwszych promieni słonecznych oraz wieczorem, z ulgą witając przeciskającą się wąskimi szparami między zabudowaniami morską bryzę. W południe i nocą zamierał.

Kwartał rzemieślników, do którego kierowała się Alyn, leżał nieopodal jednego z bliższych Mostowi Maharadży narożników rynku. I jeszcze przez pewien czas otulony był ożywym cieniem, który złodziejka z ulgą powitała w wąskiej bramie wiodącej na plac. Po raz kolejny dziś zanurzyła się w rzece ludzi. Czymś, pomyślała, zupełnie wymykającym się wyobraźni człowieka, który spędza czwarty tydzień rejsu na niewielkiej przestrzeni z trzema innymi osobami. Niełatwo było się jej powstrzymać przed spoglądaniem na niepilnowane, przytwierdzone do pasów lichymi rzemieniami mieszki co mniej roztropnych saahijczyków. Dużo bardziej

wolała jednak pilnować własnego – schowanego głęboko pod kurtą, wbijającego się w jej prawy bok na wysokości brzucha.

Gdy nurt tłumu wyniósł ją z tunelu, przenikliwy zgiełk uderzył ją jak szkwał i niemal zatrzymał w miejscu. Przebiła się między ludźmi na lewą stronę od bramy i ruszyła wzdłuż wewnętrznej ściany targu, licząc stragany. Sandały Al Assana, kaletnik, bursztyniarz, dwóch... nie, trzech krawców, wreszcie Samil konwisarz. Jak zwykle nieprzebrane tłumy dzieci przy kramie ze słodkim lakiszem. Zanim dotarł do niej mamiący zapach kramu z kadzidłami Farihy, skręciła w lewo ścieżką wiodącą wprost do niepozornych drzwi, nad którymi wisiał prosty szyld. Napis głosił *Zakary – Pracownia*, a obok niego widniał symbol zakładu – pięć równych okręgów wpisanych symetrycznie w jeden duży. Lub – w zależności od perspektywy – stylizowana, pięciopromienna gwiazda o obłych ramionach i ostrych końcach. Gwiazda Zakarego.

Alyn nacisnęła klamkę i wśliznęła się do środka, gdzie przywitał ją ożywczy powiew chłodnego powietrza... i przeraźliwy skrzek.

– Mysza! Mysza!

Gregory, papuga i zarazem nadworny marszałek Zakarego, zaanonsował jej wizytę parodią głosu swojego właściciela, bez trudu przekrzykując wszystko to, co wraz nią przedostało się do środka, zanim zamknęła drzwi.

– Stul pysk, darmozjadzie! – Alyn i Gregory wykrzyknęli w tym samym momencie, idealnie synchronizując oba głosy: jej własny oraz ptasi, podobny temu, który czasem wydobywał się z jej krtani nad ranem po tym, gdy Kai przyniosła do kryjówki o kilka butelek wina za dużo.

– Kogo widzę, kogo widzę? Mysza opuściła pokład!

Zakary stał za kontuarem w swym usmarowanym fartuchu. Zawadiacko wypiął brzuch i założył kciuki za szelki. Choć na pierwszy rzut oka niemal wszystko w jego aparycji zdradzało sędziwy wiek – lekko przygarbiona sylwetka, łysina, głębokie zmarszczki, plamy na skórze – był żywszy niż niejeden zblazowany nastolatek z wyżej położonych ulic Saahii, a jego dłonie wciąż pewnie trzymały narzędzia. Uśmiechał się życzliwie. Nie poznałbyś w nim byłego książecego mechanika całej republiki.

– Mysza! Mysza!

– Zakary, też się cieszę i w ogóle – Alyn podeszła do kontuaru i położyła na nim miszek. – Wołałabym na dłużej, ale czas mnie goni. Wiesz, po co przyszłam.

– Wiem, wiem. Momencik. Najpierw dzyndzel – Zakary mrugnął i przekręcił coś pod ladą. W drzwiach wejściowych szcęknęła zasuwka.

– Ja z tym pośpiechem na poważnie...

– Ac, ac, ac! Strzegącym domu Isztar sługą, Isztar sługą! Zamawiane były binokle, prawda?

Alyn wyjęła zza kołnierza swoje pogięte i porysowane okulary i położyła je obok sakiewki.

– Tak, lepsze od tych.

– O, ja mam dla ciebie coś dużo lepszego, dużo lepszego od tych.

Zakary ściągnął z półki za kontuarem niepozorne drewniane pudełko i położył je ostrożnie przed dziewczyną. Uchylił wieko. Chwilę zajęło Alyn zorientowanie się, na co patrzy. Stary rzemieślnik ujął ostrożnie w dłonie ustrojstwo, które nijak nie przypominało jej okularów. To znaczy miało dwa szkiełka... a raczej całkiem

solidne szkła. Były one jednak przytwierdzone do skórzanych pasków, a nie metalowej ramy, przez co wyglądały tak, jakby miały się za chwilę przelać przez palce. Alyn czuła, jak blisko była granicy – wybuchu furii lub wewnętrznego załamania, cokolwiek przyszedłoby pierwsze. Przełknęła ślinę.

– Zakary. Co to, kurwa, jest?!

Rzemieślnik machnął ręką niecierpliwie i wyciągnął to, co trzymał w dłoniach, w stronę Alyn.

– Jak to co, jak to co? Cho, no, tu bliżej, dziewczyno, pokażę ci.

Wtem papuga zatrzepotała skrzydłami.

– Szmaty! Szmaty!

Zanim Alyn zdążyła zrobić krok, ktoś szarpnął klamkę od drzwi warsztatu. Nie mogąc ich sforsować, walnął trzykrotnie w drewno.

– Otwierać, gwardia książęca!

– Szmaty! Szmaaaty! – Gregory zaczął gorączkowo chodzić w przód i w tył na swojej poręczy, skrzeczając.

– Cicho, Gregor! Szybko no, Mysza – Zakary wcisnął Alyn w ręce jej zakup wraz z pieniędzmi i odchylił do góry kawałek kontuaru, tworząc przejście za ladę. – Właż na dół. Ani drgnij, ani drgnij!

– Jest tam kto?! Otwierać!

– Idę już, idę!

Czując, jak serce wyrywa się jej z piersi, Alyn zawinęła się dookoła kontuaru i skuliła w niewielkiej ciemnej przestrzeni pod blatem. Na całe szczęście był zabudowany z przodu do samej ziemi – nikt nie był w stanie jej zauważyć, ale i ona nie widziała, co się dzieje. Nie było jej wygodnie, ale przynajmniej płytki podłogi rozlewały miły chłód na jej tyłku. Przy drzwiach szcęknęła zasuwa i otwarły się drzwi. Do środka wszedł...

– Jakob de Witt, gwardia, jednostka śledcza.

Gdy usłyszała wyraźnie jego głos, Alyn zamarła. Przyjemne zimno w jej ciele momentalnie zmieniło się w trzeszczący mróz. To był jakiś pieprzony żart. To był ten, któremu roztrzaskała rano na plecach całkiem dobrego dorsza. Po prostu ją dziś prześladował.

– Zakary Lewin?

– Zgadza się, młody człowieku. Wejdźże do środka, bo skwar nalatuje nieboski.

Co ty robisz, lichy dziadu, nieomal wykrzyknęła spod lady Alyn. Z każdym oddechem oddalała się od niej możliwość wypłynięcia na Kaim i odnalezienia swojego brata.

Zamykane drzwi chrupnęły cicho o framugę.

– Zajmuję się sprawą włamania do skarbcza wielmoży Hanso Trzeciego – powiedział De Witt – i kradzieży, o którą podejrzana jest niejaka Alyn z Rowan. Młoda dziewczyna, niedługie rude włosy. Bywa tutaj, jak miemam.

– No dobrze, no dobrze, ciekawe, ale w czym mogę pomóc?

Kawy mu zrób i może masaż od razu, syknęła bezgłośnie Alyn, bawiąc się swoim najnowszym zakupem. W końcu rozpięła pomiędzy dłońmi skórzaną opaskę utrzymującą szkła w miejscu. Zsunęła czunri i nałożyła je na głowę. Pasowały idealnie.

– Alyn dziś rano przybiła na kutrze „Freya” do portu po kilkutygodniowym rejsie i bardzo prawdopodobne, że będzie chciała się z panem skontaktować. A ja potrzebuję z nią porozmawiać – De Witt chrząknął.
– W imieniu Księcia żądam natychmiastowego powiadomienia o jej wizycie w pańskim warsztacie, jeżeli... kiedy tylko ona nastąpi. Można mnie znaleźć...

– Ach tak, ach tak. Jest w porcie!

– Proszę?

– Mysza już dziś tu była, już dziś tu była. Prawda, Gregor? Kto nas odwiedził?

– Mysza! Mysza! Szmaty! Szmaty!

– Óóóó, stul pysk, darmozjadzie! Spóźnił się pan, Dewijt. Pognała na jakiś statek. Tyle wiem, Isztar mi świadkiem, Isztar mi świadkiem, mówię.

Zakary, zabiję cię.

– Niech mnie piasek pochłonie! – wyraźnie wyczuwalna frustracja w głosie żołnierza była niewielką, ale jedyną pociechą Alyn w tej sytuacji – Jak była ubrana? Jest tu jakieś tylne wyjście?

– O, panie śledczy, panie śledczy. A widziałeś pan, jak są poubierane młode niewiasty w dzisiejszych czasach? Lepiej, żebym nie zaczynał na ten temat, tfu, jak żyję takich porządków nie widziałem. Jakich ja czasów doczekałem?! Czekał pan no, przyniosę portret mojej żony, niech jej wieczny chamsin spokój przyniesie. Zobaczysz pan, jak wyglądać powinny dostojne kobiety. Mam go gdzieś na piętrze...

– N... nie trzeba. Muszę... sprawy wzywają. Przekazuję wdzięczność Księcia. Do widzenia!

De Witt wyszedł. Zasuwa znów szczęknęła, a Alyn wygrzebała się spod lady. Z jednej strony była wściekła, z drugiej, masując pośladki, nie mogła przestać przyglądać się z uwagą każdemu nowemu szczegółowi, które dostrzegała przez szkła na swoim nosie. „Okulary” były dziwne, brzydkie i na pewno nie pasujące jej do twarzy. Ale poza tym idealne.

– Ejże, dziewczyno.

Alyn natychmiast otrzeźwiała, w ten sam sposób zwracał się do niej kapitan Wilmot.

„Freya”.

Port.

Wyłuskała z sakiewki dwa denary i położyła na blacie.

– Dobra robota, Zakary – najpierw skinęła głową na drzwi, a potem wskazała palcem binokle. – Muszę biec, ale... jeszcze jedno. Co wiesz o Kaim?

– Yhm, nie rozumiem. O tej wyspie na północy?

Ton starca wyrażał zaskoczenie, ale błysk w jego oku zdradził stan najwyższej uwagi.

– Tak. Na przykład gdzie ktoś taki jak ja mógłby znaleźć tam coś dla siebie. Coś do roboty.

– Alyn?

– Zakary, błagam cię.

– Tak, tak. Kaim to głównie łąki i knieje. Wioski portowe, kilka większych miasteczek wewnątrz łądu.

I Ganiya.

– Ganiya... to stolica, tak?

– Tak, położona na zboczu góry, zboczu góry. Poczekaj, mam tu gdzieś mapę.

Zakary otworzył jedną z kilkudziesięciu szuflad, które miał w zasięgu ręki za kontuarem, i wybrał spośród znajdujących się tam papierzysek złożoną na cztery kartkę. Nie zaglądając do środka, podał ją złodziejce i mrugnął do niej.

– Chodź, pokażę ci tylne wyjście.

– Dzi... dzięki. – Alyn schowała papier za pazuchę i po bardzo krótkiej chwili namysłu poklepała Zakarego po ramieniu. – Ale musiałeś mu mówić o porcie? Właśnie tam idę.

– Daruj, Mysza. Ale znam takich jak on. Inaczej by nie uwierzył.

Zakary otworzył drzwi korytarza prowadzącego do wyjścia do miasta i skinął na pożegnanie głową. Zanim zatrzasnął za sobą drzwi, zawołał w stronę oddalającej się złodziejki.

– Wróć cała! I koniecznie opowiedz, co widziałaś!

*

Gdy tylko wypadła z drzwi, skwar buchnął jej prosto w twarz. Żar można było zbierać z ulicy łopatą i wrzucać prosto do paleniska. Alyn momentalnie owinęła nos oraz usta szalem i spojrzała na niebo. Słońce wisiało już niemal idealnie nad jej głową. Cienie okolicznych budynków skurczyły się i zwinęły, aby przecze-kać najgorsze godziny dnia. Ulica pustoszała na jej oczach. Miała tylko jedno wyjście – pędzić jak samum do portu najkrótszą drogą i modlić się do Isztar czy innego zakkańskiego bóstwa o to, by kapitan kaimiańskiego szkunera nie wyznawał punktualności jako najwyższej z cnót.

Ruszyła biegiem w stronę Mostu Maharadzy, ale nim wpadła na jego biały bruk, skręciła w prawo, na prowadzące w dół ku rzece schody. Pokonała je czterema susami i wylądowała na kamiennym nabrzeżu. Choć jej kurta w normalnych warunkach – czyli przy marszowym tempie – znakomicie sobie radziła z chłodzeniem ciała, teraz wystarczyła chwila, by Alyn spociała się od stóp do głów. Zakłęła w myślach, czując, jak szarawary lepią się do jej nóg.

Nagle na rozpostartej na ziemi prostej linii cienia rzucanego przez most niespodziewanie pojawiło się wyrzuszenie. Spojrzała w górę w momencie, gdy czyjaś wyglądająca ponad barierą głowa cofnęła się poza zasięg wzroku. Jakaś biedna dusza piecze się właśnie na mostowej patelni, pomyślała Alyn i natychmiast zapomniała o sprawie. Pobiegła dalej wzdłuż prawego brzegu Szikry, uważając na śliskie kamienie. Po jej lewej, korzystając z powolnego, szerokiego nurtu życiodajnej, srebrnej żyły w krajobrazie tej części Zakkanu, snuły się zadaszone łódki i tratwy. Wiozły do portu pasażerów i różnej maści towary – przede wszystkim zwiewne kolorowe materiały i uszyte z nich ubrania. W oddali z przodu w oczach Alyn rósł Most Republiki – drewniana, wąska konstrukcja, ostatnia przeprawa nad rzeką przed jej leniwym kresem w wodach zatoki. Nie miała do tej pory okazji wdrapywać się na jego przęsła od strony, którą nadbiegała, ale rusztowanie z grubych, choć zmur-szałych, desek na pierwszy rzut oka wyglądało zachęcająco.

W tym momencie, kilkanaście kroków przed nią, szorując wysokimi, skózanymi butami o stromą ka-mienną skarpe, zjechała postać okutana w zwiewny ciemnobrązowy strój nomadów i stanęła na jej drodze. Zabarwione na matowobrunatny kolor ostrze noża, które dźmierzył nieznajomy, było nie do odróżnienia od materiału szaty dla kogoś, kto na co dzień zmagął się z rozczytaniem napisów na szyldach po drugiej stronie ulicy. Tyle że ten dzień zdecydowanie nie był jak co dzień, a Alyn widziała wszystko wyraźniej niż – miała

wrażenie – kiedykolwiek.

Zwolniła kroku na moment i obejrzała się za siebie. Drugi podobnie ubrany jegomość odciął jej odwrót. Zamykał jej drogę od strony Mostu Maharadzy. Był jednak kilkadziesiąt kroków z tyłu, a dziewczyna nie zamierzała się zatrzymać.

Skupiła wzrok na tym z przodu i na powrót zaczęła się gwałtownie rozpędzać. Oczywiście, jedyny widoczny fragment śniadej twarzy nieznajomego, rozszerzyły się w zaskoczeniu, gdy Alyn wbiegła na stromą skarpe, momentalnie zyskując nad nim przewagę wysokości. Zareagował błyskawicznie i niemal z miejsca wskoczył na ten sam poziom, by odciąć jej drogę. Wciąż ukrywając nóż, przygotował się do pchnięcia w ostatniej chwili. Był zwinny.

Ale złodziejka miała przewagę pędu. Gdy była tuż przed nim, mocno odbiła się prawą nogą, jakby chciała wbić się w znajdujący się poniżej grunt. Gdy znalazła się pod zdeorientowanym prześladowcą, chwyciła go za pas i nadgarstek i pociągnęła z całej siły. Mężczyzna – jego płęć poznała bardziej po oczach niż budowie ciała – łapiąc powietrze, kwiknął i fiknął z impetem do Szikry. Alyn z trudem złapała równowagę i rzuciła instynktownie wydarty z dłoni napastnika nóż w stronę drugiego. Na oślep i bardziej w celu spowolnienia niż wyrządzenia krzywdy. Zdążyła się już pogodzić z faktem, że w kwestii miotania niebezpiecznych przedmiotów zdecydowanie nie wdała się w brata. Nie czekając na efekt, ruszyła dalej – ile sił w nogach.

Przesła Mostu Republiki były szczodre w punkty oparcia dla wspinaczy, ale aby się do nich dostać, należało wykonać sus, który zawstydziłby cyrkowców z trupy Hegla, z którą Toryn, Alyn i Kai podróżowali przez kilka miesięcy po opuszczeniu sierocińca. Czując pieczenie, które powoli narastało w jej płucach, złodziejka była bliska zawahania się, ale nie mogła się już zatrzymać. Wszystko przed nią i za nią pchało w stronę portu. Na statek do Kaim. Na jej wyprawę zrzucili się wszyscy – Hanso Trzeci i Silvestri, i Kai, i Zakary, i Toryn. I nawet ten cymbał de Witt. Sam brodacz Wilmot miał w tym swój udział, nakłaniając ją do ucieczki przez łodzie na kanale aż na pokład szkunera o deskach pokrytych łuszczącą się pomarańczową farbą. Jedynej takiej łajby w saahijskim porcie. Dowodzonej, jak wyjaśniła jej Kai, przez jedyną kobietę kapitan, jaką widziano w Zakkanie i zapewne również jego szerokich okolicach – Szaloną Margo.

Jeśli aby zrobić coś pamiętnego, trzeba dać sobie przypiąć plakietkę szalonej, pomyślała Alyn, to niech tak, kurwa, będzie.

Wykorzystując swój pęd, wbiegła kilka solidnych kroków w górę kamiennej stromizny umocnionego brzegu Szikry i wybiła się w stronę desek mostu. Jeżeliby teraz się ich nie złapała, skończyłaby w wodzie lub gorzej – z licznymi złamaniami na twardych kamieniach ścieżki, którą tu dobiegła.

Ale złapała się. Palce jej zadrżały, jęknęła głośno z bólu, lecz chwyciła się przesła pewnie i wykorzystała swój impet, by zarzucić lewą nogę wysoko i zmieścić stopę między deskami. Z tej pozycji mogła skutecznie obronić się przed podobnym manewrem jej prześladowcy. Ale nie miała czasu. I pewności, czy aby on nie rzucał nożami lepiej od niej.

Most Republiki, zwłaszcza w godzinach handlowych, zawsze bardziej sprawiał wrażenie wąskiej, niebezpiecznej kładki niż czegokolwiek innego. Gdy wdrapała się na niego, Alyn z ulgą przywitała widok pustej szerokiej ulicy wiodącej wprost do jednej z portowych bram. Przed nią jeszcze tylko strażę, inspektorzy portowi, tragarze i – jeśli również pędził jak wiatr – de Witt.

Gdzieś na dole rozległ się łomot, zatrzeszczało kilka desek. Dziewczyna resztką sił woli zmusiła jeszcze raz nogi do biegu. Bez względu na to, co miało się za chwilę stać – ostatni raz.

Nie trwało długo, nim dotarła na drugi brzeg rzeki. Pierwsza dwójka strażników kulących się w ostatnich załomkach cienia przy bramie tylko śmignęła jej przed oczami. Uliczka wiodąca w głąb portu była zastawiona baldachimami, pod którymi nieliczni kupcy i klienci umęczonymi głosami prowadzili smętne targi. Oczy co poniektórych rozszerzały się na widok pędzącej kobiety z dziwnymi goglami i kosmykami pomarańczowych włosów, które wyglądały spod opadającego na plecy czunri. Żaden jednak nie znalazł siły na to, by nawet pomyśleć o jej zatrzymaniu. Najbardziej podejrzliwy z nich – zarejestrowała szczególnie wyraz jego oczu – powiedział normalnym głosem „straż” i schował się głębiej w cień. Przewyciężając ból palących płuc, wykonała karkołomny sus nad grupką dzieci wcinających z zapałem lakisz i zostawiła ich wszystkich za sobą.

Nie wszystkich. Obejrzała się za siebie tuż przed wbiegnięciem na główny plac portowy. Drugi z jej przesladowców pozbył się gdzieś po drodze nomadzkich szmat. Wytatuowany na całym torsie i zawzięty jak stado pustynnych mawołów pruł między kramami, stopniowo ją doganiając. Krwawił z prawego przedramienia.

Na placu było równie tłoczno jak tuż po poranku. Słońce wciąż niemiłosiernie paliło wszystko i wszystkich wokół, ale tu przynajmniej jako taką ulgę przynosiła wilgotna morska bryza, która pozwalała tym, którzy skryli się w cieniu, trwać we względnej wygodzie. Alyn omiotła wzrokiem przystań w poszukiwaniu żagli szkunera kapitan Margo. Najpierw zauważyła w oddali znajomy, goły maszt „Freyi”, a chwilę potem dobiegł ją odgłos dzwonu pokładowego sygnalizującego odbicie od brzegu. Żagle kaimiańskiego szkunera, który znajdował się jeszcze wciąż przy przeciwległym pirsie, zahuštały się po spuszczeniu pierwszej cumy.

Nie było szans, by zdążyła na czas.

Gdy spojrzała w lewo, wzdłuż placu, przez który niosły ją coraz bardziej zmęczone i odmawiające posłuszeństwa nogi, okazało się, że było jeszcze gorzej. W oddali, wiodąc za sobą dwóch gwardzistów, przedierał się w jej stronę de Witt. Był czerwony na twarzy i niemiłosiernie zmachany, ale gestykulował żywiołowo i wyrzaskiwał rozkazy. Jeden z jego żołnierzy odbił w kierunku szkunera, drugi wziął na cel jej zamaskowanego prześladowcę, który – obejrzała się – zawrócił i zniknął w tłumie w momencie, gdy na horyzoncie pojawiły się granatowe peleryny. De Witt biegł wprost na nią, próbując odciąć jej drogę. Tym razem nie miała pod ręką dorsza, którym mogłaby mu przypieprzyć. Nie mogła też sobie pozwolić na zmianę kierunku. W płucach czuła rozżarzony węgiel, na jej plecach nieustannie wzbierał strumień potu. Gdy byli dwadzieścia kroków od siebie, w akcie desperacji chwyciła za przewiazaną rzemieniem szyjkę brzęczącego jeszcze kilkoma monetami mieszka.

I wtedy, w jednym momencie, wydarzyło się niepojęte.

Siedząca między nimi w cieniu rozchwierutanego baldachimu żebraczka – Alyn ze zdumieniem rozpoznała w niej niewidomą babinkę z dzisiejszego poranka – zamachnęła się laską, by odgonić jakiegoś owada. Trafiła w kostkę przechodzącego tuż przed nią czarnoskórego tragarza – jednego z dwóch, którzy nieśli bogato zdobioną połyskującymi w słońcu złotem inkrustacjami lektykę. Muskularny mężczyzna syknął, potknął się i wyłożył majestatycznie na bruk, a za nim poleciało i wywróciło się na bok zakryte kotarką siedzisko. Z niego, z kolei, wylał się gruby jak bela, również czarny jak noc jegomość odziany w przepaskę na biodra i nic więcej.

Owo „nic więcej” z głośnym plaśnięciem wylądowało tuż pod nogami de Witta, który, nie zdążył w porę wyhamować, wywinął widowiskowego fikołka i gruchnął o ziemię.

Alyn minęła go o trzy długości ciała. Droga do pirsu była otwarta.

No, prawie. Wysłany w jego kierunku gwardzista zdążył już zatarasować sobą drogę i zobaczyć z oddali upadek swojego szefa. Ale w tym momencie z jakiegoś powodu złodziejka nie czuła już żadnego strachu, żadnej presji. Jakimś boskim lub nieboskim zrządzeniem losu sprzyjały jej tajemne siły. Łut szczęścia. Choć równie dobrze mogła właśnie zacząć odchodzić od zmysłów z gorąca i wyczerpania. Mięśnie rwały ją przy każdym kroku, ale w tej chwili nawet nie umiałyby zwolnić, a co dopiero zatrzymać się.

Ostatni na jej drodze żołnierz, pozbawiony sprawczej siły autorytetu podnoszącego się dopiero co z ziemi przełożonego, na widok nadciągającej wichury granatowych szarawarów i powiewającego szarego szalu nawet nie wyciągnął szabli. Zaparł się mocno na szeroko rozstawionych stopach i wyciągnął ręce na boki, jakby chciał rozciągnąć się na całą szerokość pomostu.

– Stać!

Alyn nie zwolniła. Gdy była tuż przed nim, najpierw wyciągnęła w jego stronę dłoń z wciąż dzierzonym mieszkem ze złotem, a potem podrzuciła go w górę. Sakwa przeleciała tuż nad głową gwardzisty, który, ogłupiały, zdobył się jedynie na podążenie za nią wzrokiem. Złodziejka przesmyknęła się pod jego ręką i szturchnęła w pędzie biodrem jego biodro. Lewą dłoń odruchowo zamknęła na przyczepionym do jego pasa trzosiku. Prawą chwyciła w locie swoje własne pieniądze. Gwardzista stracił równowagę, zatoczył się i runął za krawędź pomostu. Plusk usłyszała w połowie drogi do szkunera. Dokładnie w momencie, w którym wyraźnie rozszerzony zapewne długą walką z zaplątaną liną chłopiec portowy miał odrzucić na pokład ostatnią cumę. Statek odbijał pchany siłą pięciu napierających z całej siły na pręty odbojowe mężczyzn.

– Hej ty! Łap, kurwa, pieniądze!

Alyn ryknęła ostatkiem tchu i cisnęła pieniędzmi gwardzisty przed siebie.

Chłopiec obejrzał się i zamiast rzucić cumę puścił ją wolno, aby złapać skórzany woreczek. Dziewczyna, obserwując, jak pole jej widzenia zawęży się ze zmęczenia do pojedynczego punktu, wcisnęła swój miśzek za dekolt, śmignęła tuż przy chłopcu, wyciągnęła dłonie w kierunku liny i odbiła się od ziemi ostatni raz.

ROZDZIAŁ DRUGI

Alyn siedziała nago na starym, wytartym zydłu. Było to jedyne siedzisko w kapitańskiej kajucie, nie licząc równie wymęczonego krzesła przy pulpicie. Jakiś szejtański sęk wpijał się jej w prawy półdupek, ale trzymała fason. Opierała się swobodnie łokciami o uda, wzrok miała czujny i skupiony na śniadej twarzy Szalonej Margo. Drzwi wejściowych pilnował marynarz. Nawet nie próbował odwracać wzroku od bladych piersi dziewczyny. Przejmowała się tym nie bardziej niż faktem, że deski kadłuba trzeszczały niemiłosiernie przy każdej taranowanej przez łajbę fali, wywołując złudzenie siedzenia w gigantycznym koszu z wikliny.

Kapitan „Boskiego Wiatru” stała z założonymi rękami na środku pomieszczenia. Była szczupłą wysoką kobietą w średnim wieku, o długich, kręconych czarnych włosach. Przejrzała wcześniej starannie ubrania niespodziewanej pasażerki i teraz w milczeniu przyglądała się ich właścicielce. Alyn niemal fizycznie czuła, jak wzrok kobiety omiata jej nogi, biodra i ręce. I jak zatrzymuje się na tatuażu, który zdobił jej prawe przedramię. Były to dwie brunatne linie. Pionowe i faliste, jedna obok drugiej. Symbol jedności z życiem na morzu. Liczba linii – „oddechów Lewiatana” według zakkańskiej tradycji – określała doświadczenie i umiejętności marynarza. Na każdą trzeba było srogo zapracować, a o ich przyznawaniu decydował wyłącznie starszy stażem, powszechnie ceniony kapitan. Płacił za to swoją krwią, której kroplę dodawało się do tuszu. I nikt nie mógł mieć więcej niż trzy „oddechy”.

– Córka morza, co?

Głos Margo był niski i ochryply, mówiła językiem rowańskim z ciężkim kaimiańskim akcentem. Obejrzała się w stronę marynarza i wymieniła z nim półuśmiechy. Westchnęła i chwyciła blaszany garnuszek stojący na beczce przy ścianie. Podeszła bliżej do dziewczyny. Z tej odległości Alyn wypatrzyła w jej twarzy mozaikę setek głębokich żłobień – słonecznych zmarszczek, które w półmroku kajuty robiły złowieszcze wrażenie. Ręce kobiety pokryte były tatuażami niemal w całości. Najważniejszy z nich, trzy „łzy giganta” – kaimiański odpowiednik „oddechów”, choć dowolny historyk zapewne zaperzyłby się, że to wyspiarze byli pierwsi – zdobiły jej przedramię. Były lekko wypukłe i miały złotawą obwódkę. Nie było wyższych marynarских wyróżnień.

Margo wręczyła dziewczynie garnuszek i pozwoliła jej wypić duszkiem połowę, nim odezwała się kolejny raz.

– Ile masz lat, *vaika*?

– Dwadzieścia dwa.

– Czyja to krew? – kapitan skinęła na tatuaże Alyn.

– Ulfra Wilmota. Jest rybakiem.

– Mhm, coś tam słyszałam o nim. Amator. A ty jesteś amatorką, którą ten amator niby szkolił, wielkie

szkwały. Wstań i odwróć się.

Alyn podniosła się i zawahała.

– Daj pokój, dziewczyno, nie każę ci się schylać i nie będę ci grzebać w dupie. Ale wylądowałaś na moim statku poza listą i chyba nie myślisz, że twoje pieniądze wystarczą, by zapewnić sobie bilet, *na*? Mamy ograniczoną ilość jedzenia i wody. Chcesz opijać i objadać pasażerów z tego, za co zapłacili? Hm? Jeżeli chcesz dopłynąć na Kaim w całości, musisz mi się przydać. A ja muszę cię obejrzeć... Dobra, stań twarzą do mnie. Kiedy otrzymałaś swoje „oddechy”?

– Pierwszy po pół roku. Drugi rok później. Będzie z miesiąc temu.

Trzasnęło jak z bicza, gdy Margo wymierzyła Alyn potężny policzek. Dziewczyna naprężyła się jak struna.

– Nie rób ze mnie idiotki, smarkulo! Edward, mój syn – kapitan wskazała na marynarza przy drzwiach – pływa ze mną dłużej niż ty żyjesz. Drugiej lzy dochrapał się po jedenastu latach. Chcesz mi powiedzieć, że w Zakkanie nagle pozmieniały się porządki i rozdają morskie tatuaże na lewo i prawo?

Alyn wzruszyła ramionami i roztarła policzek.

– Mówię, jak było.

Czuła, jak ostre pieczenie prawej strony twarzy zamienia się w mrowienie i ciepło. Pojedyncza łza zebrała się w jej prawym oku. Wilmot faktycznie „awansował” ją w rekordowym tempie. Po części dlatego, że naprawdę dobrze sobie radziła na pokładzie, po części dlatego, że potrzebował budzącej szacunek bosman do zaganiania do roboty majtków. A i Galin, i Timbur mieli już po jednym „oddechu” na ramionach.

– Na szkunerze pływałaś?

– Pływałam.

Raz, pomyślała. Siedem lat temu, gdy wraz z Torynem i Kai uciekaliśmy do Zakkanu. Głęboko w ła-downi. Ale pływałam.

– Daję sobie radę na pokładzie.

Margo przekrzywiła głowę i zmrużyła oczy, jakby chciała się dopatrzeć w słowach dziewczyny nuty fałszu. Rozległo się pukanie do drzwi. Kapitan westchnęła, obróciła się na pięcie i wykonała porozumiewawczy gest w stronę syna, po czym ruszyła w stronę drzwi.

– Zobaczmy – powiedziała i wyszła.

Edward wyciągnął z jednej z komód marynarskie koszulę i spodnie. Podszedł do niej. Był nawet przystojny, nawet mimo tego – a może właśnie dlatego – że i jego twarz zaczynała już przypominać fakturę wyschnięte jezioro. Czym prędzej odegnała te myśli. Do łóżka poszła z mężczyznami, tfu – chłopcami, dwukrotnie. Najpierw z ciekawości, potem z nudów. W obu przypadkach po wszystkim (a to „wszystko” nie było nawet w połowie tak przyjemne jak z opowieści Toryna i Kai) pogoniła ich nożem. Od tamtego czasu skutecznie sama zajmowała się swoim ciałem.

– Załóż to, *vaika* – jego głos był zaskakująco wysoki w porównaniu do głosu matki, akcent miał za to jeszcze cięższy. Na jego muskularnym przedramieniu lśniły trzy poślaczane „lzy giganta”. – Twoje rzeczy zostaną tu, bezpieczne. Ty będziesz pracować.

Alyn ubrała chropowate i twarde od soli morskiej ubranie. Było oczywiście za duże, ale na biodrach

szczęśliwie znalazła wiązany pasek, a rękawy i nogawki dało się sprytnie podwinąć i zaczepić pętelką o guziki na ramionach i na udach. Z fakturą materiału na razie nic nie dało się zrobić – przez dzień, dwa będzie ją ocierał. Jej stojące obok wiekowe skórzane buty wyglądały przy nowej garderobie jak wyjęte z książęcego skarbcza. Założyła je.

– Idziemy – Edward wskazał drzwi.

– Nie – Alyn powiedziała spokojnym głosem, ale zaparła się na nogach. Prewencyjnie. – Nie pójdę bez moich szkieł.

– Bez czegoż to? – Mężczyzna zaśmiał się, ale błysk w jego oku zdradził nagły wzrost zniecierpliwienia.

– Bez moich szkieł. Miałam je na głowie i bez nich nic nie widzę. Jak mam się wam przydać, jak nie mogę dojrzeć ani statku na horyzoncie, ani mewiego gówna na pokładzie? Są w tym kufrze.

Marynarz się zawahał. Alyn widziała, jak całym sobą walczy, by nie przyłożyć jej w pysk jak Szalona Margo. Ostatecznie potarł nos, otworzył skrzynię i wyciągnął okulary za skózaną taśmę. Przyjrzał im się pobieżnie i, trzymając je z dala od siebie jak martwego gryzonia, podał dziewczynie.

– Dzięki, *vaiku*. A teraz prowadź do tej waszej szmaciarni.

Edward parsknął i otworzył drzwi. *Vaiku* znaczyło „mały”.

*

Przedpołudnie trzeciego dnia Alyn spędziła w bocianim gnieździe. Miała za zadanie obserwować horyzont, ale jej wzrok co i raz uciekał w dół. Tam marynarze, tytaniczną pracą, z gracją i ogromnym znawstwem, walczyli z olinowaniem i ożaglowaniem obu masztów „Boskiego Wiatru”.

Szalona Margo była nie najgorszą kapitan, jaką można było sobie wyobrazić. Surową i wymagającą, owszem. Nierzadko porywczą. Ale sprawiedliwą. Jak Alyn szybko zdążyła się zorientować, trzaski i jęki kadłuba „Boskiego Wiatru” nie miały nic wspólnego z jego zaniedbaniem. Był to niemłody, ale solidnie utrzymany dwumasztowiec – jeden z mniejszych, ale jednocześnie najszybszych w swojej klasie. Nad głowami jego pasażerów wiatr wydymał potężne, piękne i białe jak śniegi Bhalu Devi żagle. Brudne, wymięte szmaty „Freyi” były przy nich jak ścierki do stołu. Załogę szkunera stanowiło sześciu marynarzy – chłopów jak ociosane pnie i zarazem synów samej kapitan, którzy wykonywali pracę za dwunastu, czyli standardową obsadę tego typu jednostek. Nie sprawiali Alyn problemów, jeśli nie liczyć okolicznościowych żartów rzuconych w jej kierunku i komentarzy w niezrozumiałej gwarze. Choć trudno mówić o zdobyciu ich uznania, z pomywaczki szybko awansowała na coś w rodzaju pomocnika asystenta adiutanta nawigatora. Pozwoliło to jej na długie chwile odpoczynku hen wysoko na bocianim gnieździe, ale także zapoznanie się u kapitan z mapami tej części świata. Aby dopłynąć na Kaim – potężną wulkaniczną wyspę o wielkości trzeciej części Zakkanu – musieli najpierw opuścić wody Zatoki Nomadów. Zajęło im to dwa dni rejsu na wschód. Następnie czekała ich półtoratygodniowa podróż niemal bezpośrednio na północ. Sama długość szlaku na mapie nie zapowiadała tak rozwlekłego rejsu, ale grube strzałki symbolizujące pasaty, które wiały stale w przeciwną stronę, oznaczały, że niemal przez całą drogę będą musieli ostro halsować zygzakiem.

Północny wiatr wzmagał się z każdą godziną i zmuszał kapitan do coraz ostrzejszych zwrotów, przy

których przechylał się cały kadłub. Jego drgania przenosiły się zwielokrotnione przez maszt na jej prowizoryczne siedzisko wysoko ponad pomarszczoną taflą morza. Tuż przed każdym manewrem nagłej zmiany kierunku rejsu Alyn zacieśniała w pasie chroniącą ją przed wypadnięciem z gniazda pętlę i owijała nadgarstki przymocowanymi kawałkami liny. Ścisła z całej siły i trzymała, aż „Boski Wiatr” jęknie, przechyli się na drugą burtę, gafle na nowo załopoczą i napną się, a maszt przestanie usiłować ją strząsnąć jak muchę. Uwielbiała to.

I tylko ten nieokreślony ucisk zagrzebany gdzieś pod skórą, głęboko w piersi, sprawiał, że nie była w stanie całkowicie oddać się euforii. Nie potrafiła cieszyć się z wolności, jaką dawał jej sam widok przepastnej błękitnej pustyni morza. Pragnęła śmiać się i tańczyć. Wyc ze szczęścia wraz z wiatrem. Ale wiatr nie śmiał się i nie tańczył. Był jak bezduszna, twarda ściana. Jak taran, który odpychał ją od celu. Zamiast wrzasku uniesienia przywiał jej na usta jedynie zwrotkę dawno zapomnianej ballady żeglarzy. Jeszcze sprzed Zakkanu, jeszcze sprzed „Freyi”.

*Przez kapryśny oddech morza,
W fal szepczącej poetyce,
Powiedz mi o tym,
Że patrzysz ufnie
W stęsknione gwiazdy i księżycy.*

Około południa po raz pierwszy dojrzała na horyzoncie coś więcej niż tylko nudną, nieskończoną linię, za którą morze łączyło się z niebem. Pojedynczy żagiel. I nie była to ani kropelka morskiej wody, która zawieruszyła się wysoko nad pokładem i wylądowała na jej szklach, jak dzień wcześniej, ani żaden paproch. Aby się upewnić, że jej się to nie wydaje, Alyn zdjęła okulary, chuchnęła w nie i wytarła o wnętrze koszuli, która zdążyła już na jej ciele nieco zmięknąć. Gdy założyła je z powrotem, żagla już nie było. Rozpłynął się w powietrzu. Wpatrywała się w miejsce, w którym go dojrzała, jeszcze przez kilka chwil, nim Edward obwieścił dzwonem koniec jej wachty.

Zeszła i skierowała się pod pokład, by odetchnąć od wiatru i słońca. Wziąć łyk wody. Albo dziesięć. Z ulgą przywitała cień i przesmyknęła się obok stolika, na którym trzech innych pasażerów właśnie grało w kości o jakieś drobiazgi w rodzaju pojedynczych miedziaków i woreczków z aromatycznym tytoniem. Dzięki temu, że „Boskiemu Wiatrowi” daleko było do przeładowania, pieniądze od Kai pozwoliły Alyn zapewnić sobie własną kajutę z piętrową pryczą. Ze względu na panujące w niej ciemność i duchotę zaglądała tam jednak właściwie wyłącznie na sen. Wolny czas wołała spędzać między ludźmi.

Oprócz niej na Kaim zmierzało statkiem zaledwie sześcioro pasażerów. W kości grali kupiec Hassan, prywatny kurier Godryk i zamknięty w sobie starszy jegomość w przypominającej mniszą szacie, do którego wszyscy bez wyjątku zwracali się per Dziadu. Hassan, wraz ze swoim prominentnym brzuchem, jaskrawymi barwami odzieży i okrągłą twarzą przeciętą chudą nitką przystrzyżonego wąsa, stanowił duszę towarzystwa. Mówił głośno i śmiał się jeszcze głośniejszym głosem. Niemal bez przerwy. Godryk Dumas, jak przedstawił się jej pewnego

razu perfekcyjnym rowańskim, z wyglądu był w wieku Toryna. Miał średnio długie ciemne włosy, które związywał w kuc, i ostre, ładne rysy twarzy. Nie próbował przekrzykiwać Hassana, ale gdy miał coś do powiedzenia, potrafił jednym gestem skupić na sobie uwagę innych. Alyn uznała, że jest w porządku.

Żona Godryka, Elena, była mniej więcej w wieku Alyn. Najczęściej przebywała z Godrykiem, z którym, jak się wydawało, rozumiała się bez słów. Czasami zaglądała do pozostałych dwóch pasażerek, które przedstawiły się jako Laetitia i Shoa. Były ślicznymi Zakkankami o gładkiej, brązowej cerze. Ich smukłe ciała były od stóp do głów pokryte misternymi tatuażami, które przedstawiały długie, wijące się i zapętlone linie układające się w tajemne symbole. Obie parały się tańcem brzucha. Miały do tego niesamowity talent i Alyn często podpatrywała ich próby choreografii, zastanawiając się, czy nie poprosić o kilka lekcji.

Kolejne dni nie przyniosły jednak okazji do tego, by znaleźć spokojną chwilę na życie towarzyskie. Już trzeciego wieczoru po wypłynięciu niebo zasnuło się grubą warstwą ciemnych chmur i zerwał się silny wiatr. Noc przywitała ich sztormem, który huśtał łajbą Szalonej Margo jak zabawką na sznurku i nikt do rana nie zmrzył oka. Około południa morze uspokoiło się na tyle, że można było podjąć próbę postawienia żagli i nadrobienia straconego dystansu. Ale nie była to podróż ani szybka, ani wygodna. Swoje robiły nieustanne przechyły, wiatr, woda wlewająca się na pokład i chłód, który rozgościł się na dobre, korzystając z nieobecności skrytego za obłokami słońca. Załoga pracowała niemal bez przerwy i po trzech dniach nawet synowie Margo padali z nóg. Najmłodszego, Joelyna, trzeba było cucić, po tym jak omdlały padł plackiem na pokład, niosąc zapasowy zwój liny z ładowni. Woda zalała między innymi kilka skrzyń Hassana z „delikatnymi dobrami”, których charakteru kupiec nie chciał ujawnić, ale które wyraźnie były mu bardzo drogie. Obie tancerki, za pozwoleniem Alyn, złożyły swoje zwiewne stroje na górnej pryczy w jej kajucie, nie wszystkie jednak udało się w porę uratować.

Kaim wyraźnie nie miała ochoty ich wszystkich widzieć.

*

Wiatr ustał po tygodniu od wypłynięcia z Saahii. Stało się to nad ranem, nagle, niemal z minuty na minutę. W jednej chwili wymęczonym kadłubem „Boskiego Wiatru” trzęsły fale o wysokości dwóch ludzi, w następnej żagle opadły bezsilnie, a szkuner znieruchomiał na flaucie.

– Dobzi bogowie, wręście! – westchnął Meryn, jeden z starszych braci, gdy Alyn wymijała go w drodze na dziób, by przyjrzeć się temu niezwykłemu zjawisku.

– Znacie zasady! Godzina przerwy i do wiosł! Przed nami jeszcze dużo pracy! – ryknęła po kaimiańsku Szalona Margo, stojąc w drzwiach kajuty kapitańskiej na rufie. Echo poniosło się na wiele mil po spokojnej tafli. Po chwili krzyknęła do Alyn po rowańsku – A ty, amatorka, do mnie!

Złodziejka spojrzała na Meryna zaskoczona, ale ten, pólsiedzając oparty o burtę, machnął tylko ręką w geście, który mógł, ale wcale nie musiał oznaczać „wszystko w porządku, nic ci nie robi”. Po czym zasnął. Spod pokładu powoli zaczęli wychodzić pasażerowie, na czele z Hassanem, który, precyzyjnie się między Godrykiem i Elena, popędził w stronę burty, zakrywając usta dłonią. Cisza, która zapadła po dniach nieustannego świstu wiatru i łopotu żagli, była nieznośna. Każdy najmniejszy dźwięk brzmiał jak wybuch petardy, po czym rozpływał się w nicości.

Kapitan chciała od Alyn w zasadzie tylko jednego – aby pilnowała, zwłaszcza w nocy, czy „Boski Wiatr” skierowany jest dziobem na północ zgodnie ze wskazaniem busoli. Jeżeli nie będzie, miała o tym natychmiast meldować. Jej lub Edwardowi. A to dlatego, powiedziała, że podczas rejsu do Saahii mniej więcej w tych okolicach jej szkuner wpłynął w ścianę gęstej mgły, przez którą „chuja było za burtami widać”. Był to zapewne po prostu rzadki fenomen pogodowy, ale zastał załogę nieprzygotowaną – zwłaszcza z wadliwą busolą, bez której cudem udało jej się nie zgubić i którą wymienił im dopiero jakiś rzemieślnik z saahijskiego rynku. Obarczona obowiązkiem porównywania kilka razy dziennie kursu ze wskazaniem przyrządu Alyn nie była z początku pewna, czy stała się świadkiem kolejnej manifestacji szaleństwa Margo. Oczywiście kapitan były jednak bystre, a głos pewny jak zwykle.

I faktycznie, niedługo po tym, jak cała szóstka marynarzy wzięła się do wiosła i litościwie złamała nieprzyjemny bezdźwięk rytmiczną przyśpiewką oraz pluskiem piór o płaską jak szkło taflę, na statek opadła gęsta kołdra chmur. Mgła była tak nieprzenikniona, że kryła przed wzrokiem załogi zwieńczenia masztów wraz z bocianim gniazdem. Cichy ocean szarości wokół szkunera robił nie mniej złowróżbne wrażenie co szalejący sztorm. Podczas burzy widziałeś przynajmniej, co cię za chwilę czeka.

Przez resztę dnia i w ciągu nocy Alyn głównie się nudziła, ale była to nuda podszyta nieokreślonym niepokojem. Trzykrotnie poczuła na ciele zbłąkany podmuch wiatru, który załopotał pojedynczym postawionym gablem i odleciał w swoją stronę. Raz, głęboko po północy, zgłosiła zaspanej kapitan dziesięciostopniowe odchylenie od kursu, za co niemal dostała po głowie wraz ze sformułowaną w marynarskich słowach (głównie kaimiańskich) prośbą, by nie pokazywała się, dopóki różnica nie przekroczy piętnastu stopni. Chłopcy Margo pracowali dwójkami, z okazjonalną pomocą Hassana i Godryka, którzy dość szybko nauczyli się równego, rytmicznego wiosłowania. Nad ranem, gdy mgła z ciemnoszarej stała się po prostu szara, Alyn wdrapała się z nudów na bocianie gniazdo i spędziła tam kolejną godzinę. A może dwie. Zdrzemnęła się. Jak długo, nie wiedziała – wokół rozpościerała się jedynie biała kopuła jednokolorowego światła i tylko w dole Alyn mogła dojrzeć nikły zarys kadłuba i rytmicznie uderzających o wodę wiosła. Nadstawiła ucha. Z pokładu dobiegały zachęcające odgłosy żywej dyskusji z Hassanem w roli głównej. Wtórował mu jej żołądek, który, zdała sobie sprawę, nie widział żadnej strawy od wczorajszego popołudnia.

Już miała się podnieść i wyswobodzić z prowizorycznej uprzęży, gdy kątem oka zauważyła błysk gdzieś na dziobie. Znieruchomiała. Następny zobaczyła wyraźnie. I następny, i następny. Jakby na środek morza zabłąkała się rodzina świetlików iluminujących coraz to większe fragmenty „Boskiego Wiatru”. Rozmowy na dole ucichły, wiosła zatrzymały się w miejscu. Wszyscy to widzieli. Migocząca poświata powoli poruszała się dalej i dalej w kierunku rufy, aż spowiła cały statek, wspięła się ku bocianiemu gniazdu, przyprowadzając Alyn o gęsią skórę. Potem błysnęła jeszcze raz i znikła. Dziewczyna złapała się mocno masztu, z westchnieniem wypuściła powietrze z piersi i usłyszała swój własny szepot:

– O, w dupę.

I wtedy świszcząca ściana wiatru uderzyła ją w plecy, wygięła jedyny postawiony żagiel i zakołysała statkiem. Deski kadłuba jęknęły z dołu znajomo, a wśród zgromadzonych na dole pasażerów rozległy się okrzyki zaskoczenia. Natychmiast jednak utonęły w nawałnicy rozkazów wciągnięcia wiosła i postawienia reszty żagli, wyszczekiwanym przez Szaloną Margo. Nie było trudno doszukać się w jej głosie

nut ulgi i radości.

Choć w żadnym momencie podczas zmagania z tą demoniczną flautą statkowi nie zagrażało niebezpieczeństwo (kto wie, myślała potem Alyn, może zagrażało, może tuż pod kilem, niezauważony, właśnie rozcałował się potężny kraken gotowy ściągnąć załogę pod wodę i złamać szkuner jak zapałkę... ale nie wykorzystał swojej szansy), euforia po wyjściu z opresji udzieliła się wszystkim. Alyn po prostu czuła, że musi kogoś uściskać.

*

Po dwóch dniach samotnych oraz nadzorowanych przez zakkańskie tancerki prób Alyn stwierdziła, że kręcenie tyłkiem – samym tyłkiem, stojąc w miejscu i utrzymując prostą sylwetkę – jest dużo trudniejsze, niż się komukolwiek wydaje. I nie miało to nic wspólnego z gibkością czy siłą mięśni – tego trzeba było nauczyć swój mózg przez długi, żmudny trening. Dopiero potem można było pomyśleć nad dorzuceniem do tego rytmu. I pracy rąk. Nie pomagały ani ciasnota kajuty, ani półmrok, ani dyndająca tuż nad głową latarenka z krótkim knotem, której ruchów nie dało się do końca przewidzieć. Tak, aby się utrzymać, Alyn zdecydowanie wolała kraść.

Głuchy okrzyk, który rozległ się gdzieś w oddali, przebijając się przez ustawiczne stękanie drewna, sprawił, że serce zabiło jej szybciej. Uchyliła drzwi kajuty i wyjrzała na zewnątrz. Znalazła wzrokiem workowate oczy Dziada, który również nadstawił ucha.

Nie musiała znać kaimiańskiego, by zrozumieć, o co chodziło. Entuzjazm w okrzyku był tak szczery i zaraźliwy jak na każdej łajbie, której marynarze po raz pierwszy od dawna widzą ziemię na horyzoncie. Zerwała się z miejsca i nasunęła na oczy szkła. W trzech susach dopadła do schodów wiodących na pokład. Minęły niecałe dwa dni, odkąd, znów płynąc z wiatrem, opuścili wyspę z chmur. Od tego czasu pogoda była wprost idealna. Słońce grzało nieprzesadnie, a gafle szkunera nawet na moment nie opadły w niemocy. Pruli przed siebie bez chwili odpoczynku.

Na dziobie zebrał się już mały tłumek wyciągający palce w stronę znaleziska wypatrzono przez przypiętego w bocianim gnieździe Joelyna. Nie zastanawiając się długo, Alyn dopadła do masztu i czym prędzej wdrapała się na górę. Zatrzymała się tuż pod zwisającymi luźno z siedziska stopami młodego marynarza. Stąd miała doskonały widok.

W oddali przed dziobem po raz pierwszy od wielu dni z morza coś się wynurzyło. To „coś” było zarysem potężnej stożkowej góry, która powoli, majestatycznie wyrastała zza horyzontu. Miała spiczasty szczyt o barwie matowej stali spryskanej gdzieniegdzie pojedynczymi plamkami bieli. Zbocza jej zwartego masywu, na samej górze łyse, strome i wysokie, rozlewały się wszereż na ogromnym terenie, nabierając zieleni i łagodnie opadając w stronę wybrzeża długimi, coraz dłuższymi wypustkami ładu.

Góra Gigantów.

– Kaim! Kaaaim!

Joelyn niemal tańczył na tyłku, uśmiechając się szeroko z swojego stanowiska w stronę Alyn. Żył na morzu, ale tęsknił za ziemią, która była jego domem. Złodziejka nie bez zazdrości spojrzała w dół na resztę wiwatujących na dziobie synów Margo. Cieszyli się jak dzieci i nie wyglądało na to, żeby powodami były

ujście z życiem ze sztormu i pokonanie morderczej flauty. Nie potrafiła tak myśleć o Rowan. Jej dom był tam, gdzie Kai i Toryn. Bez któregośkolwiek z nich był niepełny.

ROZDZIAŁ TRZECI

Rede. Tak nazywało się miasteczko portowe, do którego przybili późnym popołudniem. Nie było łatwo go wypatrzyć z oddali. Jego subtelna kamienna i drewniana zabudowa kuliła się na tle lasu. Strzeliste drzewa o gęstych koronach stanowiły zresztą dominujący element pejzażu wzdłuż brzegu Kaim.

„Boski Wiatr” przywitała najmniejsza przystań, jaką Alyn widziała w życiu. Jej całość stanowiły dwa pomosty, przy których przycumowanych kołysało się zaledwie kilka keczy, słupów i zwykłych łódek. Po nabrzeżu snuło się dwóch znudzonych tragarzy, a dwóch kolejnych bez żenady łoilo bimber, mocząc nogi. Ten niespotykany spokój dodawał okolicy malowniczości, a czerwieniejące powoli słońce – piękna. Drobne fale przyboju cicho pluskały, rozbijając się o burty szkunera.

I tylko Hassan zakłócał senną przedwieczorną ciszę. Pieklił się o coś przy trapie w towarzystwie kapitan i szefa tutejszych celników. Dwójka z nich, swoją drogą, właśnie dokonywała inspekcji ładowni.

Napawając się komfortem świeżo odzyskanej saahijskiej odzieży, Alyn podeszła bliżej, by przysłuchać się dyskusji.

– Pani kapitan, ja bardzo panią przepraszam, ale mnie zaraz strzeli ciężki chuj! Proszę się go zapytać.

Kupiec wlepił wzrok w służbistę i zaczął gestykulować, uderzając pięścią o wnętrze dłoni.

– Jak to... jest możliwe... że szlak... jest zamknięty?! Potrzebuję się dostać do Ganiyi. Po to tu przypląnąłem. Tam mam interesy. Z waszym skarbnikiem ksiązęcym. Książęcym, kurwa!

Głos Hassana załamywał się z każdym kolejnym zdaniem i Alyn dobrze rozumiała jego położenie. Jak wskazywała mapa Zakarego, Ganiyę, stolicę Księstwa Kaim, wybudowano na zboczu wulkanu, głęboko w sercu wyspy. O wiele dni drogi pieszo stąd. Tak wiele, że kogo było stać, wynajmował łajbę i płynął w górę rzeki Indiry, której ujście czekało o dzień żeglugi na wschód. Nie było to tanie i wcale nie wiodło prosto pod mury miasta, ale przynajmniej drogę dało się przebyć w cztery, pięć dni. Podsluchując rozmowy współpasażerów podczas rejsu na temat Ganiyi i Kaim w ogólności, Alyn z dnia na dzień nabierała coraz większej pewności, że jeżeli Toryn faktycznie tu zawitał, to urządził się w samej stolicy. Nie pociągała go samotność, zawsze parł w kierunku ludzi – kolegów, przyjaciół, inteligentnych rywali i użytecznych idiotów.

Ganiya była pierwszym celem tej wyprawy. Początkiem poszukiwań.

– Celnik mówi, że książęcy rozkaz i już – tłumaczyła Margo kupcowi tak, jak tłumaczy się dzieciom, że na deser nie będzie słodczy, bo cukiernik Zyga wczoraj zmarł po tygodniu nieustannych wymiotów i sraczki. – Zabronione. Nawet mili w głąb lądu, mówi. Bo stryczek. Albo stos. Nie wiem, język mu się płacze, ale radzę traktować sprawę serio. Patrz pan na jego oczy. Boi się całej sprawy jak syfa.

Celnik, cherlawy brodacz z postępującą łysiną, błędził spłoszonym wzrokiem, ewidentnie czując dyskomfort w związku z całą sytuacją. Gdy przyjrzał się interlokutorowi, Hassan machnął ręką.

– A niech to chuj – powiedział i odszedł w stronę dziobu.

Margo zasalutowała celnikowi niedbale i ruszyła na rufę. Zatrzymała się przy Alyn. Omiotła ją wzrokiem. Kropka w kropkę w ten sam sposób jak tuż po wypłynięciu z Saahii. Ale tym razem to nie dziewczyna była powodem jej frustracji.

– Indira zamknięta. Jakies zwaliska, osuwiska, kiep je ślizgał – powiedziała kapitan, rozkładając ręce. – Za dwa dni, jeśli nic się nie zmieni, płyniemy do Yarren na północy Kaim. Cztery dni przy dobrych wiatrach, pewnie pięć, jak zatrzymamy się w Oster. Chłopakom przyda się pójść na dziwki po rejsie. Masz chęć, *vaika*? Możesz się przydać mnie i naszej łajbie.

Alyn zagryzła wargę. Nie poznała jeszcze Szalonej Margo tak dobrze, by czytać jej w myślach, ale miała wrażenie, że dwuznaczność jej ostatniego zdania bynajmniej nie była przypadkowa. Policzyła w myślach zapamiętane odległości i czasy podróży. Z Yarren było bliżej lądem do Ganiyi. Ale nie na tyle, by tracić pięć dni na to, by się do owego Yarren dostać. Godryk i Elena zdążyli już zresztą pożegnać się ze wszystkimi i ruszyć pieszo w głąb lądu. Tancerki i starzec wciąż, zdawało się, rozważali swoje opcje.

Dla Alyn wyjście było jedno.

– Chyba jednak pójdę pieszo.

– Z tą drobnicą w sakwie? – parsknęła Margo i chwyciła się pod boki. Jej ton, już wcześniej ostry i nieprzyjemny, nabral przyrdzewiałych wyszczerbień. – Długo na Kaim z tego nie wyżyjesz. A jeżeli myślisz o tym, żeby okradać moich rodaków, to lepiej oglądaj się często za siebie. Ostatnia szansa.

– Nie skorzystam – wzruszyła ramionami. – Ale dzięki.

– Won z mojego statku.

Kapitan prychnęła, odwróciła się i marszem wkurwionych, jak by to określiła Kai, skierowała w stronę kajuty na rufie. Alyn rozejrzała się w poszukiwaniu współpasażerów, ale to na nią patrzono. Przynajmniej połowa załogi zerkała z różnych miejsc pokładu. Oczy marynarzy, niczym psów broniących swej pani, nie zdradzały cienia życzliwości.

Tyle ze wspólnej przygody na morzu.

Złodziejka westchnęła, zagrała palcami na ukrytej pod kurtą piersiówce, którą gwizdnęła z kajuty Margo, i udała się na ląd.

*

Z przystani wiodła jedyna brukowana droga – przecinała Rede na pół i niknęła w tunelu lasu majaczącym na pagórku w oddali. Wzdłuż niej w dużych odstępach ustawiono parami wysokie latarnie, których zaskakująco silne światło rysowało wokół ich podstaw blade placki. Alyn nigdy wcześniej nie widziała tego typu konstrukcji.

Reszta ulic i uliczek rozplaszczonych wzdłuż brzegu mięsciny straszyla ciemnością, błotnistymi kałużami i koleinami wydrążonymi w nitkach uklepanej, łysej ziemi. Prowadziły one do chatek i chatynek, które lepsze czasy widziały kilka pokoleń redeńczyków temu. Mówiły: miły gościu, któryś wylądował na przystani w swych egzotycznych, drogich ciuchach, zaprawdę nie warto zbaczać z drogi, trzymaj się bruku.

Alyn bardzo dobrze rozumiała język zapyziałych wiejskich zaułków. Zwiedziła ich w Rowan dziesiątki.

To w nich wraz z Torynem uczyła się swojego fachu. Przy stodole Rottiferów w Haskoe. Na ryneczku, pod studnią w Oublie. Na tyłach oberży w Artalli.

Ciekawe, czy ktoś się właśnie uczy tego samego w karczmie „Ryba” w Rede, pomyślała. Przystanąła pod drewnianym szyldem. A raczej deską, na której wydrapano nazwę przybytku oraz figurę, która przy odrobinię dobrej woli oglądającego mogła faktycznie przypominać rybę. Z uchylonych drzwi frontowych dobiegały intonowane gromko kaimiańskie wersy znanej weselnej przyśpiewki.

Chłop na Jadzkę lasy

W płotu zerkal dziurę

Stara mu kutasa

Przewiązała sznurem

Nastroje, uznała Alyn, były budujące. Przeszła próg i wkroczyła w gęstą mieszaninę dymu, potu i zapachu rybnej polewki. Przepięła się między futryną a grubym owłosionym ramieniem odwróconego tyłem do wejścia wykidajły i rozejrzała się po sali.

– Zostaw, Samir.

Głos dobiegł zza jej pleców. Kaimiański w tutejszym „portowym” wydaniu był wystarczająco podobny do rowańskiego, by go zrozumieć. Odwróciła się. Drugi ochroniarz, powstrzymując futrzastą rękę pierwszego, który już miał ją sięgnąć i złapać za fraki, patrzył z błyskiem w oku. Wykrzywił usta w najgorszej imitacji szczerzego uśmiechu, jaki widziała.

– Pani jest naszym gościem. Zachowuj się.

Wyglądali na braci – obaj kwadratowi, nieogoleni i śmierdzący cebulą. Posłała im równie nieszczerzy uśmiech, po czym odwróciła się i wtopiła w tłum gości. A przynajmniej próbowała wtopić, lecz jej saahiijski ubiór u każdego – zataczającego się czy nie – weselnika wzbudzał na tyle duże zainteresowanie, że było to niemożliwe. Nie zważając na wyrazy zaskoczenia, zniesmaczenia oraz ubóstwienia, które alkoholicznymi wyziewami kierowano w jej stronę, udała się chyłkiem w stronę szynku. Na okoliczność zabawy stoły i ławy niezgrabnie zgarnięto pod ściany, pozostawiając pustą przestrzeń pośrodku. Jedynie pod oknem w przeciwnym krańcu sali, na podwyższeniu, stał pojedynczy, ustrojony w haftowany obrus blat dla młodej pary i rodziców. Świeżo upieczona żona pucołowatego pana młodego – jej wygląd i zachowanie krzyczały, że wywodziła się z mieszczaństwa – właśnie pozbywała się kolejnego fragmentu odzieży, tańcząc. Alyn wydawało się, że kobieta łypnęła na nią złowrogo raz czy dwa pomiędzy piruetami, ale złodziejka zdążyła na czas przebić się przez mur ciał i, oddychając ciężko, dopaść szynku.

Tam przywitał ją rozbawiony wzrok młodego, energicznego blondyna o pierwiosnkach zarostu na twarzy i nieco zbyt dużej koszuli zwisającej na jego chudym torsie. Nie mógł mieć więcej niż siedemnaście lat. Za nim, na podłodze, wciśnięte w róg, sapało przez sen różowe cielsko grubego mężczyzny.

– Tatko miał na dzisiaj dość, ha, ha! – młodzian wskazał kciukiem za siebie, szczerząc zęby. Nie miał tylko kilku. – Jestem Robyn, witamy w „Rybie”. W czym pomóc, co podać strudzonej podróżniczce? Przechowujemy też kosztowności.

Chłopak wskazał skinięciem głowy wiszący na jej szyi wynalazek Zakarego.

– Pokój na noc – powiedziała Alyn po rowańsku, powoli. Zgiełk nie pomógł w komunikacji, ale czynił ją również cokolwiek poufną. – Szukam też transportu na północ.

– Uuu, z transportem to licho ostatnio, miła pani. Furmanki się skończyły, z pół roku będzie. Stary Ugrid czasem na wóz bierze za parę miedziaków, do Crux jeździ. Tyle. Jutro radzę podpytać – chłopak pochylił się do przodu, ściszył głos. – Ale, tego, subtelnie. I w innym stroju. Nie lubi, wie pani, cudzoziemców.

Alyn jeszcze raz rzuciła okiem na swą kurtę i szarawary. Zaśmiała się do siebie. Brawo, Kai.

– A jak z pokojem?

– W rzeczy samej! Na parterze, płatne z góry. Na śniadanie zostanie pewno coś z wesela, ha, ha!

Dziewczyna zapłaciła podaną kwotę i przesmyknęła się między ciałami gości do korytarza, który wiódł na tyły chaty. Robyn przywoływał ją ręką, kręcąc na palcu sporej wielkości kluczem. Podobała jej się jego energia. Przypominał jej Toryna sprzed lat.

Ilu lat?

Zatrzymali się przed drzwiami na końcu korytarza.

– Tędy, proszę.

Chłopak pogmerał kluczem w zamku i otworzył szeroko drzwi. Przepuszczając ją przed sobą, uśmiechnął się do niej z błyskiem w oku.

Znała to spojrzenie.

– Och, ty...

Jej nogi zaniósły ją już zbyt daleko za próg, by zdążyła się wycofać. Została wprowadzona na zewnątrz, na ogrodzone wysokim płotem tyły knajpy. Drzwi trzasnęły za nią głucho, a zamek metalicznie zagrzechotał. Z półmroku dobiegł ją znajomy już głos.

– O, widzisz. Teraz, Samir, już można.

Ruszyli na nią natychmiast, pozostawiając jedynie moment na reakcję. Odskoczyła przed ręką Samira, która wystrzeliła ku niej z mroku. Jęknęła, gdy wyrznęła plecami w nierówne deski drzwi.

– Ha! Kocica! – drugi z ochroniarzy przypadł do niej i zamachnął się. – Pokaż, kotku...

Zdążyła się uchylić tylko na tyle, by zamiast w twarz, trafił ją półotwartą pięścią w skroń. Zanim otworzyła oczy tuż przy ziemi, zdążyła w locie zarejestrować, jak instynktownie omija pieńek, o który bez wątpienia roztrzaskałaby sobie głowę. Na pieńku leżał talerz z niedokończonym kotлетem. Jeszcze nie czuła bólu, ale w uszach pulsował pisk, jaki wydaje z siebie zgniatany butem szczur.

– Witamy na Kaim.

Ten, który ją uderzył, postawił but na jej pośladkach i przycisnął do ziemi. Samir pochylił się nad nią i wyszarpnął zza jej pasa mieszek z resztką pieniędzy od Kai. Alyn naparła rękami na śmierzdzący kurzym gnojem grunt.

– Takie u nas, widzisz, zwyczaj – powiedział ten, który stał nad nią, kładąc dłoń na swoim kroczu. – Coś za coś. Ty nam coś dasz i my ci coś damy. Nie, Samir? Trzymaj ją za ręce.

Oszołomienie oddało pola bólowi akurat w momencie, gdy mężczyzna zdjął z niej nogę. Otrzeźwiło ją to na tyle, by zorientowała się, co trzyma w dłoni. Podniosła głowę w momencie, gdy ten włochaty zaczął się

pochylać w jej stronę.

– Odbyt... – wypowiedziała przez zaciśnięte zęby pierwsze głupie słowo, które przyszło jej na myśl.

– Co?!

Jedyny dźwięk, jaki wydał z siebie troglodyta, uwiązał mu w gardle, gdy złodziejka wywinęła się i z całej siły wbiła mu w policzek zgarnięty z talerza dwuzębny, tłusty od mięsiwa widelec. Aż po trzonek. Mężczyzna upadł na kolana w szoku, sapnął raz, a potem zaczął dyszeć coraz szybciej, zbliżając trzęsącą się dłoń do twarzy.

– Samir! – kompan włochatego wymierzył gramolącej się z ziemi Alyn kopniaka, który zakłuł ją potwornie w biodro i przewrócił, ale i oddalił od oprawcy. – Och, ty! Zabiję cię, suko!

Podpierając się o ścianę karczmy, dziewczyna wstała i w ostatniej chwili odskoczyła. Uniknęła szybującej w jej kierunku pięści. Gruchnęło i oboje zawyli z bólu. On chwycił się za stłuczoną dłoń, ona złapała się za biodro, na którym wylądowała. Pokuśtykała kilka kroków przed siebie, kątem oka widząc, jak Samir, wciąż na kolanach, bardzo powoli wyciąga sztuciec z twarzy. Za sobą usłyszała zwierzęcy ryk tego drugiego. Instynktownie przyspieszyła mimo bólu. Jednym ruchem naciągnęła na oczy szkła i zamrugła, by odzyskać ostrość widzenia. Klepisko za budynkiem było ogrodzone wysokim płotem z pojedynczą furtką w najdalszym rogu. Otwierała się do wewnątrz.

– Gdzie uciekasz, ty zakkańska kurewko!

Głuche stąpnięcia za jej plecami oznaczały, że za moment zabraknie jej czasu. Spojrzała jeszcze raz na płot, który ciągnął się aż do furtki. Miała chwilowo tylko jedną w miarę sprawną nogę, ale jedna to więcej niż żadna. Nabrała powietrza w płuca, wzięła rozpęd i ruszyła kulawymi susami w stronę ogrodzenia.

Czując na karku oddech napastnika, wybiła się wysoko w górę i napała rękami o szczyt płotu, by przenieść nad nim ciężar ciała. Modliła się o to, by po drugiej stronie nikomu nie przyszło do głowy pozostawić leżących wideł. Albo grabi.

Sztachety były solidne. Ale ich mocowanie już nie. Gdy tylko ostatkiem sił przesmyknęła się nad szczytem płotu, jedna z desek puściła i pofrunęła razem z nią na relatywnie miękką ziemistą ścieżynkę. Alyn gruchnęła na plecy i straciła na krótką chwilę oddech. Luźną sztachtetę pchnęła nogą z całej siły na oślep przez dziurę w ogrodzeniu, licząc, że przynajmniej spowolni pana „trzymaj ją za ręce”. Sądząc po cokolwiek płacziwym tonie, w jakim zza drugiej strony dobyło się siarczyste kaimiańskie przekleństwo, trafiła. Płot zadrzał, gdy mężczyzna napał na niego, ale Alyn była już daleko.

*

Kuśtykała długo i zapalczywie, byle znaleźć się dalej od brzegu. Pędziła, objając się o ściany, koła wozów i ostatnich spieszących do domu mieszkańców Rede. Kilkakrotnie przekraczała główną ulicę miasteczka, czym miała nadzieję zgubić nawołujących jeszcze przez jakiś czas w oddali mężczyzn, aż w końcu znalazła się u jej wylotu – tam, gdzie zabudowa najpierw z kamiennej stała się niemal wyłącznie drewniana, a potem coraz rzadsza i rzadsza. Z dała od „Boskiego Wiatru”, portu i „Ryby”.

Kiedy wreszcie padła na tyłach jakiejś spróchniałej chatynki, niebo było już niemal całkowicie czarne. Wyczerpana siadła na klepisku. Oparła się o ścianę obok dwóch pozostawionych tam przez kogoś tobołów.

Była rozgrzana i spocona, ale zapowiadała się chłodna noc. Potrzebowała znaleźć jakies chociażby prowizoryczne okrycie.

Najpierw jednak musiała odpocząć. Zdrzemnąć się choć na chwilę.

– Dobry wieczór, *nainen* – powiedział po kaimiańsku jeden z tobołów i poruszył się nieznacznie. Miał niski głos.

Alyn natychmiast otrzeźwiała, ale była tak zmęczona, że tylko odwróciła głowę. Jej mięśnie zaczęły już stygnąć, a wraz z wieczornym chłodem w głąb jej ciała zaczął się przesączać ból. Zmusiła się, by otworzyć szeroko oczy. Bezkształtny pakunek drgnął jeszcze raz tak, że część materiału zsunęła się z niego, ukazując pod spodem siwą głowę brodatego mężczyzny. Na jego przeoranej zmarszczkami twarzy malował się wyraz zatroskania, ale oczy miał czujne i bystre. Zmierzył ją wzrokiem.

– Dobry wieczór? – zapytał tym razem po zakkańsku, jakby nie był pewny, czy dobrze wymawia twarde zgłoski języka ludzi pustyni.

Alyn przelknęła ślinę i odpowiedziała po rowańsku:

– Dobry wieczór.

– Na miłego Kane, zaiste daleka podróż za tobą, dziewczyno.

W tym momencie drgnął drugi toboł. Spod fałd materiału wydobył się syczący szept:

– W zębach swoje ręce... W zębach swoje ręce...

Siwy mężczyzna zmarszczył brwi, ale jego twarz pozostała pogodna.

– Bogowie mi cię tu chyba zesłali. I tak nie zmrużyłbym oka przez niego. Dokąd cię niesie w ten czas na Kaim? Jeśli wolno spytać, rzecz jasna.

Alyn nie odpowiedziała. Bezdomny wydawał się człowiekiem nie na swoim miejscu. Nie potrafiła powiedzieć jeszcze dlaczego, ale zdecydowanie miał lepsze maniery niż ktokolwiek, kogo spotkała od czasu opuszczenia Saahii. Objęła ramionami kolana, czując jak jej ciałem wstrząsają pierwsze dreszcze.

– Nie moja sprawa, zrozumiano. Ale czymś cię przynajmniej okryć trzeba.

Mężczyzna, nie bez trudu, podniósł się nieco i wyciągnął spod siebie zawiniątko. Alyn zauważyła, że ma tylko jedną nogę.

– Koc. Nie najlepszej jakości, widział lepsze czasy. Ale to jedyne, co mogę ci zaoferować, a bez niego dolna część pleców mi nie odpadnie. Pech, że gorzałka skończyła się tygodnie temu. Zdążyłem już przez to przetrzeźwieć w tragicznym stopniu.

Złodziejka przyjęła zwitek, drżącymi dłońmi rozwinęła go i narzuciła na siebie. Zwinęła się w kłębek. Biodro już nie paliło jej żywym ogniem, ból otępsiał i rozpułynał się po całym jej boku. Za uchem wyczuwała palcami srogą bańkę bolesnego guza. Była głodna.

– W zębach swoje ręce... Fsbach swoje ręce...

Toboł za starcem drgnął jeszcze raz. Postrzępiony materiał zsunął się częściowo z głowy osoby, którą skrywał. Był to łysy mężczyzna. Na oczach miał brudną opaskę.

– Nie zwracaj na niego uwagi. Obawiam się, że jest w gorszym stanie niż ktokolwiek z nas.

– Dziękuję – słowa przeszły Alyn przez ściśnięte gardło, ale głos już nie. Odchrząknęła. – Dobry człowiek wiele traci...

– Zły człowiek jest stracony – brodacz uśmiechnął się, wyciągnął zza pazuchy bułkę, urwał kawałek i podał dziewczynie. – Mówią na mnie Valas. A to moje Kaim... nie jest takie, jak ci się wydaje.

W przyptywie olśnienia Alyn sięgnęła za pazuchę, wyjęła piersiówkę Margo i przekazała starcowi. Ten przyjął ją z zaskoczeniem i nieukrywaną radością, po czym wziął głęboki haust.

– Mmm... rum. Przywołuje wspomnienia.

Uśmiechnęła się do niego i włożyła pieczywo do ust. Przez moment poczuła się tak, jakby przykucnęła na piersie w Saahii obok ślepej babinki.

– Jestem... Alyn. Chcę dostać się do Ganiyi.

– Och, tak, to było kiedyś wspaniałe miasto. Prawdziwa perła Kaim. Można wiedzieć, jakie sprawy wiodą cię w jego stronę?

– Najlepsze. Bo osobiste.

Dziewczyna zmierzyła mężczyznę wzrokiem, po czym zaśmiała się ze swojego żartu. Jej obolałe ciało natychmiast ostro zaprotestowało przeciw tego typowi ekscesom, ale nie przestawała. Valas dołączył do niej i nie przeszkadzało jej, że zrobił to bardziej z życzliwości niż rozbawienia. Miała ochotę odreagować dzisiejszą przygodę. Gdy skończyła się śmiać i dojadła swoją porcję bułki, opowiedziała starcowi wydarzenia z ostatnich tygodni, które sprawiły, że znalazła się w tym miejscu. Bełkoczący mężczyzna z zasłoniętymi oczami co jakiś czas kręcił się i mruczał w niespokojnym śnie. Alyn snuła opowieść, a jej oczy stawały się coraz cięższe, aż w końcu, w okolicach pierwszego spotkania z załogą „Boskiego Wiatru” zaczęła odpływać. Sen naparł wzbierającym strumieniem, mieszał rzeczywistość z fantazją. W blasku księżyca dostrzegła, jak w pewnym momencie materiał okrywający ręce kompana starca zsunął się na tyle, by spod spodu wyłoniły się jego ciemne, owłosione ręce. Jakby ich właściciel to nie był człowiek, tylko...

*

– ... pies! Toryn, boję się!

– Tylko jeden? Patrz na mnie, Alyn! Tylko jeden?!

– Tak! Ale jest wielki i straszny!

– Daj mi rękę! Szybko!

Biegli ile tchu przez leśną przecinającą w stronę majaczących w oddali chałup. Toryn ciągnął siostrę mocno za rękę. Rozkopując zwały rdzawych liści, jej jedenastoletnie nogi z trudem łapały równowagę na nierównym gruncie. Za ich plecami szła pogoń. Szybowała. Spadała na nich ze świstem powietrza wciąganego przez najeżoną ostrymi zębami paszczę. Choć biegł nadzwyczaj lekko, oboje czuli, jak ziemia dudni pod łapami spuszczonego na nich ogara. Słyszeli jego ujadanie.

Wypadli na łąkę i wokół nich zrobiło się przeraźliwie jasno. U stóp pagórka, z którego zbiegali, majaczyła polna droga, a za nią biel muru skrywającego wewnątrz dużej szlacheckiej posiadłości. W tle za nią wyglądały spiczaste dachy kamienic miasta – obietnicy schronienia i chwili oddechu. Toryn utkwiał wzrok w centralnym punkcie muru – ciemnobrązowej drewnianej furtce. Rozmyte od pędu, pod nogami w jedno zlewały się trawa, maki i kopce kretów.

Gdy byli w połowie drogi, zza pleców dobiegł ich potworny skowyt. Alyn obejrzała się w momencie,

gdy ciemny kształt w oddali opuścił głowę i runął w ich stronę. Dałaby głowę, że tuż przed tym wyszczerzył się do nich w upiornym uśmiechu.

– Toryyyyn!

Chłopiec pędził, ile sił w nogach. Schronienie było już blisko. Tuż, tuż. Drzwi na pewno były otwarte. To nie mogło się tak skończyć.

– Już prawie jesteśmy, Alyn! Biegnij do środka!

Rodzeństwo ostatkiem sił dopadło do furki, Toryn szarpnął za klamkę, która szczęknięła głośno w proście.

– Nie.

Chłopiec naparł na metal całym ciałem, pchnął i pociągnął, ale drzwi ani drgnęły. Podskoczył w miejscu, gdy tuż za sobą usłyszał przeciągłe warknięcie.

– T... Toryyyyn!

Odwrócili się. Pies był, jako się rzekło, wielki i straszny. Niewiele mniejszy od człowieka, czarny, chudy z wystającymi zębami. Na jego krótkiej sierści odznaczały się wezbrane żyły. Szyję miał długą, zwieńczoną nieproporcjonalnie dużą głową. Wydawało się, że jest rozszczepiona w poprzek na dwie połowy szeroką i głęboką paszczą. Spomiędzy szpaleru białych, ostrych kłów długimi, gęstymi glutami ściekała na ziemię ślina. Bestia patrzyła na dzieci z szerokim, przeraźliwym uśmiechem. Sapiąc, szła powoli w ich kierunku. Z jej gardła wydobywało się niegłośnie, ale przeciągłe, mrozące krew w żyłach warczenie. Jakby zastanawiała się, komu pierwszemu odgryźć palce.

Toryn zrobił pół kroku do przodu. Drżał ze strachu i zmęczenia.

– Alyn, schowaj się za mną – szepnęła. – Jak ci powiem, uciekaj w tamtą stronę. Wzdłuż muru.

– Nie, Toryn... nie mogę...

– Wzdłuż muru, rozumiesz?

Pies szczeknął dwukrotnie, strzykając wokoło gorącą śliną. Był już na wyciągnięcie ręki. Ręki, którą w jeden moment mógł pochwycić w paszczę i jednym kłapięciem połamać jak gałąź. Rozgryzać powoli i ze smakiem drobne kości. Zachłysnąć się orzeźwiająca fontanną krwi. Alyn czuła na twarzy jego śmierdzący oddech.

Nagle ogar znieruchomiał. Podniósł głowę wysoko i zaczął gorączkowo węszyć. W oddali na szczycie pagórka na linii lasu pojawiły się sylwetki goniących ich mężczyzn. Ale kątem oka Toryn zauważył również ruch znacznie bliżej.

Z ukrycia za jedynym pobliskim drzewem powoli wyszła czarnowłosa dziewczynka. Ubrana była w luźne, brudne łachmany sięgające jej do kostek. Nie miała butów. Jej skrzyżowane na piersi ręce były mokre i śliskie od krwi. Przyciskała nimi do siebie jakieś bezkształtne obrzydlistwo.

– Dobry piesek... – powiedziała.

Jej głos był cichy i piskliwy. Brudną twarz zdobiły smugi rozcieranych łez. Bestia patrzyła na nią w oczekiwaniu.

– Dobry piesio. Choć, dam ci przysmak.

Dziewczynka zrobiła dwa kroki do przodu i wyciągnęła przed siebie trzęsące się ręce. Na przedramionach trzymała wielki, ociekający krwią kawał mięsa. W prawej dłoni dzierżyła też długi i cienki nóż rzeźniczy.

Pies warknął, szczeknął i rzucił się w jej kierunku. Dziewczynka z całej siły podrzuciła mięso do góry i uciekła w bok.

– Chodźcie za mną! – krzyknęła ze ściśniętym gardłem i dała im znak ręką. – Szybko!

Zwierzę zignorowało ludzkie szczenię i w pełnym pędzie złapało paszczą soczystą poleć, zanim ta dotknęła ziemi. Nawet jego potężne szczęki nie były w stanie zmieścić jej na raz. Widząc, jak tresowana bestia wyraźnie zмага się z instynktem i głodem, Toryn chwycił siostrę za rękę i pociągnął za sobą w stronę wskazaną przez ich wybawicielkę.

Pobiegli co sił wzdłuż muru. W pewnej chwili dziewczynka przed nimi padła na czworaka i weszła w ścianę. Dopiero gdy dobiegli do miejsca, w którym zniknęła, zauważyli okrągły, ciemny wylot rury przecinającej mur w poprzek. Nie zastanawiając się, Toryn wepchnął do niej siostrę, po czym wypuścił z płuc powietrze, wyciągnął się jak długi i zanurkował w czerni.

Rura była ciasna. Tak ciasna, że po drodze na drugą stronę obtarł sobie chyba każdą odsłoniętą powierzchnię ciała. Obie dziewczynki musiały go ciągnąć za ręce, ale w końcu wydostał się na zewnątrz po drugiej stronie. Przewrócił się na plecy, łapczywie wdychając powietrze.

Gdy upewniła się, że z bratem wszystko w porządku, Alyn rozejrzała się. Okolicę masywnego, trzypiętrowego domu o gładkich ścianach, niegdyś niewątpliwie piękną i zadbaną, porastały wysoka trawa i chwasty.

– To opuszczona posiadłość Villefortów. Nikt tu nie mieszka – odpowiedziała czarnowłosa dziewczynka na niezadane pytanie. – Ale nie możemy tu zostać.

Jak na potwierdzenie jej słów, znad muru dobiegły ich wzburzone okrzyki. Ktoś szarpnął klamką furki w oddali. Toryn i Alyn spojrzeli po sobie.

– No, to prowadź.

Pokierowała ich ledwo zarysowanymi w chaszczach ścieżkami na tyłach domu. Poprzez zarośnięty ogród i zaniedbany, niewielki sad.

Po przeciwnej stronie posiadłości – od strony miasta – mur był popękany i wyszczerbiony. W miejscu, do którego się kierowali, zwały kamieni tworzyły nieregularne schody. Dało się nimi dostać aż do półkolistej szczyrby. Dziewczynka zaczęła się na nie wdrapywać, ale Toryn złapał ją za rękę.

– Poczekaj!

– Puszczaj!

– Dokąd idziesz? Masz jakiś plan?

– Zostaw!

Widząc szarpaninę, Alyn położyła dłoń na rękę brata. Toryn puścił nieznajomą.

– Chcę tylko wiedzieć, dokąd nas prowadzisz. Kim w ogóle jesteś? Co robiłaś za tym drzewem? I skąd miałaś tyle mięsa?

Dziewczynka odsunęła się o krok i po chwili wahania kucnęła. Zrównała się wzrokiem ze stojącym niżej Torynem. Zaczęła paznokciami nerwowo zdrapywać z przedramienia zasychający szkarłat.

– Uciekam z tego miasta – powiedziała. – Szłam właśnie drogą w stronę lasu, gdy nadbiegliście z góry.

Nie chciałam, żeby mnie ktoś zobaczył. Ale potem przybiegł za wami ten pies... On teraz zna wasz zapach i będzie was śledził. Znajdzie was, jeżeli nie pójdziecie ze mną.

Dziewczynka wstała, wzruszyła ramionami i podjęła wspinaczkę na szczyt zwałiska. Na górze obejrzała się na rodzeństwo.

– A na imię mam Kai.

Pokonali mur i przebiegli za Kai przez brukowaną ulicę i skręcili w bramę wiodącą na zamknięte kamienicami, zatęchłe podwórze. Alyn wzdrygnęła się na dźwięk szczekania, ale to był tylko mały kundel, który bronił swojego śpiącego przy ścianie, pijanego w sztok właściciela. Dziewczynka podbiegła do znajdującego się na poziomie gruntu uchylonego lufcika przy jednej ze ścian. Do ciemnego pomieszczenia, które kryło się po drugiej stronie, prowadziły z podwórza wgrzyzające się w ziemię schody. U ich stóp drogę blokowały jednak masywne, okute drzwi.

– Musimy tędy przebiec – powiedziała Kai i przelożyła nogę na drugą stronę okna. – To jedyna droga. Byle szybko.

Gdy zniknęła w mroku, Toryn podsadził siostrę, a potem sam, znów z niemałym trudem, przecisnął się przez szparę.

Wylądowali obok siebie w prawie całkowitej ciemności. Uderzył ich niespodziewany chłód i mdły, trudny do zdefiniowania zapach. Przed sobą usłyszeli ciche szuranie.

– Kai! Jesteś tam? – zapytał Toryn, a jego szept wybrzmiał głośniejsz niż świątynne dzwony.

– Chodźcie!

Rodzeństwo złapało się za ręce i powoli podążyło w kierunku głosu dziewczynki. Stopniowo przyzwyczajający się do ciemności wzrok podpowiadał im, że idą wzdłuż szpaleru zwisających z sufitu worków.

– O, fu! – szepnęła Alyn, gdy otarła się o jeden z nich. – To jest mokre. Co to?

Dopiero teraz, gdy ich oddechy spowolniły na tyle, by pozwolić pracować innym zmysłom, Toryn zdał sobie sprawę, że nieustannie towarzyszy im odgłos kropel rozbijających się o posadzkę.

– Nie dotykaj ich! Kai?! Kai, gdzie jesteś?!

– Tut...

Odpowiedź zagłuszyły szcęk klucza w zamku i łomot otwieranych drzwi. Do sali z przeciwnego jej końca wlała się dodatkowa odrobina światła, wyciągając z półmroku las drenowanych z krwi półtusz. Natychmiast zgasła, gdy w wejściu pojawiła się sylwetka mężczyzny w fartuchu. Był wysoki i kościsty, czubek jego łysej głowy okalała obręcz postrzępionych włosów. Rzeźnik zrobił trzy kroki do przodu, schylił się i podniósł rękę Kai. W drugiej trzymał tasak.

– Aha! Mam cię, mała złodziejko! – jego głos chrypiał jak ostrze noża przeciągane po rdzy. – Myślałaś, że uda ci się jeszcze raz? O, ho, ho, mam doskonałe miejsce dla takich małych różowych świnek jak ty.

Kai jęknęła z bólu, gdy mężczyzna ścisnął mocniej i podniósł ją, aż nogi zadyndały jej nad ziemią. Nóż wypadł z jej dłoni i uderzył o podłogę tuż przy sandałach mężczyzny.

– Chodź, świnko, pokażę ci twoją zagrodę.

Zanim Toryn zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, Alyn puściła jego dłoń i ruszyła pędem w stronę ich nowej koleżanki.

– Alyn! Alyn!!!

Gdy echo nawoływania chłopca dotarło do uszu rzeźnika i zaczął się on obracać z powrotem w kierunku sali, z ciemności wypadła na niego rudowłosa dziewczynka, nie większa niż ta, która wierzgała teraz, gdy trzymał ją za rękę.

– Co do...

Alyn podbiegła do mężczyzny i z całej siły kopnęła go czubkiem swojego utwardzanego trzewika w wystające z sandałów palce u nóg. Chrupnęło tak, jak chrupie rozgryzana chrząstka z upieczonej kurczęcej nóżki.

Rzeźnik wydał z siebie ryk i padł kolanami na podłogę, wypuszczając rękę Kai z dłoni.

– Do wyjścia! Szybko!

Nadbiegający Toryn pogonił obie dziewczynki, widząc, jak zszokowany mężczyzna wspiera się na taksu gotów za chwilę wykonać szeroki zamach swym długim ramieniem. Chłopiec przebiegł tuż obok niego i pchnął z całej siły w próbie wytrącenia go z równowagi. Następnie chwycił dłoń siostry i pociągnął ją śladami Kai w kierunku otwartych drzwi, a potem na górę po schodach. W stronę światła.

Wypadli na ulicę głównymi drzwiami rzeźni i biegli przed siebie, aż ociekające krwią mięso, ogród zaniedbanej posiadłości, jej mury, a także pagórek i las za nią, zniknęły za dziesiątkami ścian kamienic i setkami ciał wędrujących po deptakach przechodniów. Gdy nie mogli już dalej biec ze zmęczenia, całą trójką przysiedli na tyłach drewnianej, wyładowanej sianem szopy.

– Tu już chyba powinniśmy być bezpieczni – powiedziała Kai, z trudem łapiąc oddech.

– Uch, było blisko! – choć Toryn był niemożebnie zmachany, wręcz kipiał entuzjazmem. Wydawało się, że gdyby chciał, mógłby przebiec ten sam dystans jeszcze kilka razy. – Dobry miałś pomysł z tą rzeźnią. Ten pies pewnie zgłupiał, gdy poczuł tyle mięsa! I ten rzeźnik! Też napędził mi stracha! Nie wiedziałem, Alyn, żeś taka harda! Moja siostrzyczka... Hej, Alyn, śpisz?! Obudź się!

Obudź się...

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ CZWARTY

ὄλετο μὲν μοι νόστος

Przepadnie mój powrót

– *Iliada*, Homer (przekł. P. Popiel)

Alyn uniosła głowę i przetarła zaspane oczy. Było już jasno. Długi, chłodny cień chatki, przy której siedziała, wskazywał na to, że słońce dopiero co wzniosło się ponad fale morza. Spojrzała w miejsce, gdzie poprzedniego wieczoru siedzieli jej przygodni kompani, ale nikogo tam nie było. Pozostały po nich tylko wydeptane placki ziemi i kilka śladów stóp oraz laski, której Valas używał do poruszania się. Przy nogach znalazła niewielkie zawiniątko, a w nim bułkę i kawałek suchej kielbasy. Obok nich leżała piersiówka. Pusta.

Zza szczerbatej ściany szopy za jej plecami dobiegł łomot otwieranych drzwi. W oddali rozszczezał się jakiś pies. Rede budziło się do życia. Złodziejka podniosła się, rozmasowała obolały kark, złożyła pożyczony od starca koc i położyła go na ziemi. Po chwili namysłu schowała pod nim zdobioną manierkę Margo. Może znajdzie ją Valas, może inny włóczęga w potrzebie.

Wzięła prowiant pod pachę i wyszła z cienia z powrotem na brukowaną drogę, dając słońcu rozgrzać wymarznięte przez noc kości. Ze swoimi zapyziałymi obejściami i rozlatującymi się chatami miasteczko wyglądało z tego miejsca dużo mniej malowniczo niż poprzedniego dnia, ale wciąż wraz z poranną mgłą rozpościerał się nad nim całun niesamowitości, nadnaturalnego piękna. Nie było takich widoków ani w Rowan, ani w Zakkanie.

Szkoda, że owo piękno, pomyślała, było udziałem takich typów jak Samir, jego kompan i młody Robyn. Jeżeli było to jego prawdziwe imię.

Wiedzona niejasnym przeczuciem Alyn podwinęła prawy rękaw kurty. Zaczerwienienie na łokciu po ugryzieniu przez roskara znikło, w jego miejscu pojawiło się niewielkie, bezbolesne, półokrągłe zgrubienie. Było to coś nowego i niespodziewanego, ale wyglądało niegroźnie. Wzruszyła ramionami i spojrzała ostatni raz na Rede. Westchnęła, nasunęła na oczy szklę i odwróciła się plecami do wsi. Ruszyła niespiesznie pod górę, w stronę lasu.

*

Gdy przystanąła po raz pierwszy, słońce było już wysoko na niebie, a z bruku na trakcie pozostały tylko dwa pasy kamieni wyznaczające jego szerokość. Pokonała wreszcie wzniesienie i długi korytarz drzew, a w miejscu, gdzie drzewa oddawały wreszcie pola bujnym trawom kwiecistych łąk, rozciągał się widok na zjawiskowy pejzaż wyspy. Jej pagórki, doliny i równiny tworzyły wielobarwną mozaikę, z której centrum, w oddali, wyrastał majestatyczny stożek Vuor Hiiiglane – Góry Gigantów.

Jego łysy szczyt krył się w chmurach, ale oświetlone słońcem skaliste zbocza jaśniały nienaturalną bielą. Przywoływał do siebie, mamił, zniewalał.

Choć przypominało jej rodzinne strony, Kaim było od Rowan kilkakrotnie piękniejsze. Alyn osłoniła od światła uzbrojone w szkła oczy i spróbowała wypatrzeć u stóp góry cokolwiek, co mogłoby przypominać Ganię. Bezskutecznie. Jej cel był o dobry tydzień drogi stąd.

Podczas porannego marszu nie spotkała żywej duszy. Wokół niej las trwał spokojnie, a jego milczenie z rzadka łamane było niegłośnym trzeszczeniem gałęzi. Nawet wiatr nie kwapił się, by przesmyknąć się raz czy dwa pomiędzy liśćmi.

Było cicho i być może właśnie dlatego, gdy już miała się zbierać do dalszej drogi, usłyszała je. Dwa jednoczesne odgłosy: kroków w oddali za nią i cichego skomlenia z przodu. Nie była w stanie dojrzeć ich źródeł. Nie czuła strachu, nie była poszukiwana – na pewno nie przez Margo ani wesołą kompanię poznaną na weselu – ale instynkt podpowiadał jej, by ruszyć przed siebie.

Nie uszła dwudziestu kroków, gdy zauważyła przed sobą dwa psy. Czarnobrunatna suka o długim pysku i pięknym piórze ogona leżała bez ruchu na skraju drogi. Mniejszy, półroczne na oko szczenię, lizał ją po nosie i skomlał. Miał białą sierść w czarne i brązowe łaty. Gdy zauważył Alyn, warknął i zasłonił sobą leżące zwierzę.

– No, już, piesku. Co się stało?

Dziewczyna kucnęła i wyciągnęła rękę w stronę psiaka. Jej dłoń wciąż pachniała wczorajszą kiełbasą.

– To twoja mama?

Ostrożnie dotknęła ciała suki – była martwa już od dłuższego czasu. Przewróciła ją na drugi bok pod czujnym okiem popiskującego małego, ale nie znalazła żadnej rany. Zwierzę wyglądało na wygłodzone. Jego sierść była rzadka, a skóra ciasno opinała żebra. W kilku miejscach była całkowicie pozbawiona owłosienia.

– Co za skurwiel ci to zrobił... – szepnęła Alyn, głaszcząc sukę.

Kroki za jej plecami zrobiły się głośniejsze i nabrały wyraźnego charakteru. Obok chrzęstu ugniatanych pod butami kamyków niosły ze sobą pobrękiwanie metalu.

Złodziejka dźwignęła truchło – było nawet lżejsze, niż się spodziewała – i skręciła z drogi w stronę lasu, za linię drzew. Szczenię podreptało za nią i usiadło obok za szerokim pniem, poza zasięgiem wzroku zbliżających się nieznajomych.

– Już dobrze, mały – szepnęła, głaszcząc psiaka po pysku. – Już dobrze. Poczekamy, aż sobie pójdą.

Ktokolwiek szedł gościńcem, robił nadzwyczajny łoskot. Chrząścił, brzęczał i stukał jak maszerujący regiment rowańskiej gwardii. Im jednak był bliżej, tym rytm kroków coraz bardziej wskazywał na to, że była to pojedyncza osoba. Alyn walczyła chwilę z ciekawością, by wyrzeć zza drzewa i rzucić okiem na to zjawisko, ale powstrzymała się w momencie, gdy tajemniczy piechur najpierw spowolnił, a po chwili zatrzymał się. Cisza, która nagle rozlała się po okolicy, była przytłaczająca. Dziewczyna spięła wszystkie mięśnie, by się nie poruszyć, i wstrzymała oddech, bo świst wciąganego przez siebie powietrza przywodził jej na myśl gwizdy saahijskich straganiarzy w godzinach targowych. Nieznajomy stał, nie poruszając się. Nie wydał najmniejszego dźwięku. Stał długo.

Aż wreszcie donośnym, choć brzęącym tak, jakby dobywał się z głębokiej studni, głosem w czystym rowańskim wypowiedział jedno zdanie:

– Na szyi zawiesili jej dzwonek.

I na powrót ruszył przed siebie swym niespiesznym tempem.

Alyn odczekała, aż kroki oddalą się, i wyjrzała zza drzewa. Postać była daleko, przesłonięta gałęziami, ale widoczna na tyle, by rozpoznać w niej... rycerza? Uważając, by nie nadepnąć na jakąś suchą gałąź, złodziejka podbiegła na palcach do następnego pnia, by spojrzeć jeszcze raz, nim mężczyzna zniknie za zakrętem. Miała ochotę przetrzeć oczy, ale miała na nich szkła od Zakarego i jeżeli nie dotknęły jej właśnie halucynacje z pragnienia, jak na dłoni widziała w oddali masywną srebrną zbroję. Na plecach rycerza spoczywała szeroka, okrągła tarcza z brunatnego drewna, szczodrze okuta srebrnym pierścieniem. Nieznajomy maszerował jak gdyby nigdy nic drogą wiodącą z Rede w głąb kraju.

Alyn odwróciła się i oparła plecami o drzewo, kierując wzrok na martwą sukę i szczenię wpatrzone w nią, rozdarte między smutkiem a nadzieją. Zmęczone żalobą, głodne i spragnione. Ale ufne.

Podeszła do niego i kucnęła. Pies nieśmiało sięgnął szyją w jej stronę i polizał ją w policzek.

– Jesteś dzielny, maluchu – szepnęła, czując, jak napięcie opada z jej ciała, a do oczu nagle i znikąd napływają łzy. – Nie wiem jeszcze jak, ale pochowamy twoją mamę. Pochowamy ją razem, pomożesz mi?

Szczeniak machnął dwa razy ogonem. Alyn uznała to za najbliższą ostrożnej zgodzie reakcję, na jaką mogła liczyć.

*

Mogila, którą wykopali wspólnym wysiłkiem – gałęziami, pazurami i naręczem przekleństw rzuconych w kierunku wszędobylskich korzeni – była niewielka i płytka. Ale spełniła swoją rolę. Gdy Alyn ruszyła w dalszą drogę, było już południe. Szczeniak podążał o kilka kroków za nią. Z rzadka popiskiwał i oglądał się za siebie. Idąc gościńcem, złodziejka szukała śladów ciężkich butów dziwnego nieznajomego, ale ziemia była zbyt sucha i zbita, by mogły się uformować jakiegokolwiek tropy. Wypatrywała sylwetki rycerza tam, gdzie wiodła droga. Jego lub jakichkolwiek zabudowań. Na próżno. Do późnego popołudnia minął ją tylko pojedynczy zbrojny patrol, przed którym zdążyła się ukryć za krzakami. Tuż przed wieczorem natrafiła na zgarbioną babinkę, która ciągnęła za sobą rozlatujący się wózek. Na widok rudej podlotki w egzotycznym ubraniu kobieta zamemlała gniewnie ustami, mruknęła coś pod nosem i przyspieszyła kroku, co tak naprawdę znaczyło tylko tyle, że poruszała się odrobinę mniej wolno. Alyn zainteresowała się jej wózkiem. Był przykryty derką i z początku wydawało się, że może stanowić łakomy kąsek dla głodnego i spragnionego podróżnika. Gdy przyjrzała się uważniej, okazało się jednak, że przy każdym większym wertepie, w który babinka trafiała bez pudła co drugi krok, wysypywały się z niego garście popiołu.

Wieżie go na kompost, pomyślała dziewczyna, choć zupełnie nie pamiętała, skąd ma taką wiedzę. Lata dorostania w skwarze i otoczeniu piasków pustyni wyprały z niej, wydawało się, wszelkie żywsze wspomnienia z dzieciństwa Rowan.

Gdy babinka zniknęła w końcu za pagórkami, Alyn podjęła decyzję o tym, że nie będzie jej śledzić, bo tak naprawdę znaczyłoby to cofanie się. Była zła, głodna i zmęczona, a najbardziej na świecie chciało się jej pić. Być może tam, dokąd staruszka ciągnęła swój rozchwierutany wózek, był jakiś załazek cywilizacji, ale nie znaczyło to, że nie ma go tam, skąd przybyła. W końcu ta pieprzona droga musiała dokądś wieść.

*

Nim z ust złodziejki dobył się wreszcie okrzyk ulgi i tryumfu, czyste dotąd i nieskazitelnie niebieskie niebo zasnuło się stadkiem chmur i przybrało barwę wnętrza grejpfruta. Od zachodu dzień zakrywał się pie-rzyną nocy, ale na tle ciemnego horyzontu zalotnie połyskiwała widoczna między drzewami niedaleko od drogi tafla niewielkiego jeziora. Wyraźnie przybity do tej pory psiak żywo zamachał ogonem, gdy Alyn zboczyła z gościńca i uradowana rażno jęła przedzierać się przez chaszczę w stronę zbiornika.

– W samą, kurwa, porę – powiedziała do szczeniaka i natychmiast zdała sobie sprawę z tego, że aby zachować pozory jasności umysłu w tej samotnej podróży, wkrótce będzie to robić regularnie. – Chodź, czas przepłukać gardło.

Zwierzę zapiszczało jeszcze dwukrotnie w miejscu, ale gdy ujrzało, że jego kompanka się oddała, ruszyło pędem po świeżo wydeptanej ścieżce i wyprzedziło ją, by dopaść pierwsze do wodopoju. Alyn kucnęła obok i zanim nabrała wody w dłonie, przyglądała się przez chwilę z rozbawieniem, jak szczeniak z zapalem rozbryzguje wokół wodę, pijąc. W końcu zanurzyła ręce w przyjemnie chłodnej toni i zagarnęła odrobinę, by zbliżyć je do twarzy. Zapach był mocniejszy, niż się spodziewała, ale była zdeterminowana go zignorować, byle tylko napoić spragnione usta.

I wtedy szczeniak parsknął i zawył. Najpierw cicho, niemal piszcząc, a po chwili donośniej i bardziej przeciągle. Zaskoczona złodziejka patrzyła, jak pies cofa się, skomli i potrząsa spuszczoną głową, jakby chciał wymiotować.

– Ej, co jest, mały?

Szczeniak drżał już cały i charczał, cały czas idąc do tyłu.

Alyn przyjrzała się mokrym dłoniom. Powąchała palce. Pachniały lekko zgnilizną, ale nie roślinną, jakiej mogłaby się spodziewać po podobnym, zarośniętym jezioru w Rowan. Rozejrzała się. Nikogo.

Szczeniak zawył jeszcze raz, po czym z jego pyska chlusnęła na trawę fontanna wody – z takim impetem, że aż przysiadł. Otrząsnął sierść z wilgoci, ale bardzo powoli i niemrawo. Był oszołomiony, cierpiał. Alyn pogłaskała go ostrożnie i jeszcze raz przyjrzała się widocznemu pod przezroczystą taflą dnu przy brzegu.

Wstrzymała oddech, dojrzawszy, że to, co wzięła przed chwilą za leżące na dnie cętkowane kamienie, było w rzeczywistości wyblakłymi szczątkami na wpół rozłożonych żab, z których – niczym glony – wyrastały poruszające się w rytm fal obrzydliwe witki ścięgien, żył i rozerwanej skóry.

– Ożeż...

Alyn odskoczyła i wylądowała tyłkiem na darni. Jej stłuczone biodro odezwało się tępym bólem. Zmeła w ustach przekleństwo. Szczeniak położył się w miejscu i wbił w nią umęczony wzrok. Wciąż wyglądał źle, ale wyglądało na to, że najgorsze już za nim.

Dziewczyna jeszcze raz delikatnie pogłaskała sierść zwierzęcia. Minęło kilka chwil, zanim na powrót wstała, otrzepała się i głośno westchnęła. Sytuacja precyzyjnie wyglądała tak, że zamiast na wynajętym za pieniądze od Kai wozie zmierzającym wprost do Ganiyi znalazła się w głębokiej dupie. Kto mógł przypuszczać, że malownicze zbiorniki wodne na pięknym, bajkowym Kaim mogą być śmiertelną pułapką? Przeżyła pogoń w Saahii, sztorm i flautę na morzu, napaść w Rede i chłód nocy pod gołym niebem. Przeżyła, bo było to to, czego nauczyła się już w dzieciństwie, i to, co robiła, od kiedy pamiętała. Dzięki Torynowi, Kai i swojej

wytrwałości miała kolekcję umiejętności ukierunkowanych bezpośrednio na samodzielne powiększanie swoich szans na dotrwanie do następnego poranka. Ale gdyby nie głupi zapal przygodnie spotkanego szczeniaka, w tej chwili tarzałyby się prawdopodobnie na ziemi, bezwolnie wypompowując z siebie ostatnie karafki splugawionych płynów. Być może umierając.

Poszli dalej, jeszcze zanim słońce zdążyło przesunąć się na niebie o trzy długości. Pierwszy ruszył zresztą szczeniak. Ominął szerokim łukiem błoto i powoli udał się w stronę, gdzie brzeg jeziora zakręcał i wyciągał ku ścianie zagajnika. W końcu zniknął za gęstą warstwą krzewów. Gdy dziewczyna zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie sam tu nie wróci, ruszyła za nim.

Lasek rósł na niewielkim, płaskim wzniesieniu. Nie był gęsty, jeżeli chodzi o nagromadzenie drzew, niemniej gałązki rozłożystych krzewiszczy co i raz łapały Alyn za nogawki, gdy próbowała podążyć śladami szczeniaka. Podobnie jak te, które mijała tuż po opuszczeniu Rede, korony tutejszych drzew milczały, pozwalając piskom czworonoga swobodnie roznosić się razem z echem.

Zobaczyła go dopiero wtedy, gdy zagajnik zaczynał się już przerzedzać, a w oddali widać było rozległą łąkę, która ciągnęła się aż po horyzont. Pies dreptał wte i wewte z nosem przy ziemi wzdłuż wyżłobionych w miękkim gruncie kolein. Pomiędzy nimi wiódł jasnoszary ślad popiołu. Ten zaś skierował oboje do niewielkiej polanki. Pośrodku niej ledwo dymiła resztką ogniska, które pochłonęło co najmniej pół zwałonego pnia. Drugie pół, już po części porąbane, czekało na swoją kolej.

– No, mały, jestem pod wrażeniem – powiedziała złodziejka. – Może i umrzemy z pragnienia tej nocy, ale wygląda na to, że przynajmniej będzie nam przy tym ciepło.

Gdy podeszła bliżej, zauważyła nitkę wydeptanej ścieżki, która biegła dalej w gąszcz. W tym samym momencie pies pisnął i oddalił się właśnie w tamtym kierunku. Alyn podążyła za nim i gdy tylko przebiła się przez krzewiastą fortyfikację, stanęła jak wryta.

– Niech mnie przerznie pułk Bautisty... strumień!

Dopadła do brzegu i na czworakach ugasiła pragnienie czystą, zimną wodą tuż przy chlepczącym z zadowoleniem zwierzęciu. Piła długo, małymi haustami, aż ochłonęła, a burczenie w żołądku stało się mniej nieznośne.

Gdy wróciła na polanę, dołożyła do żaru kilka suchych gałązek i liści, i dmuchała, aż się zajęły. Ułożyła na nich piramidkę z osmalonych, suchych klocków i dołożyła świeże polano. Otrzeпаła z cholewek pył, który przylepił się do nich po całym dniu marszu. Gdy ognisko rozpałiło się na dobre, wykorzystała ostatni blask zachodu, by obmyć się w strumieniu, po czym, dygocząc, okutana szczelnie w saahiijski strój – jak na ironię zaprojektowany do tego, by chronił przed upałem – przycupnęła przy płomieniu. Po trwających chwilę nieudanych łowach za zwinną łasicą czy inną wiewiórką szczeniak przydreptał do niej zdyszany i położył się tuż przy jej nogach. Spojrzał na nią, ale w smutku, który przez cały dzień bił z jego oczu, Alyn wciąż widziała cień nadziei. Pogłaskała go po pysku.

– Uciekła, co? Dobry psiak. Nie martw się, zjemy coś rano, na drugim brzegu wypatrzyłam coś, co wygląda jak dzikie jagody. Ze mną nie zginiesz. Ale skoro najwyraźniej pisane jest ci pomagać mi przeżyć w tym dziwnym kraju, bym mogła odnaleźć Toryna, przydałoby ci się jakieś imię.

Złodziejka usiadła wygodniej i przysunęła szczeniaka bliżej. Utkwiła wzrok w ogniu.

– Jak byłam małą, bawiliśmy się z bratem tymi samymi zabawkami. Naszych rodziców było stać na to, by nas co jakiś czas rozpieścić, ale ojciec zawsze mówił: „nie będę nagradzał darmozjadów za to, że są darmozjadami, niech się nauczą dzielić tym, co mają”. Mało mu od machania palcem wtedy ręka nie odpadała, tak mu kości strzelały. Po Torynie dostałam całe dwa poprute misie, dwie kulki żeliwne z brzęczkiem w środku i jednego patyka obwiązanego sznurem. Jednak pewnego dnia, w tajemnicy przed ojcem, mama na targu kupiła mi, i tylko mi, małą, wyrzeźbioną w drewnie figurkę wilka. Nie była ani specjalnie piękna, ani poręczna, a do tego musiałam uważać, by ani ojciec, ani brat mnie z nią nie przyłapali. Ale dopóki mieszkaliśmy razem, strzegłam jej jak oka w głowie. Była moim największym skarbem, a gdy w nocy przychodziła burza i kuliłam się pod pierzyną, bojąc się błysków i grzmotów, przytulałam wilka do siebie tak mocno, że mi jeszcze rano odciski było widać. Nadałam mu imię, które pewnego razu usłyszałam, gdy do ojca w odwiedzin przyjechał gość z dalekiego kraju. Z kraju lodu i gór. Dziś pewnie ten kawałek drewna już dawno zmurszał, zgnił lub został spalony, ale jego imię zapamiętam na zawsze. Hafnir.

Szczeniak obrócił się na plecy, wystawił łapy do góry i polizał Alyn po dłoni.

*

Skuleni pod drzewem drżeli ze zmęczenia i zgrozy. Strach, który łatwo było pomylić z ekscytacją, wypompowywał powietrze z ich płuc, nie pozwalał wziąć głębokiego oddechu i uspokoić skołatanych serc. Kai mówiła coś do Toryna, ale z jej krtani nie wydostawał się żaden dźwięk. Szarpała go. Brudne twarze trójki nastolatków rozświetlała pomarańczowa luna pożaru sierocińca.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Obudziło ją przecucie. Jakby coś w konstrukcji świata było nie tak. Trwała głęboka noc, żar ledwo tlił się między polanami, ale krąg kamieni wokół nich wciąż trzymał ciepło. Roztarła zmarznięte dłonie i rozejrzała się. Niebo było czarne jak smoła, ale tuż nad horyzontem, w kierunku łąki, jarzyła się na nim jedna gwiazda. A może kawałek księżyca wystający zza chmur. Przetarła zaspane oczy i naciągnęła na nie szkła. Senność minęła jej błyskawicznie.

Ogień?

Skupiła wzrok na płomieniu, który w oddali lizał czarny firmament. Światło jarzyło się na szczycie kamiennej wieży, wyciągało z ciemności jej blanki. Nie sposób było oszacować, jak daleko się znajduje, ale, na dobrą sprawę, jeśli było widoczne z jej leśnej polany, to i owa leśna polana, wraz z ogniskiem, musiała być wcześniej możliwa do dostrzeżenia ze szczytu wieży. Skarciła się w myślach, że nie zauważyła jej wieczorem.

Kto na Kaim rozpala ogniska na wieżach po nocy?

Alyn wstała i przemieściła się bliżej skraju lasu, by mieć lepszy widok. Odrzuciła w myślach pomysł sprawdzenia tajemniczej wieży w nocy – choć łatwiej byłoby się jej zakraść, było zbyt ciemno, by szukać drogi w nieznanym terenie. Decyzja nie była łatwa, bo ktokolwiek opiekował się nocnym ogniem, musiał mieć coś do jedzenia. Tak czy inaczej, tej nocy nie zamierzała już spać.

Gdy wróciła do ogniska, dołożyła do niego kilka gałązek i rozdmuchała żar, aż się zajęły. I wtedy zdała sobie sprawę, że przecucie, które ją zbudziło, wiązało się z czymś innym niż tajemniczym ogniem w oddali.

– Piesku, hej, piesku! – szepnęła najgłośniejszym głosem, jak potrafiła. – Gdzie jesteś? Hafnir!

Obeszła polanę, pogwizdując, ale jedyny szelest, który przyciągnął jej uwagę, wydały z siebie liście i gałązki, po których spieprzył przed nią w krzaki jeź. W końcu chłód zagnał ją z powrotem do żaru. Położyła się na boku i owinęła ciało wokół łuku ciepłych kamieni. Z trudem ignorując głód i walcząc z sennością, dokładała kolejne patyki, by móc korzystać z ciepła, ale nie wzniecić przy tym zbyt wysokiego płomienia. Nasłuchiwała.

Gdy zaczęło się przejaśniać, podwinęła wysoko nogawki i ostrożnie przeszła na drugi brzeg strumyka. Zerwała kilka garści jagód. Były słodko-kwaśne. Oplukała fioletowe od owoców dłonie, napiła się wody i rozgarnęła żar po ognisku.

Później zapamiętała ten poranek jako pierwszy akt okrutnej zabawy, jaką wyspa zamierzała sobie urządzić z jej głową. Teraz jednak jej myśli gnębiła smutna oczywistość: pies odszedł w nocy i nie wrócił. I czuła, że bardzo, bardzo potrzebowała w tej chwili kompana.

Weź się w garść, Alyn.

Nie było łatwo. Była głodna i wyziębiona. Zagubiona gdzieś w głębi obcego kraju, o dobrych kilka dni

od celu swej podróży. Nie знаła tutejszych zwyczajów. Nie miała pieniędzy. Potrafiła tylko... kraść.

Zerknęła na zarys warowni na szczycie pagórka. Przez chwilę rozważała omińnięcie jej szerokim łukiem i marsz przed siebie tak długo, aż na horyzoncie znów ukaże się jej Góra Gigantów. Z drugiej strony mogła też spróbować zajrzeć do środka i w razie czego udawać głupią.

Podjąwszy decyzję, opatulila się szczelniej i ruszyła powoli na skraj zagajnika.

*

Po dłuższym, niż się spodziewała, marszu w górę wzniesienia Alyn przystanęła w jego połowie. Schowała się za stertą szarych, kostropatych głazów, które porastały całe trawiaste zbocze jak grzyby. Usytuowana na szczycie warownia była większa, niż mogłoby się z daleka wydawać. Stała samotnie, kamienna od fundamentów po blanki. Jej przeprute w górnych partiach otworami strzelniczymi mury sięgały wysokości trzech ludzi. Wieża, która sterczała ponad budowlę – okrągła i wciśnięta w róg – była wyższa o drugie tyle. Na jej szczycie ogień już przygasł, w górę za to szerokim pióropuszem bił ciemnoszary dym.

Jeżeli zamieszkiwało ją wojsko – Alyn miała głęboką nadzieję, że tak nie było – to musiało mieć niezwykle rozluźniony rygor. W Rowan, nawet jeżeli jej ognisko pozostałoby w nocy niezauważone, o tej porze już dawno wysłano by ludzi na poranny patrol. Tymczasem jedynym przejawem życia, który zdążyła zaobserwować, była sylwetka mężczyzny odzianego w coś, co przypominało mnisi habit. Pojawiła się znienacka na blankach, podwinęła zamazyście okrywający nogi kawał materiału i wysikała się z góry na trawę, gdy Alyn dopiero co zaczęła wdrapywać się na wzniesienie. Zastygła w bezruchu, oczekując, aż jegomość opróżni pęcherz i zniknie na powrót między blankami, i dopiero po tym wznowiła marsz.

Nie dała sobie wiele czasu na odpoczynek. Było jeszcze wcześniej – tym większa szansa na to, że gros obsady fortu jeszcze spała albo dopiero co gramoliła się z posłań. Gdy tylko wychynęła zza głazów i postawiła pierwszy krok, od strony szczytu pagórka dobiegł głuchy huk. Złodziejka natychmiast kucnęła i cofnęła się. Moment później usłyszała stłumione okrzyki. Wyrzała i odruchowo pochyliła się, gdy nagle spomiędzy murów wystrzeliła w górę kula ognia. Musnęła wieżę i poleciała ukosem w niebo, zostawiając za sobą czarny ogon dymu. Choć złodziejka była relatywnie daleko, wyraźnie poczuła na policzkach jej ciepło.

– O, nie. Nie idę tam. Nie ma, kurwa, mowy.

Jak na dany znak na murze pojawiła się postać w płonącym ubraniu, która wdrapała się na blanki i natychmiast, z przeraźliwym krzykiem, runęła na ziemię. Chrupnęło tak, że złodziejce zmroziło krew w żyłach. Jeszcze jedna kula ognia trafiła prosto w wieżę, w połowie jej wysokości. Odłupała kilka cegieł i objęła płomieniami resztę wokół miejsca uderzenia. Żółte jęzory niemal sięgnęły samego jej szczytu.

Krzyki, męskie wymieszane z kobiecymi, wzmagały się jeszcze przez kilka chwil, rozpruwając poranną ciszę, aż w końcu zaczęły cichnąć. Ktokolwiek... cokolwiek zaatakowało warownię, zrobiło to z taką mocą, że, wydawało się, nie napotkało żadnego oporu. A teraz zaczęło dobijać rannych.

Alyn utkwiała wzrok w płomieniach i zacisnęła pięści. Momentalnie przypomniał o sobie stary, zapomniany strach. Strach o umierających obok bliskich. Moc, z jaką nagle wydarzenia w warowni tradycyjnie przegoniłyby jej zdrowy rozsądek i kazałyby spieprzać ile sił, ta sama moc ciągnęła ją teraz do góry. Ku centrum wydarzeń. Musiał być jakiś sposób... Może gdyby zakradła się od zewnątrz, wspięła na mur... by chociaż

rzucić okiem...

Opuściła głowę, by zebrać wirujące myśli, i zauważyła, że nagle tuż pod nią wyrósł czyjś cień.

Słyszając werbel własnego serca, złodziejka momentalnie odwróciła się i wyszukała pod dłonią sporej wielkości kamulec. Skupiła wzrok na intruzie i wstrzymała oddech.

Górujący nad nią rycerz w srebrnej zbroi, która okrywała jego ciało od stóp do głów, stał na szeroko rozstawionych nogach, z rękoma opuszczonymi wzdłuż ciała. Jeśli nie liczyć masywnej, okrągłej tarczy przy-mocowanej do grzbietu, był nieuzbrojony. Jego twarz zakryta była ażurową zasłoną przyłbicy z niewielkimi otworami, wywierconymi w regularnych odstępach. Z wewnątrz wydobył się niski, stłumiony głos.

– Nie obawiaj się mnie. Chcę ci pomóc.

– Kim jesteś? – Alyn użyła całej siły woli, by nie zdradzić w tonie głosu strachu, ale gdzieś w środku wiedziała, że stając do konfrontacji z kamieniem w ręku, wygląda co najwyżej śmiesznie. Poza tym właśnie próbowała plecami przecisnąć się przez litą skałę. – Dlaczego mnie śledzisz?

– Przepraszam, ale nie powinniśmy teraz zwracać na siebie uwagi. Teraz klękę – rzekł rycerz, po czym ugiął prawe kolano i oparł się nim o ziemię. Bezszelestnie. – Nie śledzę cię. Jeśli zastanawiasz się, czy mam coś wspólnego z tym, co się tam dzieje, to pragnę cię zapewnić, że nie mam i wołałbym, żeby mnie nie zauważono z góry. Mam wrażenie, że ktokolwiek tam rozrabia, nie życzy sobie świadków. Gdyby przyszli po mnie, ty też byłabyś w niebezpieczeństwie. Chwilowo, zrzędzeniem losu, jesteśmy skazani na wspólne towarzystwo.

Alyn parsknęła nerwowym śmiechem. Zaskoczyła tym samą siebie.

– Nie powinniśmy na siebie zwracać uwagi? – powietrze przeszły teatralny szept złodziejki. – Dobre sobie. Daję głowę, że prędzej wypatrzą ciebie niż mnie. Wyglądasz jak łąząca góra żelastwa...

Mężczyzna opuścił głowę nieznacznie. Trudno było powiedzieć, czy się zamyślił, czy bezgłośnie zaśmiał. Odezwał się dopiero po paru chwilach.

– Nazywam się... Mówią na mnie Żółw. Zmierzam do Crux.

– Żółw? Mówią na ciebie Żółw?

– A na ciebie? Jak mówią?

– Różnie – zmrużyła oczy. – Ostatnio znana jestem głównie jako Mysza, amatorka, *vaika* i co bądź. Do wyboru, do koloru. Wiesz, co chciałeś wiedzieć... Żółwiu?

Rycerz uniósł się odrobinę i wyjrzał ponad kryjówkę. W oddali słychać było już tylko pojedyncze głosy. Nie brzmiały płaczliwie lub błagalnie. Raczej jak ożywiona dyskusja. Były kobiece.

– Zechcesz mi powiedzieć, co tu się stało? – Alyn wskazała kciukiem za siebie. – Skoro już, jak zasugerowałeś, jedziemy na jednym zaprzęgu.

– Nie wiem, kto przypuścił atak. Ale wiem, kto był jego celem. Ten budynek to opuszczony obiekt wojskowy należący do kaimiańskiej armii. Jak wiele innych, został zajęty przez członków tutejszego kultu. Sekty. Bardzo młodej zresztą. Nie wiem, jak się nazywa. Wiem, że ich misją, a głoszą ją na każdym większym skrzyżowaniu tutejszych traktów, jest „otwieranie oczu”.

– Czyli co dokładnie?

– Nie wiem, niestety. Co drugi mamrocze pod nosem ichni hymn: „W zębach swoje ręce znosimy Ci,

Panie”.

– Chyba spotkałam jednego z nich – Alyn przekrzywiła głowę, po czym wycelowała palec w napierśnik.

– Ale nie myśl sobie, że już jesteśmy kumple, sir Żółwiu. Nadal nie wiem, jak zdołałeś podejść mnie tu w tej swojej skorupie. Trzymaj się ode mnie z daleka.

W odpowiedzi Żółw przystawił wskazujący palec do podziurkowanej blachy zakrywającej twarz. Złodziejka prychnęła.

– Zastanawiałeś się kiedyś nad tym, by zdejmować to coś, gdy rozmawiasz z ludźmi? Słowo daję, nie wiem, czy chcesz mnie uciszyć, czyś właśnie dostał srogiego zatwardzenia.

Gdy nie doczekała się reakcji, westchnęła i nadstawiła ucha. Kaim ponownie było ciche na swój dziwny, martwy sposób. Ale nie spokojne. O, nie.

– Możemy już iść – powiedział Żółw i podniósł się. – W razie gdybyś chciała się dostać do Crux, mogę ci wskazać drogę. Marszem to będzie jakieś półtora dnia stąd.

– Nigdzie z tobą nie pójde, jeśli to masz na myśli.

Alyn obróciła się i wyjrzała zza gładów. Nad strażnicą unosiły się kłęby dymu. Wieża była w połowie osmalona, ale stała. Całość sprawiała wybitnie ponure wrażenie.

– Nie ciekawi cię, co tam się wydarzyło? Jeżeli ktoś przeżył, powinniśmy mu pomóc.

Żółw milczał. Dziewczyna parsknęła.

– Bywaj, rycerzu.

*

Rzeź.

Alyn nie znajdowała w głowie innego słowa na opisanie „bitwy”, która miała tu miejsce. Masywna brona zagrządzająca dostęp do wnętrza strażnicy leżała roztrzaskana na ziemi. Kilka jej fragmentów wciąż jeszcze dymiło, a wokół rozchodził się ostry swąd spalenizny. Tuż przy wejściu, oparte o ścianę, siedziały zwęglone szczątki człowieka. To drugi trup, na którego natrafiła. Dalej, na dziedzińcu, ciała porzucane były po całym ziemistym podłożu. Wszystkie odziane w zgrzebne, szaroniebieskie szaty. Większość miała opaski na oczach i powykręcane nienaturalnie członki.

I poderżnięte gardła.

Ci ludzie jeszcze przed chwilą żyli, powiedziała do siebie Alyn, ostrożnie przestępując pomiędzy trupami. Zbierało jej się na wymioty. Przeszła kilkanaście kroków wzdłuż ściany i pchnęła pierwsze lepsze drzwi, które otwarły się z grobowym skrzypieniem. Wpuściła nieco światła do sali, która wyglądała jak ogołocone koszary. Zamiast prycz na ziemi rozłożone były koce i materace wypchane słomą. Przy kilku z nich leżały miski z resztkami brązowej brei, która nawet mimo świdrującego żołądek głodu wydała się złodziejce wyjątkowo nieapetyczną. W dalekim rogu pomieszczenia zwałisko połamanych desek podpowiadało, co mogło się stać z łózkami i większością mebli. Tu śmierdziało głównie pleśnią i stęchlizną.

Na samym środku, z rozłożonymi rękami i nogami, leżały zakrwawione zwłoki mężczyzny i kobiety. Alyn odwróciła wzrok i już miała ruszyć do kolejnych drzwi, gdy zdała sobie sprawę z tego, że coś jest nie tak.

Z rozdartego buta mężczyzny zamiast stopy wystawały postrzępione kłęby kłaków.

Złodziejka podeszła ostrożnie do trupa i z trudem pokonując obrzydzenie, kucnęła przy jego nodze. Nie halucynowała – łydka trupa od połowy w dół była pokryta sierścią. Pod nią widniała zwierzęca łapa. Z poduszkami, pazurami i całą resztą atrybutów. Złodziejka przeniosła wzrok na kobietę. Wyglądała normalnie. Ludzko. Jeżeli coś mogło wzbudzać niepokój w jej wyglądzie – oprócz kałuży krwi pod przedziurawioną szyją – był nietypowy kształt jej zamkniętych ust. Wstrzymała oddech i sięgnęła dłonią ku jej twarzy.

Za drzwiami rozległ się dźwięk zbliżających się kroków i rytmiczny szczeł metalu. Dziewczyna aż podskoczyła, gdy stanął w nich Żółw. Niemal całkowicie zasłonił sobą wpadające światło.

– Musisz stąd iść, Myszo – zadudnił.

– Na Isztar! Nigdy więcej mnie tak nie strasz.

– Zmierza tu grupa jeźdźców. Albo wojsko książęce, albo odsiecz kultystów. W obu przypadkach lepiej, żeby cię tu nie było.

Wypowiedział się jak zwykle niespiesznie, ale jego głos po raz pierwszy zdradzał oznaki zniecierpliwienia. A może zaniepokojenia? Alyn wstała, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Patrz na to! Spójrz na jej zęby. I na jego nogę. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. To normalne tu na Kaim?

Chwilę zajęło jej zorientowanie się, że mówiła do pustej futryny. Wybiegła z powrotem na dziedziniec.

– A jedzenie?! – zawołała w stronę tarczy na plecach rycerza przekraczającego właśnie bramę.

Z tyłu faktycznie wyglądał jak żółw.

Zatrzymał się i odwrócił.

– Naprawdę chcesz jeść to, co oni? Chodźże, czas ucieka. Konni będą tu już za parę chwil. Znajdziemy coś po drodze.

Alyn wybiegła przez bramę i zrównała się z Żółwiem.

– Nie możemy iść gościncem – powiedział rycerz, kierując się w dół zbocza przeciwnego niż to, którym wdrapali się na szczyt pagórka. – Przynajmniej nie przez jakiś czas.

– Oho! – odrzyknęła złodziejka. – To tak teraz będzie? Będziesz wydawał mi rozkazy? Nie ufam ludziom, którzy zasłaniają twarz, gdy się z nimi rozmawia. O co chodzi, złożyłeś jakieś śluby?

Z głębi zbroi dobiegło przeciągłe westchnięcie.

– Myszo...

– Możesz mi mówić Alyn.

– A więc Alyn. Nie mam złych intencji. Tak czy siak zmierzam do Crux. Twoje towarzystwo mi nie wadzi. Ale do tego, co i jak na sobie noszę, nic ci.

Złodziejka otworzyła usta do riposty, ale w obliczu nieopisanego wręcz absurdu całej sytuacji nie znalazła w głowie ani jednego odpowiedniego słowa. Zamilkli, maszerując w dół pagórka, aż teren wyrównał się, a łąka na powrót ustąpiła miejsca rzadkim drzewom. Daleko za nimi, przed roztrzaskaną broną strażnicy, jeźdźcy zsiadli z koni.

*

– Żółwiu?

– Słucham.

– Naprawdę nie masz pojęcia, kto mógł zrobić coś takiego, tam na wzgórzu? Widziałeś te kule ognia?

Dysponując taką mocą, można by rozwalić pół miasta.

– Naprawdę nie mam pojęcia. Boisz się o jakieś miasto?

– Do tego, czy i o jakie miasto się boję, nic ci.

*

– Pamiętasz, jak rano mówiłeś coś o znalezieniu po drodze jedzenia? Mówiłeś coś takiego, prawda? Nie przesłyszałam się.

– Pamiętam.

– Wiesz, jak tak wzdychasz pod tymi blachami, za każdym razem mam wrażenie, że zaraz z tego sita na twarzy wylecą kłęby pary. Czy jesteś imbrykiem, Żółwiu? Czy jesteś jednym wielkim człekopodobnym imbrykiem?

– Mam wrażenie, że powinniśmy przystanąć i odpocząć chwilę.

– Mam wrażenie, że jeszcze trochę i zjem własną nogę.

– Cierpliwości.

*

– Żółwiu?

– Słucham.

– „Na szyi zawiesili jej dzwonek”. Powiedziałeś to, kiedy pierwszy raz cię widziałam na drodze z Rede.

Co to znaczy?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Doprawdy? Czekaj. Stój. Szedłeś sobie jak gdyby nigdy nic, chrzescząc tymi swoimi trzewikami po kamieniach, aż w zębach skrzypiało. Nagle stanąłeś jak wryty, powiedziałeś właśnie te słowa i równie nagle sobie poszedłeś. Tylko ja mogłam je usłyszeć, tylko ja byłam wtedy w pobliżu. Może i mnie nie widziałeś, ale wiem, że były one skierowane do mnie.

– Doprawdy, Alyn, musiałaś się przesłyszeć. Niczego takiego nie pamiętam.

– Mhm.

– Pozwól, że ruszę dalej w drogę. Chcę zajść jak najdalej przed zmierzchem.

– Poczekaj! Dotrzemy do tego Crux i co potem?

– A czego potrzebujesz?

– Ja... podróżuję. Chcę dostać się dalej. W głąb Kaim.

– Chcesz zobaczyć Górę?

Chcę... Potrzebuję środka transportu, pomyślała. I jedzenia. I pieniędzy na nieprzewidziane wydatki.

Potrzebuję odnaleźć mojego brata. By żył i miał się dobrze.

– Wiesz co, poradzę sobie.

*

– Nie wierzę. Zamierzasz tak iść spać? Z tym czymś na głowie?

– Tak. A ty z tym czymś na twarzy?

– Z czym, znowu?

– Z tym właśnie. Chyba że chcesz się tak pokazać jutro w Crux, ale nie wiem, czy to w czymkolwiek pomoże.

– Z tym? Znaczy że przez cały dzień miałam gębę usmarowaną jagodami, które jadłam rano, i mi nic nie powiedziałaś?

– ...

– Psiakrew... zajmę się tym rano. A ty, szlachetny rycerzu, uważaj – mam bardzo czujny sen. Jak podejdziesz nieproszony, dostaniesz nożem w miękkie. Po samą rączkę.

– Dobrze. Uznajmy, że masz przy sobie taki nóż.

– Uznajmy.

– Dobrej nocy, Alyn.

– Dobranoc.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

*

Jeżeli Kaim jawiło się dotąd Alyn jako kraj nietypowy, to miasto Crux wzięło się z innego świata. Pod względem niezwykłości było wyspiarskie księstwo na głowę, i to jeszcze na długo nim wraz z Żółwiem minęła rogatki. Pierwszym zwiastunem nadzwyczajności osiedla byli jego mieszkańcy, których mijali na trakcie. Niezależnie od statusu społecznego i zamożności, od jakości biżuterii na ciele, kroju szat czy – w kilku przypadkach – powożonych furmanek ubrani byli w pastelowe kolory. Burżuazja, biedacy, wszyscy. Nawet ich buty, zwykle zakurzone i zabłocone, jaśniały w słońcu barwami, jakich w Zakkanie szukać trzeba było albo na książęcym dworze, albo na saahijskim targu. W kontraście do ekstrawaganckiej garderoby cruksjan stała za to ich wylewność. A raczej jej absolutny brak. Szli lub jechali zapatrzeni przed siebie lub w niebo, nie poświęcając ani obcym, ani sobie nawzajem nawet chwili uwagi. Byli milczący i niedostępni. Kilka kroków za nimi nieodmiennie ciągnął się zaś zrównujący wszystko i wszystkich smród gnoju i potu.

Crux właściwe ukazało się Alyn niedługo po południu, daleko na dnie łagodnej, rozległej kotliny otoczonej łysymi wzgórzami. Zbudowane było na planie krzyża – niegdyś zapewne równoramiennego i prostego jak od linijki, obecnie siermiężnego, powyginanego i pełnego urbanistycznych narośli powstałych w miarę jego rozbudowy. Z tego samego miejsca złodziejka miała również doskonały widok na rysujący się w oddali majestatyczny szczyt Góry Gigantów. Dwa i pół dnia wędrówki od Rede przybliżyły go tylko w nieznacznym stopniu, jeżeli w ogóle, co znaczyło, że obranie kursu na Crux wcale nie musiało być dobrym pomysłem.

W miarę jak Alyn i Żółw zbliżali się do zabudowań, planistyczna brzydota miasta ustępowała uderzającemu pięknu barwnych podmiejskich sadów i ogrodów. Gdy wkroczyli zaś na ruchliwą ulicę główną, która wiodła wprost do centrum, uwagę złodziejki przykuła niesamowita architektura zbudowanych wzdłuż niej mieszkalnych kamienic. Niemal wszystkie miały bogato zdobione elewacje, a wzniesiono je bez wyjątku z białego kamienia, który w pełnym słońcu jaśniał niczym Most Maharadży. Pomnożony przez dziesięć.

Im bliżej serca miasta byli, tym bardziej gęstniał okupujący ulicę tłum – niczym rój wielobarwnych żuków kręcących się w kółko i usilnie próbujących znaleźć jakiś sens dla swojego istnienia. Żółw robił przy tym wśród mieszczan małą furorę swoim wyglądem, ale powszechnie zainteresowanie wcale nie ułatwiała przybyszom poruszania się po ulicy. W końcu rycerz wskazał palcem szyld karczmy „Rozeta” wtulonej nieśmiało pomiędzy dwa masywne budynki mieszkalne.

– Tutaj – powiedział.

Rozgarnął bezceremonialnie grupkę odpoczywających artystów ulicznych, zdecydowanym krokiem przekroczył próg. Alyn podążyła za nim. Na spotkanie wyszedł im chudy jak szczapa, siwy barman z wąsem.

– Halo, halo, dziś tylko z rezerw...

Połknął ostatnią sylabę, gdy tuż przed jego nosem wyrósł masywny napierśnik. Żółw położył rękawicę na jego ramieniu. Gest wyglądał na przyjacielski, ale gospodarz aż jęknął.

– Znajdzie się miejsce – ton głuchego głosu wydobywającego się spod przyłbicy nie pozostawiał wątpliwości, że tak właśnie będzie. Mówił czystym jak łąza kaimiańskim.

– Będzie pan łaskaw dla tej pani przyrzadzić specjalność tutejszej kuchni. Nie pożałuję złota.

Puszczony wolno wąsaty chrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zreflektował się, skłonił i rzuciwszy przelotnie okiem na Alyn, odwrócił na pięcie. Nieliczni goście natychmiast powrócili do gorączkowej konsumpcji swoich posiłków.

Dziewczyna zajęła miejsce przy jedynym wolnym stoliku przy wejściu.

– A ty co? Nie jadasz? – zapytała Żółwia, który stanął obok niej, w progu.

– Zjedz, ja niedługo wrócę. Potrzebuję odwiedzić ratusz.

– A co potem? Mam sobie szukać transportu? Żółwiu? Fantastycznie! Masz doskonały sposób kończenia rozmów!

*

Zaserwowane przez barmana danie było jednocześnie zaskakująco proste, pożywne i smaczne. Makaron zmieszany z kiełbasą, cebulą i twarogiem zniknął z talerza Alyn błyskawicznie. Niechętnie, bo niechętnie, ale nie zadając przy tym pytań, gospodarz postawił przed nią karafkę wina. Przedtem splunął z troską na blat i wytarł go zawieszoną przy pasie ścierką o barwie, która daleko odbiegała od bieli okolicznych kamienic. Złodziejka wzięła to za dobrą monetę. Oparła się o ścianę i wyciągnęła zmęczone marszem nogi. Nie miała nic przeciwko spędzaniu dni pod gołym niebem, ale miasto... miasto było jak wiecznie kwitnący sad, a jego owoce dojrzałe, smakowite i dostępne w każdej chwili. Gwar w pomieszczeniu i za ścianą uspokajał ją i rozluźniał. Pomyślała o Torynie i Kai i powoli, spokojnie odpłynęła w lekki sen.

Obudził ją zgiełk. Gdy otworzyła oczy, rozsierdzony barman przedzierał się już w jej kierunku przez zaskoczonych gości. Zanim do niej dotarł, Alyn wyczuła czyjąś rękę, która właśnie sięgała w jej stronę. Odskoczyła w kąt, uderzając kolanem w blat i robiąc jeszcze większy raban. Między nią a drzwiami stało dwóch mężczyzn odzianych w szaty okrywające lewą pierś i przestrzeń pomiędzy biodrami a kolanami. Rzemienie, którymi byli przepasani, podtrzymywały wygięte pochwy szabli. Ich twarze owinięte były szarfami, znad których czujnie obserwowały okolicę umalowane na ciemno oczy.

Nie musieli się przedstawiać. Każda zapyziała dziura na świetle miała swoich stróży porządku i Alyn rozpoznała ich natychmiast. Uniosła dłonie na wysokość twarzy w geście znaczącym „wiem, coście za jedni, nie będę sprawiać problemów”. Ten, który wyciągnął wcześniej ku niej rękę, naciągnął pas przy biodrze. Znaczyło to „w razie gdybyśmy się nie zrozumieli, jesteście tutejszą gwardią i zaraz pójdziesz z nami”. Niejako na potwierdzenie skinął głową w kierunku wyjścia.

Dziewczyna błyskawicznie omiotła wzrokiem okolicę, wstała i zrobiła krok do przodu. Przed wykonaniem następnego zapytała po rowańsku:

– Ratusz? Mój przyjaciel tam na mnie czeka.

Mężczyzna przytaknął i odsunął się, robiąc jej miejsce i otwierając drogę do wyjścia.

– Halo, halo! – wybuchnął barman. – Rachunek!

Gwardzista posłał właścicielowi przybytku jedno spojrzenie. Było paskudne i druzgotało wszelkie przejawy obywatelskiego nieposłuszeństwa.

– Wszelkie zażalenia – powiedział ochryplym głosem – proszę składać na ręce burmistrza.

Wyszedł za Alyn na zewnątrz. Stał przed nią i położył jedną dłoń na zawieszonym u biodra zwoju liny. Drugą wyciągnął w stronę masywnej budowli wzniesionej na centralnym placu miasta.

– Ratusz – powiedział powoli i wyraźnie.

Alyn odczytała jego słowa jednocześnie jako wskazówkę, rozkaz i groźbę. Skinęła głową.

Gwardzista o ochryplym głosie ruszył pierwszy. Rozgarniał przed sobą tłum wyszczekiwanymi komendami, od czasu do czasu pomagając sobie dłońmi i łokciami. Złodziejka podążyła za nim. Rozglądała się za sposobnościami do ucieczki, których w tłumie – a ten na dobrą sprawę niczym nie różnił się od zgromadzeń na placu targowym w Saahii – było w bród. Ale jeszcze nie podjęła decyzji. Czekala.

Na placu przylegającym bezpośrednio do murów ratusza ludzi było mniej. Alyn szybko wypatrzyła powód – na środku wyrastał z bruku kamienny pień potężnego pręgierza. Użytkowanego, jak mniemała, często i z entuzjazmem przez tutejszą władzę. Władzę – pomyślała, gdy przyjrzała się elewacji budynku upstrzonej rzeźbami na rzeźbach – dotkniętą nadzwyczaj silnymi objawami megalomanii. Nie ukryła uśmiechu zadowolenia, gdy zauważyła, że nieważne, jak bardzo tutejszy burmistrz ze swą żoną dbał o pozory, gzymsy, gargulce i inne trudno dostępne ozdoby ich budynku były równo, od góry do dołu, obesrane przez ptaki.

Gdy z przodu pozostały już niemal tylko ciemne, okute grubymi metalowymi zdobieniami wrota ratusza, Alyn wykonała swój ruch. Wyuczoną metodą, bardzo płynnie, ale jednocześnie stanowczo naparła barkiem na eskortującego ją po prawej mężczyznę. Zrobiła to w momencie, gdy ten właśnie oderwał od ziemi lewą stopę, co sprawiło, że aby utrzymać równowagę, musiał przyklęknąć ze skrzyżowanymi nogami. Nawet nie zarejestrował momentu, w którym dziewczyna pociągnęła za rzemień, którym do jego pasa przywiązany był zwój liny.

Moment zaskoczenia drugiego strażnika, tego po lewej, trwał jedynie mgnienie oka. Niemal natychmiast wyciągnął w stronę Alyn swoje długie ręce, ale ta zwinnie wywinęła się, przesmyknęła dołem i obiegła go, rozwijając za sobą – wokół jego stóp i łydek – kilka luźnych pętli sznura. Gdy rozległ się za nią pierwszy krzyk, była już za pierwszą warstwą ciał kolorowo odzianych przechodniów. Kolejni, znajdujący się tuż przed nią, jak jeden mąż przystawali i rozdziawiali usta. Przyspieszyła. Mijając ich – zdziwionych, przestraszonych i na pewno w dużo większym stopniu zaalarmowanych zaistniałą sytuacją niż gdziekolwiek w Rowan czy Zakkanie – bardzo szybko utwierdziła się w przekonaniu, że Crux jest inne. Inne od dowolnej miejsciny, której koła w ruch wprawiały handel, usługi, czasem wiara, a zawsze morze wlewanego wieczorami w gardła alkoholu. Nie, tym miastem rządził strach.

*

Poczuła się względnie bezpiecznie dopiero po tym, jak wcisnęła się w zatęchłe przejście – wcale nie szersze od tego, które pamiętała z kamienicy Kai w Saahii – i minęła trzy rzędy kamienic o długich, wąskich

podwórzach. Oddalone od przepychu głównych alei trzewia Crux były wilgotne i ciemne. Bruk ustąpił miejsca ubitej, mokrej ziemi. Niebo zasłoniły zaś girlandy ubrań, które rozwieszono na sznurach przecinających w poprzek kamienne kaniony. Było cicho i duszno. Brudna strefa permanentnego cienia porastała miasto warstwowo jak złogi wieloletniego syfu.

Alyn zwolniła kroku. Szła, a za nią odwracały się głowy przycupniętych przy kałużach dzieci i wyglądających z czarnych czeluści okien babinek. Wyglądało na to, że zgubiła pościg. Nikt jej nie śledził.

Gdy kolejny nawis wilgotnej kolorowej odzieży pojawił się na wysokości jej twarzy, przystanęła. Spojrzała na swoją garderobę. Biel kurty i granat szarawarów jako tako wpisywały się w tutejszą modę, ale ich krój już nie. Tubylcy zdecydowanie – jak jeden mąż – preferowali proste projekty. Wąskie rękawy, wąskie nogawki. Brak zapięć i ozdób. Niektóre kobiety nosiły na głowach chusty. Z miejsca, w którym stała, wszystko to było w zasięgu ręki.

Złodziejka przez chwilę rozważała dalsze kroki, aż w końcu ujęła rękaw najbliższej wiszącej koszuli i przybliżyła do nosa, po czym natychmiast cofnęła i odwróciła głowę.

– Nie – mruknęła. – Po prostu nie.

Była gotowa na poświęcenia – cała ta wyprawa była jednym wielkim poświęceniem – ale mogła się obyć bez tego zapachu.

Ruszyła dalej, a tylne uliczki Crux, rozświetlane okazjonalnymi plamami szerokich, kwadratowych placików, zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Trudno było szukać ludzi z tutejszej szarej strefy – a to ich Alyn potrzebowała teraz najbardziej – bo wyglądało na to, że całe miasto jest swoją własną dzielnicą biedoty. I ta cisza. Nieprzenikniona. Nawet gołębie – jak się okazało, srające na potęgę nie tylko po ścianach urzędów – siedziały cicho. Od ich milczenia przechodził złodziejce po plecach dreszcz.

Rozwiały go dopiero odgłosy klótni, które dobiegły do niej zza zaułka oddzielającego kolejne wąskie podwórze od kolejnego kwadratowego placu. Ktoś pieklił się łamiącym się głosem, a z potoku słów odbijającego się echem od ścian Alyn z zaskoczeniem wyłapała słowa wybrzmiewające po zakkańsku.

– Ja sobie wypraszam takie, kurwa, traktowanie! Ja jestem człowiek poważany w wielu kręgach, nie będę pozwalał na to, by jakiś parob, by jakiś plebejski obezjajec mnie w biały dzień, na oczach wszystkich tych... szanownych mieszkańców tego... ech... wspaniałego miasta... No, więc nie pozwolę na taki obrót sprawy! Klnę się!

Alyn wyjrzała zza węgła. Hassan. Był czerwony na twarzy i żywo gestykułował, a wąty czarny wąsik pod jego nosem furkotał przy każdym wykrzyczanym słowie. Nad nim, siedząc rozparty na furmance zaprzężonej w jednego chudego konia, górował brodaty dziadek w słomianym kapeluszu. Żuł źdźbło trawy i co kilka zdań soczyscie spluwał na ziemię – za każdym razem coraz bliżej stóp zakkańskiego kupca. Milcząc, trzymał wyciągniętą w stronę Hassana otwartą dłoń. Z co drugiego okna okalających placik kamienic wystawała czyjaś głowa.

– Miało być dziesięć! Umawialiśmy się na dziesięć! Mili państwo, czy wy to widzicie?! Czy wy to słyszycie?! Nie dam! – Kupiec niemalże płakał. – Nie dam i już!

Wyczekawszy jeszcze moment w ciszy, wyraźnie złamany Hassan zacharczał srogo, splunął szkapie pod kopyta i wysuptał z pękatego trzосу kilka srebrnych monet. Westchnął, z wielce zdegustowanym wyrazem

twarzą wręczył woźnicy zapłatę i odwrócił się na pięcie.

– A jedź pan w chuj – powiedział, po czym otarł chusteczką mokre od potu czoło.

Dziadek mlasnął, splunął, gwizdnął i z klekotem poprowadził furmankę z powrotem w stronę jedynej na tyle szerokiej bramy, by mogła ją zmieścić. Kilka chwil później uwięzione między ścianami echo uleciało w stronę nieba i w jego miejsce na powrót wdarła się ciężka, lepka cisza.

Hassan został sam. Sam w ciemnym, wilgotnym i śmierdzącym żołądku Crux. On i jego trzos.

Jego trzos i on.

Alyn poczekała jeszcze chwilę, aż mieszkańcy pochowają się na powrót we wnętrzach domów, a kupiec zdecyduje się obrać jakiś kurs. Jakikolwiek. Między tym miejscem a głównymi ulicami miasta była niezliczona ilość ciemnych zaułków. Tyle okazji...

Złorzecząc pod nosem, Hassan podreptał wreszcie w stronę bramy, którą wyjechał woźnica, i tuż przed tym, jak złodziejka zdecydowała się za nim ruszyć, usłyszała za sobą szuranie. Odwróciła się błyskawicznie. Przed nią stał jasnowłosy chłopiec. Miał nie więcej niż dwanaście lat i – co wydawało się niebywałe – czystą twarzą. Spozierał na nią z dołu dwójgim wielkich niebieskich oczu.

– Proszę pani – powiedział cicho po kaimiańsku. Niemal szeptem. – Proszę pani, nie wolno.

Alyn zerknęła za siebie gotowa zignorować urwisa, ale ten pociągnął ją za rękaw.

– Puszczaj. O co ci chodzi? – zapytała.

– Nie wolno tutaj. Oni wszystko widzą.

– Kto? Kto wszystko widzi?

– Oni.

Chłopiec odwrócił się za siebie, ale nie wskazał nikogo palcem, jak się spodziewała. Nie musiał. W oddali, opierając się o ścianę, stali gwardziści o twarzach zakrytych szarfami. Nie wiedziała, czy byli to ci sami, którzy podjęli ją z „Rozety”, ale nie miało to znaczenia. Trafili tu bez problemu, byli o krok za nią. Crux nie umiało dotrzymać tajemnicy.

Alyn zacisnęła pięści i spojrzała z powrotem na chłopca.

– Dlaczego mnie ostrzegłeś?

Ten wzruszył ramionami.

– Tak trzeba – odpowiedział z poważnym wyrazem twarzy. – Ale oni nie chcą źle. To ich praca.

Złodziejka z trudem powstrzymała się przed parsknięciem śmiechem.

– W takim razie dzięki, mały.

Chłopiec uśmiechnął się.

– Nie ma sprawy, proszę pani. Jestem Kirpi.

– A ja Alyn.

Później wielokrotnie wracała myślami do tego momentu. Co by się stało, gdyby na tym zakończyła rozmowę i po prostu poszła w swoją stronę? Gdyby nie spojrzała na wlepiającego w nią wzrok urwisa i nie powiedziała:

– Kirpi. Ładne imię.

Pewnie nadal nie wierzyłyby w znaki od losu. Pewnie nic nie sprawiłoby, by zmieniła decyzję o trzymaniu się z daleka od ratusza. Nie podeszłyby do gwardzistów gotowa dać się ponieść przeznaczeniu. Być może tego wieczoru wydostałyby się z Crux i znalazłyby schronienie w lesie. Być może umarłyby w nim z zimna i głodu.

Ale powiedziała to. Więc naturalnym było, że chłopiec jej odpowiedział.

– To tylko przezwisko – rzekł z uśmiechem – moje prawdziwe imię to Toryn.

Jeżeli to nie był znak, to nie wiedziała, co mogło nim być.

*

W ratuszu posadzili ją na ławce w przestronnym holu, którego sufit, wydawało się, umieszczony był niemożliwie wręcz wysoko. Siedzisko było za to wąskie i ciasne. Dzielili je z dwiema kobietami. Ich spódnice mieniły się milionem kolorów, a biżuteria połyskiwała w promieniach światła wpuszczanego do środka przez półprzezroczyste, barwne witraże. Obie przeżywały wewnętrzną katorgę. Młodsza, łkając cicho, zakrywała oczy. Starsza patrzyła pusto przed siebie, ścisnęła coś w dłoniach i mamrotała pod nosem niezrozumiałą modlitwę.

Wzrok Alyn co i raz dryfował w stronę znajdującego się nieopodal, łukowatego przejścia do następnej sali. Wiódł w jego stronę jedyny dywan w holu – wąski i fioletowy – zaś wewnątrz znajdującego się za nim pomieszczenia skryte było za dziesiątkami wstążek delikatnie poruszanych powiewami powietrza. Przywoływały Alyn na myśl kurtyny w palarni na parterze jej kamienicy w Saahii, gdzie wraz z Kai zwykła spędzać popołudnia i wieczory.

Westchnęła. Toryn był całym światem dla nich obu.

Z zamyślenia wyrwał ją szelest wstążek, spomiędzy których wyłonił się wąsaty mężczyzna w średnim wieku. Był zziębnięty, czerwony na twarzy i trzymał się za serce. Ledwo chodził. Na jego widok starsza kobieta jęknęła ni to z ulgi, ni to z bólu i rzuciła się mu w ramiona, prawie go przewracając. Przez następnych kilka chwil człapali, podpierając się wzajemnie, do wyjścia. Szeptali do siebie nawzajem ze łzami w oczach.

Wstążki kurtyny rozchyliły się nieznacznie, a między nimi pojawił się profil kobiety. Patrzyła w stronę ławki i przywoływała kogoś gestem. Zauważywszy ją, młoda sąsiadka Alyn na powrót ukryła twarz w dłoniach. Złodziejka uznała, że najwyraźniej przyszła jej kolej. Wstała i podążyła w stronę przejścia. Usilnie starała się zignorować wrażenie, że pakuje się wprost w sidła syren z morskich opowieści.

Pokój, do którego weszła, był dużo mniejszy od holu, ale białe ściany i światło wpadające przez wielkie okna dodawały mu przestronności. W jego centralnym punkcie stało imponujące biurko z czarnego drewna. Puste, jeśli nie liczyć wazonu z kwiatem o mrowiu beżowych płatków, które sterczały w górę niczym miniaturowe ogniska. Za meblem stała kobieta, która ją wezwała. Miała czterdziestoletnią twarz i szczupłe ciało dwudziestolatki okryte zwiewnymi szarfami na biuście i biodrach. Jej wyciosanego dłutem brzucha nie powstydzilyby się zakkańskie tancerki. Dalej za nią jeszcze jedna kurtyna skrywała przejście do kolejnego pomieszczenia.

Gdy Alyn weszła, kobieta usiadła i wskazała jej krzesło naprzeciwko siebie.

– Witaj na Kaim, mam na imię Rosa – jej głos był szorstki, ale mówiła ciepłym tonem po rowańsku, z

niemal niesłyszalnym akcentem. – Jestem asystentką burmistrza Crux, Pana G. Służę również jako wieszczka. Zaprosiliśmy cię tu zarówno jako nowego gościa w naszym mieście, jak i na prośbę Xandera z Kaim, którego jesteś, jeżeli się nie mylę, podopieczną. Alyn, prawda? Alyn z Rowan?

Sprężynujące, czarne włosy Rosy odskakiwały nieznacznie przy każdym mocniej zaakcentowanym słowie. Szyję, zauważyła Alyn, miała opiętą srebrną obrózką, z której zwisał i zawijał się za jej lewe ramię delikatny łańcuszek. Kiedy zauważyła, że kobieta czeka na jej reakcję, złodziejka postanowiła grać głupią.

– Tak – powiedziała i podrapała się po ramieniu.

Xander z Kaim?

– Znakomicie. Wybacz, proszę, to „porwanie” z restauracji Izajasza. Zdaję sobie sprawę z tego, że jesteś zdruzona. Wiedz, że dobrze się tobą zaopiekujemy. Zostaniesz nakarmiona i napojona, zapewnimy ci również nocleg. Sytuacja, widzisz, wygląda tak...

Wydawało mi się, pomyślała Alyn, czy usłyszałam w jej głosie wahanie?

– W imieniu Pana G. dobiłam z Xanderem targu. Za to, że zgodzi się poprowadzić oddział naszej milicji na leśny obóz kultystów, z którymi w ostatnich tygodniach mamy coraz więcej problemów, zapewnimy ci pełną pomoc w dotarciu tam, gdzie chcesz dotrzeć, i odnalezieniu, czegokolwiek szukasz w granicach naszego księstwa.

Złodziejka podskórnie czuła, jak ton Rosy stopniowo podnosi się i traci zarówno swoje ciepło, jak i pewność.

– Jeżeli tylko zostaniesz z nami do czasu, aż Xander wróci.

Wypowiadając słowa „z nami”, kobieta subtelnie rozłożyła ręce, wskazując, że „my” to nie tylko ludzie z ratusza Crux, ale też cały przepych śnieżnobiałych ścian i egzotycznych kwiatów, których prawdopodobnie ze świecą szukać w prywatnych kaimiańskich hodowlach.

– Jak ci się to podoba? – Rosa złączyła dłonie na blacie. – Masz wybór. Możesz teraz opuścić ten budynek i czekać na Xandera, gdziekolwiek tylko zechcesz. W ramach prawa, oczywiście. Możesz również zostać z nami jako...

Alyn uniosła brew.

– ... zastaw?

– Użyłabym innego słowa – kobieta uśmiechnęła się samymi ustami. – Ale idea pozostaje ta sama. W drugim przypadku, kiedy tylko Książęcy Miecz wróci z wyprawy, a nie powinna zająć długo, możesz liczyć na pełne wsparcie miasta Crux podczas pobytu na Kaim.

Złodziejka po raz pierwszy spojrzała Rosie w oczy. Nie były szczerze i życzliwe jak oczy Kai, której wspomnienie wrzeszczało w stronę Alyn „nie rób tego!”. Nie były wspierające i przenikliwe jak oczy Toryna, które mówiły jej „zastanów się, siostra”.

Były doświadczone przez życie, które na zawsze pomieszało im pojęcia radości i smutku.

– Niech cię szlag, Toryn – westchnęła i dodała pełnym głosem – dobrze, Roso, zgadzam się. Ale chętnie poznam szczegóły waszej umowy z... Xanderem. I tego, co komu wieszczysz.

Rosa zaśmiała się, tym razem również oczami.

– W takim razie zapraszam do gabinetu burmistrza, za moimi plecami. Znajdziemy czas na wszystko.

Alyn wstała i obesła biurko. Gdy minęła krzesło kobiety, usłyszała za sobą jej głos.

– Gdy tam wejdiesz, bądź sobą od razu. Nie czekaj na odpowiedni moment.

Zbliżając się do przejścia, złodziejka zauważyła na podłodze mieniącą się srebrną wstążkę, która wiodła do pomieszczenia przed nią. Był to ów łańcuszek przyczepiony do obróżki Rosy. Gdy uzmysłowiła sobie wagę swojego odkrycia, Alyn poczuła, jak jej serce zatrzymuje się na chwilę. Ale nie było już odwrotu. Zaryzykowała i los właśnie miał powiedzieć „sprawdzam”.

*

Nie tak wyobrażała sobie gabinet burmistrza. Nawet w najmniejszym stopniu.

Gdy stanęła po drugiej stronie, jej oczom ukazała się przestronna, okrągła sala o wysokim, ukrytym w cieniu sklepieniu. Centrum jej kamiennej podłogi było matowoczarne i miało kształt koła. Biały okrąg wokół niego sięgał ścian przepartych arkadami, które wiodły do niewidocznych w mroku przejść lub pomieszczeń. Wzrok Alyn podążył za nicią łańcuszka Rosy i padł na sześć krwistoczerwonych poduszek umieszczonych w równych odstępach pod przeciwległą ścianą. Na pięciu z nich leżały lub siedziały młode kobiety. Patrzyły na nią z zainteresowaniem – odziane jedynie w luźne, półprzezroczyste skrawki materiału. Na szyi każdej z nich zaciśnięta była gruba metalowa obręcz, do nich zaś przymocowano wiodące hen ku górze ciężkie metalowe łańcuchy. Złodziejka powiodła wzrokiem wysoko, gdzie, na granicy światła i cienia, dojrzała szóstą kobietę. Dyndając i kurczowo trzymając się dłońmi ogniw, powoli opadała wraz ze swoim łańcuchem, aż wreszcie dotknęła stopami podłogi i klękła na pustym miejscu. Cała scena zdawała się dużo bardziej surrealistyczna niż cokolwiek, na co mógł ją przygotować dotychczasowy pobyt w Crux. Ale to nie była iluzja. Świadczył o tym twardy dowód bezlitosnej rzeczywistości w postaci ciężkiej kraty, która wisiała za jej plecami. Brona, niczym ostrze kata, trwała w cierpliwym przyczajeniu, w każdej chwili gotowa odgrodzić sobą powrót do gabinetu Rosy.

– Podejź.

Głęboki, wzmocniony echem głos dobył się z ciemności pod sufitem. Z miejsca, w którym łańcuchy, po trzy naraz, zbiegały się w potężnych dłoniach postaci widocznej jedynie jako sylwetka skryta w mroku. Wyglądało na to, że tajemniczy gospodarz przyjmował petentów ze swojego podwyższenia. Obserwował wszystko z góry, z balkonu wyciętego w zaokrąglonej ścianie pomiędzy wystającymi z niej dwoma białymi gargulcami.

Alyn zrobiła kilkanaście kroków do przodu. Zatrzymała się na wilgotnym skrawku podłogi. W zasięgu promieni światła, ale z dala od samego centrum. Pod nogami zauważyła gromadki wąskich, podłużnych otworów. Lekkim strumieniem spod podłogi wydobywało się z nich chłodne powietrze. Dziewczyna niemal fizycznie czuła na sobie wzrok wszystkich, którzy znajdowali się w sali.

Łańcuchy zadźwięczały cicho, gdy sylwetka burmistrza Crux – nie opuszczając cienia – pochyliła się nieznacznie.

– Gdy na ciebie patrzę, niemal mam nadzieję, że Xanderowi się nie powiedzie – zadudniło po kaimiańsku spod sufitu. Alyn wydawało się, że na dźwięk niskiego głosu gospodarza zadrżały ściany. – Powiedz, jak się nazywasz?

Złodziejka zagryzła wargę. „Alyn”. Powiedz po prostu „Alyn”, myślała, ale w odpowiedzi echo w jej głowie powtórzyło słowa Rosy. „Bądź sobą od razu”.

A, chuj.

– Kimkolwiek jesteś tam na górze – powiedziała po rowańsku w mrok i zrobiła nieznaczną przerwę na przełknięcie śliny przez guł wielkości pięści. – Z pewnością znasz już moje imię.

Obserwowała wielkie dłonie, które na dźwięk jej słów zacisnęły się na łańcuchach nieco mocniej. Dwie z kobiet zachichotały cicho, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. Reszta zajmowała się sobą albo dobrze udawała, że to robi. Toryn też by to tak rozegrał, przekonywała się Alyn.

– Być może je poznałem – głos burmistrza był wciąż zaskakująco łagodny. – Ale jesteś dziś dziewiątą osobą, która przede mną staje. I nie ostatnią. Dlatego, zanim przejdziemy dalej, przedstawiś mi się.

To nie była prośba. Ani rozkaz. To było stwierdzenie oczywistego faktu. Złodziejka westchnęła niesłyszalnie. Pierwsze pudło.

– Nazywam się Alyn. Pochodzę z Rowan.

– A więc, Alyn z Rowan, Rosa wyjaśniła ci twoje położenie i dała wybór. Zdecydowałaś się powierzyć swoją wolność i przyszłość Xanderowi z Kaim. Wybór godny wytrawnego hazardzisty. Jeżeli wróci z naszej małej wyprawy wojennej zwycięsko, nie będę szczędzić wam wygód. Jeżeli nie, zostaniesz tu ze mną. Na tak długo, jak tylko będziesz mi potrzebna. Jesteś albo bardzo odważna, albo lekkomyślna. Ale to dobrze, warto być w życiu choć trochę szalonym.

– Nie dam sobie założyć obroży.

Mężczyzna zaśmiał się gromko. Zawtórowały mu tym razem wszystkie niewolnice. Gdy echo jego głosu przetoczyło się przez salę i uleciało oknami pod sklepieniem, uniósł łańcuchy. Kobiety natychmiast stanęły na palcach z wykrzywionymi na bok głowami. W ich szyje wbijały się obroże, ale ani jedna nie wydała z siebie nawet dźwięku.

– Moja droga – powiedział. – Na ten przywilej trzeba sobie długo i ciężko zapracować.

Opuścił dłonie i niewolnice na powrót usiadły na swoich miejscach.

– Nandi.

Ta, która przed chwilą zjechała spod sufitu – piegowata, z jasnobrązowymi włosami spiętymi w kuc – wstała i opuściła głowę. Nadmiar jej łańcucha powoli został opuszczony na ziemię. Nie było go jednak na tyle dużo, by mogła swobodnie dotrzeć chociażby do wejścia biura Rosy.

– Wskaż Alyn jej kwaterę i zaopiekuj się nią – zażądał głos z mroku, a sylwetka jego właściciela cofnęła się głębiej. – Jest naszym gościem do odwołania.

Bezdušny chłód, który pojawił się w ostatnich słowach burmistrza, zaskoczył złodziejkę. I otrzeźwił. Nagle zdała sobie sprawę z nieobliczalnej natury jej rozmówcy. Przecież cały czas podskórnie wiedziała, że to był fatalny pomysł. Mówiło jej o tym od rana całe miasto.

*

Nandi pachniała cytrusami. Drobna, dziewczęca figura ukrywała jej prawdziwy wiek. Wyglądała na nastolatkę, tylko jej oczy – czujne i lekko podkrążone – zdradzały prawdę. Była starsza od Alyn. O niewiele,

ale jednak. Poruszała się zwinnie, na palcach. Wydawało się, że w pełni koncentruje się na każdym ruchu.

Do wtóru cichego odgłosu szurania łańcucha po kamieniu niewolnica zaprowadziła Alyn do jednej z ciemnych arkad. Tam, za kotarką, znajdował się niewielki pokoik. Albo cela, zależy, jak na to spojrzeć. Na podłodze rozłożony był puchaty, czarno-biały dywan, łóżko – drewniane – było przestronne i leżał na nim komplet pasującej do dywanu pościeli. Kilkanaście umieszczonych tuż pod sufitem otworów w ścianie, niewiele większych od pięści, wpuszczało do środka zaskakująco dużo popołudniowego światła. Alyn rozejrzała się i zarejestrowała jeszcze krzesło, skromny blat i niewielką komódkę w rogu, obok której stał zgrzebny parawan, który zasłaniał – jak się domyślała – odpływ nieczystości. Jej wzrok zatrzymał się na jedynym niepasującym elemencie wystroju – przytwierdzonym czterema solidnymi śrubami metalowym skoblu na ścianie tuż obok łóżka. I sporym zwoju przyczepionego doń łańcucha, który leżał na ziemi.

– Pan G. lubi jego gości bezpieczeństwo – powiedziała Nandi łamanym rowańskim, nie czekając na pytanie. – To jest jego sposób na zagwarantowanie im go.

– Nie rozumiem – złodziejka zmrużyła oczy. – Powiedział przecież...

– To nie jest na szyję, Alyn. Usiądź.

Z rosnącym niepokojem Alyn obserwowała, jak dziewczyna podnosi obręcz na końcu łańcucha i podchodzi do niej. Pozostała wyprostowana na nogach. Gotowa na wszystko.

– Zobacz, za ciasna na szyję jest. To idzie tu.

Nandi schyliła się i wskazała kostkę dziewczyny.

– Nie dam sobie tego założyć.

– Wtedy nie będziesz bezpieczna.

Alyn spojrzała w oczy niewolnicy, ale znalazła w nich tylko ciekawość pomieszana ze szczerą życzliwością. Miała ochotę się roześmiać. Oto właśnie dała sobie zrobić coś, do czego w Saahii nikt nigdy nie mógłby jej zmusić. Wsadzono ją do celi. Z całych sił, z całego serca pragnęła odnaleźć brata. I wylądowała w ciupie, podążywszy za szczerym przecuciem. Za słowami zakutego w tony stali łba, który nawet nie pokazał jej twarzy. Brawo.

Wzięła obręcz z dłoni Nandi i usiadła na łóżku. To nie mógł jeszcze być koniec wszystkiego.

– Opowiedz mi. Opowiedz o tym, co mi grozi.

Nandi otworzyła usta, ale nim wypowiedziała słowo, jej głową lekko szarpnęło pociągnięcie za łańcuch. Na moment zakrztusiła się powietrzem.

– Muszę iść – powiedziała szybko, cofając się w stronę kotarki. – Nie ma tu krat, ale bez smyczy pokazać się nie możesz. Nie możesz, po prostu.

– Moment! – Alyn niemal krzyknęła w przyływie mrozącego krew w żyłach olśnienia. – Kiedy Xander miał wrócić?!

Ale Nandi zniknęła już za zasłoną, a szuranie metalu o kamień oddaliło się. Moment potem od strony sali dobiegł głuchy głos burmistrza. Po chwili wahania Alyn podeszła do wejścia i odchyliła zasłonę. Centrum pomieszczenia zasłonięte było przez filar, ale wciąż była w stanie dojrzeć kolana kłęczącej kobiety.

Kolejna petentka?

Mówiła błagalnym tonem, ale do uszu Alyn nie docierały żadne składne słowa. Po części dlatego, że

mówiła lokalnym dialektem, a po części dlatego, że budowa całego pomieszczenia rozpraszała dźwięki i rozmieniała je na dziesiątki małych ech. To nie była ta młoda z ławki. Tembr jej głosu wskazywał na to, że była już w sile wieku. Gdy skończyła mówić, a po zimnych ścianach niesło się już tylko jej ciche łkanie, głos zabrał burmistrz. Powiedział tylko jedno słowo, a kobieta podniosła się i wyprostowała. Na widok tego, co stało się w następnej chwili, Alyn prawie się zakrztusiła.

W sali rozległ się krótki świst, a odbite światło na mgnienie oka rozświetliło ostrze oszczepu, który z ogromną mocą runął z góry i wbił się w ciało kobiety. Ta, niesiona czystą energią włożoną w rzut, zniknęła z łodzi z oczu, ale fakt, że nawet nie jęknęła, mógł oznaczać tylko jedno – umarła, jeszcze zanim jej plecy dotknęły podłogi.

– Kurwa – szepnęła Alyn. – Kurwa, kurwa, kurwa mać.

Już miała cofnąć się do swojej celi, gdy jej wzrok przykuł ruch po drugiej, skrytej w mroku stronie sali. Z arkad wyszło dwoje ludzi – jeszcze jedna kobieta oraz siwy, zgarbiony starzec. Oboje byli okutani w brunatne szaty i ciągnęli za sobą przyczepione do kostek łańcuchy. Całkowicie otumaniona rozwojem sytuacji Alyn patrzyła – a gdy zniknęli z jej pola widzenia, słuchała – jak ładują ciało na deski i odciągają je w kierunku jednego z ciemnych pomieszczeń wokół sali. Następnie mokrymi szmatami rozcieńczyli krew, by swobodnie spłynęła do wydrążonych w podłodze dziur.

Gdy cofnęła się wreszcie w głąb swojego pokoju, usiadła na łóżku, jak najdalej od wejścia. Zaobserwowała, jak jej ciało machinalnie podciąga kolana pod brodę i obejmuje rękami nogi. Jak opiera się plecami o zimną ścianę. Jak jej wzrok zachodzi mgłą i szuka na ścianie okratowanego z zewnątrz okna o zmurszałej framudze i przeżartych przez korniki okiennicach, przez które zawsze, dzień w dzień, cichym świstem zakrada się do środka zimne powietrze. Jak zaczyna oddychać szybciej, niż powinna.

Z transu wyrwał ją cichy pisk. Tuż nad nią. Dobywał się z jednego z wydrążonych w ścianie otworów, którymi dostawało się do środka światło. Pisk i sapanie. Wstrzymała oddech.

– Piesku?! Hafnir? Hafnir!

Alyn poderwała się z miejsca i zaczęła gorączkowo rozglądać się za czymś, co pozwoliłoby jej dostać się wyżej. Do skomlenia dołączyło drapanie pazurków, które pojawiły się na chwilę w głębi otworu. Krzesło na materacu łóżka. Nie było nic więcej, musiało wystarczyć. Gdy jednak wspięła się pospiesznie na rozhuśtaną konstrukcję i wsunęła dłoń w ciasny otwór, Alyn zdała sobie sprawę, że nikogo ani niczego tam nie ma. A jeżeli był, to co najwyżej zbłąkany podmuch wiatru i nadgorliwy szczur.

Usiadła z powrotem na brzegu łóżka, czując, że jest na krawędzi. Jeszcze moment i zapadnie się głęboko w sobie, do miejsca, z którego przez długi czas nie było odwrotu. Pamiętała to miejsce, choć z całego serca nie chciała. Odetchnęła głęboko i zaprzęгла umysł do wytężonej pracy. Po kilku chwilach zadumy wstała i wykonała kilka kroków w tę i z powrotem. W końcu znów usiadła, wzięła do ręki wciąż luźną obręcz na końcu łańcucha. Obróciła zawieszoną na niej kłódkę i... roześmiała się na głos.

*

Myślała, że będzie gorzej. Metal był zimny, a obręcz odrobinę zbyt szeroka, ale nie ocierała jej stopy, gdy szła. Kłódka zatrzasnęła się sama z cichym szcękaniem i spoczywała wygodnie na wysokości jej pięty.

Jedyne, co mogło jej przeszkadzać, to fakt, że ciągnący się za nią po podłodze łańcuch wydawał przeraźliwie zgrzytliwy dźwięk w pustej sali. Jakby taszczyła za sobą naręczce szorujących o kamień zakkańskich szabel. Czuła się podłe z taką klamrą na kostce, ale jeżeli to mogło „zapewnić jej bezpieczeństwo” w kontaktach z burmistrzem Crux, była gotowa na poświęcenie. Potrzebowała zwrócić jego uwagę... ale nie od razu.

Popołudniowe słońce już dawno przestało zaglądać do środka przez szpary pod sufitem, więc zatrzymała się na środku sali i stanęła przodem do skrytego w mroku fotela Pana G. Milcząc, rozejrzała się uważnie. Palce jej dłoni mimowolnie zakreślały drobne okręgi w zgięciu prawego łokcia, w miejscu, gdzie pod materiałem wyrastała spora już, kopułkowata narośl. Cztery z poduszek niewolnic były puste, łańcuchy dwóch pozostałych zwisały swobodnie spod sklepienia. Obie, w tym Nandi, patrzyły na nią z zaciekawieniem. Nigdzie nie było widać potężnych dłoni burmistrza, a krata spoczywała na ziemi, zamieniając pomieszczenie w rodzaj nadzwyczaj przestronnego aresztu.

Korzystając z okazji, Alyn omiotła wzrokiem wszystkie ściany pomieszczenia – od podłogi po ciemność wysoko nad oknami. Nie były gładkie. Na całej ich wysokości architekci i rzeźbiarze poumieszczali kamienne bukraniony, maszkarony i festony przeróżnego sortu. Oprócz skulonych na obu zewnętrznych krawędziach balkonu Pana G. naliczyła jeszcze cztery sporych rozmiarów gargulce. Wszystko to miało najwyraźniej na celu nieco ożywić smutne pomieszczenie, które w przeciwnym wypadku trudno byłoby odróżnić od przerośniętego szybu studni. Ich natłok i sposób rozmieszczenia, skonstratowała Alyn, sprawiały wrażenie bardziej studium kreatywnego chaosu niż przemyślanego działania. Ale dzięki temu mogły się okazać użyteczne.

Stała w bezruchu długo, aż łańcuchy kobiet wreszcie poruszyły się. Salę wypełniło echo głębokiego basu.

– Masz tupet, dziewczyno.

Czując, jak przyspiesza jej serce, złodziejka wpatrzyła się wysoko w górę, w sylwetkę tajemniczego mężczyzny. Szukała wzrokiem jego dłoni... lub tego, co mogły dzierżyć. Poczowała ulgę, gdy obie pojawiły się na swym zwyczajowym miejscu.

– Ale widzę też, że szybko się uczysz – lewa dłoń wyprostowała palec wskazujący i wycelowała go w jej kierunku. – Oby więcej takich gości w tym ratuszu. W czym mogę ci pomóc, złodziejko?

– Chciałabym... – chrząknęła. – Jako że los Xandera jest mi drogi, chciałabym otrzymywać codziennie wieści na temat postępów jego wyprawy. Pragnę również przestudiować aktualną mapę Kaim, a w dniu mojego... pożegnania, aby czekał na mnie...

Pan G. przerwał jej gestem. Jego dłonie cofnęły się w mrok, z którego, Alyn dałaby głowę, dobiegł szmer szeptów. Następnie z ciemności wysoko nad ziemią wyłoniły się długie nogi, a następnie okrągłe biodra, brzuch i wreszcie reszta ciała jednej z dziewczyn, która powoli zjechała na łańcuchu na sam dół. Podobnie jak Alyn miała niedługie rude włosy. Była młodziutka.

Niewolnica uklękła na swojej poduszce i nie podnosząc wzroku, zwróciła się do stojącej w oddaleniu dziewczyny:

– Pani środkiem transportu zajmie się osobisty stajenny burmistrza. Dołożymy wszelkich starań, by nie miała pani powodów do narzekania.

Szkoli ją, pomyślała Alyn. Ciekawe, czy jego zabawka w nagrodę dostanie cukierka.

Gdy dziewczę zamilkło, złodziejka uznała, że nic więcej nie działa i skłoniła się nieznacznie. Następnie, cały czas lustrując kątem oka okolice dłoni burmistrza, ruszyła z powrotem do swojej celi. Ugrała, co się dało, i wyszła z tego żywa.

Resztę popołudnia i wieczór spędziła na łóżku. Co jakiś czas stawała na gibającym się krześle, by posłuchać odgłosów i zajrzeć do dziury w ścianie, ale z każdą upływającą chwilą coraz bardziej przekonywała się, że padła ofiarą halucynacji. To był dziwny kraj. Dziwny, ale w bardzo niepokojący sposób. Czuła, że mimo swej niewątpliwej urody Kaim podstępnie wysysa z niej życie.

Po zapadnięciu zmroku do pokoju weszła Rosa. Przyniosła kolację w drewnianej zastawie, zapytała, czy wszystko w porządku, i poprosiła o cierpliwość w związku z prośbą o mapę kraju. Doskonale – Alyn musiała jej przyznać – udawała troskę.

Po jej wyjściu złodziejka błyskawicznie pochłonęła aromatyczny ryż z jajkiem i popiła wodą. Kilka frustrujących chwil zajęło jej wygodne ułożenie nogi i łańcucha na łóżku. Nim zapadła w sen kilkakrotnie obróciła w dłoniach naczynia: miskę, czarkę i tępy drewniany widelec. Jediną krzywdą, jaką można było nimi komukolwiek wyrządzić była ta z gatunku moralnych. A i na to niespecjalnie miała pomysł. Gdy jej świadomość odpływała w czerń nocy, ostatnim szeptem dała jej do zrozumienia, że coś, co powiedział dziś Pan G., się nie zgadzało. Coś ulotnego.

Jak słowo.

*

– Kai? Co robisz?

– Próbuję zatkać... tę cholerną... okiennicę.

– Ej, bądźcie cicho tam.

– Ty bądź cicho, Lucie. Mam łóżko najbliżej okna i ciągnie mi po plecach. Chcesz się zamienić?

Noc była zimniejsza niż wszystkie, które zapadły nad sierocińcem od wiosny. Niezmordowany wiatr uderzał w mury budynku i przeciskał się z cichym świstem przez szpary przy framudze jedyne okna w sali. Szept Alyn nie był w stanie go zagłuszyć.

– Czym ty chcesz to zatkać w ogóle?

– Skarpetkami.

– Pójdiesz spać boszo? Czyś ty zwariowała?

– Alyn, albo to zrobię i będzie mi zimno w stopy, albo zamarznię w skarpetkach. Jeżeli to coś da, to wszystkie skorzystacie, więc daj mi...

– Cicho! Słyszycie?

Alyn nadstawiła ucha, Kai zamarła na stojąco. Z początku salę wypełniał jedynie zniechęcony świst przeciągu, ale potem je usłyszały. Człapiące, nieregularne kroki na korytarzu. Na ich dźwięk Kai natychmiast wróciła do łóżka i wślizgnęła się z powrotem pod kołdrę. Sprężyny zatrzeszczały tak głośno, że równie dobrze mogłaby stanąć na środku sali i odtrąbić hymn na cześć rodziny książęcej.

– Pijany – szepnęła Lucie z końca pokoju.

– I to w sztok – zawtórowała jej Anais, po czym, swoim zwyczajem, odetchnęła głośno.

Dziewczyny z sali numer pięć określały stopień upojenia alkoholowego doktora Malcolma bezbłędnie nawet przez ścianę. Wystarczył dźwięk jego kroków. Dziś doktor – kazał się tak nazywać, pomimo że wszyscy wiedzieli, iż odbył służbę w armii księżęcej wyłącznie jako pielęgniarz – nie żałował sobie. A to zwykle dla którejś z dziewcząt na piętrze kończyło się nieprzyjemnie.

– Idź dalej, idź dalej... – nawoływała szeptem Lucie.

W szparze pod drzwiami zamigotało pomarańczowe światło lampy naftowej, ale tylko na moment. Malcolm minął ich salę. I gdy wydawało się, że zagrożenie minęło, zatrzymał się o dwa kroki dalej. Grube drewno drzwi nie wystarczyło, by stłumić odgłos jego świszcząco-charkoczącego oddechu. Wszystkie cztery dziewczęta wstrzymały powietrze w płucach, gdy naparł na klamkę i pchnął skrzydło do przodu. Nikłe światło lampy wystarczyło, by wyciągnąć z mroku najmniej przyjemne szczegóły jego atrybutów fizycznych: wysoką, chudą sylwetkę, żylaste i węzłowate, ale silne ramiona oraz odstające strąki przetłuszczonych włosów na łysiejacej połaci pomarszczonej głowy. Wszedł do sali bez słowa.

Każda z dziewcząt miała już z nim do czynienia. Czy to wtedy, gdy podczas rutynowej kontroli jamy ustnej niby mimochodem kładł swą dłoń na ich piersiach. Czy gdy udając brak zainteresowania, przyglądał się, jak rozbierały się do „badań postawy”, na które zapraszał żeńską część wychowanków sierocińca znacznie częściej niż męską. Czasem, jak dziś, przychodził pijany. Siadał wtedy na łóżku wybranej dziewczyny i, zionąc winem, opowiadał jej sprośne historie małżeńskie, a jego ręka nurkowała pod pierzynę. Jeden jedyny raz postawiła mu się Gertie z „czwórki”, gdy za cel obrał sobie małą Fran. Gertie była całkiem spora i silna, jak na swój wiek, ale wystarczył pojedynczy cios na odlew otwartą dłonią, by zatoczyła się, upadła i rozbiła głowę o ramę łóżka. Na resztę nocy straciła wówczas przytomność. Na resztę życia – skromne resztki urody i słuch w prawym uchu. W obliczu nader biernego sprzeciwu siostry Klarysy Malcolm pozostawał bezkarny.

Tej nocy wiedział dokładnie, czego chciał. Podpierając się po drodze o ramę łóżka wstrzymującej z przerażenia oddech Lucie, przemierzył salę i zaszedł Kai od strony okna.

– Daj rękę – zachrypiał.

Na dźwięk jego głosu Alyn skuliła się w sobie i zadrżała. Nie była pewna, czy bardziej boi się o przyjaciółkę, czy o siebie.

– Daj rękę, powiedziałem!

Mężczyzna chwycił wiotką dłoń, która wychynęła spod kołdry i jednym ruchem wyszarpnął dziewczynę z łóżka na ziemię.

Kai zawyła. Zawtórowały jej jęk Lucie i szloch Anais. Alyn zacisnęła powieki i pięści, zwinęła się pod kołdrą w jeszcze mniejszą kulkę.

Kai...

– Wstawaj, idziemy.

Tego dnia doktor daleki był od swej normalnej namolności. Nie zagadywał, nie żartował rubasznie. Oczy wlepione miał w punkt gdzieś daleko, a z jego ust wydobywały się jedynie wyszczekiwane rozkazy. Jego inność przerażała i Alyn bała się jak nigdy. Jednocześnie jednak, czując niezdrową fascynację, obserwowała swoje reakcje z oddali. Jakby ta przestraszona, spocona mięsna kulka na łóżku w sali numer pięć była fascynującą krostą, czyrakiem, jakimś nieodmiennie śmierdzący ziemią i trutką na szczury Malcolm mógłby się

przyglądać przez szkło powiększające w swoim gabinecie. W tej chwili, z tej perspektywy, miała ochotę temu czyrakowi przypieprzyć.

Gdy otworzyła oczy, Malcolma i Kai słyhać było na korytarzu, oddalali się. Drzwi były otwarte. Jej przyjaciółka próbowała krzyknąć, ale doktor tłumiał jej głos. Pewnie ręką. Alyn opuściła stopy na ziemię i wstała. Przenikliwy chłód natychmiast opadł na jej wilgotną skórę, próbując zapędzić z powrotem pod pierzynę, ale znalazła w sobie wystarczający zapas motywacji, by zrobić krok, a po nim następny. Gdy znalazła się za progiem sali, gdzieś w głębi zrozumiała, że cokolwiek się stanie, nigdy już do niej nie wróci.

Podążyła za echem. Kroków, ochrypłych szczeknięć i tłumionego płaczu. W dół schodów. Jedno, dwa piętra, aż do piwnicy. Schodząc, bardziej słyszała, niż czuła, jak szczękają jej zęby.

Nie wiedziała, jak długo za nimi szła. Otrzeźwił ją migotliwy blask, który sączył się zza niedomkniętych drzwi na końcu długiego korytarza. Kai już nie była, ale słyhać było w oddali, jak ciężko oddycha, jak pociąga nosem. Czując ponowne ukłucie paraliżującego strachu, Alyn zmusiła się, by podejść. By nadstawić ucha. By – zmiłujcie się, bogowie – zajrzeć do środka.

Kai leżała na plecach na kozetce pod przeciwległą ścianą gabinetu. Miała unieruchomione nad głowę ciężkimi pasami ręce. Jej koszula nocna zadarta była pod szyję. Była niemal całkiem naga, na jej policzkach błyszczały łzy. Doktor Malcolm stał przed nią nieruchomo, tyłem do drzwi. Światło lampy pozostawionej przy wejściu wyłuskiwało z mroku jego napięte ścięgna, nabrzmiałe żyły i wystające kręgi. Wyglądał jak ludzki potwór, który tej nocy postanowił zaspokoić swój nigdy nie nasycony głód.

Rozczapierzone palce, czarna szczecina na nogach i plecach, nienaturalnie wystające zębra.

Potwór.

Alyn wślizgnęła się przez szparę do środka. Przełknęła ślinę.

Potwór.

Chwyliła rozgrzaną rączkę lampy. Ból natychmiast wycisnął jej z oczu łzy.

– Potwóóóóó!!!

Nie poznała swojego głosu, bo to nie ona krzyczała. To spocona, przestraszona mięsna kulka wzięła dwa kroki rozbiegu i z całej siły cisnęła lampą w plecy mężczyzny. Przy uderzeniu nafta rozprysła się promieniście i na sekundę płomień zgasł, pograżając pomieszczenie w głębokim półmroku. Zanim Malcolm zdążył zawyć z bólu, korpus lampy uderzył z hukiem o kamienną posadzkę. W tym właśnie miejscu żar narodził się ponownie i entuzjastycznie, natychmiast pochłaniając wszystko, czego dotknęło smakowite, płynne paliwo.

Słup ognia zapiszczał nieludzko, zaskwierczał i runął w kierunku regału z książkami i fiolkami. Gdy przewrócił kilka z tych ostatnich, żar huknął tryumfalnie i jął wgryzać się łakomie w drewno i papier. Liznął jeszcze nieśmiało drewniany strop.

Alyn osłoniła twarz od gorąca i dopadła do kozetki. Trzęsącymi się rękoma przymierzyła się do mocno zaciśniętych na nadgarstkach Kai pasów, ale bezskutecznie. Poczowała, że wzbierająca w niej panika już za moment będzie musiała znaleźć ujście i wtedy nie zrobi już, kurwa, nic.

– Tnij!

To Kai. Jej głos przebił się przez trzask drewna i śwąd ludzkiej pieczeni.

– Weź nóż i tnij!

Wzięła leżący obok nóż i zaczęła ciąć.

*

Leje. Pierwsza poranna myśl wlała się w jej świadomość jak strumień wody ściekający z dachu i uderzający o ziemię gdzieś obok jej okienka. Otworzyła oczy i spojrzała do góry. Na zewnątrz jaśniało niemrawo i leniwie. Wnętrze jej celi wciąż spowijał półmrok.

I dobrze.

Usiadła, rozmasowała spiętą obręczą kostkę i westchnęła. Nadchodzący poranek nie miał należeć do najłatwiejszych w jej życiu, ale jednocześnie czuła, jak tli się w niej motywacja. Determinacja, by wreszcie zacząć działać. By przewodzić, nie podążać. Nie podążać już nigdy.

Gdy usłyszała odgłosy porannej krzątanimy w sali za kotarą, wyszukała wzrokiem drewnianą miskę po wczorajszej kolacji.

Przygotowania zajęły jej pięć minut. Pewnie byłyby krótsze, gdyby nie zastygała co kilka chwil w bezruchu, nasłuchując w odgłosach ulewy odgłosów Hafnira.

Zdążyła w samą porę. W momencie, gdy Nandi odgarnęła zasłonę, by wejść, Alyn właśnie usiadła na łóżku.

– Dzień dobry – powiedziała niewolnica.

Weszła niepewnie, niemal wstydliwie. Przy piersi trzymała zapaloną świecę. Siostra Klarysa zwykła w ten sposób wizytować dziewczęta, pomyślała złodziejka. Dawno temu, w innym życiu.

Alyn nie poruszyła się.

– Dzień dobry.

Nie mogła sobie pozwolić na to, by nałożnica tajemniczego Pana G. o potężnych dłoniach i morderczych zapędach zauważyła, że coś jest nie tak. A przynajmniej nie zanim będzie za późno.

– Wszystko w porządku? Dobrze spałaś?

– A kto pyta? – Alyn uniosła nieznacznie głowę. – Burmistrz czy ty?

Wyraz twarzy Nandi zmienił się, ale złodziejka była zbyt daleko, by dojrzeć szczegóły bez szkiele. Te wisały jej swobodnie na szyi.

– Ja – odpowiedziała dziewczyna. – Ja pytam. Jeżeli myślisz, że bycie własnością czyjaś odziera cię z człowieczeństwa, to przykro mi, ale jest inaczej.

Dziewczyna podeszła do stolika przy łóżku i postawiła na nim świecę. Alyn wykorzystała ten moment, by nasunąć szkła na oczy.

– Słysząc było trzask – Nandi oparła dłonie o kolana i pochyliła się w stronę złodziejki w geście dobrej opiekunki. – Na pewno wszystko dobrze?

Alyn zrobiła głęboki wdech i po raz ostatni zacisnęła trzęsące się dłonie w pięści.

Teraz.

Dopadła do niewolnicy i stanęła za nią. Jedną dłonią zatkała jej usta, a drugą przycisnęła do jej szyi poszarpaną, ale ostrą łupinę drewnianej miski.

– Nandi – Alyn powiedziała półszepem prosto w błyskawicznie poczerwieniałe ze strachu ucho dziewczyny. Mówiła szybko, by nie słyszać było szczękania jej własnych zębów. – Za chwilę ty i ja wyjdziemy stąd i staniemy razem przed Panem G. Zrozumiałas? Przytaknij.

„Nie zostawiaj im chwili do namysłu, nie pytaj ich o pogodę”, powiedział jej Toryn pewnego nadzwyczaj chłodnego wieczoru, który spędzali w „Szisyj nocnej”. „Mają podejmować najprostsze decyzje: tak albo nie. W najlepszym przypadku to ty masz je podejmować za nich, oni będą tylko obserwatorami swoich własnych reakcji”.

Nandi, całkiem spodziewanie, przytaknęła. Przeszła z nogi na nogę.

– No, już, swobodnie. Żadnych gwałtownych ruchów. Gotowa?

Niewolnica bynajmniej nie była gotowa, ale Alyn nie zamierzała czekać. Wiatr zadął w żagle. Przeszłość została za rufą.

Kiedy zauważyła, jak niewolnica ze strachem pomieszany z dezorientacją wpatruje się w zwój łańcucha, który powinien być na nodze Alyn, złodziejka jeszcze raz przysunęła usta do jej uszu.

– Okazuje się, że wasze kłódki to robota Zakkańczyka. Kojarzysz ten symbol z pięcioma okręgami w jednym większym? Zbiegiem okoliczności znam tego rzemieślnika i jego mechanizmy bardzo dobrze. A teraz ani słowa.

Alyn odgarnęła włosy Nandi i spędziła krótką chwilę, pracując nad kłódką przy obręczy na jej szyi. Wykorzystała luźny, odłupany przy pomocy nogi od łóżka metalowy element dekoracyjny, którego wcześniej użyła do otwarcia tej przy swojej kostce. Następnie chwyciła niewolnicę za kark i wypchnęła przed sobą z celi jak na targ. Natychmiast skierowała się ku ścianie, nad którą swój zwyczajowy „tron” miał burmistrz Crux. Gdy ją zauważyły, dziewczęta siedzące na poduszkach w niemym alarmie zaczęły nerwowo pociągać za swoje łańcuchy. Sałę wypełnił przenikliwy odgłos szczękającego metalu, a zaraz potem huk opadającej kraty.

Złodziejka zmusiła się, by zerknąć w górę. Właśnie dotarła wraz z Nandi do jej pustej poduszki, gdy z góry nadeszła odpowiedź.

– Niewdzięczna dziwko – na słabo oświetlonym gzymsie pojawiły się koniuszki palców Pana G. Spośród nich powoli wysunęła się obła tarcza jego głowy. Twarz miał skrytą w cieniu. – Myślisz, że moje suki możesz zastraszyć bólem? One żyją dla bólu. Patrz.

Głowa burmistrza cofnęła się, a jego potężne dłonie pewnym ruchem zgarnęły po trzy łańcuchy każda. Alyn zaczęła do ostatniej chwili i tuż przed tym, gdy ogniwa jednocześnie zajęły pod napięciem, a następnie gwałtownie poderwały niewolnice do góry, wyszarpnęła otwartą kłódkę z obręczy na szyi Nandi, uwolniła dziewczynę i ścisnęła łańcuch z całych sił ręką.

Nadgarstek złodziejki chrupnął nieprzyjemnie, a stłuczone biodro zakłuło ostrym bólem, gdy podłoga uciekła spod jej stóp tak nagle, jakby wraz z resztą budynku zapadła się w piekielną czeluść. Gdy potworna siła przestała ciągnąć łańcuchy i zawisły one wysoko w powietrzu, miała tylko moment na reakcję. Wykorzystując pęd, dwoma susami wspięła się po ogniwach wyżej, niemal na wysokość dłoni mężczyzny i odbiła w bok, na gzyms. Moment później, gdy łańcuchy napięły się z trzaskiem, a niewolnice zaczęły kaszleć i charczeć duszone przez wbijające się w ich szyje obręcze, Alyn przetaczała się właśnie przez zwieńczenie ściany. Tyłem w ciemność.

Nie widziała go, ale czuła i słyszała tuż obok. Miała nad nim moment przewagi. Był zaskoczony i nie mógł tak po prostu puścić swoich kobiet. Potrzebowała tej chwili, by jej wzrok zaczął się przyzwyczajać do mroku. Potykając się, podbiegła przed siebie, aż natrafiła na kolejną ścianę. Prawdziwy koniec sali. Nad nią, dużo bliżej niż wcześniej, ulewa rozbijała się z monotonnym echem o dach ratusza.

– Widzisz, złodziejko – jeżeli Pan G. był w jakimkolwiek stopniu zadziwiony jej wyczynem, nie dawał tego po sobie poznać. – Jeśli oswoisz ból, będzie ci on bliższy niż najlepszy przyjaciel.

Obróciła się, by spojrzeć na sylwetkę burmistrza, i z przerażeniem skonstatowała, że była bardzo blisko niego. Niemal w zasięgu jego potężnych ramion. Spodziewała się, że jest dobrze zbudowanym mężczyzną, ale nie że jest aż tak ogromny.

Kolejne słowa wypowiedział, odłożywszy ostrożnie łańcuchy i obróciwszy w jej stronę czerń twarzy.

– Spójrz na siebie, Alyn. Ile w tobie strachu, który nigdy nie został wypędzony. Nie ciężko ci z tym wszystkim? Z tym... cierpieniem?

Alyn w ostatniej chwili spostrzegła, że w dłoni Pana G. znikąd pojawił się smukły zarys oszczepu. Uchyliła się w ostatniej chwili – ostrze świsnęło tuż obok jej ucha i odbiło się od ściany za nią, kalecząc jej ramię.

Podniosła wzrok. Kolejny oszczep był już gotowy do rzutu.

– Niech napełni cię ból, niech wleje się w ciebie. Bo gdy zechcesz go przyjąć, na wszystko, co było złe i przez co cierpiałas, nie będzie już w tobie miejsca. Będziesz oczyszczona. To takie proste.

Tym razem rzuciła się wprzód i miała ogromne szczęście. Burmistrz celował na wysokość jej bioder – oszczep, który wyglądał w jego dłoniach jak zwykły belt, przefrunął z wizgiem tuż nad jej wyprostowanymi plecami. Iskra, która rozbłysła w chwili zetknięcia się metalu z kamieniem, na moment oświetliła przestrzeń wokół nich. Zapłonęła w wielkich oczach Pana G. jak złowroga obietnica.

Trzeci raz, pomyślała Alyn, podnosząc się, nie chybi.

– Zapytaj Nandi, gdy się z nią kolejny raz zobaczysz. Zapytaj Fionę, Larissę, Tayę, Hildi i Frances. Swoją drogą – mężczyzna stanął szeroko na nogach i wziął się pod boki – nie znajdziesz tu drzwi.

Złodziejka wyszukała pod dłonią na ziemi drzewce dopiero co ciśniętego oszczepu i zacisnęła na nim dłoń.

– Nie szukam drzwi.

Teraz albo nigdy.

Runęła ile sił w nogach z powrotem ku ziejącej przepaści sali audiencyjnej. Wykonała trzy susy tuż przy ścianie i gdy już miał się pod nią skończyć grunt, chwyciła dłonią łeb wystającego ukośnie ze ściany gargulca. Zawinęła się wokół niego i wylądowała na wąskim gzymsie przodem do muru, który szerokim okręgiem opasywał całe pomieszczenie. Z dala, przynajmniej na chwilę, od wzroku i rąk jego gospodarza.

W chwili, która nastąpiła – momencie całkowitego zatrzymania oddechu, serca i czasu wysoko nad ziemią – dwie zbłąkane krople rozbiły się o kamień tuż obok jej stóp. Nad nią, na wysokości dwóch stojących na palcach Alyn z Rowan, chłodnym powiewem i mdłą szarością porannego światła mamało okno. Było wysokie, o nieregularnym, rozszerzającym się w dół kształcie. Pod nim, tak jak pod każdym z okien wieży na tej

wysokości, jakiś nadgorliwy architekt umieścił maskarona. Ten konkretny miał postać wykrzywionej w grymasie rehotu twarzy młodego mężczyzny. Barda, sądząc z czapeczki udekorowanej misternie wyczelowanym kamiennym piórkiem.

– Alyn?!

Pierwszy raz w głosie Pana G. usłyszała coś poza zimną, niezachwianą pewnością siebie. Strach.

Albo podniecenie.

Złodziejka trzymała się w miejscu na słowo honoru. Wystarczyłby jeden mocniejszy powiew wiatru, by odkleić ją od ściany i strącić z gzymsu. Nie wiedziała, ile ma jeszcze w sobie zapasu szaleństwa wypierającego z jej umysłu grozę sytuacji, więc zacisnęła zęby i zaczęła działać. Gdy usłyszała, jak Pan G. zbliża się do gargulca z drugiej strony, wśliznęła się na jego skrzydlaty grzbiet, a następnie chwyciła oszczep mocno w obie dłonie i wybiła się do góry.

Z jej krtani wydobył się ryk – ni to rozpaczy, ni to agresji. Obie były jej w tym momencie potrzebne, by z całej siły wymierzyć trzonkiem prosto między krzywe zęby maskarona.

Trzasnęło przeraźliwie, a kilka drzazg z ogromną prędkością pofrunęło w kierunku jej policzka. Oszczep wygiął się w miejscu, w którym został wtłoczony w płytki, kamienny otwór, ale wytrzymał. Natychmiast chwyciła dłonią zimny czerep i zaparła się nogą o ścianę. Jej mięśnie zapaliły się żywym ogniem, gdy nadludzkim wysiłkiem, uważając, by nie przeważyć i nie złamać nadwyreżonego trzonka, podciągnęła się do góry. Stała na nosie maskarona i podskoczyła resztką sił. Wczołgała się na parapet. Obejrzała się ostatni raz, a potem chłodne, wilgotne powietrze owiało jej mokre od potu ciało.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

*

Chatka przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Była mała, obskurna i już z zewnątrz śmierdziała grzybem. Sklecono ją całkiem solidnie, ale deski tworzące jej ściany dawno zdążyły zmurszeć, powyginać i popękać. Była mniejsza od szopy, ale jednocześnie przestronniejsza od typowej latryny. Ot, klitka znikąd w środku lasu. Alyn nie miała siły być wybredna. Przemoczona, zziębnięta i obolała potrzebowała suchego miejsca, by przeczekać ulewę i odpocząć. Wiszące na pojedynczym zawiasie drzwi były otwarte.

Przestąpiła próg. Cały wystrój wnętrza stanowiła licha drewniana ławka, która przylegała do dłuższej ściany. Jedyne okienko zasłonięte było do połowy okiennicą. Nie wahając się długo, złodziejka opadła na siedzisko w rogu klitki i odetchnęła głęboko. Zdjęła zaparowane szkła i odgarnęła z czoła mokre strąki włosów. Kurta, choć brudna i przemoczona, nie sprawiała jej takiego dyskomfortu jak ciężkie, workowate szarawary, które lepiły się do jej nóg na całej wysokości i wydawały z siebie wilgotne mlaśnięcia przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Podniosła się, by przyciskając przetarte naprędcę gogle do oczu, wyrzucić jeszcze raz przez okno. Zgubiła pogoń już dawno temu, a ponad szarymi chmurami słońce zapewne wdrapywało się właśnie na najwyższy punkt swej wędrówki. Ale nigdy nie zawadziło być ostrożnym, gdy za chwilę miało się paradować w gaciach. Nie zauważyła jednak niczego podejrzanego. Rozwiązała więc pasek na biodrach i nie bez trudu wygrzebała się z dolnej części garderoby. Wzięła spodnie w ręce. I wtedy nieopodal rozległ się cichy trzask i dźwięk szurania. Alyn zamarła.

Następne podobne dźwięki były głośniejsze. Bliższe. Złodziejka rzuciła szarawary w kąt, nałożyła na nos szkła i wychyliła się przez próg, ale nie była w stanie nikogo dojrzeć. Deszcz zdążył za to na nowo przyklepać jej włosy do głowy. Cofnęła się i rozejrzała. Problemem był fakt absolutnej absencji w chatce cokolwiek, czym mogłaby się w razie czego bronić. Za wyjątkiem brudnych, nasiąkniętych wodą spodni.

Nie było czasu sięgnąć nawet po nie, bo pojawili się nagle. Dwoje ludzi. Zmęczonych i przemoczonych do suchej nitki, stękających przy każdym kroku. Na jej widok – półnagiej, bosej i białoudej dziewczynie, która stała w progu zapomnianej przez bogów klatki w środku lasu – zakapturzony mężczyzna podtrzymujący kulającą kobietę stanął jak wryty. Być może to on ją poznał pierwszy, ale Alyn udało się szybciej otworzyć usta.

– Godryk?

– A-Alyn?

– Elena... Skąd wy... Co się stało? Jesteście ranni?

– Ona jest – mężczyzna wskazał okolice jej uda – Musimy to opatrzyć.

– Isztar, wchodźcie!

Złodziejka wypadła na zewnątrz, by zrobić miejsce. Gdy gramolili się do środka, nie umknęły jej uwadze małe miecze i sztylety przy ich pasach – atrybuty zapewne przydatne w pracy prywatnego kuriera, ale na pewno nie nieodzowne. Deszczowi nie udało się zmyć z nich świeżej jeszcze krwi.

Godryk zdjął słaniającą się Elenie płaszcz z pleców i pomógł ułożyć się na ławeczce.

– Sauna w środku lasu – zaśmiał się mężczyzna i uklęknął, po czym otworzył solidną skórzaną torbę. – Kto by pomyślał, nie?

Sauna, no tak, sarknęła w myślach Alyn.

– Pomożesz mi? Potrzymaj jej nogi, proszę.

Złodziejka wśliznęła się do środka i usiadła na krawędzi ławki. Położyła dłonie na piszczelach Eleny. Godryk rozpiął jej pas i powoli pociągnął w dół za szlufki skórzanych spodni. Gdy tylko odsłonił górną część jej lewego uda, źródło problemu – nabrzmiała, podłużna rana wyglądająca jak przerośnięta glista – wybuchło ciemną, błyszczącą czerwienią.

– Auuu! – jęknęła partnerka Godryka i poruszyła się niespokojnie. – Bodajby flaki swoje wysrał!

– Spokojnie, Li – mężczyzna zsunął jej spodnie do kolan, westchnął i zerknął na Alyn. – Zwierzoludzie. W Crux i innych miastach mówią na nich „kultyści”. Ale to żaden kult. Po prostu potwór z człowieka, tfu. Widziałaś ich?

Kurier wyszarpnął zza pasa manierkę i połał obficie udo Eleny, które z brunatnoczerwonego zrobiło się blad różowe. Z czarnej szczeliny sączyła się, rozrzedzając w wodzie, krew.

– Będziesz żyć, kochanie. Dziabnął cię relatywnie płytko. Pazurem, rozumiesz, Alyn? Dopadło nas trzech, jeden zbliżył się na długość ramienia... Ech, szaleństwo, kurwa.

Godryk wyciągnął z torby ciemną fiolkę i koszulę, którą zwinął w ciasny rulon.

– Dobra, Li – powiedział i odgarnął jej włosy z czoła. – Znasz procedurę.

Elena przytaknęła. W jej szeroko otwartych oczach nie widać było strachu. Prędkiej oczekiwanie połączone z rezygnacją. Kurier odkorkował zębami naczynie i bezceremonialnie wylał jego zawartość na ranę, która natychmiast spieniła się na różowo. Elena jęknęła raz, ale łąpała hausty powietrza i zaciskała oczy z bólu mocno i długo, w czasie gdy Godryk następnie przykładając opatrunek do rozcięcia, owijał go mocno szalikiem i wzmacniał paskiem ze spodni rannej.

W końcu pocałował wyczerpaną partnerkę w czoło, usiadł na podłodze i oparł się o ścianę. Przez chwilę wraz z Alyn wsłuchiwali się w deszcz i powoli uspakajający się oddech odpływającej w sen Eleny.

– Alyn... – Godryk po raz pierwszy, wydawało się, przyjrzał się dokładnie dziewczynie. – Dziś w Crux. To byłaś ty, prawda? Na dachu ratusza. Powiedz, że to ty.

– Tak – złodziejka nie potrafiła ukryć zaskoczenia. – To byłam ja.

– Od razu przypomniałaś mi się, jak wtedy, gdy skakałaś po masztach statku Szalonej Margo. Czy ty... uciekałaś z ratusza?

– To długa, świeża i do tego nieprzyjemna historia – westchnęła. – Ale śliskie od ptasiego gówna klepki na dachach tych ich wymuskanych kamienic dały mi się we znaki. Byłam zdyszana i mało się nie połamałam, gdy ledwo udało mi się przeskoczyć ten jeden przestrzał między budynkami.

Alyn pokręciła głową i zaczęła rozcierać sobie w dłoniach zmarzniętą stopę.

– Potem biegłam po prostu przed siebie, wzdłuż ulicy, tak długo jak pozwalała mi na to zabudowa. Niewiele z tego pamiętam, jeśli mam być szczerą. Spuścili za mną psy pościgowe. Zgubiłam je chyba dopiero, gdy przekroczyłam potok. Niewiele brakowało. O, masz swoje szaleństwo. To nie tylko kultysty. Cała ta wyspa ma nie po kolei w głowie.

Godryk uśmiechnął się smutno.

– My będziemy wracać do miasta. I to jeszcze dziś – powiedział, po czym przytknął na chwilę do ust Eleny manierkę z wodą i wyciągnął z torby zawiniątko z chlebem. – Noga Li musi się choć dzień podgoić, zanim wrócimy na szlak, a nie zostaniemy tutaj. Przydadzą się też specjały tamtejszego cyrulika. Często się.

Alyn przyjęła pajdkę i zorientowała się, że nie jadła ani nie piła nic od poprzedniego wieczoru. Żołądek nagle wydał się jej bezdennie pusty, aż poczuła zawroty głowy.

– Jakbyście spotkali po drodze... rycerza... – złodziejka zawahała się chwilę, ale w końcu machnęła ręką. – Nieważne, bzdury, jestem zmęczona. Ale zastanawiam rzeczywiście, co stara sauna robi pośrodku lasu. Może tu niedaleko gdzieś jest jakaś, nie wiem, posiadłość? Gospodarstwo czyjeś?

– Wątpię – odrzekł Godryk, żując – od ścieżki, którą szliśmy, a zaszliśmy dosyć daleko, nie odbijał żaden trakt ani nic innego. Żadnej przecinki, tylko drzewa, drzewa, drzewa. Jeżeli coś tu kiedyś było, zapewne zarosło już dawno w trzy dupy. Ale kto wie, może da radę coś wypatrzeć, jak się nieco przejaśni. Rozumiem, że nie w smak ci teraz powrót do miasta na noc?

Alyn uśmiechnęła się tylko i pokręciła głową. Nie zaszła dziś daleko, ale przynajmniej wykonała jakiś krok do przodu. Jutro od rana zamierzała iść przed siebie tak długo, aż padnie. Na razie potrzebowała odpoczynku.

*

Godryk i Elena wyruszyli jeszcze zanim zaczęło się ściemniać. Zostawili Alyn nieco chleba i dwa ogórki. Były mokre i kwaśne, ale nie zamierzała wybrzydzać. Ulewa w międzyczasie zelżała i zamieniła się w mżawkę, ale chłód, wilgoć i szorstkość szarawarów, które ani myślały przeschnąć przez cały ten czas, odstręczały złodziejkę od podjęcia dalszej drogi. Kurierzy wskazali jej, w którą stronę mniej więcej był północny wschód, a zatem i Góra Gigantów, ale nie wiedziała, jak daleka droga ją czeka do następnej możliwości noclegu. Las był wysoki i gęsty. Jedyna pociecha leżała w tym, że jak na późne popołudnie było stosunkowo ciepło.

Przed snem wyszła na zewnątrz nzbierać gałęzi. Były w przeważającej większości mokre i nie nadały się na ognisko. I tak nie miałyby zresztą czym go rozpalić. Zamiast tego poustawiała je w chatce oparte o ławkę, a następnie naznosiła na nie naręcze liści, czyniąc z konstrukcji smutny ekwiwalent namiotu, pod którym mogła się zmieścić ona sama i w zasadzie niewiele więcej. Ważne było to, że mógł zatrzymać nieco jej ciepła, zanim uleciało ku koronom drzew wraz z podmuchami wieczornego wiatru. Gdy się ściemniło, wśliznęła się do środka i przykryła nogi wciąż wilgotnymi spodniami.

Śnił się jej Żółw. Szedł w jej stronę wolno, stopniowo zdejmując hełm z głowy. Jego twarz była całkowicie biała. Jarzyła się ciepłym światłem. Potem była długa ciemność i przesywający chłód.

Obudził ją promień wschodzącego słońca. Przeniknął przez listowie, trafił przez okno, zmieścił się pomiędzy gałęziami prowizorycznego schronienia i padł wprost na jej powiekę. Nagły dreszcz, który wstrząsnął schłodzonym ciałem złodziejki, niemal powalił całą misterną konstrukcję, która zastukała i zaszeleściła nad jej głową. Alyn zakłęła bezgłośnie i, nie zmieniając pozycji, zaczęła delikatnie pocierać ramiona zgrabiałymi dłońmi, by wykrzesać z ruchu nieco ciepła. W pewnym momencie przerwała i nadstawiła ucha. Wydawało się jej, że w wybuchu drewniano-liściastej kakofonii zaplątał się jeszcze jeden odgłos. Delikatny, cichy, urwany. Obcy.

Chichot?

Alyn otworzyła szeroko oczy i wstrzymała oddech. Cisza. Poranek był piękny, zapowiadał ciepły, bezwietrzny dzień.

– Hejże! – krzyknęła nieco donośniej, niż się spodziewała. Jej głos poszybował po lesie i wrócił do niej dziesiątkiem ech. Odpowiedział jej...

Tak, to z pewnością był chichot.

Złodziejka nałożyła szkła i wysunęła się ostrożnie spod ławki, nogami do przodu. Bezpośrednio za drzwiami nikogo nie było. Podniosła się i, chuchnęła w palce. Sięgnęła po grubszą gałąź. Przystąpiła próg i niemal podskoczyła, gdy po jej prawej, przy ziemi, coś się ruszyło.

Oczy Alyn padły najpierw na kaskadę jasnych kręconych włosów, pomiędzy których wystawało niesfornie kilka podeschniętych liści. Opływały ubraną w zwiewne giezło kobietę, która zatykała sobie usta dłońią, wyraźnie czymś rozbawiona. Być może widokiem białych nóg Alyn, być może tym, że kucając, beztrudno oddawała właśnie mocz na listowie. Duże śmiejące się oczy skierowała na złodziejkę, a palce na ustach ułożyła w gest „nie mów nikomu”. Zaskoczona niecodziennym widokiem złodziejka absolutnie nie zamierzała wydawać z siebie nawet najmniejszego odgłosu.

Ciszę poranka jeszcze przez chwilę burzył odgłos zraszanego listowia, po czym dziewczyna wstała, poprawiła się i przeciągnęła.

– Chodź – powiedziała z promiennym uśmiechem. Rzekłbyś: zalotnie – No, chodź.

Nieznajoma wykonała radosny piruet, zapraszająco skinęła głową i ruszyła zwiewnie przed siebie, w głąb lasu.

O nie, ta bajka nigdy nie kończy się dobrze, pomyślała Alyn. Uszczypnęła się na wszelki wypadek w póldupek, by sprawdzić, czy przypadkiem wciąż jeszcze nie śpi, ale ból nie pozostawiał wątpliwości. Od kiedy postawiła nogę na Kaim, przyciągnęła do siebie cały zastęp dziwnych typów i jeszcze dziwniejszych zdarzeń.

Odprawdzając wzrokiem nieznajomą, pomacała stłuczone biodro i pomasaowała spuchnięty nadgarstek. Jej passa nie wyglądała zbyt dobrze i zdecydowanie przydałby się jej dzień odpoczynku od wrażeń. Może dwa. Dwa dni leżenia do góry brzuchem i wcinania słodkich owoców u Kai. Isztar, niech będzie tydzień. To będzie jej nagroda. Znaleźć Toryna, złoić mu dupę i odpocząć przy dzbanku wina.

Alyn otrzeźwiała tuż przed tym, jak leśna niewiasta miała zniknąć za gałęziami krzewu. Nieznajoma zatrzymała się i odwróciła głowę, by spojrzeć na Alyn. Tym razem niemo, choć z nieustającym uśmiechem na

ustach. Złodziejka gotowa była założyć się jednak, że oczy kobiety już nie były tak rozbawione. Nagle poczuła, jak piecze ją zaczerwienienie w zgięciu łokcia.

– Chodź – rozległ się szept poruszonych porannym wiatrem liści.

Chodź.

*

– Gdzie mnie ciągniesz, puszczaj już!

– No, chodź! Już niedaleko.

– Toryn!

Maszerowali tak już z dziesięć minut. Ulice miasta zostały daleko w tyle. Leśną przestrzeń wypełniał delikatny szum kropel spadających na ziemię po deszczu. Mokre liście lepiły się do ich butów. Już za parę chwil zaczną parować.

Toryn szedł przodem, trzymał Alyn za nadgarstek. Siostra ledwo dotrzymywała mu kroku, ale zacisnęła zęby. Dobrze wiedziała, o co chodziło. Liczyła skrupulatnie dni, tak jak on. Dziś były jej urodziny. Gdy wydawało się jej, że wyprawa nigdy się nie skończy, wypadli na niewielką polankę, którą przecinał urokliwy, sennie ciurkający po łysych kamieniach strumyk. Woda zabłyszczała pomarańczowymi refleksami, gdy zza chmur po raz pierwszy od kilku dni wyłoniło się słońce. Nie mogło wybrać lepszego momentu.

Chłopiec nabrał chłodnej wody w manierkę i podał Alyn, która duszkiem wypijała zawartość. Usiadł na głazie, odchylił się i pomachał w powietrzu stopami, jakby znów miał osiem lat, a nie osiemnaście.

– No, to jesteśmy – oznajmił z szelmowskim uśmiechem.

Niezbita z pantafelki dziewczyna wzruszyła ramionami. Skoro tak mu się spieszyło, pomyślała, niech powalczy o uznanie. Odrzuciła mu puste naczynie, przeczesła włosy na spoconym czole i założyła ręce na piersiach.

– No ładnie tu, ładnie – powiedziała bez krzty entuzjazmu.

Zaśmiała się w duchu, widząc, jak brwi Toryna nieznacznie powędrowały ku sobie. Jej fortel przynosił skutek.

– Uch, no dobra już – naburmuszył się brat.

Jeżeli chodzi o przekomarzanie się, już dawno udowodniła mu, kto jest w rodzinie górą.

– Stój tam.

Toryn obrócił się na tyłku i schylił po coś, co znajdowało się pod jego nogami. Gdy na powrót spojrzął siostrze w oczy, uśmiechał się od ucha do ucha. W rękach trzymał pięć soczystych, pomarańczowych gruszek.

Na ich widok Alyn aż zabolalo pod językiem. Nie jedli gruszek od bardzo dawna.

– W dniu twoich piętnastych urodzin... – ton głosu młodzieńca jednoznacznie dawał do zrozumienia, że odzyskał rezon. Ba, tryskał nim na lewo i prawo, a po każdej pauzie rzucał owoc siostrze. – Niech cię bogowie ulicy... kamienicy... i piwnicy... obsypią złotem... teraz lub potem! Po jednej na trzy lata życia.

Dziewczyna z trudem złapała i utrzymała w rękach obie ostatnie gruszki, po czym przytuliła cztery z nich ręką i odrzuciła jedną bratu.

– To ja od dziś starzeję się w drugą stronę – mrugnęła do niego. – Dziękuję, Toryn.

Przez krótką, magiczną chwilę oboje napawali się ulotną słodyczą owoców. Przy pieczonych zdobycznych ziemniakach i podwędzanych nocami marchewkach były to prawdziwe frykasy.

Pochłonęli je błyskawicznie. Zanim Alyn zdążyła łączyć spojrzenie na pozostałe trzy gruszki, Toryn zeskoczył na ziemię, podszedł do niej i wyciągnął dłoń. Na jej wierzchu błyszczało ostrze niewielkiego kozika. Nożyk miał ciemnobrązową rękojeść i krótką głównię z płaskim sztychem. Był nowy.

– A to twój prawdziwy prezent.

Alyn wstrzymała oddech. Toryn musiał albo go ukraść, albo wydać na niego wszystkie oszczędności. Nie miała pojęcia, jak zrobił to i jednocześnie zdobył gruszki. Niewątpliwie cieszył się z okazji i pałał dumą ze swojego podarunku, ale mimo to jego oczy zdradzały, że gdzieś tam pod spodem kryje się starannie skrywany smutek. Nie za pieniędzmi, które wydał albo przysługami, które obiecał. Wiedziała, co tak naprawdę oznacza ten prezent, jaką zwiastuje jej przyszłość. Nożyk przeznaczony był do błyskawicznego cięcia sznurów, rzemieni i skóry. Sam miał przecież podobny, wytarty już i przytępiony.

– Od dziś będziesz...

– ... prawdziwą złodziejką – dokończyła Alyn, nie dając szansy mu się rozkleić.

Czekała na to, od kiedy znów zostali sami po pożarze sierocińca. Toryn, Alyn i Kai, dzieciaki z Rowan żyjące z dnia na dzień. Sprytem lub na koszt innych, ale do tej pory to Toryn odpowiedzialny był za najzuchwalsze z kradzieży. Choć był w nich przerażająco skuteczny, wciąż nie wystarczały do tego, by ich wszystkich godziwie i regularnie żywić. Ryzyko wpadki było wysokie, kary w księstwie surowe. Żadne z nich nie zamierzało jednak już nigdy nawet spojrzeć na drzwi sierocińca.

Teraz Alyn patrzyła na brata i dostrzegała w każdym jego geście, jak trudno było mu się pogodzić z utratą siostrzyczki na rzecz partnerki.

Nie mogła się mimo to powstrzymać przed tym, by się uśmiechnąć.

*

Alyn nie zdążyła się na dobre rozgrzać marszem śladami nieznajomej i jednostronną walką z drapiącymi w biodra szarawarami, gdy w oddali zajaśniała przecinka. Pierwsze, co zauważyła, gdy wyszła ze ściany lasu, to solidny, ociosany pniak. Na nim w niewielkim kleksie krwi leżała bezgłowa kura przybita do drewna przez skrzydło siekiera. Na klepisku wokół leżały rozsypane pióra. Tło tej groteskowej sceny stanowiła solidna chata z ciemnego drewna. Strzecha na jej spadzistym dachu była stara, przegniła i świeciła dziurami. Woda wciąż leniwie skapywała z niej na ziemię, gromadząc się w podłużnych kałużach.

Gospodarstwo wyglądało nie tylko staro, ale i niezwykle staroświecko. Nie przypominało niczego, co złodziejka widziała do tej pory na Kaim, a i w Rowan trzeba by zapuścić się w najdalsze prowincje, by trafić na biedne wsie o podobnej architekturze. Po jednej stronie budynku widniała wyraźnie nadgryziona zębem czasu cembrowina studni wraz z beczką i wiadrem. Po drugiej samotnie stała drewniana komórka – wtapiała się jednym rogiem w podmokły grunt i była przekrzywiona względem pionu.

Nagromadzenie rzeczy będących pozornie nie na swoim miejscu sprawiło, że Alyn poczuła się bardziej niekomfortowo, niż gdyby od stóp do głów ubrana była w same mokre nogawki zakkańskich spodni.

W nocy, pomyślała, musiało tu być przerażająco.

Drzwi komórki otwały się i wypuściły z siebie pęk kręconych włosów i podążającą przed nim resztę dziewczyny z lasu. Do piersi przyciskała kilka suchych drewnianych szczap. Na widok Alyn uśmiechnęła się.

– Darz, Lado! Podejdźże a rozgość się, ślicznotko! Zaparzę czaju!

Nieznajoma krzyknęła z oddali kaimiańskim dialektem i machnąwszy ręką w stronę Alyn. Następnie przemierzyła zwiewnie podwórze i zniknęła w drzwiach chaty.

Złodziejka sięgnęła pamięcią głęboko wstecz, ale nie przypominała sobie, by ktokolwiek kiedykolwiek zwrócił się do niej słowem „ślicznotko”. A na pewno nie ktoś, kto na oko wyglądał na tyle lat, co ona sama.

Z niewiadomych powodów poczuła, że jej się to podoba. A przynajmniej wreszcie zrobiło się jej nieco cieplej.

– Głodnaś? – zapytała nieznajoma, która pojawiła się na powrót w progu i wyciągnęła w stronę Alyn dłoń, w której dzierżyła pęto soczyscie wyglądającej wędliny. Ni to zapraszająco, ni to nęcąco. Szeroki uśmiech nie schodził z jej twarzy. – Pewnie, żeś głodna! Chodźże na śniadanie! Mam smalczyk, że palce lizać!

Głęboki, długi pomruk, który wydobył się z głębi trzewi złodziejki dał jej jednoznacznie do zrozumienia, że dziwy dziwami, strach strachem, ale jeść, kurwa, trzeba. I to natychmiast.

Alyn wyprostowała się i skierowała ku wejściu do chaty. Tym razem szła pewnym krokiem, przed nią po ziemi snuł się nieśmiały cień jej sylwetki, zwiastun parnego popołudnia.

Wnętrze przywitało ją zapachem zmęczonej, starej słomy, ale także przyjemnym chłodem. Chałupa była uboga, ale urządzona schludnie. Stare meble, które z pewnością widziały dużo bardziej wystawne domostwa, przeżyły się dostojnie, prezentując swe nienaganne kształty. Większość z nich pokryta była warstwą kurzu, choć na części widać było łyse placki – świadectwa niedawnego pobytu wazonu, kielicha, obrazka...

„Dobrą stroną życia w biedzie jest to, że nie trzeba się bać złodziei”, pomyślała Alyn i uśmiechnęła się do słów Kai z innego czasu, innego miejsca.

Przemierzając niespiesznie sień, złodziejka skonstatowała, że nigdzie nie ma męskich ubrań. Ani żadnego z innych znaków, które zdradzałyby fakt opieki mężczyzny nad gospodarstwem. Jej myśli szybko rozwiały się jednak na widok śniadania, którego zapach, zdawało się, chwycił ją za rękę i już nie puścił.

Świeży, chrupiący chleb, smalec, soczysta kielbasa. Kubek parującego czaju. Nie jadła prawdziwego śniadania od... miesiąca?

– Jedz – gest długowłosej dziewczyny był taktownie zapraszający, jej uśmiech nie miał w sobie nic z porannego chichotu przy sikaniu. – Jedz, smacznego.

Alyn usiadła na krześle i wyczekawszy z trudem chwilę, którą zajęło jej naniesienie drżącą dłonią smarowidła na kromkę, zatopiła zęby w chlebie i kielbasie. Gospodyni patrzyła na nią z życzliwym rozbawieniem, skubiąc jadło to tu, to tam. Głównie uśmiechała się. Ładnie.

– Heloisa – powiedziała do Alyn w momencie, gdy ta przełknęła wreszcie srogą porcję i popiła gorzkim, ale orzeźwiającym naparem. – Tak mam na imię.

– Alyn. Uch, dziękuję ci za... to wszystko.

– Nie ma za co. Dobrej gospodyni Lada cuda czyni. Dawno nikogo nie gościłam. Oj, dawno...

Heloisa spojrzała na sufit, jakby liczyła w głowie lata, ale nie powiedziała nic więcej. Alyn wykorzystała to, by sumiennie i skrupulatnie dokończyć dzieła na stole. Śniadanie smakowało wybornie.

Gdy skończyła, odchyliła się na krześle, odetchnęła głęboko i pomasaowała brzuch, który zaczął właśnie protestować przeciwko temu nadmiarowi dobroci. Na czole poczuła kropelki potu po gorącym napitku. Na jakiś czas wystarczy, pomyślała i uśmiechnęła się do tej myśli.

Widząc to, dziewczyna z naprzeciwka mrugnęła do Alyn i wstała.

– Najedzona? Chodź.

Czując nieokreśloną chęć spełnienia życzenia nieznanym, złodziejka podniosła się. Podrapała się po nie dającym jej spokoju łokciu i podążyła za powiewającymi fałdami gieźła Heloisy z powrotem na zewnątrz. Tam stęsknione widoku ziemi słońce, które wreszcie zdarło z siebie chmurną kurtynę, natychmiast wylało na kobiety dzban przedpołudniowego żaru.

Alyn osłoniła wzrok dłonią i kątem oka zauważyła, że pod nadzwyczaj cienkim, prześwitującym w świetle ubraniem młoda gospodyni jest całkiem naga. Nie powinna była się gapić, ale od rysującej się pod materiałem sylwetki dziewczyny, wraz z pełnymi piersiami i krągłym tyłkiem, trudno było odwrócić wzrok. Jestem przy niej jak suchy konar, pomyślała złodziejka i spojrzała pobieżnie na swoje ściśnięte kurtą i zasłonięte szarawarami ciało. A ona jest piękna.

Kropelki potu na czole Alyn zaczęły się łączyć i spływać strużką w dół policzka.

Heloisa obróciła się i posłała w jej stronę kokieteryjny uśmiech. Alyn stwierdziła, że z niejasnych powodów bardzo podoba się jej to, że dziewczyna jest bosa.

– Bolało?

Złodziejka dostała gęziej skórki, gdy gospodyni, która nagle pojawiła się tuż przy niej, dotknęła jej przedramienia i przejechała palcem po ciemnych liniach marynarskiego tatuażu. Okolicę wypełnił intensywny zapach młodej kory i liści. Zanim doczekała się odpowiedzi, Heloisa odwróciła się i dała palcem znak Alyn.

– Chodź.

Podeszły do pnia, do którego przybita była martwa kura. Złodziejce jej widok wydał się karykaturalny, ale w jakiś sposób zupełnie nie dziwny. Jakby tym razem okazało się, że wszystko było jednak na swoim miejscu. Heloisa pochyliła się, wyszarpnęła ostrze z drewna i jednym ruchem zgarnęła truchło na ziemię. Na jej dłoni pozostała smuga zasychającej krwi.

– Alyn. Uklęknij i połóż tu głowę.

Głos dziewczyny z lasu był miły i kojący. Pachniała czystą naturą.

Choć ten fakt wzbudził gdzieś w głębi Alyn pewne zaskoczenie, posłuchała bez słowa.

Czując, jak wilgoć rozsmarowuje się na jej policzku, złodziejka otworzyła oczy i spojrzała przed siebie na świat przewrócony na bok. Na klucz ptaków nad lasem. Na kołysanie łaskotanych wiatrem koron drzew. Na krwawą dłoń Heloisy, która trzymała trzonek.

Choć łokieć piekł niemiłosiernie, czuła się dobrze. Mogłaby zostać tak na zawsze.

I wtedy potworny wrzask zakłócił błogi spokój przedpołudnia.

– *Ifrit vanghul kalim shaaa!*

Niosący słowa zakkańskiego zaklęcia żeński głos dobiegł z drugiego końca świata, głuchy i zniekształcony. Alyn dałaby sobie palce połamać, że mimo wszystko znajomy.

Momentalnie dołączył do niego drugi.

– *A! Abil pekke huurr!*

Przewrócony świat zadrżał. Dłoń Heloisy wykrzywiła się nienaturalnie, rozwarła i wypuściła siekierę. Dziewczyną wstrząsnął spazm bólu, a z jej krtani wydobył się tak przeraźliwy pisk, że Alyn natychmiast mimowolnie zatkała sobie wolne ucho dłonią. Chwilę potem na nowo poczuła ból brzucha. Oszołomiona podparła się ręką i wyprostowała, wciąż klęcząc. Przetarła oczy.

Zielonobłękitny jeszcze przed chwilą świat nagle stracił barwy. Zamiast lasu w oddali ujrzano szpaler suchych i spalonych pni. Kąśliwy wiatr wzbijał w powietrze duszącą chmurę popiołu.

Moment później wszystko wróciło do najlepszego porządku. Rozejrzała się. Tuż obok niej leżała nieruchomo Heloisa. Albo kobieta ubrana jak Heloisa – złodziejka nie widziała jej odwróconej i przykrytej pobielonymi włosami twarzy, ale sucha, spękana skóra dłoni i stóp – jakże inna od zdrowej jędrności, którą charakteryzowała się jeszcze przed chwilą, wskazywała na to, że coś jest nie tak.

Za sobą usłyszała kroki. Odwróciła się. W jej stronę szły dwie śniade kobiety.

– Zwiąż je – powiedziała Laetitia, a Shoa wyciągnęła zza pasa dwa zwoje liny.

ROZDZIAŁ ÓSMY

*

W kobietach, które pojawiły się na podwórzu niełatwo było dopatrzeć się rozbawionych tancerek z pokładu szkunera kapitan Margo. Długie, jasne włosy Laetitii, wyższej i starszej z artystek, zamiast spoczywać na ramionach grubymi pasmami splotów, sterczały w nieładzie na wszystkie strony. Jej blizna pod lewym okiem, wcześniej niemal niewidoczna pod makijażem, teraz miała formę nieładnej krwistej pręgi. Krótkowłosa Shoa, jeszcze kilka dni temu filuterna i zadziorna podczas tanecznego pokazu dla pasażerów i załogi, taksowała Alyn pogardliwie, głaszcząc dłonią rękojęść wciśniętego za pas sztyletu.

To było jednak niczym w porównaniu z ich tatuażami. Wszystkie misternie wysnute z niekończących się linii symbole, figury i słowa, całe bukiety niespotykanej, fantastycznej roślinności na ich palcach, przedramionach, szyjach, a zapewne i większych połaciach pleców, jarzyły się upiornym, białym blaskiem.

Alyn słyszała o nich legendy, bajki dla zakkańskich dzieci. O strasznych ludziach i ich złej aurze, która świeciła im w mroku pustynnej nocy. Ludziach bezwzględnych i zepsutych do szpiku kości.

Laetitia minęła Alyn bez słowa, kucnęła przy nieprzytomnej kobiecie, odgarnęła jej włosy z twarzy i chwyciła za brodę. Zamiast powabnej dziewczyny u jej stóp leżała staruszka o pomarszczonej, poplamionej rozległymi, brązowymi odbarwieniami skórze. Naginając do granicy możliwości swoją wyobraźnię, złodziejka była w stanie dojrzeć w niej starszą wersję chichoczącej gospodyni chatki, ale równie dobrze mogła być to zupełnie inna osoba.

– To ona? – zapytała partnerkę Shoa, nie spuszczać czujnego wzroku z Alyn.

– Tak.

Okolicę przeszył odgłos siarczystego uderzenia otwartą dłonią. Zawtórował mu przeciągły jęk bólu starej kobiety. Na jej zmęczonym wiekiem policzku momentalnie wyrosła czerwona opuchlizna. Laetitia rozmawiała palce, po czym z niesionej na ramieniu torby wyjęła srebrny łańcuch z obręczą na końcu. Alyn natychmiast skojarzyła go z niewolnicami ratusza Crux, ale podskórnym czuła, że ta konkretna niewola dla nikogo nie będzie miała niczego wspólnego z przyjemnością.

Wtedy do świadomości złodziejki przedarła się myśl. Wspomnienie.

– Służki Bakkusa... – szepnęła, przypomniawszy sobie nazwę dla kobiet z groteskowych baśni o jarzących się w ciemności ludziach pustyni.

Dzieci z kamienicy Kai śpiewały o nich na podwórku.

Służki Bakkusa, służki Bakkusa,

*Córki nocy na piasku,
Piękno i groza, piękno i groza,
Zatańczą w księżycu blasku.*

Shoa zmarszczyła brwi. Parujące tatuaże na jej ciele ostygły już niemal całkowicie, blady poblask był już niemal niewidoczny.

– A co z nią? – zapytała.

Laetitia zamocowała obręcz na szyi staruszki i szarpnęła. Z popękanych ust łże-Heloisy dobyło się suche ni to westchnięcie, ni to kaszel.

Tancerka wstała, owinęła łańcuch wokół przedramienia, otrzepała dłonie i wreszcie skierowała wzrok na Alyn. Westchnęła.

– Nie potrzebujemy usług złodziejki. Jako kobieta też nam do niczego nie potrzebna. Że też musiało cię tu przywiał, dziewczyno.

– Kurwa – syknęła Alyn, czując, jak w jej żyłach wzbiera krew. Zaciśnęła pięści i spięła mięśnie gotowa walczyć lub uciekać.

– Przykro mi, Alyn – Shoa podniosła dłoń, jej paznokcie na nowo rozblęły na biał.

– Poczekaj! – krzyknęła złodziejka, w której świadomości nagle wybuchła myśl, że od słów, które następnie wypowie, zależy to, czy opuści ten przeklęty las o własnych siłach. Wypuściła powietrze z długim westchnięciem. Intuicja podpowiadała jej, że mogła zagrać tylko jedną kartą. – Poznałam Xandera.

Krótkowłosa wiedźma skierowała pytająco wzrok na koleżankę. Ta powstrzymała ją gestem.

– Znasz Xandera z Kaim – oznajmiła Laetitia z powątpiewaniem. – Książęcy Miecz.

Alyn skinęła głową. Powoli i uważnie.

– Tego, który pół roku temu zniknął bez śladu na domniemanej zamorskiej ekspedycji. Tu go znalazłaś?

Złodziejka bardzo wolno podniosła dłonie i położyła je pod swoimi obojczykami w geście absolutnej szczerości. Znakomicie przydawał się przy wszelkiego rodzaju wiejskich i miejskich publicznych procesach przed nosami rozemocjonowanej, łatwej do podburzenia tłuszczy. W Rowan. Chrząknęła.

– Tak. Trzy dni temu. Podróżujemy razem do Ganiyi.

Oczy tancerek spotkały się na moment. Shoa opuściła nieznacznie ręce, ale wciąż była gotowa do ataku.

– Gdzie on jest? – spytała Laetitia.

– Rozdzieliliśmy się w Crux. Mamy się spotkać dalej na trakcie na północ. Powiedział, że mnie znajdzie – Alyn wzruszyła ramionami. – On zna te tereny.

Zakkanki jeszcze raz spojrzały po sobie. W końcu Shoa opuściła i otrzepała dymiące dłonie o uda. Przekrzywiła głowę i strzeliła kręgami szyi, a następnie zza pasa na plecach wyjęła zwój cienkiej liny.

– No, to będzie ciekawie – powiedziała i rzuciła linę w stronę Alyn. – Podwójna pętla, a potem ręce przed siebie. Raz, raz.

*

Opuściły ten przeklęty las jeszcze tego samego dnia. Drzewa skończyły się na krótko po tym, jak słońce

zaczęło swoją wędrówkę z powrotem ku horyzontowi. Daleki zarys Góry Gigantów mignął Alyn w oddali tylko na chwilę, ale i to wystarczyło, by podnieść ją nieco na duchu. W ten czy inny sposób zmierzała do celu.

Szła na czele, dokąd wysforowały ją służki Bakkusa. Szczypała ją skóra na związanych nadgarstkach i obcierały szarawary, ale była w stanie to wytrzymać. Dużo bardziej zajmowało ją wyobrażanie sobie, co też chodzi po głowie milczącym przez większość czasu Zakkankom. Dręczyła ją świadomość, że nie miała najmniejszego pojęcia, co kobiety pustyni robią tak daleko od domu. Z drugiej strony dowolny Kaimiańczyk mógł dokładnie o samo powiedzieć o niej. Nie wspominając o tajemniczej staruszce, która, potykając się co i raz, zamykała pochód.

Choć droga bynajmniej nie należała do zatłoczonych, kobiety kilkakrotnie zbaczały z traktu, by dać się wyminąć kaimiańskim patrolom i podróżnikom. Wtedy złodziejka miała najwięcej szans na przyjrzenie się członkiniom całej tej nietypowej kompanii. Od czasu zdarzenia przy zakrwawionym pniaku stara kobieta, w którą zamieniła się Heloisa, przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Patrzyła pod nogi i jęczała zrezygnowanym głosem. Inna rzecz, że nie była w stanie nic powiedzieć – usta miała półotwarte i przewiązane szmatą, którą zawiązała Laetitia.

Alyn nie czuła bezpośredniego zagrożenia ze strony liderki dwuosobowego oddziału tancerek-wiedźm. Laetitia przypominała jej nieco Toryna, nieustannie przejawiając czujny spokój. A raczej nie wyglądając na bardziej zaniepokojoną przebywaniem w sercu dziwnego, obcego kraju niż Alyn i Shoa. Bez szerokiego, szczerego uśmiechu i zadziornego mrużenia oczu, którymi szczerze częstowała na „Boskim Wietrze” współpasażerów i załogę, wyglądała jak własny cień.

Młodsza spośród Zakkanek była dużo bardziej nieprzewidywalna – porywcza i agresywna, co mogło mieć swoje zalety. O tym, że nie należy jej bynajmniej lekceważyć, Alyn miała upewnić się jeszcze tego wieczoru.

Gdy niebo na powrót zaszło chmurami i przybrało siną barwę, a ustawiczne, nieartykułowane jęki Heloisy osiągnęły częstotliwość trudną do zniesienia, kobiety przystanęły na skraju lasu. Shoa momentalnie zniknęła w mroku, a Laetitia przywiązała obie więźniarki do drzew i zaproszyła niewielkie ognisko, do którego wrzuciła kolejno trzy równo ociosane, czarne kamienie wielkości pięści. Obserwując z narastającym zdumieniem, jak wsysają one żar i szary dym, a następnie zaczynają samodzielnie jarzyć się na pomarańczowo, Alyn przypomniała sobie, że widziała już kiedyś coś podobnego. Zakary w swym warsztacie jako przycisku do papieru używał przedmiotu, który wyglądał dokładnie jak tamte. Dopiero teraz zrozumiała, dlaczego nazywał go „żarokamieniem”.

Gdy zauważyła reakcję Alyn, na twarzy tancerki po raz pierwszy tego dnia pojawił się powściągliwy wyraz rozbawienia.

– Taka z ciebie Zakkanka jak z węzowej dupy flet – powiedziała Laetitia i wyciągnęła dłonie do ciepła.
– Jak oglądać pustynię, to tylko zza murów, co?

Złodziejka nie odpowiedziała. Skupiła się na tkwiących w ogniu przedmiotach. Wynalazek, jeśli można było go tak nazwać, był w rzeczy samej idealny do używania w miejscach, gdzie trudno było o drewno – lub cokolwiek innego – na opał. Wydawało się, że wystarczy tylko pobudzić kamień płomykiem, by zwielokrotniły jego ciepło. Rozświeślały się do tego w dużo mniejszym stopniu co ognisko, a to w aktualnej sytuacji

działało tylko na korzyść pragnących pozostać niezauważonymi Zakkanek.

Ale nie tylko one mogły na tym skorzystać.

Wieczór rozgościł się po okolicy niespiesznie, ale solidnie. Gdy bezgwiezdne niebo zakryło okolicę grubą kołdrą nocy, Heloisa zmęczyła się wreszcie jęczeniem i zasnęła, cicho pochrapując. Od dłuższego czasu pracująca niezamordowanie i niezauważenie nad węzłami, które krępowały jej nadgarstki, złodziejka westchnęła. Zebrała całą swoją odwagę i chrząknęła znacząco.

– Chcę siku – oznajmiła, po czym nie bez zaskoczenia odkryła, że gdy tylko wypowiedziała te słowa, faktycznie jej się zachciało. – Idę na drugą stronę drzewa. Jakby co.

– Mhm. Uważaj na spodnie.

Wiedźma nie podniosła nawet wzroku. Wpatrywała się pomarańczowe ogniki i wydawała się nie zwracać uwagi na otoczenie, ni to drzemiąc, ni to medytując. Alyn nie była na tyle łatwowierna, by przyjąć to za fakt.

Złodziejka przemieściła się na drugą stronę pnia. Zawahała się na chwilę, rozważając zalety i wady sikania z i bez zmiętych szarawarów przy kostkach. Węzeł przy nadgarstkach był już w zasadzie bliski rozwiązania. Rozluźnienie go kosztowało ją długie godziny pracy i krwistoczerwone, piekące otarcia, ale do ucieczki była w zasadzie gotowa w każdej chwili. Tyle że głupio by było się obszczać w biegu. A i płasć po nocy z gołą dupą – też niespecjalnie.

Przecucie, że coś jest nie tak, przyszło w momencie, gdy zabrała się do rozwiązywania spodni. Mgnienie oka później poczuła ostre ukłucie w kręgosłupie tuż nad tyłkiem i ciepły oddech za uchem. Tuż obok jej twarzy przemknął pojedynczy kłęb świetlistego dymu.

Nie знаła nikogo, kto potrafiłby poruszać się tak cicho.

– To jest bardzo nieładnie ułamana goleń dzikiego wieprza, *obuera* – szepnął powoli głos z ciemności po zakkańsku, a jego właścicielka zwiększyła nacisk tak mocno, że Alyn mimowolnie jęknęła. – Kurewsko się przy tym bydlęciu namęczyłam. Jestem brudna, śmierdzę i mam dość tego gównianego miejsca. Ale dzięki mnie będziesz miała dziś co jeść. Zrób, co masz robić, zaciśnij na powrót ten węzeł i usiądź grzecznie przy żarze. Nie każ mi łamać twoich palców.

Zanim złodziejka złapała oddech, by odpowiedzieć, Shoa zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Gdy Alyn wyjrzała zza drzewa, krótkowłosa tancerka jak gdyby nigdy nic siedziała dobrych kilka kroków dalej, tuż przy Laetiti. Przed nimi, pokryta pokrwawioną szczeciną, leżała świńska noga.

Złodziejka westchnęła. Ogromnym wysiłkiem ściśniętego gardła powstrzymała wzbierający w trzewiach szloch. Choć od chwili lądowania w Saahii po rejsie na „Freyi” miała po temu multum powodów, to dopiero teraz, w momencie gdy ktoś pstryknięciem palca potrafił zrobić coś, czego ona sama nie mogłaby dokonać po dziesiątkach lat treningu, poczuła się absolutnie bezsilna. Jak zbity pies. Wobec służek Bakkusa, pustynnych wiedźm-bogin władających tajemną potężną mocą, była niczym. Nie znaczyła nic.

Tak jak osmalone trupy w warowni na wzgórzu.

*

Tej nocy Alyn nie zmrużyła oka. Nie zdarzyło się jej to od dawna. Nasłuchując, co robią i o czym

szeptają Laetitia i Shoa, a także nierównego, chrapliwego oddechu Heloisy-staruszki, skonstatowała w pewnym momencie, że po prostu, po ludzku, boi się. O zaginionego hen, daleko od domu Toryna. O pozostawioną samą sobie w przetrząsanym przez Hanso mieście Kai.

I o siebie.

Tej nocy stłuczone biodro, zwichnięty nadgarstek i otarcia na udach i rękach bolały ją bardziej, a głód, którego nawet nie próbowały zaspokoić chrzęszczące w zębach skrawki pozostawionej jej przez Zakkanki golonki, był dotkliwszy. Potrzebowała snu, liczyła na jego leczniczą moc.

Ale sen miał jej potrzeby w dupie.

*

Cały następny dzień spędziły, idąc. Najpierw przez spowitą w półmroku, zimną knieję, potem przez suche, prażone surowym słońcem pola. I potem znów przez las. Przed siebie.

Alyn nie zastanawiała się nad tym, dokąd w zasadzie zmierzają tancerki. Podskórnie czuła ich rosnącą niecierpliwość, ale i coś jeszcze. Napięcie wyczuwalne w gestach i spojrzeniach. Rozdrażnienie.

Starła się o tym nie myśleć. Ważne było tylko to, że Góra Gigantów, która co jakiś czas pojawiała się w zasięgu jej wzroku, wydawała się z każdym razem napuszać i potężnieć. Podnosiło ją to na duchu. To, że mimo wszystko była coraz bliżej mitycznej Ganiyi – miasta do którego zmierzała wiedziona ślepym przecuciem.

Przecuciem? Kai nazwałaby to miłością.

Zatrzymały się dopiero późnym popołudniem, gdy dotarły do chałupy postawionej w środku lasu na rozwidleniu traktów. Słusznych rozmiarów oberża z obejściem świadczącym o licznej – mimo ustronnej lokalizacji – klienteli karłała wobec dębów i sosen, które przeżyły się wysoko ponad nią. Z komina wypływała kłęby białego dymu, który szybko opadał, spowijając okolicę mlecznym zapachem palonej kory.

Laetitia pozostawiła obie jeńcynie pod czujnym okiem krótkowłosej partnerki i weszła do środka. Cokolwiek powiedziała oberżyscie, zadziało błyskawicznie. Już parę chwil później na tyłach budynku znalazła się zamykana klitka dla Heloisy, a dla obu tancerek i prowadzonej przez nie sznurem, jak na smyczy, złodziejki – spory stół w kącie sali, przy którym natychmiast zaczął się uwijać nastoletni parobek. Pierwszy dzban wina, który zmaterializował się jeszcze zanim na dobre się rozsiadły, Zakkanki opróżniły niemal duszkiem. Później zwolniły tempa. Raczyły się słodkawym trunkiem niespiesznie i bacznie przyglądały zmarnowanej całodzienną podróżą klienteli, która powoli napływała wraz z zapadającym wieczorem. Byli to głównie kupcy i kurierzy. Miedzy nimi trafił się duet upačkanych błotem najemników i jeden ślepiec z poskręcaną lagą. Na oczach miał opaskę. W rogu usiadła zaś wystraszona rodzina z dwójką dzieci. Starszy, nastolatek, trzymał młodszą siostrę za rękę.

Złodziejka ze swoimi związanymi, piekącymi dłońmi radziła sobie z jadłem, jak mogła. Nie narzekała. Ba, za ślicznie podsmażone gęsie skrzydło, którego większa część trafiła na jej talerz, dałaby sobie zakuć i nogi. Mimo to myśli o cierpiącej gdzieś nieopodal staruszce, o której tancerki do tej pory nie zająknęły się ani słowem mimo nagabywań, a także o tym, dokąd zawiedzie ją ostatecznie krótkonogie kłamstwo o spodziewanym spotkaniu z Żółwiem, nie pozwalający jej na złapanie głębszego oddechu. Czuła się źle i nie na miejscu –

bo też nie tak miało to wszystko przebiegać. A poza tym w udo nieustannie piła ją pochwa sztyletu, którą Shoa bawiła się ku swej sadystycznej uciechu.

– Zrób rwetes – powiedziała jej młodsza tancerka, gdy tylko usiadły – a nie pozostanie po tobie nawet ślad.

Gdy na zewnątrz zrobiło się całkowicie ciemno, oberża rozedrgała się od gwaru, śmiechów i umiarkowanie entuzjastycznych oklasków kierowanych w stronę zachrypniętego grajka, który z zapalem kręcił wajchą korbowej lutni. Ta zresztą litościwie go zagłuszała. Kilka ciekawskich oczu omiatało stół Zakkanek. Jeszcze nieśmiało. Jeszcze wstydliwie. Ale noc zapowiadała się długa.

Alyn jadła. Laetitia piła. Lub medytowała. Prawdopodobnie wykonywała obie czynności na zmianę, a żadna nie przeszkadzała drugiej. Shoa wyciągnęła się za stołem i dłużyła w zębach, szukając wzrokiem spojrzeń coraz bardziej wstawionych mężczyzn. Jej półuśmiech nie zwiastował niczego dobrego.

– Nudno – powiedziała w pewnym momencie i odwróciła się w stronę złodziejki. – Ukradnij coś dla mnie.

– Shoa... – głos Laetiti był spokojny, ale jego ton ucinął dyskusję u nasady. – Idź sobie ulżyć. Zobacz, co u starej.

Krótkowłosa dziewczyna prychnęła, wstała i poprawiła pas.

– Taki, kurwa, pożytek ze złodziejki.

Ponad miarę rozchełstaną koszulę jednym ruchem rozpięła jeszcze bardziej. Przeciskając się bokiem między stołem i ścianą, pochyliła się w stronę Alyn.

– Smaczne było? – szepnęła z udawaną troską. – Odliczaj godziny do świtu, *obuera*.

Shoa mrugnęła, oblizła się, zakręciła tyłkiem i wyszła na zewnątrz. Po przeciwnej stronie sali od ściany odlepiła się rozmazana plama o kształcie jednego z mężczyzn taksujących stolik Zakkanek i również zniknęła w drzwiach. Złodziejka zerknęła w stronę Laetiti, której – mimo widocznego po kolorze policzków stanu solidnego upojenia – zdarzenie to nie uszło uwadze.

– *Obuera* – powiedziała Alyn po kilku chwilach milczenia – znaczy „imigrantka”. „Obca”. Ale w waszych ustach, ludzi pustyni, znaczy „ścierwo”, mylę się?

Tancerka zaniósła się śmiechem na moment, po czym jej twarz stężyła.

– Gdzie jest Xander?

Złodziejka stwierdziła, że nie było sensu iść w zaparte.

– Nie wiem. Może dopadli go kultyści.

– „Kultyści” – prychnęła Laetitia. – Nazwa tak ułomna jak wasze próby nadania racjonalnych ram temu, co na wskroś nieracjonalne.

– Nasze? – zapytała Alyn, upatrując okazję do zbitcia niebezpiecznego kierunku, w który dryfowała rozmowa. – Czyli czyje?

Tancerka odstawiła wino i spojrzała złodziejce w oczy. Wzrok miała bystry.

– Czy wiesz dlaczego wulkan, dzięki któremu milenia temu Kaim wyłoniło się z morza, nazywany jest tu Górą Gigantów?

– Mhm, legenda mówi, że w jej wnętrzu mieszka olbrzym, który strzeże całej krainy.

– „Legenda mówi”. Oto twoja racjonalna rama – Zakkanka dotknęła palcem czoła złodziejki. – Zabawne, że im idea większa, tym łatwiej ją tam upchnąć.

– Czyli co, we wnętrzu góry faktycznie znajduje się gigant?

– Pomysł wcale nie mniej niedorzeczny niż to, że osoba w twoim wieku ma wytatuowane dwa „oddechy Lewiatana” – wzruszyła ramionami tancerka. – Albo że drogi zbłądzonej awanturniczki z odległego kraju splatają z oszalałą księżną, którą dawno temu wygnano z dworu za czary.

– Co...? – Alyn zmarszczyła czoło. – Heloisa...

Laetitia uśmiechnęła się, uniosła brwi, oparła się wygodnie i powróciła do sączenia wina. Alyn zatopiła się w myślach. Zaskakująco niewiele z nich dotyczyło planu ucieczki.

Minęły dwie łzawe pieśni grajka, zanim do stołu wróciła Shoa. Była sama, a wyraz jej oczu bardziej niż zwykle sprawił, że złodziejce zrobiło się gorąco. Bynajmniej nie z przyjemności.

Gdy usiadła, wymieniła spojrzenia z Laetitią i zerknęła na złodziejkę.

– Miałaś ukraść coś dla mnie, *obuera* – powiedziała zachrypniętym głosem. – Co jest?

Starsza tancerka dopiła wino i wstała od stołu. Alyn zanotowała w głowie dokładne miejsce, w którym leżał jej otłuszczony pieczenią nóż, a następnie z najgłębszych pokładów odwagi i życzliwości przywołała na usta atrapę uśmiechu. Gównno jest, pomyślała, pilnując się, by nie wypowiedzieć tego na głos. Gównno, moja nieokrzesana, śniada koleżanko.

– Zagadała mnie twoja szefowa – rzekła w zamian, bacznie obserwując twarz rozmówczyni. – Bo tak wygląda wasza hierarchia, myślę się?

Nóż był w zasięgu ręki. Mogła go złapać i momentalnie użyć. Problem polegał na tym, że musiałyby to zrobić obiema dłońmi. Odwrócić cały tułów.

– No, dalej – szepnęła Shoa i odwzajemniła nieszczerzy uśmiech. – Sięgnij po nóż. Sprawdźmy, kto będzie szybszy.

Kątem oka Alyn dojrzała ruch przy drzwiach wejściowych. Kręcąc biodrami, Laetitia prowadziła za rękę dwóch równie zdezorientowanych co rozochoconych mężczyzn. A raczej mężczyznę i chłopca. Tym drugim był brat dziewczynki, którą zauważyła wcześniej w kącie oberży. Wytężyła wzrok w poszukiwaniu małej. Ta, milcząc, siedziała przy zajętej kłótnią z ojcem matce. W niemej rozpaczy wlepiła okrągłe oczy w brata, który podążał za dziwną, obcą kobietą.

Nie, nie w niego. Brat by się w jej stronę nie odwrócił.

Przeszywając wzrokiem całą szerokość sali, dziewczynka patrzyła na rudowłosą kobietę. Na tę, która miała dziwne szkła na oczach i siedziała za suto zastawionym stołem.

(Na jej szyi zawiesili dzwonek)

Alyn szarpnęła dłońmi, ale sznur ani drgnął. Przywołał za to ból, od którego miała ochotę ryczeć na cały głos.

– Co zrobiłaś z tamtym mężczyzną?! – warknęła zamiast tego w stronę Zakkanki, nie poznając swojego głosu.

Nie zamierzała czekać na odpowiedź. W momencie, gdy Shoa nabierała w płuca powietrze, Alyn z całej siły rąbnęła czołem wprost w twarz tancerki.

Huknęło i zabolęło, a wieczorny jazgot oberży na krótki moment zupełnie ucichł.

Głowa czarnowłosej wiedźmy odskoczyła do tyłu. Jej właścicielka wyłożyła się plecami na ławie. Spod prawej brwi wiedźmy trysnął wartki strumyk krwi, ale nie straciła przytomności. Wykorzystując moment, Alyn obróciła się, by chwycić nóż. Ostry ból, który przeszył jej dłonie, sprawił, że zawyla i natychmiast puściła rozgrzaną, dymiącą rękojeść. Odwróciła głowę.

Podpierając się na łokciach, Shoa patrzyła na nią. Jej usta wykrzywione były w pogardliwym półuśmiechu. Połowa jej twarzy błyszczała od krwi. Dłoń Zakkanki – z rozcapierzonymi i wygiętymi do tyłu palcami – jarzyła się i dymiła na białło. Szepcząc, drugą uniosła do góry...

I zamarła.

Muzyka w oberży umilkła, gwar przycichł do szmeru uwag wymienianych przez wyraźnie zdezorientowanych gości. Część nieśmiało wskazywała na stół, za którym siedziały Alyn i Shoa, reszta spoglądała w stronę czerni za oknami.

I wtedy wybrzmiało jeszcze raz – rozdzierające, przejmujące wilcze wycie, które dobiegło nie z gardła Alyn, ale z zewnątrz. Tuż zza ścian oberży. Jakby otoczyła ją cała wataha opłakująca swojego przywódcę.

Dojmującą ciszę z hukiem przerwało wtargnięcie Laetitii, która wpadła zdyszana do środka i wykrzyknęła:

– Shoa!!

Młoda tancerka zerwała się z miejsca. Otarła z twarzy krew przedramieniem i przeskoczyła przez stół. Moment później zniknęła za drzwiami. Działając instynktownie, Alyn skuliła się i przeturlała pod blatem. O mały włos nie poparzyła się w policzek od leżącego na ziemi noża. Gdy podniosła się, podbiegła do drzwi wejściowych, za którymi zionęła nieskończona czerń. Pożerała, wsysała mdły blask ogarków rozświetlających wnętrze chaty, a w wraz z nimi, wydawało się, dusze i wolę zastygłych w bezruchu gości.

Alyn otrząsnęła się i zrobiła krok do przodu. Wolność owiała ją chłodnym jęzorem czerni. Pachniała lasem.

Jeszcze jeden krok i była przy progu. Zaczepnęła głęboko powietrza.

– *Dozgoran idiil sha!*

Tuż przed złodziejką zza zasłony nocy wyłoniły się rozświetlone twarz i wirujące dłonie Laetitii, po czym pospiesznie wtopiły się na powrót w mrok. Alyn stwierdziła, że nie może się ruszać.

Zastygła w półkroku. Co więcej – z nadętą piersią, która pozwalała jej na tylko branie krótkich, płytkich oddechów. Nie mogła obracać głowy i niezależnie, czy ruszała oczami, czy nie, przed sobą widziała wyłącznie czerń.

Gdzieś obok minął ją ciężki tupot łap, który wraz z towarzyszącym mu charkotem oddalił się w stronę lasu razem z odgłosem deptanych liści i łamanych gałęzi. Za nim śmignęły w dal dwie smugi światła.

Noc, jeszcze przed chwilą pachnąca dymem i rozedrgana, zastygła w niemym stuporze.

Minęła chwila, zanim Alyn zorientowała się, że cisza nie brała się z tego, że sama straciła słuch. Nie było rozmów, nie było wiatru, żaden ptak nie ważył się zahukać gdzieś wysoko w koronach stojących na baczność drzew. Ale słyszała za sobą trzask tłącego się drewna i syk gotującej się żywicy. Żarzące się ogarki. Najpierw bardzo niewyraźnie, ale z czasem ten jeden, jedyny dźwięk wypełnił całą przestrzeń wokół niej. Stał

się natarczywy, drapał i szczypał. Swędział. Dręczył ją długo.

Gdy wreszcie, po upłygnięciu nie wiadomo jak długiego czasu dołączył do niego nowy, rytmiczny odgłos, niemal przywitała go modlitwą do Isztar. Ktoś się zbliżał.

Bardzo szybko okazało się jednak, że radość była przedwczesna. Alyn mogła tylko bezwolnie słuchać, jak coraz głośniejsze do jej świadomości przebijają się bicie jej serca i szum pompowanej przez nie krwi w żyłach. Czuła, że z każdą chwilą traci zmysły.

Powoli, skrawek po skrawku, zapadała się w ziemię. W Kaim.

Tuż za jej oczami, w głębi czaszki, materializował się czyjś głos i po chwili zanikał. Szeptał.

(Warto być w życiu choć trochę szalonym...)

(Dopadło nas trzech, jeden zbliżył się na długość ramienia...)

(Cała ta wyspa ma nie po kolei w głowie...)

Aż ponownie zapadła ciężka, straszna cisza.

I wtedy na ramieniu poczuła czyjaś dłoń.

– Znalazłem cię, Myszo.

Paraliż odpuścił w jednej chwili. Alyn parsknęła, gdy powietrze znalazło ujście z jej płuc, i opadła ciężko na ziemię.

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tą drogą

Nikt nie idzie

Tego jesiennego wieczoru

– Bashō (przekł. C. Miłosz)

– Musimy iść.

Głos stojącego nad nią rycerza był nie do pomylenia z żadnym innym. Alyn jednocześnie cieszyła się i przeklinała los, że go słyszy. Obolała, brudna i zmęczona potrzebowała mu zaufać, oddać się choć na chwilę w opiekę. Ale to rozwiązanie nie wchodziło już w grę.

– Nie, Żółwiu – odrzekła, podnosząc się z kolan. – Musimy pomóc tym ludziom.

Złodziejka obejrzała się w stronę wejścia. Za progiem sali biesiadnej zaczynał się inny świat. Goście – blisko dwadzieścioro mężczyzn, kobiet i dzieci – zastygło z wyrazami trwogi na twarzach. Nasłuchujący. Wyglądający przez okno. Wnętrze leśnej oberży wyglądało jak groteskowe muzeum, w którym strach było postawić nogę z obawy, że któryś z naturalistycznych posągów nagle się obudzi i capnie za rękę. I jeżeli to, co Alyn sama jeszcze przed chwilą odczuwała, było prawdą, każdy miał pełną, przerażającą świadomość tego, co się wokół niego dzieje.

– Nie możemy tego zrobić, Myszo.

– Uwolniłeś mnie, to uwolnij ich. Widziałeś te wiedźmy? Wpadną w furję, jak wrócą, a mnie tu nie będzie.

Rycerz westchnął.

– Nie mogę ich uwolnić i to nie ja uwolniłem ciebie. Ty sama tego dokonałaś.

– Na Isztar, niczego nie dokonałam! Widziałeś, co tu się działo?! Jedyne, czego zdołałam dokonać, to wkurwienie tej młodszej. Ona jest niepoczytalna!

– A właśnie, że zrobiłaś to. Ty i tylko ty – kontynuował niewzruszony rycerz. – Do celu wiedzie cię potężna siła woli. Tak wielka, że potrafi dokonać niemożliwego. To ona sprawiła, że nasze drogi się spotkały. Dwukrotnie.

– Bzdura – prychnęła Alyn. – To czysty przypadek. Chyba że moją wolą chcesz nazwać pozostawienie mnie w celi u obłąkanego burmistrza.

– Alyn, musimy stąd iść – powiedział Żółw po chwili milczenia. – Tym ludziom nic się nie stanie. Pamiętaj, że to nie o ciebie chodzi Zakkankom. Proszę.

Rycerz odwrócił w jej stronę głowę i złodziejka utkwiała wzrok w głębokiej czerni otworów na jego przyłbicy. Nawet z nim przy boku nie miała szans przeciwko potrafiącym zamieniać się w skondensowane światło służkom Bakkusa. Oboje wiedzieli to bardzo dobrze.

Zanim ponownie odwróciła się plecami do biesiadników, przełknęła ślinę i ostatni raz omiotła wzrokiem

wnętrze oberży. Spojrzała na dogorywające ogarki. Kurczowo ściskającego swój instrument grajka. Ślepego starca modlącego się niemo w uniesieniu.

I dziewczynkę o wielkich, szklistych oczach, która jakimś cudem wciąż patrzyła prosto na nią.

*

Zostawili ich wszystkich.

To było pół nocy temu. Pół długiej, gęstej i czarnej jak smoła nocy, przez którą przedzierali się jak przez pole kukurydzy. Szli głównie na wschód – tak przynajmniej Alyn wyczytała z bladego poblasku gwiazdnych konstelacji przebijających się co i raz ponad czarnymi koronami drzew. Zakkanki i cokolwiek, co przed nimi uciekało – z jakiegoś powodu złodziejka była dogłębnie przekonana o tym, że była to Heloisa, a raczej kolejne z jej wcieleń – oddaliły się na północ. Droga do znajdującej się gdzieś na północnym wschodzie Ganiyi, jakkolwiek okrężna, stała przed nimi otworem. Szli. Szli aż do wyczerpania.

Alyn usiadła i zasnęła w momencie, gdy niebo zaczęło powoli zsuwać z siebie płachtę nocy. Spała niemal do południa. I tak, wedle jej przekonania, za krótko. Do zmysłów przywróciło ją burczenie w brzuchu, ale nawet nie zająknęła się Żółtowi o głodzie. Rycerz, wydawało się, obywatel się bez jedzenia doskonale. Dochodząc do siebie, ukradkiem spoglądała na swojego przedziwnego towarzysza, który zajmował się wydfubowaniem gałązek i liści ze szpar i szczelin swojej tarczy. Przyszła jej do głowy myśl, że gdyby tak ukradkiem podeszła do niego i zerwała mu przyłbicę, okazałoby się, że tak naprawdę w tej zbroi nikogo nie ma. Że to tylko duch pohukuje basem przez ciemne otwory, a gdyby rozszczelnić zbroję, świat wysłałby go ze skorupy i tyle by go widzieli. Ale miejsce tej idei szybko zajął tuzin innych. Zmęczony podróżą i pobytem na wyspie umysł złodziejki domagał się odpoczynku. Lekarstwa w postaci dawki rowańsko-zakkańskiej normalności, kęsa nudy i rutyny.

Alyn zamknęła oczy i przywołała obraz skapanej w promieniach słońca kamienicy Kai. Nieprzerwany potok ludzi na ulicy ocierający się niemal o jej frontową ścianę. I dzieci śpiewające na podwórku. Śpiewały głośno i wesoło.

*Służki Bakkusa, służki Bakkusa,
Zdybana złodziejka w potrzasku,
Piękno i groza, piękno i groza,
Za ręce zawieśnię o brzasku.*

Po śniadaniu obmyła twarz i szyję w lichym strumyku. Dokładnie obwąchała wcześniej zamoczone w nim dłonie. Gdy wyswobodziła się z uwalonych warstwami kurzu i ziemi kurty oraz podkoszulki, dokonała oględzin górnej połowy ciała. Sine biodro powoli zaczynało przybierać brązowawe kolory. Oba nadgarstki pokryte były strupami, jeden z nich był spuchnięty. Guz po pięści troglodyty z Rede był na swoim miejscu, ale już prawie nie bolał. Półokrągła narośl na zgięciu łokcia przestała się powiększać, ale pod skórą widać było w środku coś twardego i niesympatycznie brunatnego. Brzuch burczał.

Gdy się ubrała, przepłukała szkła, i w duchu podziękowała Zakaremu, że dzięki solidnym oprawkom

nie doznały póki co żadnego uszczerbku. Obiecała sobie, że kiedy wróci do Saahii, przytarga starcowi do warsztatu dwa solidne balony wina. Kupnego, dodała w myślach. Za własne, uczciwie zapracowane pieniądze.

*

Niedługo po tym, jak wyruszyli dalej, las przerzedził się, aż wreszcie oddał pole ciągnącym się po horyzont łysym połaciom łąk. Kostropate granie i strome stoki Góry Gigantów sterczały w oddali w całej okazałości, przesłaniając solidny kawał bezchmurnego nieba. Odbijająca światło śnieżna czapka masywu, niczym latarnia na klifie, wabiła ich, wskazywała drogę. Ale po raz pierwszy też Alyn zobaczyła w niej chłód i przestrożę. Wydawało się też, że są już w stanie dostrzec rozciągniętą u stóp góry cieniutką nitkę murów Ganiyi. Być może było to tylko pasmo niskich chmur, ale nawet, jeśli to tylko przywidzenie, serce złodziejki biło szybciej, a nogi niosły ją żwawiej.

Do wieczora szli niemal bez przerwy, z jednym postojem na dojeżdżenie porannego zajęcia, i z drugim na siku. Przebyli wszerek niemal całą równinę, unikając szerszych traktów i pól, aż znów wokół nich pojawiły się kępy dzikich zagajników i lasów. Prawdopodobieństwo, że Zakkanki zechciały podążyć ich śladami było znikome, ale Alyn wolała być ostrożna.

Zatrzymali się dopiero w momencie, gdy po wdrapaniu się na kolejny z coraz wyższych pagórków stwierdzili, że dalsza droga w tę stronę nie była już możliwa.

– Indira.

Żółw stanął w rozkroku i złapał się pod boki. Omiótł wzrokiem bezkresną taflę wody rozciągającej się przed nimi hen daleko na północ, wschód i południe. Była granatowa i spokojna.

Alyn odgarnęła włosy ze spoconego czoła.

– To jest Indira? Wygląda raczej jak jezioro. Albo morze.

– Tam dalej na południe przepływ blokuje naturalna tama, więc w tej okolicy rzeka rozlewa się bardzo szeroko.

– Będziemy musieli ją przekroczyć?

– Tak, ale nie tu. Pójdziemy w jej górę.

Alyn przeniosła wzrok na północ, gdzie niczym skalisty kiel, nieporuszenie trwał czuwający nad całym Kaim masyw.

– Indira ma źródło gdzieś u stóp góry, dobrze pamiętam? Ciekawe jak z jej czystością.

Złodziejka ruszyła w dół skarpy, w stronę piaszczystego brzegu – płaskiego i łysego, jeśli nie liczyć pojedynczego skupiska głazów tuż przy wodzie. Toń była ciemna i mętna, ale to nie musiało znaczyć nic złego. Nie czuć było też żadnego podejrzanego zapachu. Żółw kucnął przy brzegu, gdzie rzeka małą zatoczką wygryzła kęs łądu. Zmącił wodę zakutą w rękawicę dłonią, po czym zanurzył ją i zaczerpnął czegoś z dna. Gdy obmył znaleźisko z mułu, ich oczom ukazało się dziurawe, pozbawione w połowie łusek truchło ryby. Na powierzchnię wypłynęło brzuchami do góry kilka następných. Rycerz wrzucił rybę z powrotem do wody.

– A marzyłam o kąpielu.

– W stolicy znajdziesz kilka gorących łaźni, które z pewnością zaspokoją wszystkie twoje potrzeby w tej kwestii. Już niedaleko. Dzień drogi, góra dwa.

Złodziejka westchnęła i odwróciła w kierunku głazów. Coś przykuło jej uwagę. Gdy przekroczyła wąski korytarz łądu pomiędzy kamieniem a liżącymi piasek falami rzeki, jej oczom ukazało się naturalne wgłębienie w stosie skał. Głazy leżały uformowane w literę „c” i tworzyły coś w rodzaju jaskini, tyle że pod gołym niebem. W jej centrum koślawy kamienny krąg otoczony zmurszałymi, osmalonymi patyczkami sygnalizował, że osłonięte z trzech stron miejsce postojowe i popasu gościło już wielu innych podróżnych.

– Żółwiu! – krzyknęła Alyn. – Zbieraj chrust!

*

– Żółwiu, zasłaniasz mi widok. Usiądź.

– Czuję, że to miejsce to nie był dobry wybór, Alyn. Te skały są widoczne z daleka z każdej chyba strony. Sterczą jak kaktus na prerii.

– Ale tego, co jest w środku nie widać, prawda? Chyba że z rzeki. Spodziewasz się desantu rozbójników na łupiankach w nocy? Usiądź.

– Jeżeli ktokolwiek podejdzie, nie zauważymy go do momentu, aż będzie za późno.

– Od tego mamy uszy. A ciebie rycerzem nie mianowali tylko za pochodzenie, co? Czyż nie jesteś Xanderem, Książęcym Mieczem? Rycerzem w całym Kaim znanym, a i, jak się okazuje, również poza jego granicami? Co tam o tobie po wsiach gadają? Żeś siłacz i chłop równie mężny co dyshonorem nieskalany, zapewne. A wiedzą, że dziewczki poznane w polu mamisz i w niewolę sprzedajesz?

– Alyn... To nie było tak.

– Usiądziesz wreszcie? Słucham.

– W porządku. Nie było mnie na Kaim przez dłuższy czas, wyjechałem. Nie ma znaczenia gdzie. Daleko. I miałem, co tam robić. Ale pewnego dnia dotarł do mnie posłaniec. Zostałem wezwany z powrotem na książęcy dwór. Wiadomość była krótka i dosadna: „Książę Geremy porwany”. Nic więcej. Do drogi zerwałem się natychmiast, ale upłynęło wiele nocy, zanim na powrót postawiłem stopę na rodzinnej ziemi. Podróż była tak długa, że na dobrą sprawę, nawet nie wiem kiedy.

– Czekaj, no. Ktoś porwał władcę Kaim? Kiedy?

– Tego zamierzam się dowiedzieć w Ganiyi. Dotrzemy tam jutro lub pojutrze. Myśl o potencjalnych reperkusjach tej wieści zjada mnie od środka tak bardzo, że liczyłem na to, że zasięgnę języka w Crux.

– U... Pana G.?

– Burmistrz i książę mają wspólną przeszłość. Niedługą, z tego, co wiem, ale zażyłą. W zasadzie zawdzięczają sobie nawzajem życia. Liczyłem na jego pomoc, ale to już najwyraźniej nie jest ten sam człowiek. Zmienił się. I Kaim też się zmieniło. Tak czy inaczej zostałem wyprowadzony w pole. Podwójnie, bo na mojej łatwowierności ucierpiałaś ty.

– Mhm. Nie ma za co. Zafundujesz mi tę łaźnię przez tydzień i będziemy kwita. A co z księżną? Faktycznie została wygnana z dworu?

– Księżna? Kaim nie ma księżnej. Nie ma jej od... Mówisz o księżnej Elise?

– Jedna z Zakkanek, z którymi, hm, podróżowałam, wspomniała ją. Ale jej chodziło o Heloisę.

– Heloisę...

– No, Heloisę, tę kobietę, którą zamknęły w klatce przy oberży. Mówię „kobietę”, ale tak naprawdę nie wiem, kim... czym była.

– Ja chyba wiem, Myszo.

Zanim podjął opowieść, Żółw zamilkł na długo. Alyn nie była pewna, czy zamyślił się, czy zasnął. Przez chwilę rozważała rzucenie w jego zbroję kamieniem i rozpoznanie po dźwięku echa, czy w środku ktoś siedzi, czy nie. Ale wtedy rycerz poprawił się i zaczął mówić.

– Ta historia jest starsza ode mnie i nie wiem, ile przez lata zostało w niej prawdy. Pokolenie temu, mawiają, gdy książę ledwo dorósł, związał się z dziewczyną z ludu. Mówią „z ludu”, choć tak naprawdę nikt nie wiedział, skąd się wzięła. Na pewno nie z ulic Ganiyi. Elise była śliczna i nieokrzesa, ale w tak ujmujący sposób, że szybko zjednała sobie cały pałac. Przez pięć lat siedziała u boku Geremy’ego i trafiła w doskonały czas, bo Kaim przeżywało właśnie prawdziwą złotą erę. Plony nie mieściły się w magazynach, rzemiosło pracowało bez wytchnienia, a gdy tylko postawiono śluzy, towary płynęły tą tutaj Indirą wartkim strumieniem w obie strony. Musisz wiedzieć, że cały ten zryw był na wyspie tak niesłychany, że nie stroniono od nazywania stanu rzeczy cudem. Gospodarka Kaim zawsze była zdana bardziej na kaprysy natury niż cokolwiek innego. Poza kilkoma kopalniami nie było tu nigdy tak naprawdę nic, co mogłoby zainteresować kogokolwiek z kontynentu. Tak czy siak wieść o powodzeniu Kaim szybko obiegła porty znanego świata i przedostała się dalej. Jak można się domyślić, wzbudziła powszechne podziw i zawiść. Tu, na wyspie, sceptycznych co do natury całego tego dobrobytu było zaledwie kilka trzeźwo myślących głów. Ich głos był cichy i w żaden sposób nie trafiał do rozpuszczonej gawiedzi, możesz sobie zresztą wyobrazić. Ale dotarł do pałacu, bo książę – metodą swojego ojca zresztą – bardzo uważnie słuchał tego, o czym i co się w jego kraju mówi. I mówił ów głos: „to nienaturalne, takie powodzenie, zróbmy coś, bo zagraniczne zakony gotowe nas batami zaganiać do egzorcyzmów”. Upraszczam, ale możesz sobie wyobrazić, że przy odpowiednio wysokiej motywacji Kaim z jego namiastką armii i regimem gwardzistów dałoby radę najechać i zająć. A na pewno, ot tak, zablokować. I książę zaczął dumać. A jak już zaczął, wszystko jęło powoli wskazywać na to, że faktycznie nie jest tak, jak powinno być. Bo też ani pogoda nie sprzyjała specjalnie, ani nikt niczego nowego nie odkrył, ani nie przywiózł z dalekich krain. Oczy zwróciły się więc...

– ... na księżną Elise.

– Jedni mówią, że władała potężną magią, inni, że umiejętnie, naturalnie czy nienaturalnie, tworzyła iluzję wokół pałacu i Ganiyi, która następnie rzutowała na cały kraj. Po tym, jak Geremy publicznie ją potępił i wygnał z kraju, zaczęto przypisywać jej całą listę przewinień. A to kury na potęgę niosły zbuki, a to dzikie zwierzęta zaczęły zagryzać ludzi po lasach, a to pół kraju nagle zapadło na biegunkę. Gdy księżna znikła, gospodarka Kaim naturalnie doznała zapaści. Na szczęście dla księcia dzięki latom dobrobytu i dobrym nawykom, które wyrobili sobie przez ten czas na co dzień skąpi i zapobiegliwi przedsiębiorcy, i tak było z nią lepiej niż przed całą tą aferą z Elise. Lata mijały, a kraj powoli zaczął o księżnej, wymazanej zresztą ze wszelkich dokumentów historycznych na wyspie, zapominać. Pozostała o niej legenda.

– Raczej bajka. Taka ze złą babą mamiącą przygodne młódki, by je sprowadzić do swojej chatki w lesie...

Milczenie, które zapadło wokół dwojga strudzonych podróżników wytrzymało dłużej niż ciepło ogrzewającego ich, trzaskającego nieśmiało iskrami drewna. Trwało do momentu, w którym noc zastygła w bezwietrznym półśnie, odsłoniwszy gdzieś kołdrę chmur. Spod niej błyszczących oczu łypały na świat ciekawskie gwiazdy.

- Żółwiu.
- Słucham.
- Dlaczego nigdy nie ściągasz hełmu?
- Wystarczy na dziś. Dobranoc.

*

Alyn wyczekała na odpowiedni moment, przebiegła przez ulicę i zwinnie wdrapała się na mur po stopie leżących u jego stóp kamieni. Zeskoczyła po drugiej stronie i szybkim krokiem udała się w stronę spłachetka cienia rzucanego przez ścianę domu. Oparła się przedramieniem o gorące cegły, zdjęła z głowy chustę i przeczesła dłonią kłującą, nierówną szczecinę obciętej na krótko fryzury. Głowa swędziała ją od potu i lichy wie, czego jeszcze. Od ucieczki z Jurgi jeszcze się nie kąpała, a tego roku lato nie brało jeńców. Sięgnęła po bukłak. Upiła łyk ciepłej wody i rozlała odrobinę na włosy i kark. Nie za dużo, Toryn potrzebował jej dużo bardziej.

Po krótkim odpoczynku schowała worek z powrotem za pazuchę, wzięła głęboki oddech i ruszyła wzdłuż popękanej ściany willi Villefortów. Zanim skręciła za róg, wyszukała wzrokiem zarośnięte krzewami i wysoką trawą ujście rury, którą tyle lat wcześniej wraz z Torynem i Kai uciekali przed gniewem użębionego od ucha do ucha monstrum.

Historia zatoczyła koło.

Na schodach, które wiodły w górę do ziejącej dziury, która niegdyś była głównymi drzwiami budynku, siedziała trójka łysych staruszków w łachmanach. Trwali zastygnięci niczym w głębokim torporze, z rzadka wykonując jakikolwiek ruch. Alyn nie była pewna, czy są głusi, czy po prostu nie zwracają uwagi na nikogo. Gdy mijała ich dołem, tylko jeden z nich – nazywała go w myślach Bonifacym – żując niewidzialną piątkę chleba, powiódł za nią wzrokiem. Pozostawiła główne wejście za sobą i poszła dalej. Parter i piętra były zbyt zniszczone i zakurzone, by nadawać się do jakiegokolwiek formy zamieszkania. Zerwano niemal cały parkiet i boazerię, część schodów wiodła donikąd. Po deskach, którymi zabite były niegdyś okna, pozostały tylko ślady gwoździ. Brakowało całych partii dachu. Willa umierała od długich lat, chwiała się w posadach i na dobrą sprawę ostatnie tchnienie mogła wydać w każdej chwili. Tylko piwnica, do której wąskie zejście znajdowało się na tylnej ścianie, oferowała tutejszym wyrzutkom skromne schronienie.

Zbliżając się do schodków, Alyn zamknęła oczy w nadziei, że ów sam fakt wystarczy do tego, by ten jeden raz przejście nie było pilnowane. Stłumione beknięcie, które wydobyło się zza drewnianych drzwiczek wskazywało na to, że to nie był ten dzień. Wysupłała z sakiewki podwędzone rano rybnej straganiarce dwie srebrne monety, przeklęła je w myślach szpetnie i pociągnęła za klamkę.

Thybalt, wyrosnięty wiejski głupek, któremu nie wiadomo jakim sposobem udało się dożyć czterdziestki, na jej widok uśmiechnął się szczerbato i wyciągnął dłoń.

- Wpierdol? – zapytał leniwie, a z ust jego powiało intensywnie użytą onucą.

Nie zatrzymując się, dziewczyna wcisnęła mu bilon w dłoń, zanim ta zapędziła się za daleko w jej stronę.

– O. A buzi do tego? Bo będzie wpierdol, a potem zaprowadzę do Gedyminusa, bo słyszałem, że skupuje takie szwarne sierotki, hy, hy.

Alyn ostatkiem siły woli powstrzymała się przed pokazaniem mu obelżywego gestu, którego nauczyła się na ulicach tej i innych mieścin. Thybalt był idiotą, ale bił mocno, nie patrząc, czy uszkodzi, czy zabije. Przy okazji chował swoje pieniądze w skrytce za ruchomą cegłą, którą złodziejka zamierzała ogołocić w dniu, w którym na zawsze już wyruszy z Torynem z tego przeklętego miasta.

Piwnica była ciemna, a jej podłoga nierówna, ale przyjemny chłód wynagradzał wszelkie niedogodności. Alyn skręciła w długi korytarz wiodący hen daleko ku nikłemu ogarkowi słonecznego światła, które wpadało przez okienko tuż pod sufitem. Zza drzwi mijanych po drodze pomieszczeń słyszała szloch, szepty i chrapanie podobnych jej wyrzutków, którzy znaleźli schronienie w progach zarządzanej przez gang Friedricha rudery.

Dziewczyna otworzyła ostrożnie przedostatnie drzwi po prawej i weszła do przearanżowanej na pokój komórki. Większą część jej powierzchni zajmowała słomiana mata, na której przy dogasającym świetle lampy leżał Toryn. Spał na brzuchu, nagi od pasa w górę, jego głowa spoczywała na złożonej w kwadrat skórzanej kurtce. Połamane, długie, czarne strupy znaczyły jego plecy jak pociągnięcia malarza szaleńca. Spod kilku z nich sączyła się wilgoć, która spływała i zasychała skorupą na jego bokach. Zapamiętałe stołowały się na niej trzy czy cztery muchy.

– Sio! – szepnęła Alyn i energicznie machnęła dłonią w powietrzu.

Muchy rozpierchły się, bzyząc wzburzenie. Toryn poruszył się i wydał nieartykułowany dźwięk.

– Czekaj. Nie ruszaj się.

Alyn uklękła przy bracie i ostrożnie przelała łyk wody w jego suche, popękane usta. Przeczesała dłonią jego włosy. Były zgolone jeszcze krócej od jej, ale z jakiegoś nieodgadnionego powodu pozostawały w większym nieładzie. Spodziewała się standardowego wzdrygnięcia i rozkazu, by przestała, ale tym razem chłopak pozostał w bezruchu.

– Nie spieszyłaś się – powiedział cicho po chwili.

– Pij.

Toryn uniósł się na łokciach i syknął przeciągle. Alyn miała wrażenie, że słyszy, jak skorupa na jego plecach pęka i chrzęści.

– Przyniosłam maść.

– Daj ją tu.

Dziewczyna wyciągnęła zza pasa tłuste puzderko, otworzyła je i podsunęła pod nos bratu. Brązowa, kleista maź śmierdziała stodołą postawioną na bagnie.

– Nada się. Ile?

– Maść pięć. Woda ćwiartkę.

– Bukłak?

Alyn zawahała się.

– Bukłak?!

– T... to był kupiec. Zamożny...

Toryn opadł twarzą z powrotem na matę i wymachnął uwolnioną ręką. Alyn złapała jego dłoń. Mocno zacisnęła. Chłopak wyglądał, jakby chciał coś odburknąć, ale jego wyraz twarzy z gniewu stopniowo na powrót zmienił się w niemy ból. Rozluźnił ramię i zacisnął delikatnie dłoń na palcach siostry.

– Dziękuję, Alyn – rzekł cicho.

Dziewczyna zamarła na chwilę, po czym roześmiała się głośno.

– Zaraz, coś ty powiedział? Toryn, co ty, chory jesteś? Zaraz spadnie deszcz żab, niech skonam!

– Potrzebuję cię, Alyn – głos Toryna z silnym echem docierał z oddali.

Złodziejka momentalnie poczuła przejmującą trwogę i ucichła. Następnie w ich komórce faktycznie spadł deszcz.

*

Alyn zerwała się z ziemi i głęboko zaczerpnęła powietrza. Dochodząc do siebie, uspokoiła oddech. Ognisko dogasło już niemal całkowicie, żar syczał pod padającymi z zachmurzonego nieba kroplami. Rozejrzała się. Przesłonięty księżyc nadawał okolicy w subtelny, szary odcień. Oparta o kamień nieopodal leżała okrągła tarcza.

– Żółwiu – szepnęła.

Nie doczekała się odpowiedzi. Wstała i ruszyła ku brzegowi rzeki i zarazem wejścia do kamiennego półokręgu. Wyrzała zza skały w górę rzeki i natychmiast cofnęła głowę. W oddali ktoś szedł w ich stronę. Dwie latarnie, ale ludzi było więcej.

– Bandyci. Trzech... nie, czterech – szepnęła Alyn, ponownie wystawiwszy głowę.

Wróciła się i podeszła do tarczy. Z bliska wyglądała jeszcze masywniej niż przytroczona do pleców rycerza. Nie było możliwości, by ją uniosła.

Czas spieprzać.

Czując, jak krew zaczyna wrzeć w jej żyłach, Alyn wypadła z kamiennego schronienia i wykonała najpierw kilka susów wzdłuż brzegu, a następnie odbiła w stronę ciemnego konturu skarpy i rosnących na niej drzew. Dotarła na miejsce tuż przed tym, jak światła latarni nieznajomych zniknęły zasłonięte głazami jej kryjówek.

Lada chwila odnajdą tarczę Żółwia.

I faktycznie, nie minęła minuta, a od strony brzegu dobiegło kilka stłumionych krzyknień. Kimkolwiek byli, właśnie dowiedzieli się, że ktoś jest w pobliżu. Jeśli nie zdradziła tego wielka tarcza oparta nonszalancko o ścianę, to na pewno ciepło z żarzącego się jeszcze truchła wieczornego ogniska.

Uciekać czy czekać na rozwój wydarzeń?

Kto normalny podróżuje po nocy?

I gdzie jest, kurwa, Żółw?

Na brzegu, po drugiej stronie skał – tam, skąd wybiegła Alyn, uciekając – pojawiła się pojedyncza postać. Idąc powoli, oświetlała nisko opuszczoną latarnią mokry piasek. Szła po śladach. W miejscu, w którym

trop zaczął wieść w głąb łądu, w stronę skarpy, zatrzymała się i spojrzała w ciemność. Przycupnięta przy pniu złodziejka westchnęła, gdy oczy mężczyzny – wskazywał na to niepospolity wzrost i krótka fryzura osoby – na moment rozjarzyły się na żółto.

To tylko refleks światła na szklach – uspokoiła się.

Nieznajomy stał przez dłuższą chwilę w miejscu, próbując wypatrzeć cokolwiek w ciemności, aż w końcu któryś z jego niewidocznych za skałami kompanów krzyknął coś do niego. Mężczyzna przytaknął i pewnym krokiem ruszył w stronę Alyn. Światło jego latarni zaczęło się zbliżać szybko. Bardzo szybko.

Złodziejka zerwała się na równe nogi gotowa ruszyć pędem za siebie. Między drzewami. Z powrotem na łąki. Tam poczekać na Żółwia.

(I co?)

I razem odzyskać jego tarczę.

(Kiedy? Rano?)

Jeszcze przed wschodem słońca. Żeby nie zdążyli ruszyć w dalszą drogę. Żeby nie zdążyli jej... spalić.

Nieznajomy zbliżył się na tyle, by można było usłyszeć jego kroki. Sylwetka była wyraźnie widoczna na tle srebrno-granatowego nieba. I była wielka. Jak chodząca góra. Alyn nie mogła dostrzec, czy postać miała jakiegokolwiek zwierzęce cechy, ale jej zamiary stały się jasne w chwili, gdy w jej dłoni pojawił się topór.

To był ostatni moment do ucieczki. Nie cichego wycofania się tyłem, tylko szaleńczego biegu ile sił w nogach. Coś się zmieniło. W oberży w lesie. W zatrzymanych w czasie oczach dziewczynki płaczącej za bratem.

Coś zmieniło się w jej środku. Chwila, gdy spojrzała strachowi w oczy w ratuszach Crux wydawała się tak daleka, że aż nierzeczywista. Potwór, który się zbliżał w jej stronę, nie mógł być przecież równie groźny, równie zły. Wciąż jednak nie mogła stanąć z nim twarzą w twarz. Nie była gotowa. Była zbyt...

– Słaba – jęknęła. Natychmiast zachłysnęła się powietrzem i zatkała dłońmi usta.

*

„To niczyja wina, takie karty zagrał los”, mówił później Żółw długo w noc, aż do pierwszego rannego światła. „Taką rozdał rękę”. Mówił, gdy szli w górę rzeki, która daleko, coraz dalej za nimi, niosła do morza długie, ciemne smugi krwi. Mówił przekonująco i rzeczowo, a Alyn – trzęsąc się pod mokrym ubraniem może z zimna, może ze zmęczenia – pozwalała dać się nabrać. Bo jego słowa były jej jedyną deską ratunku. Odganiały napierającą zewsząd nieprawdę.

Nieprawdę o tym, że w przerażonej reakcji na swój własny głos złodziejka wyrwała z ziemi kępę trawy i rzuciła wprost w twarz zionącego złowrogim ogniem z oczu potwora. O tym, że w zaskoczeniu dla samej siebie zamiast zacząć biec pędem, kopnęła latarnię trzymaną przez groteskowe uosobienie całego zła, które spotkało ją na Kaim. Że straciła nad sobą kontrolę i bez względu na konsekwencje rzuciła się w furii na kolosa, gotowa zabić.

Nieprawdę o tym, że ostrze topora, które śmignęło przy uchu Alyn, zahaczyło samym koniuszkiem o jej skroń i zamiast ją ogłuszyć, wylało tylko na jej włosy szeroki wodospad szkarłatu. O tym, że upadając wraz z pachnącym skórą i potem przeciwnikiem, wyszarpnęła zza jego pasa nóż. Że choć było tępe, przy upadku

ostrze z łatwością przebiło kamizelkę, koszulę, skórę i weszło w pierś nieznanego po rękojęść.

A zwłaszcza nieprawdę o tym, że jej ofiara, która przed śmiercią zdążyła wydać jedynie urwane jęknięcie, nie okazała się ani potworem, ani ludzkim zwierzęciem, tylko krótko ostrzyżoną kobietą. Że przy upadku z jej torby zamiast odciętych uszu lub zasuszonych niemowlęcych nóżek po ziemi potoczyły się jedynie trzy czarne, misternie grawerowane kamienne kulki.

I że przez resztę nocy w uszach zszokowanej złodziejki podłym refrenem odbijała się się druga zwrotka zapomnianej ballady żeglarzy:

*Morskich splątanych prądów nici,
Nie przetną smutków życia nożyce,
Nie bój się więc,
Gdy nocą straszą
Upiorne gwiazdy i księżycy.*

*

Gdy otarła krew, która zalała połowę jej twarzy, Alyn podniosła się z klęczek nad znieruchomiałym nagle ciałem. Bezwolnie – ze zdumieniem obserwując swoje reakcje – ruszyła szerokim półokręgiem z powrotem do kryjówki między głazami. Nie była pewna, czy rozległy się przy tym wszystkim jakieś dźwięki, sama słyszała w uszach dzwonięcie, ale pozostała dwójka nieznanymi wypadła na brzeg i zaczęła gorączkowo nawoływać. Złodziejka nie była w stanie zrozumieć wykrzykiwanego przez nich imienia. Skupiła się na przemieszczaniu prawie po omacku, z powrotem do ogniska, do tarczy. Gdy już tamci sobie pójda dalej, wróci do niej. Wytoczy ją, jeżeli tylko będzie trzeba. To wszystko nie pójdzie na marne.

Jak tylko przestaną drzeć nogi i ręce.

Dotarła do kryjówki w momencie, w którym okolicę przeszły rozdzierające wycie. Nieludzkie, rzekłbyś, nawet wiedząc, że jesteś w błędzie. Wycie i gniewne okrzyki.

Wyciągnęła dłonie w stronę obręczy tarczy, ale zatrzymała je tuż przed jej lśniącym w świetle księżyca metalowym pierścieniem. Były mokre i lepkie, w jednej wciąż ścisnęła rękojęść tępego noża. Spojrzała rozbieranym wzrokiem w dół na kurtę od Kai. Prawe rękaw i poła jak gąbka przyjmowały kapiące jej z ucha i spływające w dół szyi krople czarnej w świetle księżyca krwi.

(Opatrunek)

Alyn wzięła głęboki oddech i rozejrzała się. Przy kręgu ogniska coś leżało. Skórzana torba. Dopadła do niej na kolanach i wywróciła do góry dnem. Na ziemię posypały się sakiewka, młotek, jakieś papiery i lniane zawiniątko. Wszystko do szczętu przysypane okruciami suchego pieczywa, które natychmiast, machinalnie zaczęła sobie wsypywać w usta.

Żując, rozwinęła materiał – elegancką, śnieżnobiałą koszulę, na której jej palce błyskawicznie zdążyły odznaczyć krwiste łąty. Nie namyślając się, szybkim ruchem odcięła rękaw, złożyła wzdłuż na pół i zawiązała sobie mocno dookoła głowy.

Spróbowała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Z głębokim westchnięciem usiadła ciężko na

ziemi. Dała sobie chwilę na odpoczynek, po czym nadludzkim wysiłkiem przerzuciła ciężar ciała na kolana i podparła się dłońmi o ziemię. Mimo potężnych zawrotów głowy i bólu, który właśnie zaczynał coraz silniej pulsować na jej skroni, zdołała przejść na czworaka z powrotem do tarczy i oprzeć się plecami o skałę obok. Przed oczami robiło się jej raz jasno, raz ciemno. Dzwonienie w uszach narastało z każdą chwilą. Nie widziała już nic. Tylko szarą mgłę.

Mgłę, w którą zapadała się powoli po kolana, po pas, po łokcie. Jak nigdy w swoim życiu chciało się jej spać. Odplynać. Na chwilę.

Z odrętwienia wyrwało ją uszczypnięcie zimna i głębokie drżenie w sercu.

– Myszo?

Alyn z trudem otworzyła oczy i zobaczyła przed sobą rozmazaną sylwetkę klęczącego na jednej nodze Żółwia. Czowała suchość w ustach.

– Ja naprawdę nie chciałam – powiedziała, a z jej krtani wydobył się suchy szept. – Było ich więcej... troje...

– Nie przejmuj się nimi – powiedział Żółw. – Już dobrze. Nie będą nas więcej niepokoiłi.

– Ja ją pchnęłam... nie chciałam...

– No już, Myszo. Nie myśl o tym.

– Nie możemy tu zostać. Boję się.

– Ja... chyba też. Ale wiesz co? Nie szkodzi.

– Co teraz?

– Pójdziemy w górę rzeki.

– Znajdziesz nam rzekę? Naszą rzekę?

– Hm? Alyn? Alyn, słyszysz mnie? Zostań ze mną!

– Przepraszam... że ci zasmarkałam ubranie.

Złodziejka zamrugła oczami, ale rozmyty wzrok i ciemność nie pozwoliły jej nic zobaczyć oprócz nieokreślonego ruchu, który wykonał Żółw.

– Czasem, Alyn...

– Wiem. Czasem musimy robić małe złe rzeczy... dla większego dobra.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Już wczesnym porankiem trakt zaczął wieść ostro w górę, a wyglądająca zza drzew Indira zwężała się i zwężała, aż w zasięgu wzroku pojawił się drugi brzeg. Gdy słońce wspięło się wysoko ponad Górę Gigantów, osiągnęła szerokość dwóch rzutów kamieniem. Senny w dole rzeki prąd znacznie przyspieszył i spiętrzył wodę, a jego szum słychać było nawet wtedy, gdy podróżników oddzielały od niego zalesione pagórki.

Żółw szedł przodem, pobrzękując miarowo metalem zbroi. Regularnie oglądał się na Alyn, która, po tym jak w nocy zwymiotowała, a następnie wypła dwoma łykami, co udało im się zebrać z deszczu, wyraźnie stanęła na nogi i próbowała dotrzymać mu kroku. Szli w milczeniu, głównie brzegiem lasu, ale co jakiś czas drzewa ustępowały niewielkiej polance czy zwałom głazów, które niegdyś musiały stoczyć się ze stoku wulkanu. Nienaturalny majestat góry cały czas towarzyszył im w podróży, ciągnął się wysoko i daleko na północnym wschodzie. Choć nie przyznawała tego przed rycerzem, okazjonalne przerwy w marszu Alyn robiła głównie po to, by napatrzeć się na przytłaczający, namacalny ogrom masywu. Czuła, że choć patrzył na nią groźnie bielą szczytu, z chwili na chwilę rosła w niej nieodparta chęć wdrapania się na niego tak wysoko, jak się tylko da.

Ale to musiało poczekać.

Wczesnym popołudniem dotarli na rozległe płaskie trawiaste pole, przy którym droga skręcała ostro w prawo ku Indirze i znikwała w jej spienionych wodach. Na powrót pojawiała się daleko po drugiej stronie kamienistego brodu, który wyglądał tak, jakby mógł bez problemu porwać nastolatka albo i całe ich stado. Z pewnością nie było łatwo zmusić konie do współpracy przy przeprawie.

Choć łąka wyglądała na znakomite miejsce na popas i odpoczynek dla podróżnych – często użytkowane zresztą, sądząc po nadzwyczaj dużej ilości odpadków wdeptanych częściowo grunt – w okolicy nie było żywej duszy. Żółw nie omieszkiał wypowiedzieć tego spostrzeżenia na głos, ale Alyn nie miała ochoty na rozmowę. Nawet mimo tego że również czuła, iż aura tego miejsca w połączeniu z powietrzem, które gryzło w krtań, wyraźnie ich tutaj nie chciała. Nie powiedziała nic, aż do momentu, gdy rycerz zauważył coś w oddali.

– Tam!

Złodziejka podążyła wzrokiem za ręką towarzysza – ku trawiastemu brzegowi nieco poniżej brodu. Między wysokimi źdźbłami całkiem wyraźnie można było dostrzec na ziemi czyjeś nogi. Niewidoczna reszta ciała – jeżeli była jakaś reszta, pomyślała Alyn, sama siebie zaskakując makabrycznością tej myśli – leżała niżej, na samym brzegu albo nawet w wodzie. Nie namyślając się, dziewczyna skierowała w tamtą stronę kroki. Żółw zdjął tarczę z pleców i ruszył tuż za nią.

(Zdumiewające, jak łatwo przychodzi służkom Bakkusa odbieranie życia)

Mimo pulsującego, zagłuszającego myśli bólu, to stwierdzenie Alyn usłyszała w głowie bardzo wyraźnie. A może sama je wypowiedziała na głos.

– To Zakkanki – stwierdził rycerz.

Złodziejka szybko odgadła, skąd taki wniosek – zmierzając w stronę brzegu, nagle znaleźli się w samym środku pobojuwiska. Mijali osmalone kępy trawy i niewielkie dziury w ziemi o zwęglonych brzegach. Zupełnie jak na ścianach zmasakrowanej warowni na wzgórzu. Problem w tym, że tutaj wokół nie było widać żadnych ciał. Tylko to jedno na brzegu.

Gdy zbliżyła się na odległość kilkunastu kroków, Alyn dopadło przecucie, że za chwilę, gdy tylko ujrzy twarz leżącej tam postaci, wydarzy się coś złego. Postanowiła świadomie je zignorować. Bo to nie mógł być Toryn. Ani Kai. Nie było takiej możliwości.

Gdy stanęła wreszcie na podmytym brzegu i spojrzała na zanurzoną w wodzie siną resztę ciała (która wbrew jej obawom wciąż była przytwierdzona do nóg), wydarzyły się nie jedna, ale dwie równie zdumiewające rzeczy naraz.

Poznała, kto był martwą osobą.

Z odległości kilku kroków po prawej dobiegł ją sędziwy, ale donośny głos mówiący czystym zakkańskim:

– Heh-hm. A kto ci, dziecko, tak fryzurę pomierzył?

Złodziejka musiała kilka razy zamrunąć, by odwracając głowę to na zwłoki to na pień pobliskiego drzewa, przekonać się, że nie halucynuje.

Z jednej strony spod wartkiego nurtu rzeki martwy wzrok utkwiła w niej Shoa. To były jej krótkie włosy, jej pusta kurewska pochwa po sztylcie i jej tatuaże – wyblakłe i na zawsze wygaszone.

Z drugiej prosto w jej oczy wpatrywał się siedzący ze skrzyżowanymi nogami w zagłębieniu pnia staruszek. Był pomarszczony, chudy jak szczapa i łysy jak kolano. Spod jego haczykowatego nosa wyrastał bujny i równy kłęb siwych wąsów. Uśmiechał się szeroko i w dużej mierze bezzębnie.

– Jeśli to twoja znajomka, to bardzo mi przykro, dziecko. Gdy jedna z drugą rzuciły się na siebie jak dwie kocice, nie dałoby rady ich rozdzielić. Od początku było widać, że jedna z nich nie wróci do domu.

– Ty... rozumiesz, co on gada? – zapytał Żółw.

– Tak, rozumiem – odrzekła dziewczyna, po czym skinęła w kierunku starca i przeszła na zakkański. – Niech ci Isztar przyniesie deszcz, dziadku! Bystre masz oko. Skąd wiedziałeś, że jestem z Zakkanu?

– Heh! Heh! – roześmiał się starzec. – Z Zakkanu na pewno nie jesteś, dziecko. Nie te rysy i nie te włosy. Ale tego, co nosisz na sobie na Kaim nie kupisz, a skórę to opaloną masz w taki sposób, jakby ją przez kilka miesięcy, heh-hm, smażyło południowe słońce. Jak nie na pustyni, to na morzu.

Alyn zdobyła się na namiastkę uśmiechu. Zupełnie zapomniała, że pod całą tą warstwą brudu i krwi wciąż ma na sobie ubranie „pożyczzone” z garderoby Kai. Od grymasu zapulsowała tępym bólem cała prawa strona jej głowy.

– Pochodzę z Rowan. Jestem Alyn. A to... Żółw. Jest tutejszy.

– Moje głębokie uszanowanie dla Książęcego Miecza – powiedział nieznajomy, płynnie przechodząc na kaimiański. – Jestem Umphefumulo.

Żółw skinął głową. Nie bez wahania. Alyn utkwiała wzrok w dziadku.

– Fumu, heh-hm. Fumu. Tak prościej.

– Fumu. Co tu się stało? Gdzie Laetitia... znaczy druga Zakkanka?

– Zabrała sztylet tej drugiej i poszła dalej, przez bród – starzec machnął ręką w kierunku drugiego brzegu. – Dogonicie ją bez trudu, heh-hm. Ledwo stała na nogach.

– Jak to się zaczęło? – wtrącił się Żółw.

Umphefumulo westchnął i złączył dłonie na wysokości piersi w pojednawczym geście.

– Rycerzu, dziecko. Pomogę wam, ale... zrozumcie, że sytuacja zastała mnie nieprzygotowanego na trudy ostatnich tygodni. Mówiąc wprost, sterczę tu jak, heh-hm, kołek. I mam tego już dość. Coś za coś?

Alyn i Żółw spojrzeli po sobie.

– Mów – powiedziała Alyn i usiadła na trawie.

Staruszek uklonił się, chrząknął i mlasnął. Złodziejka uznała to za wyraz zadowolenia.

– Posłuchajcie zatem. Całe to pole tam za wami. Cała ta łąka jeszcze do niedawna tętniła życiem. Dzień w dzień zjeżdżali na nią podróżnicy i kupcy na szlaku do i ze stolicy. Zwykle na pierwszy lub ostatni, heh-hm, nocleg. Dobrzy ludzie. Uczynni. I tu, przy nich, przez długi czas był mój dom. Ale czasy się zmieniły. Karawany przestały się pojawiać, ruch zamarł całkowicie. Przez ostatnie pół roku całe Kaim jakby zapadło w sen. Nie został nikt prócz kilku wagańców od czasu do czasu. I ja też bym w końcu odszedł, ale sami widzicie...

Złodziejka uniosła brwi w zdumieniu, gdy zdała sobie nagle sprawę, że materiał leżący na skrzyżowanych nogach dziadka spoczywa tak naprawdę na ziemi. Bo Fumu nie miał nóg.

– Ale dosyć o mnie, heh-hm. Nie mogę patrzeć na tę skorupę na twojej głowie, dziecko – podjął troskliwie starzec po chwili. – Już teraz widzę, że cię boli, a nie chcę sobie wyobrażać, co będzie, jak rana się na dobre rozjątrzy. Mam w swoich zapasach specyfiki, które pozwolą ją oczyścić, a nawet zaszyć, jeśli będzie trzeba. Trochę cyrulikowałem w życiu i zaręczam, że w gorszym stanie cię, heh-hm, nie zostawię. O wszystkim wam przy okazji opowiem. Proszę jedynie o to, byście pomogli mi dostać się do Ganiyi. Bo tam przecież zmierzacie, nieprawdaż?

– Żółwiu – powiedziała Alyn po namyśle, uśmiechając się do rycerza oczami. – Użyczysz ramion dziadkowi?

*

Gdy na powrót poczuła pod stopami trawę, Alyn usiadła i roztarła dłońmi wyziębione lodowatą wodą stopy. Zdjęcie butów przed przekroczeniem brodu było ryzykownym posunięciem, ale na dobrą sprawę miała w dupie, czy zacznie krwawić z jeszcze jednej rany, czy nie. Potrzebowała zapewnić nogom choć odrobinę orzeźwienia, a jeśli nawet trafiłaby na jakiś wyjątkowo ostry kamulec, zawsze mogła zalepić rozcięcie zielonobrazowym specyfikiem Fumu.

Dziadek dotrzymał słowa i zajął się nią lepiej niż niejeden znachor z kupieckiej dzielnicy Saahii. Najgorszy, rzecz jasna, okazał się moment zdjęcia, a raczej odklejenia twardego, brunatnego opatrunku z koszuli od głowy. Do wykarczowania czerwonego lasu włosów z całej prawej skroni Alyn Fumu użył najmniejszego i najbardziej wychudzonego od wieloletniego ostrzenia nożyka, jakiego widziała. Chwilę przedtem wyciągnął

z torby grubą sakwą wypełnioną suszonymi liśćmi o intensywnym zapachu, wetknął całkiem sporą ich garść do ust i dokładnie przeżuł z chlebem. W następnej kolejności rozproszął grubą warstwę papki wzdłuż napuchniętej, świniającej się rany dziewczyny. Nucił sobie przy tym i złodziejka mogłaby przysiąc, że skądś – hen z dawien dawna – znała melodię piosenki, ale nie odezwała się ani słowem. Zanim lekarstwo dziadka zaczęło działać, każdy drobny ruch twarzy Alyn wywoływał fale potwornego bólu.

Gdy oczyścił ranę, Fumu zabrał się za zszywanie przyborami znalezionymi przez Żółwia w torbie Zakanki, której ciało rycerz w międzyczasie wyciągnął z wody, zaniósł pod jedno z pobliskich drzew i zaczął metodycznie przykrywać co większymi wyciąganymi z rzeki otoczakami. Alyn nie czuła bólu. Jedynie lekkie szarpnięcia, gdy kościste, pachnące ziołami dłonie starca prowadziły igłę i nić wzdłuż i w poprzek jej skroni jak krawiec latający dziurę pod pachą kurtki. Choć wydawało się, że trwał wieki, zabieg przebiegł bez zakłóceń. Zakończywszy szycie, dziadek jeszcze raz przyrządził w ustach swój specyfik i posmarował nim okolice szwów. Otrzepał ręce.

– Heh-hm – rzekł. – Prawdę powiedziawszy, powinnaś, dziecko, teraz leżeć przez dzień, dwa i się nie nadwyręzać zbytnio, ale po mojemu wystarczy, że będziesz na to uważać przez jakiś czas.

– Pewnie za ów jakiś czas będę ci dozgonnie wdzięczna, dziadku – odrzekła Alyn i podniosła się na łokciu z pozycji leżącej – ale na razie za bardzo kręci mi się w głowie. Uch, jeszcze jedno... zanim pójdziesz... masz coś na to?

Złodziejka podwinęła rękaw i wskazała zgięcie łokcia, gdzie okrągła narośl już niemal całkowicie przybrała brązową warstwę, a jej powierzchnia zaczęła się marszczyć jak skórka na przejrzałym jabłku. Fumu jednak tylko zerknął, mlasnął, burknął coś niezrozumiale i, nucąc swoją piosenkę, odczłapał na rękach z powrotem pod swoje drzewo.

I to było wszystko.

Ruszyli zatem przez bród po południu. Fumu usadowiony był na barku Żółwia, a blisko za nimi – trzymając buty za cholewki i czując, jak chłodny wiatr bezceremonialnie owiewa jej odsłonięte prawe ucho – brnęła Alyn. Choć Indira nie była skora niczego ułatwiać, przeprawa odbyła się bez incydentów i gdy tylko złodziejka wysuszyła i roztarła stopy, podążyła traktem za chrzęstem zbroi Żółwia. W górę, cały czas w górę.

Idąc, złodziejka uśmiechała się do swych myśli, gdy spoglądała na kościsty tułów Umphfumulo, który wystawał zza tarczy Żółwia na jego plecach. „Jest niewiele rzeczy na świecie, które należy bezwarunkowo kochać” zwykła powiadać Kai półzartem, „ale wśród nich zdecydowanie znajdują się wszystkie dziadki. Te dziadki, pamiętaj, nie ci dziadkowie. Istoty mądre, kochane i smutne, gdy zostają same na świecie”. Kai często wspominała o obu swoich dziadkach, którzy zresztą prawdopodobnie wciąż mieli się dobrze gdzieś w Rowan. Obaj byli wdowcami. Andor, ten od strony ojca, oprócz żony pochował trzy pokolenia wiernych psów, które towarzyszyły mu przez całe życie. Igmir, choć wiecznie kaszłał i słabował na ciele, przeżył wszystkich swoich rówieśników z miasta, pracując w bibliotece. Kai potrafiła opowiadać nich godzinami, a Alyn lubiła słuchać. Ani jej, ani Torynowi nie było dane poznać rodziców rodziców. A myśli o ojcu i matce sprawiały im ból.

Z zadumy wytrąciła ją... cisza. Ten jej odcień, który samym swoim istnieniem zdradzał obecność tych, którzy chcieli się za nią ukryć. Złodziejka zmeła w ustach przekleństwo i długimi susami popędziła za rycerzem.

Dogoniła Żółwia dokładnie w momencie, w którym kilkanaście kroków przed nimi z nisko zawieszonych nad traktem gałęzi zeskoczyła grupka poubieranych w łachmany nieznajomych, zagradzając drogę. Wszyscy mieli włosy obcięte krótko przy skórze. Kilku z nich nonszalancko zarzuciło sobie na ramiona poszczerbione szable.

– Słowo daję – syknęła Alyn – jeśli zechcą mnie zakuć w łańcuchy, jeśli tylko któryś z nich pomyśli o tym, by wypowiedzieć słowo „napad”, połamię im wszystkim palce, jeden po drugim.

– Możesz na mnie liczyć – odrzekł rycerz, który szybkim ruchem sięgnął za głowę po swoją tarczę.

O, tak? Jesteś pewien, że mogę?

– Hola, poczekajcie – rzekł spokojnie Fumu. – Przemoc nie będzie, heh-hm, potrzebna.

Wykorzystując hełm Żółwia jako podpórkę, dziadek wyciągnął tułów do góry i uniósł dłoń w powitalnym geście.

– Na opatrność Vuor Hiiglane! – huknął po kaimiańsku głosem, którego donośność zaskoczyła wszystkich wokół. – Witamy was na szlaku, szlachetni nieznajomi! Jestem Umphefumulo Zza Mórz, a to moi towarzysze podróży: Niezłomny Żółw i Alyn Ostrze Pustyni!

– Ostrze Pustyni? – szepnęła dziewczyna.

Fumu opuścił głowę w pokornym ukłonie i ukradkiem uśmiechnął się do niej oczami. Między nieznanymi – Alyn naliczyła ich siedmioro, choć nie sposób było odgadnąć, czy część grupy nie czekała wciąż ukryta wysoko w listowiu – przebiegł szmer szeptów. Wyglądało na to, że są zbici z tropu w równym stopniu co ona. Po krótkiej chwili spośród nich wystąpił mężczyzna. Pod przyprószonym pasami siwizny zarostem krył całkiem młodą twarz. Żółwiowi sięgał co najwyżej do szyi. Chrząknął.

– No, to tak. Jestem Rild – rzekł głośno, po czym wskazał kompanów. Mordy mieli wredne i brudne, ale z oczu patrzyło im nie najgorzej. – A to Doktor, Zoran i Terminus. Dziewczęta to Skatty i Fanny. Ten w białym z tyłu to Jan Tellur. Pragniemy, wszyscy jak tu stoimy, zaprosić szlachetnych podróżnych na szlaku tą tu dróżką ku gościnie, której z radością udzielimy. Jeśli dadzą nam taką możliwość.

Alyn nie była w stanie rozsądzić, czy ostatnie słowa mężczyzny miały nieść szczerą chęć pomocy, czy były zawołaną groźbą. Nie wyczuwała od nich bezpośredniego zagrożenia, ale jednocześnie bardzo, ale to bardzo nie chciała zbaczać na „tę tu dróżkę”, gdy była tak blisko celu. Fumu uniósł dłoń w geście pojednania.

– Słuchamy i rozważymy waszą propozycję, jeśli pozwolicie, we własnym gronie.

– Rozważymy? – szepnęła złodziejka do dziadka, gdy ten pochylił się do niej znad ramienia Żółwia. – Powiemy im grzeczne dziękuję i pójdziemy przed siebie. Niech nas pocałują w dupę.

– Kim oni są, dziadku? – zapytał Żółw. – Na zbójów nie wyglądają w tych łachmanach, a i nie widzę, by którykolwiek był w stanie zrobić komuś krzywdę tym żelastwem.

– Więżniowie. Koloniści – odrzekł Fumu, gładząc wąs. – Droga, którą wskazali, wiedzie, jeśli mnie pamięć nie myli, wprost do Harrii.

Na dźwięk ostatniego słowa Żółw drgnął i mocno ścisnął w dłoniach obręcz tarczy.

– Harria? To przecież...

– ... książęca kolonia karna – przytaknął rycerzowi starzec i spuścił głowę. – Kamieniołom. Jeżeli więźniowie tak swobodnie sobie poczynają poza jej murami, to znaczy... to znaczy, że wyspę spotkało dużo większe nieszczęście, niż mogłem przypuszczać.

– Co masz na myśli? – zapytała Alyn.

Dziadek westchnął.

– To, że Kaim już nie jest księstwem. To anarchia.

– Umphefumulo – usłyszała swój głos złodziejka, czując, jak przyspiesza jej tętno i zaczyna szumieć w uszach. – To dla mnie niesłychanie ważne, bym jak najszybciej dostała się do Ganiyi. Rozumiesz mnie? Żółwiu, jestem gotowa zrobić wszystko, by osiągnąć swój cel. Nie chcę już więcej przystanków, przygód i wypraw w nieznanne. Chcę iść przed siebie i Isztar mi świadkiem, przejadę po tych zawalidrogach jak złota karawana po piaskowych jaszczurach. Czy pójdziecie ze mn...

Urwała nagle, gdy zatrzymała wzrok na jednym z trzymających się z tyłu mężczyzn. Wstrzymała oddech.

Tylko on spośród wszystkich dzierżył kuszę, ale ważniejsze było to, że również jako jedyny miał na sobie kurtkę. Jasnobrązową, skórzaną kurtkę z czarnymi łatami.

– Hm? Dziecko?

– Nie podoba mi się twój wzrok, Alyn.

Wybaczcie, pomyślała dziewczyna i zacisnęła pięści, czując, jak serce próbuje wyrwać się jej z piersi.

– Ejże, mości Rildzie! – krzyknęła złodziejka swoją wersją kaimiańskiego i pewnym krokiem podeszła do brodatego mężczyzny. – Pójdziemy z wami! Ja – dodała po chwili, obejrzawszy się na Żółwia i Fumu – pójdę z wami.

– Zatem i my pójdziemy – powiedział z góry dziadek.

– Doskonale – rzekł Rild i odwrócił się w stronę kompanów. Choć starał się nie dać tego po sobie poznać, wyraźnie odetchnął z ulgą. – Fanny, Doktor, wasza kolej!

Alyn położyła mu dłoń na ramieniu, przybliżyła usta do jego ucha i drugą ręką wskazała tego, który nazywał się Zoran.

– Jeszcze on – zażądała.

Rild posłuchał bez słowa. W zakrwawionych ciuchach i ze świeżą szramą na pół głowy wyglądała w końcu groźniej niż cała ta błędna ferajna.

*

„Dróżka”, jak się rychło okazało, była szerokim traktem wyciosanym w gęstwinie lasu – długim i wijącym się w górę zbocza. Pomiędzy prostymi odcinkami serpentyny przewodnicy z Harrii tu i ówdzie wynajdowali strome, ale niedługie ścieżynki pozwalające pieszym na znaczne skrócenie drogi kosztem chwilowej zadyszki. Gdzieś tam powalone i ogryzione suche pnie tworzyły szczyrby w leśnej palisadzie, przez które dało się dojrzeć w oddali horyzont, a pod nim rozległe połacie pagórków i łąk na dalekich równinach.

Alyn trzymała się z tyłu, niemal całą drogę wlepiając wzrok w skórzaną kurtkę blondwłosego, patyczkowatego Zorana, który szedł kilka kroków z przodu. Chłopak wyglądał na dwadzieścia lat, chwiał się na

chudych nogach i, gdy się odwracał, świecił dwoma wielkimi jedynekami wystającymi z wiecznie niedomkniętych, wąskich ust. Był całkowitym zaprzeczeniem Toryna. A jednak nosił jego kurtkę. Dostał ją lub znalazł – pierwszy prawdziwy dowód Alyn na to, że nie straciła jeszcze całkowicie rozumu. Że jej brat był na Kaim. Jeszcze się trochę napatrzy i natęskni, a na miejscu znajdzie sposób, by wyciągnąć z blondaska wszystko, co wie.

Z zamyślenia wyrwał Alyn dopiero pejzaż, który roztoczył się przed podróżnikami w momencie, gdy pokonali ostatnie wzniesienie. Las otworzył się na oświetloną różowym poblaskiem zmierzchu górską łąkę. Była rozległa i usłana głazami. Pośrodku niej, niczym ślad po uderzeniu gigantyczną siekierą, głęboko w ziemię wgrzyzał się kanion kolonii karnej i ciągnął daleko i wysoko aż do stóp potężnego białego żlebu. Na jego dnie, wzdłuż szerokiej ulicy, stały dwa rzędy kamiennych i drewnianych budynków, pomiędzy którymi uwijało się kilkanaście osób. Kolejne – widoczne już tylko jako ruchome punkty, pracowały wysoko na zboczu. To zaś – imponujące i onieśmielające – wznosiło się ku odległemu białemu szczytowi góry i dalej ku niebu.

Jedynie zaznajomieni z prawdziwą naturą tego miejsca dostrzegali jeden niepasujący do obrazka fakt – nigdzie nie widać było ani książęcych żołnierzy, ani strażników.

– Niezły widok, nie?

Kobieta zwana Fanny pojawiła się przy Alyn i zaśmiała skrzekliwie. Była o głowę niższa, miała niedługie, krzywo przycięte włosy, spod których zerkała do góry rozbieganymi, przymrużonymi oczami. Brakowało jej kilku zębów. Prawdopodobnie wciąż była młoda, ale, na bogów pustyni, trudno było poznać.

To mogłabym być ja, pomyślała złodziejka. To byłabym ja, gdyby nie Toryn.

– Chodź, Fanny – krzyknął z przodu Doktor, który przewodził całemu pochodowi od samego początku.

– Nie naprzykrzaj się gościom!

– Kto tu się, kurwa, naprzykrza? – odszczeknęła kobieta, gestykulując żwawiej i zdecydowanie wulgarniej niż wymagała tego sytuacja. – Oprowadzam koleżankę po domu! Pochwalić się chcę! Bo to nasze jest, wiesz? – dodała po chwili już ciszej. – Nasza mała Harria. Nie ma takiego drugiego miejsca na świecie. O, widzisz to całe białe tam w górze?

– No przecież, że widzi – wtrącił się idący nieopodal i cichy do tej pory Zoran. – Nie jest głupia!

– Stul ryj! Nie pyskowałbyś, gdyby mateczka Tabi tu była! – Fanny westchnęła, chrząknęła i podjęła cicho. – A to białe to nasz kaimiański skarb.

– Darlenit – przypomniała sobie na głos Alyn, choć nijak nie była w stanie stwierdzić, kto i kiedy ją tego nauczył. Zmarszczyła brwi. – To na nim wzniesiono budynki w Crux.

– No. W Crux, w Ganiyi, wszędzie. Całe Kaim na nim stoi. Ale jest coś jeszcze.

Kobieta sięgnęła do kieszeni i spojrzała na Alyn konfidencjalnie gotowa wyjawić największą tajemnicę istnienia. Zanim jednak zdążyła ponownie otworzyć usta, Doktor warknął:

– Zamilcz!

Fanny skuliła się w sobie, spuściła wzrok, bąknęła wulgarnie pod nosem, po czym przyspieszyła kroku.

Przed nimi kamienny łuk otwartej na oścież bramy kolonii karnej rósł w oczach.

*

Bandyci tudzież gospodarze poprowadzili Alyn, Żółwia i Fumu wzdłuż głównej alei Harrii, pomiędzy szpalerem ciasnych kamiennych klitek. Były białe jak śnieg i miały płaskie, pokryte słomą dachy. Z okien odprowadziły ich zaciekawione spojrzenia mężczyzn i kobiet. Wszyscy mieli włosy obcięte na krótko przy skórze. Kilkoro z nich wykrzyknęło coś w kierunku grupki, ale Alyn za nic nie była w stanie zrozumieć tutejszego dialektu. Albo, jak się poprawiła w myślach, grypsery. Mimo ewidentnego braku uzbrojonych reprezentantów prawa, ani nawet najmniejszego śladu po nich, okolica była schludnie utrzymana. Równy bruk zamieciony, podwórza oświetlone lampami i wolne od śmieci, a sześcienne bloki darlenitu ułożone w równe, niewysokie stopy.

Zatrzymali się przy zdecydowanie największej z okolicznych budowli – odgradzonej wysokim płotem dwupiętrowej siedzibie straży kolonii. Jako jedyna miała również swój ogródek. Taki prawdziwy, z trawą rosnącą w przekopanej nadludzkim wysiłkiem niecce w skalistym gruncie, do której zniesiono zwaly żyznej ziemi.

I znów: nikt jej nie pilnował.

Alyn weszła pierwsza przez grube drewniane drzwi do jasno oświetlonego holu. Pomieszczenie było przestronne – wysokością sięgało pod sam dach, a usytuowane z boku schody prowadziły na piętro ogrodzone balustradą. Zza niej przybyłym przyglądało się kilka ciekawskich głów. Cała uwaga podróżników skierowana była jednak na człowieka, który wyszedł im na spotkanie. Mężczyzna już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie surowego lidera, człowieka czynu. Był dobrze zbudowany, ale nie ogromny. Złodziejka pomyślała, że jej ojciec byłby w jego wieku. Siwizna na jego krótko ściętych włosach i głębokie zmarszczki na opalonej twarzy roztaczały wokół niego naturalną aurę przywództwa. Będąc w sercu jego włości, nie odzywał się niepytany.

– Witam w Harrii – powiedział głębokim, niskim głosem, a nogi Fanny zadrżały, jakkolwiek nieznacznie. – Jestem Rador, a to moja mała rodzina.

Mężczyzna wykonał nieznaczny gest dłonią, ale wyglądało, jakby opasał nią całe pomieszczenie wraz przyległościami.

– Nazywam się Xander z Kaim – znienacka zagrzmiął w odpowiedzi Żółw i wykonał krok do przodu. Nawet bez przyłbicy przewyższał Radora o pół głowy. – W imieniu Księcia Geremy'ego Pierwszego, Władcy Mórz, Zdobywcy Szczytów i Sługi Narodu Kaim, domagam się wyjaśnień. Gdzie są więzienne straże?

Na Radorze nie zrobiło to żadnego wrażenia.

– Lachlan, Randall, Villen – wymieniając, Rador wskazywał kolejnych mężczyzn spoglądających na scenę z góry. Ci kłaniali się lub przeciwnie, zadzierali głowę wyżej. – Edgar, Maks, Najwer. Oto byli strażnicy Harrii w służbie księcia. Szeregowi, kaprale, sierżanci. Tak by się nazwali w poprzednim życiu. Nie wszyscy tu są, rzecz jasna. I szanuję ich wybór.

Ostatnie słowa mężczyzna wypowiedział tonem nie pozostawiającym wiele domysłów co do losu nieobecnych. Przy braku reakcji rycerza, podjął z tą samą werwą.

– Fanny, Zoranie, Doktorze, dziękuję. Pomóżcie przy kolacji. A was zapraszam do środka – rzekł do podróżnych, po czym uniósł dłoń nad głowę i obrócił się na pięcie w stronę otwartych na oścież drzwi do biura. – Pomówimy.

– Jak chcecie, to idźcie – huknął znów Żółt i rozłożył ręce. – Przepraszam cię, Alyn, ale nie zamierzam w tym uczestniczyć.

Rycerz zdjął z siebie jedną dłoń zdezorientowanego starca i bezceremonialnie posadził na barkach złodziejki. Następnie odwrócił się i zamaszystym krokiem, chrzęszcząc zbroją, wyszedł na zewnątrz. Nikt z obecnych nawet nie pomyślał, żeby spróbować stanąć mu na drodze.

*

Gdy jakiś czas później zasiadła przy jednym ze skromnie zastawionych stołów do tradycyjnej – jak się okazało – wspólnej wieczerzy mieszkańców Harrii, Alyn złapała się na myśli, że prawdopodobnie wygląda jak popieprzona. Siedziała brudna, w zakrwawionych łachmanach i ze świeżą, spuchniętą szramą na skroni, a jej głowa co chwilę zaś obracała się raz w lewo, raz w prawo. Nie mogła się zdecydować, czy skupić wzrok na Radorze czy Zoranie.

Kolacja miała miejsce na tyłach budynku straży, przy pochodniach, w otoczeniu jeziora przytarganej z gór trawy. Do jedzenia był gulasz. Nieprzesadnie mięsny. Kwaśne wino łało się z karafki szczodrzej, ale też bez ekscesów. Złodziejka jako jedyna przyjęła zaproszenie – Żółt i Fumu postanowili skorzystać z umiarkowanej gościnności jedyne pustego, ale również zadbanego domu w Harrii. Rador dał słowo, że żadne z nich nie będzie trzymane na miejscu wbrew woli. A miał w sobie coś, co sprawiało, że ufał słowu.

Jedząc, Alyn wróciła myślami do rozmowy w biurze. Samozwańczy przywódca – czy, jak wolał, gospodarz – Harrii przeszedł od razu do rzeczy. Mówił zwięźle, bacznie obserwując reakcje gości. Dobrze wiedział, że jego słowa mogły wprawić w osłupienie. I faktycznie, zdanie po zdaniu oczy Alyn otwierały się coraz szerzej. Rador nie wdawał się w szczegóły związane z tym, jak doszło do buntu w Harrii. Nazwał się przedsiębiorcą i liczył na przeobrażenie „w nowej sytuacji politycznej” całego kamieniołomu w prywatny interes. Taki, który byłby udziałem wszystkich, którzy zaharowując się nierzadko na śmierć z kilofem w dłoni, odpracowywali swoje dawne grzechy.

– Mamy ręce do pracy – mówił z pewnością i zapałem, które kruszyły mury. – Chętne, gdy pozbawiło się ich ciężaru kajdan. Mamy też magazyny. Dwa, zresztą. Wypełnione darlenitem po sufit plus to, co stoi ułożone pod gołym niebem. Mamy całe skrzynie kethrylu. Wydarliśmy go tej przeklętej górze, ociosaliśmy i oczyściliśmy. Jest nasz. Mamy nawet wóz, żeby to wszystko wywieźć i sprzedać. Póki co bez koni, ale to kwestia czasu.

W tym miejscu jego plan zakładał włączenie do gry „zaproszonych” gości z traktu. I to wszystkich, jak leci. Po to, by ugościć, pokazać co i jak, może coś komuś sprzedać. Ale głównie po to, by rozesłać wieści po kraju. O tym, że śnieżnobiały darlenit i zatopione w nim, czarne jak smoła okruchy kethrylu – największe skarby Kaim – już nie należały do zazdrośnie pilnującego swych zapasów Dworu. Że były dostępne dla każdego chętnego. Po okazjonalnych cenach.

Było w tym wszystkim jednak coś jeszcze, choć nie wynikało to bezpośrednio z jego słów, a raczej sposobu, w jaki się wysławiał. Rador nie przewidział, że po wykorzystaniu swojej szansy, jaką dało porwanie księcia i demontaż struktur władzy w stolicy, po przeprowadzeniu udanego buntu i zaprowadzeniu nowych, prywatnych porządków, tak trudno będzie cokolwiek i komukolwiek sprzedać. Już nawet nie tyle po to, by się

wzbogacić, ile by podreperować morale obsady, której członkowie dobrowolnie uznali, że wolą zostać i pracować w miejscu swojej karności, niż iść w świat i pokutować po swojemu. Fumu wyczuł to pierwszy i z bystrością wtrącił się gospodarzowi Harrii w słowo akurat w momencie, gdy ten mówił o brakach w żywności.

– W lesie, którym szliśmy, heh-hm, jest pełno jadalnych grzybów i porostów. Pewnie znajdują się i jagody. A na łące na stoku, jeśli mnie wzrok nie mylił, widziałem jedną czy dwie nory zajęcy górskich – powiedział i uśmiechnął się po swojemu dziąsłami. – Nie mamy pieniędzy, ale możemy się przydać inaczej. Pokażę co i jak, nauczę tego i owego. Za opłatą w darlenicie, rzecz, heh-hm, jasna.

Słuchając obu, Alyn z chwili na chwilę czuła się coraz bardziej rozluźniona. Dopiero teraz ulatywała z niej trwoga, która kazała jej siedzieć z napiętymi mięśniami w gotowości, by w każdej chwili móc sięgnąć po najbliższy twardy przedmiot na biurku. Teraz, gdy jadła, nie obawiała się o swoje bezpieczeństwo. Parzyła na Radora, bo były momenty, w których przypominał jej Toryna.

Tyle że Toryn również był przy stole. Jego kurtkę miał na sobie chudzielec, który prawdopodobnie spotkał jej brata. Być może wyświadczył mu jakąś przysługę. Isztar, jak bardzo brakowało jej w tej chwili Kai, która w mig dowiedziałyby się od Zorana wszystkiego. Wystarczyłoby jej pięć minut rozmowy z dala od świadków. Ale Kai tu nie było, więc Alyn musiała to zrobić po swojemu. Nie mogła wobec tego spuścić chłopaka z oczu. Na szczęście, zaśmiała się w myślach, trudno było go nie zauważyć nawet bez szkieł na oczach – jego dwa przednie zęby jarzyły się w świetle pochodni jak świetliki.

Kolacja była krótka i cicha. Trochę jak formalność w urzędzie w Saahii, pomyślała Alyn, choć wśród blisko dwudziestokilkuosobowej trzódki Radora czuć było podskórnie braterską więź. Parę krzeseł było pustych. Choć nie postawiono przed nimi zastawy, nikt nie śmiał ich ruszać, nawet jeśli oznaczało to rozmowę na odległość. Czekały na nieobecnych.

Albo ich upamiętniały, pomyślała złodziejka. To nie była cała obsada Harrii. Część osób musiała wyruszyć w kraj po konie, wozy, narzędzia. Zanieść wieść o buncie mniej lub bardziej podejrzanym typom gotowym zainwestować w nowe... przedsiębiorstwo. Niektórzy jeszcze nie wrócili, niektórzy nie wrócą nigdy.

Napadnięci i zabici na trakcie.

Alyn poczuła zimny dreszcz, za którym wielkimi falami przyboju do jej głowy zaczęła się wlewać nieprzyjemna, śliska i chłodna czerń, której dotknęła poprzedniej nocy, gdy skoczyła na potwora w skórze kobiety.

– Nie! – krzyknęła w myślach, a przynajmniej świadoma część niej miała nadzieję, że tylko w myślach.

Gdy rana na jej głowie odezwała się tępym bólem, a dłonie zaczęły się trząść, złodziejka zamknęła oczy i zacisnęła zęby, żeby nie zacząć skowyczeć. Następnie wymamrotała nieskładnie podziękowania i wstała od stołu. Ciężko oddychając, szybkim krokiem oddaliła się w stronę głównej ulicy, która ledwo już majaczyła w półmroku. Zdawała sobie sprawę z tego, że odprowadziła ją wzrokiem większość zgromadzonych – w tym Zoran – ale w tej chwili miała to w dupie.

Nie miała pojęcia, że jeden spośród ludzi Radora wpatrywał się w nią od samego początku tak intensywnie, że nawet nie spróbował jedzenia.

*

– Tabitha – usłyszała Alyn z ciemności, gdy przystanęła nieopodal chatki, do której uczynnie skierowała

ją jedna z niewielu tutejszych niewiast. – Heh-hm, tak się nazywała ta kobieta.

Fumu siedział na drewnianym podeście służącym za ganek. Jego drobna sylwetka odznaczała się na tle jasnej ściany domu.

– Nie rozumiem.

– Posłuchaj, no, dziecko... Chodź tu, usiądź przy starcu, żebyś głosu, heh-hm, nie strzegł po nocy.

Dziewczyna westchnęła, po czym podeszła i usiadła przy Umphefumulo. Od razu poczuła się lepiej. Dziadek roztaczał wokół siebie aurę ciepła. I nieodmiennie kojący zapach ziół.

– No, więc posłuchaj mnie. Kiedy zobaczyłem dziś po raz pierwszy twoją ranę, na początku nawet nie zastanawiałem się, co ci się stało. Dopiero po jakimś czasie dotarło do mnie, że dzień wcześniej widziałem narzędzie, którego ostrze dokładnie pasowało do śladu na twojej głowie. Dokładnie tam, gdzie się spotkaliśmy, na łące. To była, heh-hm, sroga siekiera, jeśli pozwolisz, że się tak wyrażę. Niosła ją przy pasie kobieta prowadząca jeszcze dwóch mężczyzn przez bród, a potem traktem wprost na południe. Mówili do niej Tabitha.

„Mateczka Tabi”. Tak powiedziała Fanny, gdy dotarli już niemal do bramy Harrii.

Złodziejka przełknęła ślinę, podczas gdy Fumu kontynuował:

– Wszyscy mieli ubrania podróżne, ale spod nich wystawały koszule. Takie jak tu się nosi. No i cała trójka była krótko ścięta jak tutejsi. To przez, heh-hm, wszy. Poszli, a wieczorem pojawiły się wiedźmy. Następnego ranka nadeszłaś ty z rozharatany łbem. Posłuchaj mnie teraz – Fumu chwycił Alyn za ramię i spojrzął jej głęboko w oczy. Choć było ciemno, wyraźnie widziała jego dwa wpijające się w nią ogniki. – Jeżeli masz się obwiniać, to, na bogów, rób to, ale niech ta cała energia do czegoś się przyda.

– Skąd wiesz, że ja... że to akurat ja...

– Jakbyś mogła na siebie spojrzeć, też nie miałabyś co do tego żadnych, heh-hm, wątpliwości. Jesteś dobrym dzieckiem, Alyn z Rowan. Los nie chce, żeby to wszystko skończyło się gdzieś głęboko w mrocznych zakamarkach twojej głowy. Za dużo już wokół szaleństwa. Dlatego poznałaś jej imię. Po to, by kiedyś pozwolić jej odejść, a sobie sama wybaczyć. I oby nastąpiło to, zanim będziesz w moim wieku. Tyle ci może powiedzieć stary dziadek.

Dziewczyna spuściła głowę, czując, jak w przełyku rośnie jej gula. Czuli się jak wtedy, gdy wraz z Torynem i Kai siedzieli pod drzewem i patrzyli z daleka na pożar, który trawił gmach sierocińca. Błyszczące i łzawiące kłębam dymu okien zostały z nią na zawsze i tak samo będzie z Tabithą – kobietą, której nigdy nie poznała. Lepiej było spojrzeć prawdzie w oczy teraz niż łudzić się, że kiedyś przejdzie.

Nie powiedziała tego Fumu. Zamiast tego, zanim wstała, położyła dłoń na jego kościstym, ramieniu. Tylko na tyle było ją teraz stać, ale lepszy był taki gest niż nieszczera obojętność.

– Aha, jeszcze jedno – rzucił na odchodne dziadek. – Nasz łaskawy gospodarz prosi o niezakłócanie snu mieszkańcom Harrii w nocy. Po mojemu chodzi mu, heh-hm, o to, byście się z Żółwiem nie szlajali po okolicy w ciemnościach.

Alyn uśmiechnęła się do siebie i weszła do środka.

Wnętrze chatki pachniało pyłem i słomą, ale było czyste jak łąka. Oba pokoiki pozbawione były umeblowania, jeśli nie liczyć czterech twardych, słomianych posłań i pojedynczego, sękatego zydlu. Na nim spoczywała, opierając się plecami o ścianę, zbroja Żółwia wraz zawartością. Rycerz spał. Albo medytował, bardzo

powoli i niemal niezauważalnie pulsując całym swoim metalowym jestestwem w rytm bezgłośnych oddechów. Z miniaturowym siedziskiem pod tyłkiem wyglądał jak kłęb słodkiej waty na króciutkim patyku.

Alyn ostrożnie przestąpiła obok niego i przeszła do drugiego pokoiku. Był spowity niemal kompletnymi ciemnościami, rozpędzanymi jedynie bladym ognikiem łuczywa. Usiadła na posłaniu i wymacała ręką spoczywający na nim miękki zwitek z szorstkiego materiału. Koszula i spodnie – darowane przez nawróconych bandytów-gospodarzy. Nawet w głębokim mroku nie sposób było nie dostrzec nieskazitelnej bieli zgrzebnej skądinąd odzieży. Choć gdzieś z tyłu głowy czuła, że niewykąpana bezczęści twarde, pachnące ługiem ubranie, wśliznęła się w nie z przyjemnością. Zniszczone, wymięte szarawary i zakrwawioną, podartą kurtkę od Kai zwinęła w kostkę i położyła obok posłania. Choć jej powieki kleiły się do siebie jak zakłute najsilniejszą pustynną magią, nie zamierzała spać. Przybyła do Harrii w jednym, jedynym celu – aby dorwać bubka noszącego kurtkę Toryna i dowiedzieć się od niego, gdzie jest jej brat.

Alyn poświęciła chwilę na nasłuchiwanie wieczornych odgłosów kamieniołomu, po czym podeszła do wychodzącej na tyły chatki okiennej dziury. Zawahała się i jeszcze raz krytycznie spojrzała na swoje nowe ubranie. Miała wrażenie, że wystarczy najmętniejsze światło gwiazd, by zaświeciła się w nim jak latarnia, zwracając na siebie uwagę absolutnie wszystkich, którzy jeszcze nie poszli spać. Z drugiej strony nie potrafiła spamiętać, ile razy ubrana od stóp do głów w saahijską biel w środku dnia wkradała się do mieszkań, piwnic i magazynów, by po wszystkim móc wtopić się w przedpołudniowy lub popołudniowy potok ludzi. Paradując w darowanej garderobie, ryzykowała tu mniej. Kto wie, być może nawet mogła wzbudzić czyjeś zaufanie.

W końcu usiadła na parapecie, przerzuciła zwinnie nogi na drugą stronę, odbiła się rękami i wylądowała na czyimś tułowiu.

Z głowy przychepionej do owego tułowia wydobyło się stłumione przekleństwo, ale złodziejka zdążyła odruchowo przeturlać się i odepchnąć z całej siły nogą, zanim dotarło do niej, że zabrzmiało ono wyjątkowo swojsko. Trafiła w plecy, a ich posiadacz – z całą pewnością mężczyzna – poleciał pyskiem do przodu i wyłożył się jak długi. Leżąc, parsknął ze śmiechu.

– Uch, dwa zero dla ciebie – powiedział jego czarny zarys, po czym wstał powoli i otrzepał się.

Alyn spięła mięśnie do ataku lub ucieczki, ale coś w głosie nieznanego sprawiło, że zastygła. Znała go. Przez najmniejszą z chwil, przez okamgnienie, wybuchła w niej nadzieja, że to właśnie on. Toryn. Równie błyskawicznie przypomniała sobie, że ten głos, ten ton słyszała niedawno. Ale nie, to nie było możliwe...

Mężczyzna odezwał się szeptem. Mówił czystym zakkańskim.

– Wybacz, proszę. Naprawdę ostatnie, czego chciałem, to żebyś przyłapała mnie pod twoim oknem.

– De... De Witt?

– Jednostka śledcza. W służbie Księcia. Do, hm, niedawna.

Sylwetka de Witta zgięła się w nieznacznym ukłonie.

Alyn nabrała powietrza w płuca i uniosła ręce, ale w końcu westchnęła i opuściła je.

– Jak?

– To... zbyt długa opowieść na tutejsze warunki. Chodźmy lepiej...

– Wypłynąłeś za mną – przerwała mu Alyn, przed jej oczami nagle stanął oglądany z bocianiego gniazda „Boskiego Wiatru” obrazek z ulotnym, pojedynczym żaglem na horyzoncie. – Sam? I co, zamierzałeś mnie

aresztować na pełnym morzu? Zamierzasz aresztować mnie teraz? Czy tylko podglądać, jak się przebieram?

Ostatnie pytania Alyn wypowiedziała głośniejszym i pewniejszym tonem. Niemal zadziornym. Zaskoczenie i gniew dodały jej animuszu. Jakby zegar cofnął się o trzy tygodnie i znów dopiero co rąbnęła de Witta w plecy dorszem na ulicach Saahii.

– Nie, Alyn – zaśmiał się de Witt. – Nie w tych ciemnościach. Jestem gotów wszystko wyjaśnić. Nie mam munduru, nie mam broni. Ledwo uszedłem z życiem. I nawet mi przez myśl nie przeszło zmuszać cię do czegokolwiek. Zwłaszcza, że z tego, co widziałem po tobie, sama miałabyś wiele do opowiedzenia.

– Czego chcesz?

De Witt westchnął.

– A więc niech będzie całkowicie szczerze. Chcę twojego brata. Księżę osobiście poprosił mnie o odnalezienie go i sprowadzenie do pałacu. Za wszelką cenę, ale i bezpiecznie. To jest cała i jedyna prawda.

– Nie rób ze mnie głupiej, de Witt – Głos Alyn nabrał ostrości, którą można było ciąć kamieniem. – Co zakkański tron może wiedzieć o kimś takim jak Toryn?

W zasadzie, to mógł wiedzieć co nieco, pomyślała złodziejka, przypomniawszy sobie co najmniej dwie sytuacje, w których wraz z bratem byli bliscy wpadnięcia w ręce gwardzistów po nieudanych próbach włamań. Wolą jednak zachować pozory. Oficer wydawał się niegroźny – co najwyżej krewki i nad wyraz gorliwy – ale potrafiła sama przed sobą przyznać, że do kunsztu, z jakim Toryn potrafił odczytywać charaktery spotykanych osób, wiele jej brakowało.

– Mamy ten sam cel – odrzekł po chwili de Witt, pojednawczym tonem. – Pomóżmy sobie. Po to tu przyszedłem. By poprosić cię o pomoc. Gdy tylko zobaczyłem, jak przekraczasz bramę Harrii, idąc za tym chłopakiem w kurtce Toryna, myślałem tylko o tym, by z tobą porozmawiać.

– Zaraz, zaraz. Ty nie znasz Zorana?

– Zoran? Tak ma na imię? Nie, nie znam. Jestem tu dopiero od kilku dni, a i tak są wobec mnie nieufni, trzymają z dala od większości. Pewnie przez te łachy gwardzisty, w których mnie znaleźli – zaśmiał się. Po chwili jednak jego mina stężała. – Wiesz, płynęliśmy tu we trzech. Jednego porwało morze, drugi umarł już na brzegu. Zostałem tylko ja... Ale wracając do tematu, tutejsi opuszczają kolonię i wracają do niej niemal codziennie. Chodzą na te swoje „polowania”. Ten Zoran musiał być poza Harrią od dłuższego czasu.

Alyn nie wyczuła w głosie de Witta fałszu, ale z drugiej strony nie miała też jak mu spojrzeć w oczy. Jeśli rozpoznała kurtkę Toryna, to znaczyło, że gwardia Saahii wiedziała o jej bracie – a tym samym pewnie i o Alyn oraz Kai – dużo więcej niż którekolwiek podejrzewało.

– Wciąż jednak zdążyłeś się przyjrzeć kolonii – odrzekła złodziejka. – Wiesz, gdzie kto mieszka. W końcu znalazłam cię pod moim oknem. Gdzie zatem znajdę Zorana?

De Witt przestąpił z nogi na nogę. Zastanawiał się.

Albo ważył, jaka odpowiedź mu się bardziej opłaca.

– Nie jestem pewien – odrzekł w końcu. – Ale Harria to nie Saahii. Najlepiej będzie po prostu go poszukać.

– Zaglądając po ciemku przez okna?

– Nie będzie trzeba. Chodź za mną.

– Nie – rzekła w stronę de Witta. – Powiedz mi, dokąd chcesz iść, a ja nas tam zaprowadzę.

– Ale...

– De Witt, ile razy korzystałeś z osłony nocy, by przekraść się obok strażników portowego magazynu, znaleźć drogę w labiryncie skrzyń i niezauważenie wydostać się z powrotem do miasta z brzęczącymi fantami za pazuchą...? No, właśnie.

*

Choć z łąki, która wiodła do głównej bramy, można było objąć wzrokiem całą kolonię, jej prawdziwy rozmiar zaskakiwał, gdy stanęło się między ścianami kanionu, w którym ją usytuowano. Podążając za wskazówkami oficera, Alyn wiodła oboje niezauważenie w górę głównej alei Harii długo po tym, jak po jej obu stronach skończyły się zabudowania i równe stosy darlenitu. Szli w noc środkiem ubitego traktu. Schodzili na chrzęszczące kamykami pobocze i przystawali jedynie po to, by wyminąć pojedynczych tubylców, którzy wracali – jak wyjaśnił de Witt – z wypadu za potrzebą. Żaden z nich nie był Zoranem. W końcu wyszli z kanionu na szeroki plac, którego naturalnymi granicami ze wszystkich stron były łagodne skarpy. Przywitał ich zasłaniający niemal całkowicie niebo pejzaż pnącego się wysoko w górę zbocza Góry Gigantów. Prawdopodobnie niezapomniany i majestatyczny w dzień – w nocy był po prostu jeszcze jedną czarną plamą, która wysysała resztki światła gwiazd. Alyn z trudem dojrzała w głębi placu kilka kolejnych sylwetek sześciennych konstrukcji. Te, w przeciwieństwie do składu darlenitu, który zostawili za sobą, ustawione były pojedynczo, z dala od siebie. Dalej, na przeciwległym końcu, jarzyło się pojedyncze światło latarni i wyciągało z mroku drzwi szerokiej drewnianej budowli. Całkiem na lewo – ledwo widoczne – stały klatki kilku latryn. Czuć było je z daleka.

Gdy ruszyli ku centrum placu, Alyn zdała sobie sprawę, że sześciiany nie były, jak podejrzewała, kolejnymi stosami ociosanego białego kamienia. Okrywające je płachty materiału były zbyt krótkie, by przykryć je do samej ziemi. W dole ujawniały przetykany pionowymi prętami prześwit. Przywoływały wspomnienia.

Alyn obejrzała się w stronę de Witta.

– Klatki?

Wciąż nie mogła dojrzeć szczegółów jego twarzy, ale obcięty na krótko mężczyzna nie przypominał dumnego gwardzisty, jakim go, przelotnie, bo przelotnie, zapamiętała. Z drugiej strony sama prawdopodobnie przedstawiała sobą dużo większy obraz nędzy i rozpacz.

– Dodatkowa kara dla niesubordynowanych, jak mniemam – odrzekł de Witt. – Z tego, co się dowiedziałem, zamykano ich tu na co najmniej kilka dni. A słońce, deszcz i wiatr robiły swoje. Teraz Rador więzi wyłącznie tych, którzy sprawiają wyjątkowe problemy. Swoją drogą, wiesz, że nie jesteś pierwszą Zakkanką, która pojawiła się tu w ciągu ostatnich dwóch dni?

Złodziejka zwolniła, po czym zatrzymała się wpół kroku.

– Laetitia... – powiedziała w ciemność przed siebie.

– No, popatrz, miałem przecucie, że coś was łączy.

Mężczyzna zatrzymał się przy Alyn i wyciągnął rękę, wskazując klatkę nieco w oddali po lewej od tej, do której zmierzali.

– Jest tam – powiedział. – I z tego, co wiem, nikomu się jeszcze nie przedstawiła.

Alyn zacisnęła pięści.

– Po co tu przyszliliśmy, de Witt?

Meżczyzna westchnął.

– Podśledzałem podczas kolacji, że nasz kolega Zoran był bardzo ciekaw więzionej przez Radora kobiety. Nie dziwię się zresztą. Ponoć, staniając się na nogach, obolała i ranna, niemal wydrapała oczy Yarwenowi i powaliła trzech innych ludzi, z których żadnego nie nazwałabyś mikrusem.

Yarwen, potężna góra mięśni i tłuszczu, siedział przy kolacji z boku, z opaską na oczach. Karmiła go Fanny.

– Skąd masz pewność, że przyjdzie? – zapytała złodziejka.

– Widziałem to w jego oczach. Chodź, schowamy się do środka, ta nie ma pręta z jednej strony.

De Witt wyszukał dłonią odpowiednie miejsce, po czym wśliznął się pod płachtę przykrywającą najbliższą z klatek i przytrzymał ją w rękach. Alyn niechętnie podażyła za nim.

W środku było ciasno i nisko. Mdła poświata latarni przy magazynie sączyła się spod jednego z rogów narzuconego na konstrukcję materiału. Reszta wnętrza spowita była absolutną czernią. Alyn dobrze znała ten rodzaj kary z Rowan. Wielokrotnie mijała zamkniętych w nich nieszczęśników na rynkach „cywilizowanych” rowańskich miścin. Zmarzniętych, głodnych, mających i obolałych od pozostawania w niewygodnej pozycji. Pewnego razu Toryn spędził w takiej trzy dni. Był chory, gdy go zamykali, miał gorączkę. Pod osłoną nocy przynosiła mu wodę i skradzione zioła, i lekarstwa. Gdyby ją złapali i też wsadzili do czegoś takiego, nie wyszłaby o zdrowych zmysłach.

– Posuń się – warknęła. – Usiądę przy wyjściu.

Być może de Witt miał wystarczająco dużo instynktu samozachowawczego, być może jej ton wywarł na nim tak duże wrażenie, ale na swoje szczęście wykonał polecenie bez słowa sprzeciwu. Milczeli długo, nasłuchując. Bardzo szybko zrobiło się duszno i Alyn stwierdziła, że oficer paskudnie śmierdzi. W końcu, po kolejnym przeniesieniu ciężaru ciała na inny półdupek, odezwała się.

– Dlaczego on? Dlaczego Toryn?

De Witt zaśmiał się cicho. Spodziewał się tego pytania.

– Wybacz, nie mam prawa ani przywileju tłumaczyć ci książęcych powodów – odrzekł. – Ale musisz zrozumieć jedno. Choć znasz swojego brata przez całe życie, choć wychowywaliście się nawzajem od dziecka... choć kochasz go nad cokolwiek innego na tym dziwnym, bezwzględnym świecie, wciąż nie siedzisz w jego głowie. Nie jesteś w stanie znać wszystkich jego sekretów.

Złodziejka zacisnęła pięść gotowa za moment walnąć de Witt'a w tę jego firecykowaną mordę, jaką zapamiętała z przelotnego spotkania w Saahii. Czuła przypływ złości i nie była tylko pewna tego, czy spowodował go fakt, że jednym zdaniem podważył wszystko, co składało się na jej przeszłość, czy to, że jego słowa brzmiały cokolwiek prawdziwie.

Toryn zniknął z własnej woli. Wyjechał za morze. Bez uprzedzenia. I nie dawał znać o sobie od miesięcy. Choć wcześniej nigdy nie zrobił ani jednej z tych rzeczy.

Ale to wciąż był, kurwa, Toryn.

– Alyn?

– Czego.

– Ta Laetitia... Czy ona nie wypłynęła razem z tobą statkiem kapitan Margo? Razem z drugą podobną?

– Też nie mam, wyobraź sobie, prawa ani przywileju odpowiadać na jakiegokolwiek twoje pytania, de Witt.

– To nie odpowiadaj, ale posłuchaj, bo może cię to zaciekawić. I tak nie mamy tu nic do roboty. No, więc miesiąc temu ktoś włamał się do domu Hanso Trzeciego, najpotężniejszego kupca w Saahii, człowieka praktycznie nietykalnego. Może słyszałaś o tym. Tak czy siak, ten ktoś wykonał pierwszorzędną robotę. Nie pozostawił żadnych śladów, wszedł i wyszedł niezauważony. Ukradł jedynie zawiniątko ze zwojem, którego Hanso zdobył zresztą niedługo wcześniej i w nieznanym bliżej okolicznościach. Przez jakiś czas nie wiadomo, co stało się ze zwojem, ani tym bardziej, co też było na nim zapisane. Ba, gwardia książęca prawdopodobnie nie dowiedziałyby się o żadnej kradzieży, bo ludzie pokroju Hanso zwykli brać sprawiedliwość w swoje ręce, całkiem skutecznie zresztą. Ale gdy tylko nasi obserwatorzy zgłosili wzmożony ruch wśród ludzi zarówno Hanso, jak i Silvestriego... Ufam, że słyszałaś i o tym drugim – ton de Witta zabrzmiał jak porozumiewawcze mrugnięcie. – Zaczęliśmy węszyć bardzo intensywnie wokół obu. I wiesz, co się okazało?

– Napięcie wręcz mnie rozsadza.

– Po pierwsze, ludzie Hanso wytypowali kilkoro potencjalnych sprawców i zaczęli na nich polować. Bezwzględnie. Nie wiesz o tym, bo zrzędzeniem losu akurat wypłynęłaś „Freyą” na kilkutygodniowy połów z kapitanem... jak mu tam?

– Wilmot.

– Otóż to. Tymczasem na liście Hanso znalazł się twój zaginiony brat, Alyn. I ty też się na niej znalazłaś. Jego ludzie, jak mówiłem wyjątkowo skuteczni, wyłapali wszystkich oprócz was. Mówię „jego ludzie”, a tak naprawdę mam na myśli siedzącą w jego kieszeni połowę obsady posterunków gwardii w Saahii. Nieładnie to wyglądało wszystko, wierz mi. Narobili dużo smrodu wokół siebie, więc po pewnym czasie uciechli... w oczekiwaniu na twój powrót. Miałaś zostać pojmana kilka chwil po zejściu na ląd i zaprowadzona wprost do prywatnych komnat Hanso. Z powrotem, rzekłbym, jeśli to mnie przyszłoby wskazywać winnego kradzieży zwoju.

De Witt zrobił przerwę na moment, by sprawdzić reakcję Alyn, ale nie doczekał się ani drgnięcia. A jej twarz skrył miłośniwy mrok. W międzyczasie zdała sobie sprawę, że to wcale nie on śmierdzi, tylko ona sama.

– Mów dalej – powiedziała, choć w duchu pragnęła czym prędzej znaleźć się z powrotem na zewnątrz.

– W międzyczasie Silvestri, którego uznaliśmy za głównego beneficjenta całego tego zdarzenia, nie próżnował. Tylko dzięki jednemu odważnemu agentowi, którego umieściliśmy w szeregach jego ludzi pięć lat temu, dowiedzieliśmy się, że niedługo po kradzieży wynajął statek Margo do popłynięcia na Kaim. Zatarł za sobą ślady. Według umowy szalona kapitan miała wziąć każdego, kto się zgłosi i zdoła opłacić podróż. Czyli jak zwykle. A wszystko po to, by wysłać tu swoich ludzi.

Złodziejka drgnęła. Poznała wszystkich na pokładzie „Boskiego Wiatru”, bez wyjątku. I nie było ich wiele.

– Wiesz, kto to był? – zapytała.

– Cicho – odszepnął de Witt. – Chyba idą.

Alyn otrząsnęła się i nadstawiła ucha. W oddali faktycznie słyhać było odgłosy kroków i rozmowy.

Zbliżały się. Nie czekając na de Witt, uniosła płachtę i wyjrzała na zewnątrz. Przyzwyczajone do mroku, wsparte skupiającą siłą szkieł Zakarego oczy natychmiast wypatrzyły na tle granatu nieba dwie czarne sylwetki. Zmierzały wprost do klatki Laetitii, a tułów wyższej wyraźnie opinał zarys kurtki Toryna.

Poznałaby ją wszędzie.

– To on – szepnęła i bezszelestnie wysmyknęła się na zewnątrz. – Ktoś z nim jest... chyba kojarzę ten krok. To Fanny.

De Witt podążył jej śladem i oboje kucnęli, opierając się plecami o pręty pod materiałem. Obserwowali parę, która zatrzymała się przed klatką. Ta znajdowała się w odległości rzutu kamieniem. Zoran schylił się i podwinął do góry płachtę. Z oddali nie było jasne, czy on i jego towarzyszka są w stanie cokolwiek pod nią dostrzec. Widać było jedynie, jak mężczyzna wyciąga zza pazuchy podłużny, nieprzyjemnie wyglądający przedmiot.

– De Witt...

– Widzę. Chodźmy.

Alyn ruszyła marszem, przyglądając się, jak w oddali Zoran kuca i szuka czegoś w kieszeniach kurtki. Gdy była w połowie drogi, ciemność rozświetliły trzy następujące po sobie błyski krzesiwa. Przy pierwszym złodziejka dojrzała w klatce leżącą na boku Laetitię. Przy drugim sylwetka kobiety przybrała pozycję zwierzęcia gotowego do skoku na swoją ofiarę.

Przy trzecim wiedźma stała tuż przed prętami, z uniesioną głową i ręką wyciągniętą w stronę nieświadomej niczego pary.

Złodziejka zaczerpnęła w płuca powietrze do okrzyku i...

Czwarty błysk zapalił trzymaną przez Zorana pochodnię, a żółty płomień rozświetlił twarze jego i Fanny, które natychmiast zamarły w zaskoczeniu. Tuż przed sobą dojrzeliby otwarte dłonie jeszcze przed momentem leżącej nieprzytomnie więźniarki. Jej grymas, który do tej pory stanowił przerażającą parodię uśmiechu, natychmiast zamienił się w bezgłośny okrzyk furii, a spomiędzy jej palców wystrzelił jasny jak dzień podmuch żywego ognia. Jaskrawy podmuch na moment ogarnął Zorana od stóp do głów i powalił, zostawiając po sobie kilka żółtych jezorów na spodniach i tułowi. Czarna chmura dymu z ogromną prędkością pofrunęła nad nim dalej w noc. Fanny padła na plecy z szeroko otwartymi oczami.

Laetitia sięgnęła przez pręty i podniosła pochodnię, którą przytknęła do zamka klatki. Z jej dłoni ponownie buchnął strumień ognia, który natychmiast rozgrzał metal.

– Chodź, szybko!

De Witt złapał Alyn za przedramię i pociągnął za sobą, ale ich chwila zawahania wystarczyła do tego, by służka Bakkusa dwukrotnie zdążyła szarpnąć za rozklekotane drzwi klatki. Gdy znaleźli się tuż przy niej, Laetitia uderzyła po raz trzeci i metal puścił z głuchym szcękaniem. Zrobiła krok na zewnątrz i rzuciła za siebie pochodnię. Zanim znów zrobiło się ciemno, Alyn zdążyła dostrzec na jej ciele niezliczoną liczbę krwawiaków i siniaków. Miała podbite oko, a z jej uszu ciągnęły się w dół szyi wąskie czarne linie zaschniętej krwi.

Poprzez ból na jej twarzy wyraźnie przebijały się niemniej ostre grymasy ciężkiego wkurwienia.

– Nie spodziewałam się ciebie tutaj, złodziejko – powiedziała po zakkańsku, a twarde zgłoski pustynnego języka przeszły powietrze jak wiatr smagający skórę piaskiem.

Alyn zatrzymała się i zerknęła na ziemię, w stronę rozżarzonych nitek na ubraniu Zorana. Był poparzony i oszołomiony, ale żył. Laetitia zaczerpnęła oddech, lecz zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zgięła się w pół i kaszlnęła z przeraźliwym dźwiękiem przynoszącym na myśl ciało rozrywane od środka. Z jej ust na ziemię chlusnął strumyk krwi.

– Teraz, Alyn, zanim zabije Zorana!

Nim złodziejka zdążyła zareagować, de Witt wystrzelił z miejsca w stronę ślaniającej się na nogach kobiety. Ubiegł dwa kroki, po czym wiedźma błyskawicznym gestem dłoni zatrzymała go w miejscu i następnie odepchnęła z potężną siłą. Alyn poczuła jedynie podmuch wiatru, gdy ciało mężczyzny przefrunęło obok niej, a następnie głuchy dźwięk upadku gdzieś hen za plecami.

– Kaim jest stracone – powiedziała Laetitia słabym głosem, po czym pociągnęła głęboko nosem i splunęła pod nogi. – To... szaleństwo... jest tu już za długo. Wrosło zbyt głęboko. Rozumiesz? Cokolwiek zrobisz, cokolwiek się stanie, nie będzie tu dobrego zakończenia.

Złodziejka stała jak wryta, z wzrokiem wlepionym w sylwetkę wiedźmy, a jej myśli błądziły wokół Toryna, Zorana i de Witta. Gdzieś w pobliżu, niedaleko, rozległy się czyjeś krzyki. Alyn czuła, że mimo tego, co się stało, mimo że wciąż piekły ją nadgarstki od więzów, to, co mówiła Laetitia, było z jakiegoś powodu niesłychanie ważne.

– Mówisz... mówisz o zwierzoludziach?

Laetitia wydała z siebie kolejny paskudny dźwięk. Ni to kaszel, ni to parsknięcie. Otarła usta dłonią.

– Zapytaj tego swojego rycerza... zapytaj go, gdzie się urodził...

– Ty kuuurrrwo!

Piskliwy wrzask rozległ się tuż za wiedźmą, po czym Laetitia zaharczała i upadła ciężko na ziemię. Na niej okrakiem siadła Fanny i, nie przestając krzyczeć, jęła zapalczywie, z całej siły wbijać kobiecie w plecy nóż.

Alyn spięła mięśnie, by rzucić się na nią, ale nagle poczuła, jak czyjeś potężne dłonie krępują jej ramiona i przytrzymują w pasie. Ktoś jednym ruchem zerwał roztrzęsioną Fanny z trupa wiedźmy i posadził ciężko na ziemi. Okolica błyskawicznie zaroila się od ludzi, zrobiło się jasno od świateł pochodni.

– Wołać Radora! – zakrzyknął ktoś.

– Do Radora! – odpowiedział inny. – Zanieść ich do Radora!

Kolejne ręce chwyciły Alyn za łokcie, ktoś uniósł jej nogi za kostki. Nim się obejrzała, znalazła się w horyzontalnej pozycji nad ziemią, nie mogąc się ruszyć. Nie miała szans – silne ręce górników prędzej połałyby jej kości niż ją puściły. Wykręciła szyję, by poszukać wzrokiem de Witta, ale była obrócona w złą stronę. Zamiast niego w niewielkiej odległości zamajaczyło jej lustro lśniące odbitym światłem pochodni.

Nie, nie lustro.

– Puśćcie ją.

Donośny, blaszany rozkaz skupił całą uwagę zgromadzonych przy klatce ludzi na potężnej zbroi zmierzającego w ich stronę Żółwia.

– Puście ją! – zadudnił rycerz ponownie, nie zwalniając kroku i kierując się wprost w stronę niesionej Alyn. – Puście albo zabiję.

Gdy tylko złodziejka poczuła, jak ustępuje ucisk na jej przegubach, wyrwała się i stanęła na nogach. Rozejrzała się, by oszacować sytuację. Żółw w swojej pełnej zbroi faktycznie był w dużej mierze nietykalny – pochodnie i koziki byłych skazańców nie były w stanie mu nic zrobić. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa z nią samą. W tej chwili mieli przewagę zaskoczenia i niewiele czasu.

– Weź go, proszę – powiedziała do Żółwia swoim łamanym kaimiańskim, tak żeby każdy ją usłyszał, i wskazała na nieprzytomnego de Witta. – Pójdziemy do Radora.

Gdy rycerz ją wyminął, Alyn zdecydowanym krokiem podeszła do osmalonego, oddychającego ciężko Zorana.

– Ten człowiek potrzebuje pomocy! – krzyknęła i spojrzała na dwójkę najbliższych stojących mężczyzn. – Ty i ty zanieście go prędko do lekarza!

Wywołani spojrzeli po sobie, po czym podeszli i pochylili się nad Zoranem. Ustępując miejsca pierwszemu z nich przy rękach rannego, złodziejka chwyciła podwiniętą podmuchem kurtkę Toryna, jednym sprawnym ruchem zdarła ją z jego pleców, zwinęła i schowała pod pachę. Gdy się odwróciła, Żółw szedł ku niej z powoli odzyskującym świadomość de Wittem na ramieniu.

– Idziemy, Alyn – zawyrokował.

Dziewczyna jeszcze raz spojrzała na leżące w błotnistej, czarnej kałuży krwi ciało Laetitii i z walącym sercem, czując, jak trzęsą się pod nią nogi, ruszyła w dół alei, która wiodła z powrotem do głównej bramy Harrii.

*

Dotarli do zabudowań, ciągnąc za sobą szemrzący ogon mężczyzn i kobiet. Ci, którzy nie popędzili wcześniej w górę alei, wyglądali teraz z okien i drzwi oświetlonych pospiesznie pozapalonymi latarniami chałek. Przy budynku straży w rozległej plamie pomarańczowego światła czekał rząd mężczyzn – Rador stał pośrodku. Miał srogą minę, którą kontrapunktowała łagodna, choć bynajmniej nie uśmiechnięta twarz siedzącego na jego barkach Fumu.

Gdy Alyn, Żółw i de Witt – już na własnych nogach – podeszli na odległość dwóch wyciągniętych ramion, cała Harria zamilkła.

Złodziejka, starannie ukrywając zaskoczenie obecnością dziadka, szukała wzrokiem jakichkolwiek znaków w jego oczach. Odnalazła tylko pojedyncze, nieznaczące skinięcia, które mogło znaczyć wszystko. Usilnie potrzebowała uwierzyć w to, że to konkretne miało za zadanie przekazać: „wszystko będzie dobrze”.

– Pięćdziesiąt dni w kamieniołomie! – gruchnął w końcu Rador, przeskakując wzrokiem pomiędzy Alyn i de Wittem, Żółwia, niejako, ignorując. – Tyle stare zwyczaje przewidywały dla tych, którzy byli dla Harrii problemem. Pięćdziesiąt dni w słońcu, deszczu, na wietrze i w zimnie. Wiesz, moja droga, jak wspaniale taki czas zadumy wpływa na charakter? Jak bardzo przydaje się w życiu? Tobie już życie zdążyło odebrać dni wolności, widzę to w twoich oczach. Nie było ich wiele, ale na pewno więcej niż tego tu chłystka, który w życiu do klatek wsadzał wielu innych, tylko nie siebie.

Przywódca górników zmierzył wzrokiem de Witta z miną wyrażającą największe zdegustowanie.

– Ptaszki doniosły mi, że byliście w nocy tam, gdzie was być nie powinno. Że przy was znaleziono dwie ciężko ranne osoby i jedną w szoku. I co, myślicie, ja mam z takim kontekstem zrobić? Ty, rudowłosa. Nie minęło pół dnia, od kiedy przekroczyłaś bramę Harrii, i już szukasz współników i próbujesz udowodnić, że powinni cię byli tu zamknąć już dawno temu? O co chodzi? Podobno zgodziłaś się na nasze, hm, przymusowe zaproszenie z niespotykaną ochotą. Chcę, do ciężkiej kurwy, za przeproszeniem, wiedzieć, co tu się dzieje. Coś ty za jedna?

Alyn momentalnie poczuła ciężar skierowanego na nią wzroku wszystkich obecnych. Zwłaszcza tych, którzy stali przy Radorze z brzydsko wyglądającymi brzeszczotami w dłoniach. Powoli wypuściła powietrze z płuc i wzięła oddech. Spod pachy wyciągnęła i rozwinęła skózaną kurtkę.

– To należy do mojego brata – powiedziała, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

– Taaak – odrzekł Rador i podrapał się w brodę. – Zauważyłem podobieństwo. Macie ten sam tupet.

Choć wydawało się to już niemożliwe, serce Alyn zabiło jeszcze szybciej. A więc Toryn tu był!

– Nasz drugi nowy gość – Radorowi w jakiś niepojęty sposób udało się wskazać siedzącego na jego ramieniu Fumu kciukiem i jednocześnie okazać mu szacunek w tym samym geście – zdążył mi szepnąć o tobie kilka, nie powiem, ciepłych słów. Zresztą widać po tobie, że w trosce o rodzinę zła się nie ulękiesz. Prędejj będzie w drugą stronę. Dlatego jestem gotowy pozwolić ci odejść. Tu i teraz, z nadzieją, że znajdziesz swojego brata w komnatach pałacu w Ganiyi i więcej was obojga nie zobaczę.

Herszt dał złodziejce chwilę na przetrawienie swoich słów, po czym odwrócił głowę w stronę de Witta.

– Jeżeli o ciebie chodzi...

– On idzie ze mną – Alyn usłyszała swój głos. Resztę wyartykułowała z pośpiechem. – Jestem odpowiedzialna również za niego, za to, że pojawił się u was i za wszystkie wstręty, których wam zdążył narobić. Jeśli chcesz mnie wypuścić, wypuść także jego.

Gdyby nie kojący dźwięk powolnych, niemal niesłyszalnych oddechów Żółwia obok, nigdy nie odważyłaby się wypowiedzieć tych słów. Przełknęła ślinę, obserwując, jak bujne, czarne brwi Radora bardzo powoli obniżyły się i zbliżyły do siebie, a usta zwężyły do wąskiej kreski w wyrazie niemej furii. Zamiast wybuchnąć, mężczyzna wypuścił głośno powietrze nosem, po czym zdjął z ramienia Umphefumulo i przybliżył go na niemal wyprostowanych rękach do Alyn. Mina dziadka daleka była od pogodnej. Wyrażała troskę.

– Weź to, dziecko – powiedział i Fumu wyciągnął w jej stronę na dłoni zwiniętą kartkę. Pachniała ziołami. – Zostało niewiele czasu. Powodzenia.

Po tych słowach Rador wziął go z powrotem na ramię, zakręcił palcem wysoko nad głową i wraz ze switą odwrócił się i odszedł w stronę budynku straży. Tłum wokół na chwilę pozostał w bezruchu, po czym jedna po drugiej pochodnie zaczęły się odłączać i odpływać w powietrzu w stronę chałup. Kilka skierowało się w stronę najbliższej, z której zaczęły dochodzić głucho jęki Zorana.

Nim na powrót zrobiło się zupełnie ciemno, Alyn rozwinęła biały świstek, na którego dwóch stronach wykaligrafowano po zakkańsku trzy słowa. Z jednej strony była to „Tabitha”, z drugiej „Valas pozdrawia”.

Valas?

Echo znajomego imienia kołatało w głowie złodziejki jeszcze długo po tym, jak ruszyła wraz z Żółwem

i de Wittem w ciemną, zimną noc.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Isztar, de Witt, ty krwawisz!

De Witt był w kiepskim stanie. Ze względu na to, że utykał i tracił równowagę na stromiznie, zejście po wijącej się w dół zbocza drodze z powrotem na trakt zajęło im niemal całą czarną i zimną noc. Nad ranem oboje wraz z Alyn szczękali zębami z wyziębienia, nawet mimo że złodziejka szczelnie opatuliła się kurtką Toryna. W górę, w stronę Ganiyi, na powrót ruszyli, gdy blada luna zdążyła rozprzestrzenić się po całym niebie. Przystanęli niedługo potem, na skraju lasu, skąd rozpościerał się widok na długie, skryte jeszcze w cieniu, zachodnie zbocze Góry Gigantów. Dopiero teraz mogli się sobie na dobre przyjrzeć po wczorajszych wydarzeniach i choć początkowo Alyn kierowała swój wzrok na zdecydowanie ujmującą godności łysą pałę oficera, szybko zauważyła brunatną, przetartą plamę na prawym rękawie jego białej koszuli. Jego przedramię i dłoń naznaczone były łamanymi liniami powoli spływających kropel krwi.

– Dam sobie radę – odpowiedział de Witt tonem, który nieudolnie próbował zatuszować fakt, że wcale nie jest pewny, czy da sobie radę. – Pociągnąłem łokciem po ziemi, gdy ta wiedźma...

– Potrzebujemy oczyścić ci ranę. Patrz – Alyn wskazała w oddali przed sobą kępę drzew, za którą ły-skało coś, co przy dobrych wiatrach mogło być płaską taflą górskiego jeziora – tam się zatrzymamy i odpoczniemy. Rozpalimy ognisko. Żółwiu, pomożesz mu?

Żółw nie powiedział ani słowa przez całą noc, a Alyn nie chciała go zagadywać, szukając przed sobą drogi po omacku i nasłuchując wycia, które co i raz rozlegało się w oddali. Gdy jego milczenie przedłużało się nawet po brzasku, uznała to za niepokojący znak, ale nie poświęciła temu więcej czasu, niż było trzeba. Wypowiedziane tuż przed śmiercią słowa Laetitii o miejscu jego urodzenia kołatały się w głowie złodziejki cicho i łatwo było je zagłuszyć. Z przodu bowiem czekała Ganiya. Była na wyciągnięcie ręki. Za następnym pagórkiem albo jeszcze kolejnym.

Ganiya, a w niej Toryn.

*

Pierwszego trupa znalazł de Witt, który uparł się iść na przedzie. Był to młody mężczyzna. Półyżął na brzuchu, obejmując pień drzewa, które rosło przy drodze. Na zakrwawionej szyi miał głęboką, czarną bruzdę. Jeszcze wilgotną. Ubrany był w podróźny strój.

Kolejnego dojrzała Alyn. Trudno było go przeoczyć – potężne, okrągłe ciało leżało plackiem na tracie, a jego plecy były jedną wielką szkarłatną plamą. Przy bliższych oględzinach okazało się, że ubranie i skóra zostały przebite kilkanaście razy. Jeszcze jednego, leżącego na plecach, z wyraźnie widoczną między połami

rozchełstanej koszuli dziurą w mostku, zobaczyli już kilkadziesiąt kroków od jeziora. Za nim pomiędzy drzewami wysoko w górę pięła się siwa struna dymu.

Zwierzoludzie, pomyślała Alyn, po czym zdała sobie sprawę z tego, że nie czuje strachu. Prędzej... smutek. A raczej głębokie rozczarowanie.

Śmierć, zdawało się, przylepiła się do jej buta i odkąd wylądowała na Kaim, począwszy od psiej matki tamtego szczeniaka, kroczyła tuż za nią. Albo przed nią – zależy, jak na to spojrzeć. Im bliżej Ganiyi, tym było jej więcej. I bolała bardziej.

Nagle zza krzewów zasłaniających położony niżej brzeg dobiegł ich stłumiony okrzyk. Złodziejka spojrzała na de Witta. Przysięgła sobie w duchu nigdy więcej nie zabijać, ale bez chociażby kozika w dłoni czuła się w tej chwili wybitnie nieswojo.

– Trzymajcie się za mną – powiedział Żółt i zasłaniając się tarczą, skierował kroki w stronę, z którego dobiegł dźwięk.

Alyn i de Witt podążyli za nim. Gdy minęli ścianę krzewów i stanęli na skraju niewielkiej skarpy, która łagodnie schodziła ku nieruchomej tafli jeziora, rycerz zatrzymał się i odwrócił nieznacznie głowę.

– Alyn.

Złodziejka wyjrzała zza jego ramienia i aż zachłysnęła się powietrzem.

Tuż przy dogorywającym ognisku, oparta o pień pochylonego hen daleko nad wodę drzewa, siedziała ubrana w płaszcz kobieta. Oddychała ciężko, poruszając opuszczoną głową to w lewo, to w prawo.

Złodziejka natychmiast podbiegła i uklękła przy niej.

– Elena. Elena! Słyszysz mnie?

Spomiędzy strąków zlepionych potem włosów Eleny przenikała rozpalona, czerwona skóra. Lewa nogawka jej spodni została ucięta wysoko przy pachwinie – rana, którą zaszył Godryk w chatynce te kilka dni temu, była fioletowa i wraz z napęczniałym udem pulsowała przy każdym ruchu kobiety. Jej dłonie były zesztyniałe i zaciśnięte z bólu.

– Elena, posłuchaj mnie – Alyn złapała brodę kobiety w dwa palce i przekręciła jej twarz w swoją stronę. W jej oczach ujrzała tylko białka. – Gdzie jest Godryk?! Gdzie jest... och, kurwa... De Witt, służyłeś w gwardii, pomóż jej. Ja poszukam jej partnera. Wędrują razem, nie powinien być daleko.

– Uważaj na siebie, oni wciąż mogą tu...

– ... być. Tak, wiem, de Witt. Zwierzoludzie, służki Bakkusa, bandyci i robaki w zgniłej wodzie. Kaim ma to wszystko. Niech cię szejtan pokąsa, Toryn. Dlaczego właśnie tu?

Brzeg jeziora był zarośnięty szuwarami i w dużej mierze zalesiony. Błyszcząca tafła migiała Alyn, gdy szybkim marszem podążała za czymś, co uznała za namiastkę ludzkich śladów. Nasłuchiwała, ale jedyne, co niesło się w zimnym, porannym powietrzu, to jej oddech i stłumione westchnięcia miękkiej ziemi pod jej butami.

Nie musiała szukać daleko. Gdy wypadła na jasną przecinkę z płaską, szeroką plażą, złodziejka od razu dojrzała Godryka. Kucał w wodzie tuż przy brzegu, przodem do jeziora. Mył ręce i twarz.

– Godryk! – krzyknęła złodziejka i ruszyła w jego stronę.

Mężczyzna, nie przerywając ablucji, obejrzał się jednym okiem, po czym odwrócił się znów tyłem.

Powoli zaczerpnął wody do skórzanego bukłaka. Jego spokój był nie na miejscu.

Wstał i odwrócił się do Alyn w momencie, gdy była już kilka kroków od niego. Miał zmęczone, czerwone oczy i mokrą twarz. Trudno było poznać, czy to była woda, czy łzy.

– Tak, Alyn? – Powiedział z nutą irytacji w głosie.

Złodziejka zrobiła pół kroku do tyłu. To wciąż był Godryk, ale już na pierwszy rzut oka widać było, że i na nim Kaim wywarło niezatarte piętno. Jego młodzieńcza, wiecznie rozpromieniona twarz wydłużyła się i pokryła ciemnym, szaroburym zarostem. Zmarszczone czoło wyrażało czystą złość.

Mężczyzna przetarł twarz, chrząknął i uśmiechnął się.

– Przepraszam. Ciężki poranek. Widziałaś się z Eleną? Isztar, co ci się stało w głowę?

– Widziałam... Elenę. Ona jest w ciężkim stanie, Godryk. Ze mną wszystko w porządku, dziękuję za troskę. Poza tym, co to za trupy na trakcie?

Mężczyzna westchnął.

– Nie wiem, Alyn. I nie interesuje mnie to. Na pewno nie mieli przy sobie lekarstw, gdy ich znaleźliśmy. A tego teraz najbardziej potrzebuję.

– Być może będę mogła ci pomóc, ale chodź już. Jest z nią naprawdę źle. I uważaj na tę wodę.

Alyn odwróciła się i ruszyła marszem po piasku, nie oglądając się na siebie. Z całej siły starała się ignorować ciche, ale natarczywe szepty ostrzeżenia w swojej głowie.

*

Gdy dotarli do ogniska, Żółt kończył właśnie układać znalezione zwłoki obok siebie po drugiej stronie traktu. Na widok Alyn de Witt podniósł się z klęczek przy Elenie. Miał zaciętą minę, która po zauważeniu Godryka zmieniła się w niemą wrogość. Złodziejka uspokoiła go gestem i przedstawiła wszystkich.

Godryk, jeżeli był zaskoczony męską – i zbrojną – obstawą Alyn, nie dał po sobie niczego poznać. Spojrzał z troską na Elenę i dorzucił gałęzi do żaru. Podniósł leżący nieopodal rondel, ostukał o podszwę i nalał do niego wody z bukłaka. Następnie postawił go ostrożnie na płaskim kamieniu w centrum paleniska. Z torby przy pasie wyciągnął zawiniątko z resztką jasnozielonego suszu.

– To powinno pomóc na trochę – powiedział i wsypał liście do gorącej wody – ale, jeżeli ona ma przeżyć, będę potrzebował tej twojej pomocy, Alyn.

– Moment, moment – wtrącił się de Witt. – Tych tutaj nie zabili zwierzoludzie. Obejrzelśmy ich, wszyscy zostali albo pocięci, albo zadźgani. Bandytów... takich prawdziwych bandytów w okolicy, jak wiemy, nie ma. Gdzie go znalazłaś, Alyn? Co on tam robił?

– Poszedłem po wodę – odpowiedział Godryk, nie czekając na gest Alyn.

– Tak? Tu też jest woda. Jesteśmy trzy kroki od brzegu.

Długowłosa mężczyzna pomieszał wywar patykiem i zabrał rondel z ognia.

– Stąd nie ważyłbym się czerpać.

Alyn zauważyła pytające spojrzenie de Witta i obejrzała się w stronę jeziora. Stanęła tuż nad taflą. Dojrzała je po chwili. Białe, napęczniałe ciało leżące twarzą do dna. Sądząc po figurze, była to młoda dziewczyna. Miała krótkie czarne włosy. Na jej szyję spod kołnierza wypęły na skórze ciemne witki. Alyn nie była

pewna, czy to glony, czy tatuaż. Na przykład bluszczu.

Ale to nie mogła być Kai.

Nie mogła, prawda?

Z wewnętrznego rozedrgania, które bardzo łatwo można było pomylić z zamyśleniem, wyrwał ją kaszel Eleny. Kobieta trzęsącymi się dłońmi obejmowała delikatnie przestrzeń wokół gorącego rondla, którego Godryk przytknął do jej ust. Wszyscy zamilkli. Przez ulotną chwilę ciszy obserwowali, jak powoli spija napar. Jedno umęczone ciało, dusza na granicy dwóch światów – nadawała ich wysiłkom sens. Łączyła we wspólnym celu.

Gdy Elena skończyła i oparła się z powrotem o pień, Godryk podszedł do de Witta i wręczył mu rondel z reszką ciepłych ziół.

– Nasącz tym szmatę i przemyj swoją ranę – powiedział. – Ziemia i powietrze Kaim dzieli się wszystkim, co najgorsze, byle tylko się nas pozbyć. Pomóż sobie, zanim podzielisz los Eleny.

Alyn złowiła nieufne spojrzenie de Witta i wzruszyła ramionami. Niech sobie sam radzi ze swoimi obawami, Godryk zachowywał się dziwnie, ale był w porządku. Zostawiła ich samym sobie, przemierzyła polankę i podeszła do stojącego nad zwłokami trzech mężczyzn Żółwia. Przyjrzała się mu w milczeniu z odległości kilku kroków. Trwał w bezruchu z opuszczoną głową – jak pomnik bohatera opłakującego swych przyjaciół. Albo wrogów.

W głowie zakolała jej słowa Laetitii. „Zapytaj go, gdzie się urodził”. I ta fraza. Ta, którą powiedział, gdy zobaczyła go po raz pierwszy na drodze z Rede. „Na szyi zawiesili jej dzwonek”.

Nie, to nie był odpowiedni czas.

Podeszła bliżej i po chwili wahania zbliżyła dłoń do jego okutego w nieskazitelną, błyszczącą stal ramienia. Zatrzymała rękę tuż przed zbroją. Nie była gotowa mu zaufać.

– Dziękuję – powiedziała. – Za to, że przyszedłeś w nocy do nas. Gdyby nie ty... Nie wiem, kim jesteś i jak to robisz, że zawsze pojawiaasz się w odpowiednim momencie, a potem znikasz. Ale dziękuję ci.

– Jestem... – odrzekł cicho Żółw, nie od razu.

Następnie odwrócił tułów i głowę w stronę dziewczyny, ale nie powiedział nic więcej. Chwilę później ponownie zaczął wpatrywać się w martwych podróżników u swoich stóp.

– Powinniśmy ich zostawić – powiedziała powoli Alyn. – Gdy dotrzemy do miasta, damy znać gwardii czy komu tam. Ganiya powinna być już niedaleko.

*

W dalszą drogę Alyn, Żółw i de Witt ruszyli tuż przed tym, jak słońce wyjrzało wreszcie zza masywu Vuor Hiiglane i ogrzało górskie powietrze. Godryk i czująca się lepiej Elena zostali na jakiś czas przy ognisku, po czym mieli ruszyć do Harrii drogą wskazaną przez Alyn. Tam mieli zapytać o Fumu.

Podróżując cichym, pustym traktem złodziejka czuła jednocześnie narastającą ekscytację i niepokój. Jej pobyt na Kaim – choć przecież niedługi – zebrał już srogie żniwo i wywoływał nieufność do wszystkiego i wszystkich. Również do siebie i własnych zmysłów. Myśl o Tabicie i o tym, jak jej oczy zrobiły z niej potwora

z najgorszych koszmarów, gdy zbliżała się do niej tamtej nocy, kłuła Alyn z zatrważającą regularnością. Wywoływała wyrzuty sumienia i nie pozwalała umysłowi odpocząć. Czuła, że jeszcze trochę i jej wygląd zewnętrzny – rany, otarcia i siniaki na całym ciele – będzie niczym w porównaniu z tym, jak będzie się czuła w środku.

Jedynym lekarstwem był Toryn. Toryn i Ganiya.

Stolicę Kaim ujrzeli wreszcie późnym popołudniem. Widoczne z oddali czarno-białe mury i wrastające w zbocze zabudowania miasta wyglądały tak, jak Alyn sobie wyobrażała. Olśniewające swym blaskiem darlenitowe cegły przetykane były fikuśnymi esami-floresami czarnego kethrylu. Prezentowały się delikatnie i uwodziły niczym koronki pończoch na udach bladej rowańskiej arystokratki. Nie sposób było oderwać od nich wzroku. Za murami nie było widać wiele ponad równe schody dachów, które wiodły w górę aż do strzelistych wież wkomponowanego w pionową skałę pałacu książęcego. Całość sprawiała wrażenie subtelnej potęgi, bogatej siedziby elit.

Pod murami sytuacja prezentowała się zgoła inaczej. Niemal całą łysą halę rozpościerającą się na szerokiej połaci ziemi przed miastem zajmowały brunatne, buchające ciemnym dymem kępy namiotów, pomiędzy którymi mrowiła się niezliczona ilość ludzi. Niesiony górkim wiatrem i echem zgiełk skomponowany był na orkiestrę gwaru okrzyków, kwiku zwierząt oraz szczęku broni i naczyń. Na pierwszy rzut oka można było to wziąć za wyjątkowo zaniedbane podgrodzie, ale prawda wyglądała znacznie gorzej.

Żół zacisnął z chrzęstem metalowe pięści.

– To oblężenie.

– Kim są ci ludzie? – zapytał de Witt.

Alyn przetarła szkła i wyteżyła wzrok. Wstrzymała oddech.

– To... nie są ludzie – złodziejka pokręciła głową. – Och, kurwa, nigdy nie dostaniemy się do środka.

– Hm, nawet w nocy?

Od momentu, gdy oczyścił ranę na łokciu wywarem Godryka, de Witt był w zdecydowanie najlepszym humorze z całej drużyny.

– Nie wiem – odpowiedziała Alyn, czując, jak powoli zapada się w sobie. – Zresztą jak to sobie wyobrażasz? Przekradniemy się do bramy i zapukamy grzecznie?

– Och, Godryk... – powiedział de Witt i złapał się za głowę. – Alyn, nie zdążyłem ci wczoraj powiedzieć najważniejszego. Wiem, co było na zwoju skradzionym Hanso.

Alyn potrząsnęła głową zaskoczona nagłą zmianą tematu. De Witt kontynuował niezrażony.

– To schemat podziemi pałacu książęcego w Ganiyi wraz z zaznaczoną drogą do skarbcza – powiedział mężczyzna, po czym zrobił przerwę, by jego słowa dobrze zagnieździły się w umysłach Alyn i Żółwia. – Pomijając to, co się ostatnio w nim dzieje, Kaim to wciąż bardzo bogate księstwo. A co, jeśli Silvestri wysłał tu właśnie Godryka i Elenę? A co, jeśli to oni mają zwój?

– Ale po co byłby im ten zwój? – zapytała Alyn. – Mieliby wynieść skarby księstwa w kieszeniach?

– Jeżeli dobrze znają się na rzeczy – powiedział po chwili namysłu de Witt – to mogą być albo wynajęci po to, by bez wzbudzania niczyich podejrzeń, odebrać dług któregoś ze zniecierpliwionych zakkańskich wierzycieli, albo być forpocztą znacznie radykalniejszych i głośniejszych wydarzeń w niedalekiej przyszłości. Na

przykład przez przygotowanie tuneli pod pałacem do...

– ... przejęcia.

– Nawet jeżeli tak jest – wtrącił Żółw – nie ma mowy, żebyśmy teraz wracali do Harrii.

– Nie ma sprawy – odrzekł szybko de Witt. – Ja to zrobię.

– Nie rozumiem – powiedziała Alyn. – Zamierzasz nakłonić Godryka, żeby zostawił Elenę, przyszedł tu i podzielił się największym sekretem, który kiedykolwiek został mu powierzony, czy po prostu go okraść?

– Nie zostałem kapitanem straży w Saahii za nic – odrzekł mężczyzna i mrugnął. – Jeśli wyruszę jeszcze dziś wieczorem, po południu powinienem dotrzeć do kolonii. A jeżeli wszystko pójdzie dobrze, wrócę pojutrze rano.

Alyn spojrzała na Żółwia, a potem z powrotem na de Witta. Rozejrzała się po okolicy.

– Durny plan, ale co zrobić. Najpierw musimy znaleźć jakąś kryjówkę w tym lesie, żebyś wiedział, gdzie nas potem szukać. Gdy cię nie będzie, ja spróbuję powęszyć nieco tam na dole. Może znajdę jakąś, nie wiem, niepilnowaną ścieżkę. Żółwiu?

– To wszystko – rycerz wskazał brunatną plamę obozów zwierzoludzi – jest tym, co przyrzekałem tępić, gdy pasowano mnie na giermka, a potem rycerza. Nie mogę siedzieć tu bezczynnie, patrząc na oblężenie mojej stolicy. Dostanę się do pałacu w ten czy inny sposób, ale najpierw zrobię wszystko, by pozbyć się zagrożenia dla miasta.

– Sami narwańcy – powiedziała Alyn cicho i westchnęła, po czym ruszyła na poszukiwania miejsca na nocleg.

*

Polanka była niewielka i na pierwszy rzut oka nie wyróżniała się niczym spośród wielu innych leśnych łąsych plam. Dopiero gdy Żółw zwrócił uwagę na placki nienaturalnie ubitej ziemi, okazało się, że wieczorny mrok za pobliskimi zaroślami kryje dużo więcej niż chłodny zapach żywicy. W zboczu stromej skarpy pokrytej trawą i wszechobecnymi suchymi paluchami korzeni ziała dziura o wysokości człowieka. Choć jej wnętrze pachniało mokrą sierścią i mchem, gawra była pusta. Oświetlona naprędce skonstruowaną pochodnią z gałęzi i bandaży, odkryła przed podróżnikami przestronne wnętrze i girlandy pajęczyn rozwieszone przy wilgotnych ścianach. Po dotychczasowych mieszkańcach – oprócz kilku granulowanych placków starych odchodów – nie było ani śladu. Rozpalenie drobnego, kopcącego na biało ognia we wnętrzu dało nowym lokatorom pewność, że w razie czego starzy nie będą mieli ochoty tu wrócić. Zwierzoludzie zaś mieli swój obóz daleko w dół zbocza, a wyciskający łyż z oczu smród własnych palenisk zagłuszał zapewne wszystkie inne wonie w dużym promieniu.

W zasadzie było bezpiecznie.

Alyn pożegnała się z de Wittem i poszła spać pierwsza na ułamanych i przytarganych z okolicy iglastych gałęziach. Rozłożyła je na najbardziej płaskim kawałku skały, który jednocześnie nie wyglądał, jakby stanowił uprzednio niedźwiedzią toaletę. Czując naciągające ssanie w żołądku, zmusiła się, by zamknąć oczy i nie rozmyślać zbytnio na temat jutrzejszego wypadu do obozu, skąd przy dobrych wiatrach mogła zwędzić soczyste śniadanie. Krzątanie się de Witta i Żółwia docierało do niej jeszcze przez jakiś czas w półśnie, aż wreszcie

odpłynęła... jako kapitan „Boskiego Wiatru” – z powrotem przez spokojne morze do Zakkanu i z ładownią pełną misternie zdobionych klatek wielkości człowieka. A w każdej z nich ze skrzyżowanymi nogami siedział inny Toryn, kołysząc się w rytm przechyłów szkunera. Każdy z nich coś mówił, powtarzał cicho jak mantrę.

„Pójdziemy nad rzekę”. „Jak nie nad tę, to następną”. „Albo następną”. „Albo następną”.

„Następną”.

Wtedy do jaskini wszedł ktoś obcy.

Alyn zarejestrowała ten fakt instynktownie. Podniosła się na łokciu i przetarła oczy. Będący najbliżej wejścia de Witt odwrócił się i natychmiast wstał. Mimo ciemności natychmiast poznał nocnego gościa.

– Godryk! – krzyknął i zaśmiał się, a głucho echo zafurkotało pogłosem z furją, jak ptak zamknięty w zbyt ciasnej klatce. – Nawet nie wiesz, jak dobrze, że nas znnng...!

Kapitan gwardii westchnął i osunął się na kolana.

Czując, jak błyskawicznie odzyskuje pełną przytomność, Alyn jednym ruchem nałożyła szkła i podniosła się na nogi.

Godryk postawił w milczeniu but na ramieniu klęczącego Zakkańczyka i kopnięciem brutalnie odepchnął od siebie. Złodziejka zerknęła na szykującego się do walki Żółwia. Potrzebowała noża, ostrego patyka, czegokolwiek. Zacisnęła drżące dłonie.

Napastnik działał szybko. Jednym susem przeskoczył nad umierającym de Wittem i dwa kroki później był już przy Alyn. W jego dłoni błysnęło zakrwawione ostrze. Złodziejka instynktownie ugięła nogi gotowa na ruch Żółwia.

– Na kogo się tak patrzysz? – zapytał cicho Godryk, podążywszy za wzrokiem dziewczyny.

Na widok grymasu na jego twarzy Alyn przełknęła ślinę. Głos mężczyzny przeszedł w przeszywający szept.

– Nie wiesz, złodziejko, że nikogo tam nie ma?

Alyn z ogromnym trudem zdobyła się na spuszczenie na moment wzroku z napastnika, po czym głośno zachłysnęła się powietrzem. W miejscu, w którym przed momentem Żółw przymierzał się do wyprowadzenia druzgoczącego ciosu, nie było nikogo. Tylko dym i zimna, błyszcząca wilgocią ściana.

Bardziej czując, niż widząc ruch Godryka przed sobą, Alyn instynktownie zasłoniła ręką ranę na głowie. W następnym mgnieniu oka twarda skała uderzyła ją w plecy i pozbawiła tchu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pan Zuryk wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Jego zazwyczaj żywa twarz – szczodra w uśmiechy, mrugnięcia i inne grymasy – nie wyrażała żadnych emocji. Spojrzał z góry na Toryna i Alyn i poruszył wąsem tak, jak miał w zwyczaju, gdy rozmawiał z ich ojcem o kłopotach we wsi. Nie powiedział ani słowa, tylko cicho westchnął, po czym uklonił się dzieciom i podszedł do drzwi wejściowych. Rozejrzał się jeszcze raz po chałupie i wyszedł.

– Chodźcie tu!

Zachrypnięty okrzyk ojca zza drzwi pokoju zmroził Alyn. Toryn chwycił ją za dłoń, po czym, uwiesił się niemal całym swoim ciężarem na potężnej klamce. Gdy uchylił drewniane skrzydło, pociągnął siostrę za sobą do środka.

Deszczowe popołudnie wlewało się do izby wąskim, szarym strumieniem przez jedyne okno, oświetlając pół łóżka, na którym leżał cień człowieka, którego nazywali ojcem. Alyn robiła wszystko, by tylko nie patrzeć na jego pokrytą strupami połowę twarzy – tę, której nie przykrywała skórzana płachta, pod którą kryły się prawdopodobnie dużo gorsze rzeczy. Nie mogła jednak nie słuchać jego oddechu – ciężkiego i świszczącego w nieregularnym rytmie. Ojciec umierał przykuty do łóżka i budził w niej grozę. Gdy jego zdrowe oko zwróciło się ku niej, odruchowo mocniej przytuliła się do ręki brata.

– Ty... – zachrypiał mężczyzna i wyciągnął palec w stronę dziewczynki. – Kochana, mała Alyn. Moja ruda Mysza. Szkoda, że jesteś za młoda, by zapamiętać to wszystko, co się stało. Lekcja życia, mówią na to. A tak, to pewnie nawet już teraz wyleciało ci z głowy, co?

Alyn pokręciła wolno głową, choć pamiętała dobrze. Nie chciała, by ojciec kazał jej wszystko opowiadać i przeżywać na nowo.

– Może i dobrze... – machnął ręką i podjął surowym tonem. – Ale poprosiłem cię o jedną rzecz, córko. O to, żebyś była cicho, cokolwiek się stanie. Żebyś nie pisnęła ani słówka, dopóki ta dwójka nie skończy z tym psem i nie pójdzie sobie dalej. Mówię ci to teraz, bo musisz to wiedzieć. Musisz to wiedzieć, na bogów!

Mężczyzna z trudem uniósł zaciśniętą pięść, po czym – nie mogąc poruszyć ani trochę wyżej – z impetem uderzył nią o pościel. W jego oku wirował cyklon bezsilnej furii.

– Ojciec... – wtrącił się Toryn niepewnie i zasłonił ciałem siostrę. – Tato...

– Nie skończyłem! A ty też słuchaj, bo będzie to najważniejsza rozmowa życia dla obojga z was. Wasza matka umarła w cierpieniu – wypowiadając te słowa, ojciec nie zmienił wyrazu twarzy ani na jotę. – Gdy ze mną skończyli, zostawili mnie na ziemi, w rowie. Tam, gdzie się ukrywaliśmy. Potem wzięli się za nią. Zdarli z niej ubranie. Na szyi zawiesili jej dzwonek. Jak jakimś zwierzęciu. Rżeli, słuchając, jak dzwoni.

Mężczyzna zachłusnął się powietrzem i zrobił pauzę. Podczas gdy on uspokajał nierówny oddech, dzieci

coraz mocniej trzęsły się zdjęte grozą.

Bały się nie tyle ojca, ile własnego postępków. Uciekły i przeżyły, ale zostawiły rodziców na łasce losu zgotowanego przez ludzkie zło.

– Podłe skurwysyny zawisną – warknął ojciec – ale zanim to się stanie, umrę i ja. Od tego, co mi zrobili, też nie ma odwrotu. Pan Zuryk był ze mną szczery i teraz ja będę z wami.

Alyn przełknęła ślinę, z całej siły pragnęła zatkać sobie uszy. Nie chciała słuchać tego, co za chwilę zostanie wypowiedziane w tym pokoju. Ale słuchała, drżąc przy ramieniu brata.

– Toryn, pan Zuryk będzie nas od dziś odwiedzał codziennie, przychodził z lekami. Dał mi słowo, że gdy umrę, zawiezie was do sierocińca w Toede, gdzie zaopiekują się wami lepiej i nauczą was pracy. Żebyście jakoś przeżyli te swoje życia. Słuchaj się go. Wrócisz tu z siostrą, gdy osiągniesz pełnoletniość. Z ziemią i chałupą... zrobisz, co zechcesz. Ty, Alyn, masz się opiekować bratem. Toryn zatroszczy się o ciebie, ale ty musisz się troszczyć o niego jeszcze bardziej. Bez ciebie sobie nie poradzi. Wiem to, bo nie dożyłbym... nie dożyłbym do dziś, gdyby nie wasza ciotka Celestia.

Głowa ojca opadła ciężko na poduszkę, a z jego nozdrzy wydobyło się kilka donośnych, gwizdzących sapnięć. Toryn pociągnął opierającą się siostrę za rękę i zrobił dwa kroki w kierunku łóżka.

– Oczywiście to nie wasza wina – rzekł po chwili ojciec. – To wszystko. Życie rzuci wam pod nogi stos kłód i za część z nich... za część problemów będziecie musieli wziąć odpowiedzialność. Nie wolno wam od niej uciekać jak tamci tchórze. Bydlaki, tfu, chamy, skurwysyny. Będziecie mieli gorsze dzieciństwo, niż ja miałem...

„Ale przeżyjecie”, powiedział jeszcze, nim wszystko zasnuła nieprzenikniona ciemność. Nim ostatni zaciskający się wokół szyi jak pętla obraz wnętrza rodzinnej chaty rozmył się w wirze niepamięci.

*

Alyn obudziła się nagle z walącym sercem. Przez chwilę jedyne, co czuła, to ciężkie, lepkie łzy, które spływały po policzkach ku brodzie, skąd wielkimi kroplami ulatywały hen w dół, ku ziemi. Fakt ten momentalnie zwrócił jej uwagę i przyćmił wszystko inne: zamiast leżeć, stała.

Nie, pomyślała z przerażeniem, próbując poruszyć tułowiem lub rękami. Nie stała – wisiała.

Wokół rozlegało się niegłośnie, przeciągłe buczenie. Wciąż była w grocie. Rozejrzała się. Gdzieś z góry wpadała do środka pojedyncza igła słonecznego światła – doskonale widoczna na całej swej długości dzięki warstwie unoszącego się w powietrzu białego dymu. Promień padał na niewielki placek ziemi tuż obok paleńska. Wszystko było rozmazane i nierzeczywiste – jak zawsze, gdy nie miała na oczach szkieł.

Złodziejka próbowała odwrócić głowę, ale nie mogła dostrzec, jak i do czego była przywiązana. Za plecami miała wilgotną ścianę, której szorstkiej powierzchni dotykały jej związane wysoko nad głową zdrętwiałe ręce. Chciało jej się pić.

Gdy po kilku chwilach bezowocnej walki opuściła głowę, zauważyła wreszcie to, co – obok faktu unieruchomienia w ciemnej zadymionej jaskini – było nie tak. Miała na sobie ubranie kogoś innego. Przełknęła ślinę, gdy skojarzyła te skórzane zakrwawione spodnie bez lewej nogawki i luźną, rozchełstaną koszulę – krzywo zapiętą na dodatek. To były rzeczy Eleny.

Wzięła głęboki oddech. Spokojnie, Alyn. Być może ona wciąż żyje. Być może Godryk nie rozebrał jej i nie zostawił na śmierć przy drodze nagiej, z zaognioną, ropiejącą raną na udzie. Być może nie zabił jej i nie zostawił za sobą jak jakiegoś śmiecia. Być może ona gdzieś tu jest, zaraz wyskoczy zza rogu i wszystko okaże się chorym i wyjątkowo mało śmiesznym żartem.

Gdy jej wędrujący po mrocznym wnętrzu wzrok napotkał ledwo oświetloną, ostrzyżoną na krótko głowę de Witta, Alyn jęknęła. Młody gwardzista z Saahii, który wyruszył w daleką podróż za morze, by wspomóc ją w jej własnej wyprawie, nie ruszał się. Nie oddychał. Po Żółtciu nie było ani śladu.

Czując, jak wzbiera w niej furia, złodziejka rzuciła się w więzach całym ciałem, ale po kilku chwilach prób wciąż była unieruchomiona, a z jej piersi wydobył się zachrypnięty ryk, który przeraził ją samą.

Wrzaskliwe echo milkło długo, a gdy wreszcie nastąpiła relatywna cisza, gdzieś między szumiącymi falami napierającej rozpaczony Alyn zdała sobie sprawę, że coś zmieniło się w powietrzu. Coś było inaczej.

Buczenie... to świdrujące, nieprzerwane buczenie zmieniło ton.

W tej samej chwili znajdujący się tuż poza zasięgiem świetlnego promienia cień, który złodziejka wzięła za formację skalną, oderwał się od ściany i błyskawicznie urósł. Nie przestając nucić pojedynczej nuty, Godryk podszedł powoli do Alyn, aż jego twarz znalazła się tuż przy jej. Miał niespokojne, przekrwione oczy, które świeciły pomiędzy opadających na twarz strąków tłustych włosów. Śmierdział brudem i zepsutą krwią.

Smród nasilił się, gdy wyciągnął zza pasa i uniósł na wysokość oczu Alyn lepiący się od obrzydliwej mazi sztylet. Złodziejka natychmiast rozpoznała nieregularne, wijące się niczym gadzi ogon ostrze służek Bakkusa.

– Spójrz, Eleno – powiedział Godryk do sztyletu i wskazał mu gestem unieruchomioną dziewczynę. – Jak ci się podoba? Bo według mnie ujdzie. Tak, nada się.

Mężczyzna zaśmiał się cicho i oblizał wargi, po czym odsunął się na odległość wyciągniętej ręki i zlustrował Alyn od stóp do głów. Następnie wolną dłonią ściągnął aż do barków rękawy jej zbyt luźnej koszuli.

– Będziemy musieli coś z tym zrobić – mruknął do siebie i wskazał na zgięcie prawego łokcia dziewczyny, którego całą już powierzchnię zajmowała brunatna, półokrągła narośl. – A to jakoś ukryjemy.

Złodziejka syknęła z bólu, gdy mężczyzna nacisnął palcem ranę na jej głowie, naciągając przy tym i wyrywając kilka wciąż posklejanych krwią, krótkich włosów wokół niej.

– Reszta – Godryk rozpiął koszulę złodziejki i rozchylił jej poły, po czym przesunął szorstką dłonią po jej nagich piersiach – zdecydowanie się nada.

Alyn zacisnęła zęby. Szarpanie się w tej sytuacji nic by nie dało. Choć miała zdrętwiałe ręce, pieczenie niezaleczonych nadgarstków przedostawało się do jej świadomości tylnymi drzwiami, temperując wszelkie myśli o nagłych ruchach. Nie, nie tędy droga.

– Pić... – szepnęła po chwili ciszy. – Godryk, potrzebuję wody.

– O, nie, złodziejko – odparł mężczyzna. – Nie możesz teraz pić. To, co pragniemy osiągnąć, wymaga, byś nie straciła zbyt dużo krwi. Musi być ciężka i gęsta, rozumiesz? Masz przyjąć Elenę do siebie, nie wykrwawić się na śmierć.

Alyn ostatkiem sił powstrzymała odruch wymiotny, gdy Godryk przysunął do jej twarzy obrzydliwe

ostrze, a następnie – prowadząc sztych po jej skórze i zostawiając na niej długie, czerwone zadrapanie – przesunął je niżej, aż zatrzymał się na odkrytym udzie. W miejscu, w którym Elenę głęboko drapnął zwieczoczek.

– Poć się. Pluj, sikaj, nie krępuj się. Im szybciej pozbędziesz się wody z ciała, tym szybciej to wszystko się skończy.

– Oszalałeś, wiesz o tym?

Godryk zmarszczył brwi, wzruszył ramionami i zrobił dwa kroki do tyłu. Po chwili namysłu odwrócił się na pięcie i wyszedł z jaskini.

*

Cisza.

Ból.

Samotność.

Pragnienie.

Zanim plama światła przesunęła się po ziemi o całą swoją szerokość, minęły całe dziesięciolecia. Czując, jak oddech za oddechem ulatuje z niej świadomość, Alyn całą swą wolą próbowała doświadczać na przedramionach wysoko nad głową chłodu i wilgoci ściany. Wessać ją w ciało. Zatopić w niej skórę. Ale nie miała jak jej dosięgnąć. Być może, gdyby nie była tak osłabiona, zdobyłaby się na kilka ostrych wierzgnięć całym ciałem, byle tylko odwrócić się i zlizać siąpiące po kamieniu krople. Pal lichy nadgarstki – w końcu by się zrosły.

Ale mogła tylko wisieć. Dyndać na sznurze i zamkniętymi w zbyt dużych butach Eleny palcami stóp ledwo dotykać ziemi. Czuć, jak z każdą kroplą potu, która skapuje z jej brody, jej język robi się coraz większy i coraz bardziej suchy.

Minął wiek.

Świetlna plama – która w swej makabrycznej złośliwości zdążyła dotrzeć w pobliże skulonego, leżącego w kałuży krwi ciała de Witta – zniknęła. Najpierw jej żółte brzegi rozmyły się kilkakrotnie, a następnie na stałe wsiąkły w nieczułą skałę.

Chmury?

W jaskini zapanował milczący półmrok, a cienie wśliznęły się z powrotem i połączyły z gościnną czernią. Słuchając swojego świszczącego oddechu, Alyn nabierała pewności, że jej duch znalazł już w zapomnianym kącie tej jaskini głęboką dziurę. I drabinę. Właśnie machał jej na do widzenia. Właśnie szczebel po szczeblu zaczynał pogrążyć się w otchłani.

Ostre ukłucie bólu przywróciło złodziejkę do zmysłów. Zachłysnęła się powietrzem i wydała z siebie stłumiony jęk.

Gdy odzyskała przytomność, rozbiegany wzrokiem znalazła nad głową zgięcie swojego prawego łokcia. Wstrzymała oddech, obserwując, jak obrzydliwa brunatna narośl zaczyna się poruszać, pulsować nieregularnie. Jak przy akompaniamencie narastającego rwania naciąga skórę do, wydawałoby się, granic wytrzymałości.

Aż nagle, z samego jej środka, przebił wilgotną błonę, wychynął na zewnątrz i zadrzał jak głodne pierwszego oddechu niemowlę.

Pojedynczy.

Zielony.

Kiełek.

*

Godryk wtargnął do jaskini nagle i bezceremonialnie, a zbudowane przez eony tortur mauzoleum cierpienia Alyn zatrzęsło się w posadach. Trzymając w jednej dłoni zakrwawione truchło zająca, a w drugiej zwitek suchych gałązek, mężczyzna podszedł do złodziejki, spojrzął jej w oczy, obejrzał od stóp do głów i pokiwał głową. Dziewczyna mimowolnie zadrzała na widok kropli potu, która spłynęła po jego skroni.

– Już niedługo – powiedział i wycofał się do środka groty, gdzie pociągnął kilka długich łyków z buklaka.

Następnie kucnął przy resztkach paleniska Rzucił na ziemię martwe zwierzę i zaczął metodycznie układać patyki.

Trwało to dokładnie tyle, ile trzeba było na to, by z mokrej szyjki skórzanego worka skapnęły na ziemię trzy rozmazane krople wody.

W pewnym momencie Godryk wyprostował się i otarł twarz wierzchem dłoni.

– Nie skończyliśmy rozmawiać – rzekł odwrócony tyłem do Alyn. – Wspomniałaś o szaleństwie. O nim, zwłaszcza tu, w Kaim, mogę ci opowiedzieć, ile tylko chcesz. O ludziach, którym nagle, w niewyjaśniony sposób, zaczęły rosnać sierść i pazury. Ale tylko niektórym. Widziałaś ich, ale czy wiesz, co się z nimi dzieje? Tak naprawdę? Zostają wygnañcami. Opuszczają swoje rodziny, łączą się w stada. Żyją w lasach, oplakując resztkę człowieczeństwa, jaka im została... jeżeli im została... i wszyscy, co do jednego, nienawidzą się za to. Wystarczająco szalone? Oprócz nich są też ci, którzy nie mają żadnych symptomów zezwierzęcenia, ale jedynie, czego pragną, to opaść na cztery łapy i oddać się dziczy. Pałętają się po kraju w kapturach i cedzą swoje mantry. „W zębach swoje ręce znosimy Ci, Panie”. Słyszałaś to? „Futra ciepło, szponów ostrość niech im będzie dana”. I tak dalej. Niby modlą się do bogów, ale tak naprawdę swoje prośby kierują w stronę tego, który pewnego razu porzucił dostatnie życie w Ganiyi i stanął okrakiem między jednymi i drugimi. Vithar Wielki nazwał się. Jest gdzieś tam w dole, w obozie pod murami miasta. Powiadają, że zwierzoludzie wzięli go za swego, bo wyzbył się wszystkiego, co ludzkie, na czele z ubraniem. Ale słyszałem też, że owłosiony jest od stóp do głów jak niedźwiedź, więc i tak mu za jedno. Zresztą zobaczysz, Eleno, może go jeszcze poznamy.

Na dźwięk imienia partnerki Godryka Alyn otrząsnęła się z pólśnu i natychmiast poczuła, jak każdy najdrobniejszy ruch przeszywa bólem jej stawy. Ogromnym wysiłkiem skupiła na nowo wzrok na swoim łokciu. W zaskoczeniu zmrużyła oczy i zamrugała kilkakrotnie lepiącymi się do siebie powiekami. Skóra – zaogniona jeszcze od czasu rejsu z Wilmotem – była zdrowa i gładka. Nie widać było na niej żadnej guli, żadnej narośli. A na pewno żadnej wijącej się rośliny.

To Kaim. Kaim pogrywało z jej głową. Rozmawiało z nią przy pomocy nierzeczywistych obrazów. Wykręcało jej mózg jak gąbkę. Ale jednocześnie Alyn miała wrażenie, że właśnie jej pomogło. Że dało jej

wskazówkę. Pozwoliło zajrzeć za woal.

Godryk zamilkł na chwilę, próbując wykrzesać ogień, i przez moment ciszę jaskini rozrywało echo setek nałożonych na siebie metalicznych szczęknięć. Gdy przy ziemi pojawił się wreszcie pełgający płomień, a okolicę oświetlił placek pomarańczowego światła, mężczyzna przysunął do siebie zająca i zaczął energicznie rozcinąć jego skórę.

– To dzięki Górze Gigantów to wszystko – powiedział. – To jej aura sprawia, że ludzie dostają świra i widzą rzeczy, których nie ma. Ale ona też sprawia, że tak wiele rzeczy... cudów jest tu możliwe, na Kaim. Jeśli jeszcze nie byłaś tego świadkiem, to zobaczysz już wkrótce. Wszystko ma swoje złe i dobre strony. Trzeba tylko nauczyć się uważnie patrzeć. Patrzysz, złodziejko?

Na dźwięk szurania Alyn podniosła głowę i skupiła wzrok przed sobą. Godryk wstał znad zająca i obrócił się w jej stronę. Po sekundzie był tuż przy niej. Jego szeroko otwarte, czerwone oczy niczym studnie wiodły głęboko w zimną, rozedrganą czerń, a usta zacisnęły się w wąską linię. Przez moment złodziejka nie wiedziała, co miał znaczyć jego nagły zryw, aż powiodła wzrokiem wzdłuż jego prawej ręki.

Zbielała, trzęsąca się dłoń Godryka ścisnęła rękojeść sztyletu, którego ostrze niemal pod sam jelec zatopione było w jej odkrytym udzie.

Nie odrywając pustego wzroku od oczu dziewczyny, mężczyzna jednym płynnym ruchem wyszarpnął broń, pozostawiając na skórze Alyn wąską, czarną kreskę. Złodziejka wstrzymała oddech, obserwując z przerażeniem, jak rana momentalnie nabrzmięwa, wydyma się i wypuszcza z siebie obrzydliwą fontannę gęstej, lepkiej mazi.

Jej ciało drgnęło w spazmie i poczuła, jak wzbiera w niej rozdzierający wrzask. Nim jednak zdążył przedostać się z piersi do gardła, uwiązył z głośnym świstem w połowie drogi.

Gdy spojrzała jeszcze raz w dół, wszystko było w najlepszym porządku, jej udo było nienaruszone, a Godryk stał dwa kroki przed nią i patrzył jej w oczy.

– Niecierpliwisz się. To dobrze.

– Isztar – westchnęła cicho Alyn, szorując suchym językiem o podniebienie. – Daj mi wody. Łyk, kroplę, cokolwiek. Ja tu umieram.

– Nie, moja droga. Nie umierasz. Nawet nie wiesz, jak wytrzymałe jest ludzkie ciało. Jak kurczowo potrafi się trzymać życia. Ale doceniam twoją współpracę. Twój charakter. I... szkoda, że nie poznaliśmy się lepiej.

Mężczyzna sięgnął po bukłak i zważył w dłoni.

– Masz. Za wspólny rejs.

Alyn wyciągnęła szyję, by nie uronić ani kropli w wąskiego strumyka, który pociekł z szyjki naczynia tuż nad jej czołem. Chłodna woda rozlała się w jej ustach falą przyboju, po czym natychmiast wsiąknęła w łaknące wilgotnej słodczy ciała. Życiodajna ulewa skończyła się równie szybko, jak się zaczęła, pozostawiając suchość, pragnienie i ból pod łąpczywie spijającym resztki wody z warg językiem.

Ale dała pożywkę świadomości, rozjaśniła umysł.

– Gotowa? – zapytał Godryk.

Nie była gotowa. Nie po tym, jak nie wiadomo ile czasu wisiała za ręce spragniona i zdezorientowana.

Nie było gotowe jej ciało – wyciągnięte, zdrętwiałe i obolałe. Ale potrzebowała sił tylko na jeden ruch. Jeden zryw.

Wszystko albo nic.

Mężczyzna zamknął oczy i pocałował sztylet, jakby chciał unurzać ten moment, ten rytuał, w kadzi świętości, jakkolwiek obrzydliwej.

– Elena – szepnął. – Elena, Elena, Elena, Elena...

Żar syczał przy ziemi.

Truchło zająca krwawiło na kamień.

Godryk otworzył oczy, ścisnął rękojeść i ruszył w stronę złodziejki.

– Elena!!

Trudno było nazwać to okrzykiem. Ani nawet wrzaskiem. To był potworny skrzek, który wydobył się z trzewi Alyn i wstrząsnął, wydawało się, nawet zwisającymi ze stropu korzeniami drzew.

Zadziałał.

Mężczyzna zawahał się i przystanął w półkroku, by obejrzeć się za siebie. W ciemność, w którą wzrok utkwiała jego ofiara. W roztagnięciu uniósł sztylet tuż przy piersi ostrzem do góry.

„Najgorsze są walki na pięści, bo ostatnie, czego potrzebujesz, to ostukać sobie dłonie, nie wyrządzając przy tym przeciwnikowi większej krzywdy”, powiedział kiedyś Toryn. Bardzo dawno temu. „Ale jeśli ktoś jest uzbrojony, nieważne po której stronie, od razu sprawa wygląda dużo lepiej. Klindze, Alyn, wszystko jedno, czyją przebije skórę”.

Wtedy twardy, skórzany but o wysokiej cholewie, prezent Godryka dla ukochanej, z rozpędem trafił w głowicę sztyletu. Ta z impetem popchnęła rękojeść, jelec i ostrze wysoko do góry i głęboko w podbródek, aż stal zatrzymała się gwałtownie i z przeraźliwym chrupotem strzaskała kość.

Godryk padł na kolana i parsknął krwią, której fontanna zrosiła nogawkę i buty Eleny-Alyn. Kilka ciepłych kropeł spłynęło po jej łydce do cholewy, przyprowadzając złodziejkę o odruch wymiotny. Bardziej niż nudności czuła jednak dławiący strach. Przed tym, że wciąż pozostawała bezsilna i związana, gdzieś w ukrytej jaskini, w głębokiej dupie lasu. A jeszcze bardziej przed euforią, która na widok osuwającego się mężczyzny oplotła jej ciało ciasną, lepką pajęczyną.

Złodziejka odetchnęła głęboko i opuściła głowę.

Wysiłek, który włożyła w okrzyk i wymach, całkowicie wypruł z niej siły. Nie była w stanie krzyczeć. Z zamglonym wzrokiem odpływała w czerń, słuchając, jak po raz drugi, wraz z coraz słabszymi chluśnięciami mokrej, słodkiej krwi, z jej powodu umiera człowiek.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Szczur.

Wielki szczur.

Albo dzik.

Czas utknął w czarnej studni, a świadomość Alyn przypląwała i odpływała wraz z kaprysem wątlej bryzy, która co raz przekradała się cicho przez jaskinię. Coś trącało bezwładne nogi złodziejki, sprawiając, że delikatnie kołysała się w powietrzu. Straciła już całe czucie w rękach. Było ciemno.

I głośno. Pisk, ten potworny pisk.

*

Minęło tysiąclecie.

O tym, że ktoś wszedł do jaskini zdała sobie sprawę dopiero wtedy, gdy rozmazany, żółty blask pochodni zapłonął tuż przed jej oczami. Próbowwała, ale nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Ktoś coś krzyknął, ktoś jeszcze wbiegł do środka. Chwyciły ją czyjeś dłonie. Delikatne dłonie...

I zapach. Znała go. Zapach cytrusów.

Gdy znalazła się na ziemi, otwarto jej usta i wlano w nie łyk zimnej wody. A potem następny i następny. Spragnione gardło przyjmowało płyn z bólem, ale i z wdzięcznością.

– Na zewnątrz – powiedziała kobieta tuż przy niej. – Wyprowadźmy ją na zewnątrz!

– Ostrożnie, uważaj na ciała – odpowiedziała druga.

Obie kobiety chwyciły po jednym jej ramieniu i pociągnęły w kierunku wejścia do jaskini. Zrobiło się gwarniej i tłoczniej. Zewsząd zaczynały docierać do złodziejki kolejne dźwięki i obrazy, ale wciąż były wytłumione i rozmazane. Czuła pierwsze szpilki bólu w powracających do życia ramionach.

Na zewnątrz było jasno od świateł lamp i pochodni. Alyn próbowała zmusić szorujące o grunt stopy do współpracy, ale jedyne, na co było je stać, to utrzymanie na nich resztką sił zbyt dużych butów Eleny. Tuż za nią, popiskując, podbiegał pies. Szczeniak. Na jego widok złodziejka wydała z siebie bezgłośny szloch, a suche oczy zapiekły ją. Chciało się jej jednocześnie płakać z radości, że nic mu się nie stało i śmiać z tego, że przed momentem wzięła go za ogromnego szczura. Odnalazł ją po tylu dniach. Hafnir.

Gdy dotarli na środek polanki przed jaskinią, kobiety opuściły ją na miękką ziemię i przytrzymały na klęczkach, by nie osunęła się na bok. Pozostały tak chwilę, całą trójką, bez ruchu. Zdezorientowana dopiero po chwili dostrzegła, że cień przed nią kryje jakiegoś człowieka.

W tym samym momencie z rozświetlanej migotliwym światłem czerni nocy wyrosła sylwetka ludzkiej góry, która bardzo powoli wyciągnęła ku jej twarzy potężną dłoń. Długie, grube palce jednym płynnym ruchem

zagarnęły cienkie, srebrne łańcuszki zwisające z szyi podtrzymujących ją kobiet. Zacisnęły się w pięść.

– Witaj ponownie, Alyn z Rowan – powiedział Pan G.

*

Na własnych nogach stanęła dopiero następnego dnia po południu. Gdy się obudziła, w pierwszym odruchu szarpnęła całym ciałem, by uwolnić się z więzów, ale szybko zorientowała się, że jest jej ciasno głównie dlatego, że przykryto ją ciężką derką i położono w niewielkim namiocie. Było w nim miejsce dla dwóch osób i ta druga – jedna z kobiet, która wyprowadziła ją z jaskini w nocy – uspokoiła ją dotykiem i cichymi słowami.

Była niewolnicą burmistrza Crux – jedną z tych, które Alyn widziała w ratuszu. Ale nie pachnącą cytrusami Nandi o jasnobrązowych włosach spiętych w kuc. Jej włosy były dużo ciemniejsze i opadały swobodnie na ramiona i łopatki. Przedstawiła się płynnym rowańskim jako Frances i podsunęła jej pod usta manierkę. Od tamtego momentu, przez całą resztę dnia, Alyn nie rozstawała się z naczyniem, prosząc jedynie regularnie o ponowne napełnienie.

Poranek i przedpołudnie zeszyły jej na powolnym dochodzeniu do siebie i wcieranie w ciało leczniczych maści, a także skrupulatnych oględzinach nowych obrażeń, które mogła dołączyć do kolekcji i umieścić pod plakietką „atrakcje Kaim”. Tępy ból pulsowały oba jej nadgarstki i siniak z tyłu głowy. Po raz pierwszy od zabiegu Fumu dała o sobie znać również zaszyta rana na skroni.

Jak wynikało ze zdawkowej opowieści Frances, odnalazł ją pies. Bezimienny szczeniak, który kilka dni wcześniej przypałał się do kolumny wędrowców – „Krucjaty”, jak ją nazywali jej uczestnicy – z Crux. Na początku żołnierze awangardy odpędzali go okrzykami i drzewcami halabard, ale wtedy pies biegł dalej. Szczekał, skomlał i siadał na tylnych łapach tuż przy drodze. Niektórzy cywile rzucali mu kawałki prowiantu, ale on siedział niewzruszony. Szukał odpowiedniej osoby. I znalazł ją we Frances, która lata temu zostawiła całą psią rodzinę w swoim kraju. Od tamtej chwili szedł u jej boku, a gdy Krucjata zatrzymała się nieopodal i rozłożyła obóz na noc, zaczął węszyć. Stał się niespokojny. W końcu uciekł w las. I gdy niewolnica już miała zaprzestać poszukiwań, wybiegł do niej z jaskini. Wtedy poczuła swąd dymu.

Zanim Alyn na dobre zaczęła wgłębiać się myślami w wydarzenia poprzedniej nocy i w to, co stało się z Żółwiem, de Wittem i Godrykiem, przy namiocie po raz pierwszy od wczesnego poranka pojawiła się sama Nandi. Wciąż była piękna, piegowata i delikatna, choć zwiewne szaty zamieniła na praktyczną kurtkę i lniane spodnie z rozszerzającymi się nogawkami u dołu. Przywitała Alyn oszczędnym, ale szczerym uśmiechem.

– Doszłaś do siebie? – zapytała swym uroczo łamanym rowańskim, ale wzrok natychmiast skierowała w stronę siedzącej z tyłu Frances, jakby potwierdzenia szukała u swojej koleżanki. – Pan G. już czeka.

– Z drygiem, Alyn – powiedziała ciemnowłosa kobieta – pomożemy ci wstać.

Wstała, ale minęła chwila, zanim jej stopy na dobre znalazły podparcie w ziemi, a las przestał się wokół niej kręcić. Gdy tylko uznały, że ich podopieczna poradzi sobie z tak wymagającym zdaniem, jakim było stawianie jednej nogi przed drugą, niewolnice ustawiły się przed nią i za nią, i poprowadziły ją pomiędzy jeziorem altan, namiotów i zwykłych płacht rozwieszonych pomiędzy gałęziami przez uczestników Krucjaty.

Przestępując nad korzeniami i omijając zdradliwe zwalone konary, Alyn z ciekawością przyglądała się dziwacznej mieszaninie ludzi. Kolorowo odziani cywile uzbrojeni w kosy, widły i maczety dzielili wolne od

drzew skrawki runa leśnego z karnymi, umundurowanymi, a przede wszystkim wyposażonymi w prawdziwą broń gwardzistami i żołnierzami. Poranna krzątania związana z przygotowaniem i konsumpcją śniadania, a następnie zostawianiem pozostałości po kolacji w rowie za krzakami, ucichła. Mężczyźni i garstka kobiet siedzieli pod takim zadaszaniem, na jakie było każdego stać, i – jako że nie było co robić – grupowo i indywidualnie narzekali na pogodę. Tego dnia słońce nie weszło ponad Vuor Hiiglane, a zamiast niego z nieprzebranej szarej nicości ponad głowami od rana nieustannie siąpił deszcz.

Dopiero gdy stanęła przed wejściem największego namiotu, rozstawionego na jedynej w okolicy pełnoprawnej polance, Alyn zdała sobie sprawę, że wciąż ma na sobie ubranie Eleny. Zbyt dużą koszulę przykryła podarowaną przez Frances kamizelką, a solidnie wypreparowana skóra butów nic sobie nie zrobiła po drodze z mokrej trawy i wilgotnego listowia. Jej lewa noga natomiast wciąż świeciła gołą skórą aż do kawałka wystających nieśmiało poniżej paska majtek. Gdy spotkała wyczekujący wzrok Nandi i Frances, złodziejka odetchnęła i przypomniała sobie, co zrobiła Kai – osoba o największej liczbie drogich i luksusowych ubrań, jakie poznała w życiu – gdy pewnego razu na jej wychuchaną, wymuskaną, wyszywaną misternymi srebrnymi aplikacjami atramentową suknię wieczorową o wykrojonych bocznych przechodzących w głęboko wykrojone plecy jeden z podrzędnych kupców Saahii wylał cały puchar pitnej czekolady wraz z wisienką. Wykrzyknęła: „no i chuj!” tak radośnie, że po szybkim zabiegu z udziałem sprawnych rąk, mokrej szmatki i nożyczek, została duszą towarzystwa do końca balu.

Uśmiechając się głupio, Alyn ukloniła się po dworsku kobietom, a potem minęła je i weszła do środka.

*

– To wszyscy?

Głos Pana G. dudnił we wnętrzu namiotu nie mniej donośnie niż w przestronnej sali ratusza Crux. Alyn usadowiono z boku masywnego drewnianego siedziska, które zajmował burmistrz, i kazano czekać na swoją kolej. Miała przemożną ochotę czmychnąć pod płachtą i zwalić całą konstrukcję na wszystkich w środku. Wystarczyłyby jedno, dwa cięcia nożyka, który zwędziła po drodze zmagającemu się z pogodową migreną gwardziście. Wciąż jednak Pan G. i jego Krucjata wydawali się teraz najlepszą szansą nie tylko na dostanie się do murów Ganiyi, ale i na pokonanie ich. I nikt, na szczęście, nie chciał jej już w nic zakuwać.

– Był jeszcze jeden. Zraniliśmy go, ale uciekł.

Żołnierz, któremu burmistrz udzielał audiencji, był zmachany i dyszał przy każdym oddechu, ale zapach jego potu nie miał nic wspólnego zmęczeniem. Alyn czuła go nie raz. Tak śmierdziało Crux. Tak śmierdział strach.

W jeszcze większym stopniu udzielał się on dwóm dwunożnym bestiom o gęstej brunatnej sierści, które leżały na ziemi skute solidnymi mosiężnymi kajdanami.

Bestiom, które kiedyś były ludźmi.

– Jeżeli uciekł – powiedział Pan G., gdy odchylił się na swym „tronie” – to prawdopodobnie w tej chwili opowiada wszystkim w obozie o tym, że w lesie pojawili się uzbrojeni ludzie. Musimy założyć, że wie więcej, niż byśmy chcieli. Pokpilicie sprawę, kapitanie.

Złodziejka mimochodem zerknęła na powoli zaciskającą się i rozluźniającą dłoń burmistrza Crux. Tuż

obok niej oparty o siedzisko stał oszczep.

– Ale porozmawiamy o tym, jak będzie po wszystkim. Teraz musimy działać. Przyrowadź tu Tychusa i szukaj kompanię.

– Tak jest. A... co z tymi tu?

Pan G. przekrzywił głowę i omiół wzrokiem jeńców. Zmarszczył brwi.

– Do lasu i zabić.

Żołnierz wyszedł bez słowa, a zaraz po nim dwóch innych zarzuciło na ramiona łańcuchy zwierzołudzi i wśród kakofonii ich pisków, ryków i pohukiwań, wyciągnęło ich po ziemi na zewnątrz.

– Gratuluję, Alyn – powiedział mężczyzna po rowańsku, gdy tylko harmider ucichł i pozostawił po sobie jedynie stały, rytmiczny tusz kropel uderzających o sufit namiotu. – Przeżyłaś.

Złodziejka nie odpowiedziała. Nie miała ochoty rozmawiać. Ale cel – mury Ganiyi, Toryn i powrót do domu z tego przekłętą miejsca – uświęcał środki.

Uznała skinięcie głową za odpowiedni kompromis.

Pan G. uśmiechnął się. Sięgnął po coś z drugiej strony siedziska i pozostawiając chwilowo rękę w tyle, obrócił się do Alyn.

– Przeżyłaś i doświadczyłaś bólu na swoich warunkach. A wolę życia i walki mimo przeciwności cenę bardziej niż cokolwiek innego. Zanim przejdziemy dalej, chcę, żebyś wiedziała, że cieszę się, że los postanowił skrzyżować nasze drogi. I choć to żadna tajemnica, chcę też, żebyś od teraz używała mojego prawdziwego imienia. Jestem Gedyminus.

Na najkrótszą z chwil złodziejka wstrzymała oddech. Na wodach przepastnego oceanu jej niepamięci wyrosła mała piaszczysta wysepka.

– A teraz... poznasz to?

Gedyminus wyciągnął wreszcie w jej stronę cylindryczny przedmiot, który natychmiast wydał się jej znajomy. Zanim go dotknęła, wiedziała dokładnie, co to jest.

– Tak – odpowiedziała, zatrzymawszy dłoń na drewnianym pudełku ze zwojem, który skradła z pałacu Hanso Trzeciego. – Poznają.

– Zakładam, że mimo to nie dane ci było zajrzeć do środka. To plany architektoniczne murów Ganiyi. Nieoficjalne, zawierające lokalizację wszystkich przejść, tuneli i podziemnych skarbców pod miastem i pałacem książęcym. Dostatecznie wartościowa rzecz, zwłaszcza w naszym obecnym położeniu. Moi ludzie znaleźli ją wśród rzeczy jednego z martwych dżentelmenów, których napotkali w jaskini.

A więc faktycznie. Godryk i Elena...

– Wiesz, Alyn, dlaczego tu jesteśmy? W tym lesie? Po co ta cała nasza Krucjata? Widziałaś te bestie, które zrobiła z ludzi chora ganijska arystokracja?

Złodziejka chrząknęła, choć pierwotny plan zakładał ugryzienie się w język.

– Chcesz mi powiedzieć – odrzekła – że to wszystko przez nadużycia władzy?

– Geremy był solidnym przywódcą – jeżeli Gedyminus dostrzegł sarkazm, nie zareagował nawet mrugnięciem. – Skutecznym. Zastał Kaim w relatywnym dobrobycie, ale i tak za swoich rządów podwoił wpływy do skarbcza. To się ceni. Ale, o, daleko mu do świętoszka. Pewnie to mnie uważasz za nie wiadomo jakiego

uzurpatora. Tyrana, nie szukając daleko. Widzę to w twoich oczach i widziałem wtedy, przy naszym ostatnim... spotkaniu. I, owszem, nie osiągnąłbym tego, co mam, nie wzbudzając u poddanych choć odrobiny strachu. Strach, nie muszę ci chyba tego tłumaczyć, działa lepiej niż jakakolwiek inna motywacja. I Geremy wykorzystywał ten fakt po mistrzowsku. Ale odbiegamy od tematu. Widziałaś, co się dzieje na Kaim. Z ludźmi. Z całymi wsiami. Doświadczyłaś tego na własnej skórze. Odpowiedź – i lekarstwo – czeka za białymi murami Ganiyi. Obóz zwierzoludzi to tylko przeszkoda do prawdziwego celu. Nikt nam nie otworzy drzwi do niego, więc będziemy musieli zrobić to sami. Po tym, co widziałem, po tym, co się stało, chcę, żebyś nam w tym pomogła.

Alyn, z trudem powstrzymując emocje, które rwały ją do wyskoczenia z jedynej nogawki, którą miała na sobie, wytrzymała w milczeniu kilka długich chwil. Gdy uznała, że nie zdradzi ją jej własny głos, pochyliła się do przodu i oparła łokcie o kolana.

– Chcę zobaczyć te plany – powiedziała i zanim Pan G. zdążył odpowiedzieć, uniosła dłoń, by go uciszyć. Kątem oka zauważyła, że wywołała tym gestem swego rodzaju poruszenie u tych kilku osób znajdujących się w namiocie. – Wtedy, w Crux, nazwałeś mnie złodziejką, choć widziałeś mnie po raz pierwszy w życiu, a Rosa dopiero co mnie zapowiedziała. Przez cały ten czas miałam to gdzieś z tyłu głowy i dopiero teraz zdałam sobie z tego sprawę. Albo mnie sprawdziłeś, albo byłam po prostu jedną z wielu informacji, które kupiłeś. Wiem, jak bardzo cenisz wiedzę. Otóż ja też wiem co nieco. Na przykład o tym, że pochodzisz z Rowan. A jeżeli nie pochodzisz, to spędziłeś tam masę czasu. „Gedyminus”? Gdy byłam mała, to imię na ulicach wymawiało się szeptem niegrzecznym dzieciom. Byłeś mitem, potworem, który wychodził z szafy, wpelzał przez okno i kradł dzieci.

Gdy zauważyła zdawkowy uśmiech na ustach olbrzyma, Alyn odetchnęła w myślach, ale nie dała sobie przerwać.

– Ale nie byłeś potworem, prawda? Nie kradłeś dzieci, ty je ratowałeś. Mała, biedna Fran z pokoju naprzeciwko mojego w sierocińcu siostry Klarysy? Po pożarze nie miała nikogo oprócz pokiereszowanej Gertie. Przygarnąłeś ją i wyrosła na piękną kobietę – złodziejka skinęła głową w kierunku wyjścia z namiotu. – Po mojemu Fran... Frances jest szczęśliwa z tym... cokolwiek was łączy. To wymagało zaufania z obu stron. Może i nie rozumiem ciebie i twoich metod. Może w myślach wielokrotnie nazwałam cię podłym skurwysynem. Ale w tym momencie, jeżeli mamy współpracować, musimy sobie zaufać. Wiem, że jesteś do tego zdolny.

– Wolałbym – powiedział wreszcie Gedyminus ostro – żebyś litościwie powściągała swój język, a przynajmniej okazywała chociażby pozory szacunku tam, gdzie się on należy. Nie zapominaj, kto jest komu co winien. Ale tak, część z tego, co mówisz, jest prawdą. Nie mam tego luksusu, by poznać cię lepiej, zanim faktycznie przyjdzie nam na sobie nawzajem polegać, ale wystarczy to, że wiem, że jesteś jednocześnie najlepszą osobą do tego, co chcę osiągnąć. Musimy sobie zaufać... A skoro tak, to podejdź bliżej i rzuć okiem na to. Światło!

Gedyminus rozwinął zwój i rozłożył na natychmiast podstawionym stole. Półmrok pod zalewaną deszczem płachtą rozświetliły dwie przygotowane zawczasu lampy. I przez długi czas w namiocie słychać było tylko pomruk stłumionych rozmów.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Alyn odruchowo skuliła się, gdy pierwsza salwa przefrunęła ze świstem tuż nad jej głową, zostawiając za sobą czarny łuk dymnej tęczy. Łucznicy i kusznicy stali na skraju lasu, zaraz za nią, kilkadziesiąt kroków od pierwszych zabudowań zwierzoludzi. Rozklekotane, drewniano-płócienne konstrukcje stanowiłyby doskonałą pożywkę dla ognia, który – gdyby nie lało – w mig strawiłby całą rozłożoną u stóp białych murów Ganiyi wioskę. Kaprys aury sprawił, że morderczy w innym przypadku ostrzał miał na celu tylko dywersję. Jedna, dwie zbłąkane strzały prawdopodobnie zabijają, reszta – taka była nadzieja – wywoła panikę tuż przed szturmem żołnierzy i reszty uczestników Krucjaty. Alyn wiedziała, że już za chwilę stanie się świadkiem, ba, uczestnikiem rzezi większej i ohydniejszej niż ta, którą zgotowały zwierzoludziom Laetitia i Shoa. Oto Gedyminus, pod wezwaniem ratunku dla ludzi zamienionych w zwierzęta, miał właśnie spacyfikować największe ich osiedle na całej wyspie. Próbowwała nie myśleć o tym, kto na Kaim zachował więcej człowieczeństwa.

Gdy druga salwa znalazła się na cięciwach, gotowa do strzału, poprzez szum deszczu dało się postyszeć nieludzki wrzask. W mig dołączyło do nich dwa, pięć, dziesięć kolejnych, przeraźliwym jazgotem zagłuszając ulewę. Ręce łuczników zadrżały, ale na dany znak wypuściły w górę kolejne syczące strzały. Zanim zdążyli założyć kolejne, pomiędzy zabudowań wartkim strumieniem zaczęli się pojawiać zwierzoludzie. Byli w różnych stadiach przemiany – jedni pokryci cali sierścią, inni w rozlatujących się łachmanach. W dłoniach trzymali drewniane...

– O, w dupę! Padnij!

Alyn zanurkowała swą dopiero co odzyskaną skórzaną kurtką prosto w zabloconą trawę tuż przed tym, jak prymitywna dzida przefrunęła górą i wbiła się do połowy w brzuch jednego z kuszników. Moment później na zaskoczonych żołnierzy znajdujących się za nią spadł grad kolejnych. Ci, którym się upiekło, rychło zaczęli opuszczać pozycje.

– Tarcze! Tarcze, kurwa!

Ryk generała Tychusa przetoczył się po szeregach żołnierzy niczym grom i moment później równym krokiem, starannie ominąwszy gramolącą się z ziemi rudą dziewczynę, ruszyły przed siebie dwa, trzy szeregi.

– Ty! – generał, siwy, krótko ostrzyżony mężczyzna z twarzą przeoraną bliznami po ciężkiej infekcji, wskazał Alyn sztychem miecza. – Trzymaj się blisko! Idziemy!

Plan zakładał związanie obrońców w walce i szybkie zduszenie jakiegokolwiek oporu... ale nie na tyle szybkie, by złodziejka nie zdążyła dotrzeć do studni, w której krył się tunel biegnący pod murami miasta. Zgiełk starcia miał zwrócić uwagę kogokolwiek, kto będzie pełnił wartę na blankach białego muru i jednocześnie zakamuflować poczynania niewielkiej grupki majstrującej przy wejściu do tajnego korytarza. Szybka akcja. Totalne zaskoczenie. Eskortowana przez generalską elitę złodziejka dostaje się do miasta i znajduje sposób

na otwarcie lub osłabienie bramy. Nagroda? Tyle złota, ile zdoła wynieść ze skarbcza. Wczesna emerytura. Takie były warunki umowy z Gedyminusem. Ale póki co na drodze stała prawdziwa hałda rozjuszonych ciał. A kości, mięśnie i ścięgna wciąż bolały jak diabli. I było jeszcze coś.

Gdy tylko przekroczyli umowną granicę osiedla, członkowie Krucjaty jak jeden mąż zakryli nosy i usta, gdy uderzył ich nieopisany smród. Śmierdziały wszechobecne gnijące resztki jedzenia, brudne szmaty, zepsute mięso i kałuże szczyn i gówna. Z trudem utrzymując późne śniadanie w lichych okowach żołądka, Alyn natychmiast z całym przekonaniem stwierdziła, że ktokolwiek ukuł powiedzenie „żyć jak zwierzęta”, z pewnością nie doświadczył owego życia w kaimiańskiej wiosce zwierzoludzi.

Ale hałas i zapach nie były jedynymi przeszkodami. Płaskie buty żołnierzy grzęzły w gęstej mazi spowijającej całą wydeptaną połać pod obozem. Spowalniała szturm i otwierała w zwyczajowo zwartych szykach niebezpieczne luki. Niewytrenowani mieszczanie, choć niewątpliwie przyzwyczajeni do nieprzyjemnych zapachów, co i raz potykali się i upadali, brodząc w obrzydliwej brei i wywijając drzewcami kos i pik w stronę sojuszników. Po pierwszym sukcesie natarcie zaczęło tracić impet, a w niektórych miejscach wręcz chwiać się w posadach.

Tychus tymczasem prowadził drużynę czterech zwinnych, muskularnych specjalistów i z trudem dotrzymującą im kroku Alyn. Szli przez labirynt placyków i uliczek jak chirurg sunący lancetem po skórze. Cała piątka uzbrojona była w niedługie tasaki o szerokich ostrzach, których nieustanny wir to połyskiwał światłem powoli przejaśniającego się nieba, to wgryzał się w ciała, rozcinał żyły i rozrywał tkanki, wzmagając deszcz kaskadami czerwieni. Zwierzoludzie – głównie mężczyźni, ale nie zabrakło wśród nich również kobiet – upadali z rykiem i piskiem.

Gdzieś po prawej trzasnęło i błysnęło jaskrawą żółcią. To zapaliła się od środka jedna z chatynek, której zbyt dobre – jak na ironię – zadaszenie zapobiegło zmoczeniu przez deszcz suchych szczap tworzących ściany. Brnęli dalej, a kolejne klitki to tarasowały drogę, to znikały z pola widzenia Alyn – mijane albo zwalane kopnięciem przez któregoś z żołnierzy. Jazgot nie ustawał, a bezużyteczne mokre i zaparowane szkła obijały się o jej szyję na rzemieniu. Wszystko – ludzie Gedyminusa, zwierzoludzie, zabudowania, kałuże i trupy – było nierealne i rozmazane. W pewnym momencie złodziejka zatrzymała się z poślizgiem w miejscu i niemal straciła równowagę, gdy, płasząc beztrąskowo pomiędzy szczepionymi, wierzgającymi ciałami, przecięło jej drogę kilkuletnie, całkowicie nagie i całkowicie ludzkie dziecko. Gdy otrząsnęła się i podniosła wzrok, była sama. Wystarczyła chwila, by straciła z oczu ludzi Tychusa. Stała po kostki w brudnej wodzie, słyszała narastającą wrzawę i czuła, jak zaciskają się wokół niej szkarłatne ciernie brutalnej bitwy, niepotrzebnej śmierci. Gdzieś niedaleko za sobą usłyszała przenikliwy skrzek nawołujący do walki.

Coś szarpnęło ją za ramię i pociągnęło o kilka kroków w kierunku najbliższej ściany. To był jeden z ludzi generała. Nazwała go w wcześniej myślach Blondynem, bo jako jedynemu z nich wystawały mu spod hełmu jasne strąki włosów.

– Generał poszedł na ich wodza! – krzyknął jej do ucha. – Rozumiesz?! Idą po Vithara! My idziemy tam!

Alyn jeszcze raz obejrzała się w stronę pożogi, która powoli, leniwie i z sykiem zaczęła połykać kolejne chatynki, po czym ruszyła za żołnierzem w drugą stronę.

Biegli niedługo i bez przeszkód, aż zrobiło się wyraźnie ciemniej – to strzeliste mury Ganiyi zasłoniły ponad nimi część nieba.

– To gdzieś tu – powiedział Blondyn i wyszarpnął ostrze z piersi jedyne go wojowniczo nastawionego zwierozczłeka, którego napotkali. – Szukamy studni. Może być przykryta pokrywą.

– Mam! – krzyknęła Alyn i rozgarnęła najpierw butem, potem rękami stertę desek i nieociosanych jeszcze gałęzi ułożonych bezładnie na okrągłym kamieniu zakrywającym niewielką cembrowinę.

Blondyn podszedł do pokrywy, zaparł się nogami i z całej siły pchnął. Kamień drgnął i przesunął się nieznacznie, ale mężczyzna niemalże wylądował twarzą w błocie. Następną próbę wykonali razem, by tytanicznym wysiłkiem odsłonić połowę otworu. Jeszcze dwa kopniaki przyplacone zadyszka i zabrudzeniem ubrań tam, gdzie wcześniej błoto nie sięgnęło, i studnia stanęła otworem. W całej swojej cholernie wąskiej okazałości.

Alyn zmierzyła okrągłą czerń wzrokiem.

– O, nie... Ni chuja tam nie wejść.

– Zmieścisz się – powiedział Blondyn, rozwijając linę. – Wyciągaj kamyki i wskakuj do środka, znasz drogę.

Mężczyzna mówił o obłych przedmiotach, które Laetitia wkładała do ogniska, by znacznie wzmóc jego ciepło bez zwiększania płomienia. Kolejnej „pamiętce” po wiedźmach znalezionej w rzeczach Godryka. Gedyminus pokazał jej, jak potrzebować je o siebie, by rozjarzyły się delikatnym, ciepłym światłem. Wystarczającym do tego, by oświetlić sobie drogę w tunelu.

Alyn przełknęła ślinę. Dziura wyglądała tak, jakby miała ochotę wessać ją do środka, zaklinować w swym przetyku i trawić powoli przez kolejne dekady. Odetchnęła głęboko i spojrzała jeszcze raz w górę, na szczyt muru, by upewnić się, że żaden ze strażników nie interesuje się akurat tym wycinkiem pola walki. Na tle stalowo-błękitnego nieba nie było widać żadnej sylwetki. Ani jednej. Sama ściana wydawała się za to nieco wyższa... albo bliższa niż przed chwilą.

Blondyn obwiązał linę trzykrotnie wokół cembrowiny i podał złodziejce koniec sznura. Drugi zacisnął w pięści.

– Raz-raz, dziewczyno – powiedział, a po wyrazie jego twarzy Alyn skonstatowała, że gdy następnym razem otworzy usta, będzie już warczał.

Kątem oka, resztką świadomości złodziejka zarejestrowała nad głową żołnierza jakiś ruch. Zdążyła tylko otworzyć szeroko oczy i nabrać powietrza do płuc.

Kamień wielkości pięści nakreślił w powietrzu łuk i z potwornym trzaskiem trafił Blondyna w hełm. Dokładnie na czubku głowy. Szerokie jak pnie nogi ugięły się pod mężczyzną, a ten z krótkim, niemal niesłyszalnym jęknięciem runął na ziemię. Kolejny kamień wylądował tuż przy jego uchu.

Alyn dopadła do żołnierza i nasunęła na oczy mokre szkła. W odległości kilkunastu kroków przez zwalone ruiny chatek gramoliło, rycząc, się kilku zwierozoludzi. Gdyby wściekłość w ich oczach mogła palić, zajęłoby się od niej samo powietrze. Zerknęła w dół. Blondyn oddychał, ale jego świadomość była daleko stąd – pewnie w Crux, na ganku rodzinnego domu. Kamień zostawił po sobie w miękkim metalu głęboki krater, spod hełmu ciekła na śliską ziemię strużka gęstej krwi. W dłoni wciąż ścisnął linę. Mocno, aż pobiełały mu

knykcie.

Decyduj Alyn.

Czas uciekał z każdym mgnieniem oka. Już teraz nie zdążyłaby przygotować żarokamieni, a za moment napastnicy zbliżą się na tyle, by przeciąć linę, jeszcze zanim dotrze do właściwego wejścia, które odchodziło prostopadle od szybu studni na głębokości dwóch ludzi. Złodziejka wzdrygnęła się na myśl o tym, jak zwierzoludzie stoją na górze i zaczynają zrzucać na nią ostre, ciężkie kamienie.

Jest inne wyjście. Musi być. Cokolwiek. Ktokolwiek...

I wtedy, w momencie gdy po raz pierwszy od wydarzeń w jaskini odważyła się w desperacji otworzyć gniazdo os, jakim były myśli o tym, kim lub czym był Żółw, ryk napastników nagle się urwał. Jakby w jednym momencie wypompowano z ich płuc całe powietrze. Alyn usłyszała tylko donośne łupnięcie, które odbiło się echem po okolicy. Uniosła głowę.

– Nie wierzę – jęknęła, przecząc sama sobie, bo przecież wierzyła. Wierzyła bardzo.

Przed jej oczami zatrzymany na moment czas namalował kroplami deszczu i niechlujnymi pociągnięciami pędzla obraz – apoteozę potęgi. W centrum, w lekkim rozkroku, na ugiętych nogach i w lśniącej zbroi, oświetlonej kilkoma zagubionymi w gąszczu chmur i dymu promieniami słońca, stał Żółw. Był odwrócony do złodziejki lewym bokiem. Jego prawa ręka dzierżyła szeroką, okrągłą tarczę, na której z impetem, rozbryzgując wokół wodę, zatrzymali się szturmujący napastnicy. Lewą, wyciągniętą ku górze dłońią wskazywał górujący nad okolicą mur Ganiyi.

Jego głos wybrzmiał w głowie Alyn i tylko jednym słowem.

Biegnij.

Złodziejka wstała i pobiegła. Z dala od zwierzoludzi, z dala od czarnej otchłani studni – prosto w stronę białej ściany. Pamiętała, co zobaczyła na planach. Mur zbudowano tak, żeby ostateczny szlif pozostawił zewnętrzna warstwę darlenitu i kethrylu gładką i płaską jak stół. Nikt nie był w stanie się po niej wspiąć.

Ale musiała spróbować. I tak zamiast w dół wołała iść w górę. Zawsze w górę. Więc biegła z całych sił.

*

Przepaść. Czarna szczelina o szerokości kilku ludzi i głębokości trudnej do opisanie bez użycia słów albo banalnych albo wulgarnych rozciągała się pod murami na całej ich długości. Był to widok tak niedorzeczny i tak niespodziewany, że Alyn, biegnąc, prawie go zignorowała. Zatrzymała się w ostatniej chwili, tuż przed krawędzią. Kilka kamyków i dwie kępki trawy pofrunęły dalej i rozpoczęły wieczny lot w dół otchłani.

I było jeszcze coś. Mur Ganiyi oddychał. Z pozoru niezauważenie monumentalny łuk bardzo powoli przybliżał się i oddalał ruchem równie płynnym co nienaturalnym.

– Wariuję – stwierdziła i opuściła ręce, patrząc tępo przed siebie.

Zamknęła oczy. Nie było na to czasu, ale zacisnęła pięści i całą swoją wolą spróbowała zagarnąć rozpełzłe myśli w jedno stado. Jedna rzecz nie dawała jej spokoju. Ugryzienie roskara. Kiełek. Woal.

Woal nierzeczywistości. Woal gruby i ciężki, ale niezauważalny. Kryjący... kryjący...

Otworzyła oczy. Rozpadlina zamknęła się błyskawicznie. Jakby nigdy jej nie było. Znikła z chwilą gdy...

– Przestałam w nią wierzyć... – szepnęła złodziejka.

Otrząsnęła się i ruszyła tak nagle, że spod jej buta wyprysnęła fontanna błota. Wystarczyły trzy susy, by znalazła się przy ścianie. Palce jednej dłoni wbiła w pierwszą szczelinę między wysłużonymi kłocami darle-nitu, jaką zauważyła. Druga chwyciła występ wysoko ponad jej głową. Tak wysoko, że musiała do niej dosko-czyć. Czubki butów Eleny trzymały się na ścianie na słowo honoru. Ale wspinała się. Wspinała jak Toryn.

Gdy była na wysokości trzech wyprostowanych ludzi, obok jej prawej dłoni rozprysł się o ścianę pierw-szy kamień. Odłamki ukłuły boleśnie w skórę, ale jej nie przebiły. Aby uciec przed kolejnymi pociskami, wykonała – wyłączwszy wszelkie skomplikowane procesy myślowe – dwa susy pionowo w górę. W obu przypadkach całkowicie odrywając się od ściany i licząc, że wypatrzony instynktownie punkt zaczepu będzie zarówno odpowiednio szeroki, jak i szorstki, by utrzymać cały jej ciężar.

Przez nieskończenie krótki moment, poddała się losowi i przeniosła się na ścianę wieży posiadłości Hanso Trzeciego w Saahii. Czowała wolność i euforię.

Ale to już nie była ta sama złodziejka. Ani te same cegły. Bo zamiast okna wysoko nad ziemią, mur Ganiyi krył ledwo wyróżniającą się nawet z bliska, pomalowaną na biało drewnianą klapę.

Była tam, gdzie miała być narysowana na planach ze zwoju – podczas narady z Gedyminusem odrzu-cona od razu jako najtrudniejsza z dróg. Nierealistyczna ze względu na jej odległość od gruntu i – pozorną – gładkość ściany. Była tak wysoko, że kamienie miotane z dołu, ledwo osiągały ten pułap. Zatrzymywały się w powietrzu na krótkie „dzień dobry”, po czym ruszały z pędem z powrotem w stronę tych, którzy je rzucili. Kłapa miała pojedynczy zawias na górze. Alyn nie bez trudu uchyliła ją nogą, a potem, ledwo łapiąc równo-wagę, wsunęła się do środka.

Tajne wrota do Ganiyi zamknęły się za nią z głuchym hukiem. Nastąpiła cisza i ciemność.

CZEŚĆ IV

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ne me plaignez pas (...) c'est pour cela que je suis née

Nie żałujcie mnie (...) po to się narodziłam

– Joanna d'Arc (cyt. za H. Martinem, przekł. własny)

– Słyszysz tę ciszę?

Toryn kuśtykał ociężale, ale – na tyle, na ile mógł – wyprostowany. Niezłomny. Zgromadzona wokół miejsca kaźni gawieź szeroko otwartymi oczami patrzyła na to, co zostało z jego pleców, na szkarłatne strużki rytmicznie skapujące na ziemię, odbarwiający w krok za nim ubitą ziemię placu. Alyn szła obok, jej drogę znaczył paciorek łez.

– Słyszysz, siostra? Tak brzmi ich własny strach.

*

Złodziejka potarła żarokamienie o siebie, czerń w jej dłoniach rozjarzyła się lekko i nabrała ciepła. Wyciągnęła z najbliższego mroku zarysy zakurzonych cegieł i zwisających z niskiego stropu pajęczych sieci.

Ściany korytarza były równe, sam tunel zaś rychło zakręcił pod kątem prostym w lewo, a potem powiodł ją w górę gładką, niemal śliską powierzchnią. Czując, jak jeden czy dwa pająki zaczynają szukać schronienia za jej kołnierzem, Alyn przyspieszyła, by wreszcie, po niedługiej szamotaninie, dojrzeć tuż nad sobą nowe światło. Było blade i docierało przez metalową kratę w suficie. Przeczółgała się do niego i wstrzymała oddech.

Cisza.

Ostrożnie, z niemałym trudem, uniosła pokrywę plecami i ze szczękiem, którego echo dotarło zapewne przez całe szerokie morze do portu w Saahii, odsunęła ją na tyle, by zrobić otwór, przez który mogła się wydostać na zewnątrz.

Gdy stanęła na nogach, jeszcze raz zamarła, nasłuchując. Była we wnętrzu murów. Przez szereg niewielkich otworów od strony miasta wpadało do korytarza światło – wydawałoby się, że razem z nim dotrze do wnętrza choćby pogłos miejskiego gwaru.

Nic.

Zostawiła pokrywę tam, gdzie była i ruszyła przed siebie. Bezgłośnie. Nie napotkawszy nikogo po drodze, skręciła w pierwszą klatkę schodową. Schodziła szybko, coraz szybciej, aż stanęła przed drewnianymi drzwiami na najniższym poziomie.

Tu cisza była ogłuszająca. Biła dziesiątką dzwonów, szumiała gwarem setki zakkańskich rynków. Choć nie były zamknięte, Alyn niemal wyważyła drzwi z zawiasów, byle szybciej znaleźć się na zewnątrz. Wypadła na bruk. Zatoczyła się w poprzek wąskiej uliczki i oparła się o białą, poznaczoną szarymi i brunatnymi śladami rąk ścianę kamienicy. Rozejrzała się.

Wreszcie. Wreszcie postawiła stopę na ulicach Ganiyi.

Ale stolica Kaim nie była tym, czym miała być. Miasto było martwe. Zastygłe w paraliżu. Bezwietrzne.

Alyn wzięła kilka haustów powietrza, uspokoiła tętno i podążyła wzrokiem wzdłuż muru, w stronę głównej bramy. Nikogo nie było na ulicach, nikt nie stał na straży metropolii. Gdyby chciała, mogłaby prawdopodobnie, ot tak, znaleźć mechanizm wrót i otworzyć je na oścież przed wojskami Gedyminusa... albo kogokolwiek, kto przetrwał bitwę po drugiej stronie. Taka była umowa i za jej złamanie prawdopodobnie naprosi się o skrócenie o głowę.

Ale instynkt ciągnął ją gdzie indziej. Wskazywał inną drogę. Złodziejka minęła niespiesznie kilka uliczek, a potem skręciła w szeroką aleję, która wiodła prostopadłe do muru – w górę. Tam, gdzie wysoko w skałę wtapiały się ściany książęcego pałacu.

Choć straszyla trupim spokojem (Alyn co chwilę miała wrażenie, że z uchylonego okna, które mija, wyskoczy na nią jakiś stwór), Ganiya była piękna. Większość kamienic wzniesiono z czystego, pieczołowicie ociosanego darlenitu. Te okazalsze – a im bliżej pałacu, tym było ich więcej – szczyły się bielutkimi elewacjami zdobionymi kethrylowymi ornamentami. Złodziejka zauważyła, że na ścianach kilku z nich w fikuśny – choć stróżę porządku zapewne powiedzieliby: wandalizujący – sposób ktoś zostawił ciemne ślady rozcapierzonych dłoni. Gdyby zasłonić na rysującym się przed jej oczami pejzażu szarość bruku, paleta jego barw zawarłaby się w bieli, połyskującej czerni i błękicie nieba.

A przynajmniej było tak do momentu, w którym zamiast jednego z domów oczom Alyn ukazał się jego brunatny, osmalony szkielec. Budynek był wciśnięty między dwa podobne, nienaruszone. Tylko ten jeden został strawiony przez żywioł. Tylko on był też nim naznaczony. Jakby ktoś wyjął jego klocek z planszy, obracał kilka chwil nad ogniem i wsadził z powrotem. Przez moment złodziejce zaświtała myśl o tym, że Góra wcale nie bez powodu ma owych Gigantów w nazwie, ale tylko się do niej uśmiechnęła. Ledwo co była świadkiem dużo bardziej nieprawdopodobnych rzeczy niż będący nie na swoim miejscu kawał upalanej nieruchomości. Kaim pogrywało z nią od chwili, w której postawiła na nim nogę.

Gdy minęła kolejny załom, stanęła na szerokiej, otwartej ulicy, która wiodła wprost do wrót pałacu. Rozejrzała się i jej krtań natychmiast zechciała wydać z siebie jakiś dźwięk. Zdołała tylko chrząknąć.

Tym razem spalone, dziurawe i w każdy inny możliwy do wyobrażenia sobie sposób zrujnowane budynki natarły na nią całym szeregiem. Pas zniszczenia ciągnął się wzdłuż chodnika – zarówno w stronę murów Ganiyi, jak i pałacu. Już stąd było widać, że czymkolwiek była – ślady ognia i zwały to gładkiej, to chropowatej skały wyściełające sporą część placu zdawały się wskazywać na jedyne oczywiste rozwiązanie – katastrofa miała ogromną siłę i w ten czy inny sposób dotknęła każdego mieszkańca.

Tylko gdzie oni się wszyscy podziali?

*

Wiatr subtelnie mełł zastale powietrze holu i sunął niczym leniwy potok w stronę prawego skrzydła pałacu. W stronę, gdzie osmalone i skruszone zwały kamienia i drewna blokowały przejście głównym korytarzem. Alyn zamknęła za sobą wrota i zatrzymała się, by złapać oddech. Gdy podążyła wzrokiem po ściennych ornamentach sali, zadarła głowę oniemiała. Choć nie paliło się żadne sztuczne światło, wysokie, wąskie okna w strzelistych ścianach wpuszczały do środka ostre promienie słońca. Te ciężły gęstą, ponurą atmosferę wnętrza

na kawałki niczym szerokie kucharskie tasaki. Gdzieś hen wysoko, skryty w cieniu, czyhał strop, z którego na długim, ciężkim łańcuchu zwisał pojedynczy, bogato zdobiony żyrandol. Świecznik bujał się nieznacznie, popiskując ogniwoami.

Gdy jej oczy przyzwyczyły się do półmroku, złodziejka wypatrzyła schodki, które wiodły do pozbawionej drzwi czarnej dziury, za którą – jak podpowiadał jej instynkt kogoś, kto niejedną posiadłość zwiedzał po ciemku bez mapy – mogło czekać alternatywne przejście do skrzydeł pałacu.

Wnętrze budowli było w ruinie. Przez zakurzoną salę balową, zabałaganioną przewracanymi meblami i postrącanymi obrazami, ku pomieszczeniom mieszkalnym prowadziły Alyn długie, szarpane pęknięcia wzdłuż ścian. W fatalnym stanie były zwłaszcza te ceglane – w wielu miejscach rozkruszone i dziurawe. Ale przemieszane z nimi fragmenty naturalnej, oszlifowanej skały również straszyły szczelinami, w które swobodnie można było wsunąć dłoń. Na Ganię spadł tajemniczy, niewidzialny kataklizm, którego prawdziwe oblicze dopiero teraz zaczynało się ujawniać. Na szczęście wyglądało na to, że nikt nie został pogrzebany pod gruzami.

Wrażenie to utrzymało się aż do momentu, gdy Alyn podążyła tylnym korytarzem, a potem schodami w górę na piętro z rzędem wystawnych komnat mieszkalnych. Część drzwi była zamknięta na klucz lub zabarykadowana, w innych brakowało skrzydeł. Jedno wejście było wyraźnie nadpalone. Alyn położyła dłoń na klamce i pchnęła drzwi.

Gdy weszła do środka, jej wzrok padł na trójkątną dziurę w miejscu, gdzie wcześniej było okno i kawał ściany wokół niego. Wpadające przez nią światło rozchmurzające się popołudnia rozlało się po pokoju i sięgnęło czarnego jęzora zastygłej skały, który spoczywał na podłodze. Jego koniec schowany był pod rozłożystym łóżem, na który zwały się zwęglone belki stropu i osmalone kamienne płyty. Wpadły do środka, otwierając przejście do pomieszczenia piętro wyżej. Wyłączywszy nienachalne smagnięcia górskiego wiatru, było cicho.

Alyn zrobiła krok i poczuła, jakby po jej plecach przemaszerowało stado pajaków. To było coś nieuchwytnego, nieokreślonego, ale ten obraz wydawał się jej znajomy.

Po kolejnym kroku jej zmysły zaczęły rejestrować wszystko ze zdwojoną czułością. Błysk przewróconej zbroi w przeciwnym końcu pomieszczenia. Wydłużony ślad zaschniętej krwi pod warstwą kurzu wiodący od łóża do drzwi. Skrawek ubrania, który wystawał spod gruzu. Nogawka. I stopa.

To była scena śmierci. Zatrzymana w czasie tragedia człowieka, którego przygniotły drewno i kamień. Ofiara pólżeła na brzuchu, głową w głąb łóża. Jej zastygłe mięśnie wciąż utrzymywały na grzbiecie solidny kłoc, tworząc między tułowiem a materacem płytką nieckę. To do niej wiodła z podłogi brunatna smuga. Tak, jakby ktoś przeżył zawalenie się stropu – być może dzięki ofierze tajemniczego mężczyzny – i krwawiąc, zdołał się wydostać na zewnątrz. Alyn przysunęła się bliżej, by przyjrzeć się twarzy trupa. Zmęczone deski łóża jęknęły, gdy oparła się o materac. Podświadomie zarejestrowała zmianę w echu odbitym od ścian pomieszczenia. Jakby w tym samym momencie ktoś się za nią pojawił.

– Tu stracił nogę – zadudnił Żółw.

Złodziejka wzdrygnęła się i zakłęła szpetnie pod nosem. Obejrzała się. Rycerz stał na środku pokoju. Jego zbroja, jeszcze niedawno uwalana w błocie, krwi i ślinie zwierzoludzi, na powrót lśniła muskana promieniami wyglądającego spomiędzy chmur słońca.

– Kto? – zapytała, gdy odzyskała kontrolę nad oddechem i przełknęła ślinę. – Kto stracił nogę?

– Xander, Książęcy Miecz. Spójrz, tam po prawej, nieco w głębi. Ta oto płyta ucięła mu ją czysto, tuż pod kolanem.

– Żółwiu... – powiedziała Alyn po długiej ciszy, w trakcie której nawet nie obejrzała się na zwłoki. – To ty jesteś Xanderem. Jesteś Książęcym Mieczem.

Rycerz opuścił głowę nieznacznie. Wydawałoby się, że chce spojrzeć wprost pod swoje nogi, ale przeszkadza mu w tym przyłbica.

A potem zrobił coś niepojętego – chwycił dłońmi hełm i powoli unióś go do góry.

Pod nim – zamiast gdzieś w duchu spodziewanej przez dziewczynę pustki – ukazała się głowa młodego mężczyzny. Miał zielone, czujne oczy i szeroką szczękę opasaną strakami zmierzwionych jasnych włosów. Nie tak go sobie wyobrażała.

– Nie, Alyn – powiedział. Miał bardzo przyjemny głos, w którym kryły się zarazem nadludzka odwaga i nieprzebrany smutek. – Myślałem, że nim jestem. Odkąd postawiłem nogę na udeptanym nabrzeżu tej wioski nad morzem. I odkąd po raz pierwszy przecięły się nasze szlaki. Byłem Żółwiem we własnym mniemaniu.

Dziewczyna zacisnęła pięści, gdy nie-Żółw zrobił ku niej kilka kroków, ale nie odsunęła się.

– Myślałem, że choć nie pamiętam, jak się tu znalazłem, musiało się to stać z konkretnej przyczyny. Że przybyłem z daleka, by wykonać zadanie. Że miałem uratować mój umierający kraj.

Mężczyzna zatrzymał się przy Alyn i spojrzał na nią. Dziewczyna momentalnie stwierdziła, że brak przyłbicy zupełnie nie ujmował mu rycerskiego majestatu. Tak wyglądał prawdziwy bohater.

– Ale teraz wiem, jak bardzo się myliłem. Bo to zadanie nie było moje – powiedział, po czym utkwił wzrok w makabrycznej martwej naturze na łożu. Zaśmiał się. Krótko i cicho. – Żałuję tylko, że tego dnia nie zdążyłem założyć na piżamę jakichś porządnych spodni.

Alyn zmarszczyła brwi.

– Kim... kim jest ten mężczyzna? – zapytała, wskazując na zwłoki, choć czuła podskórnie, że świadomość prawdy ugodzi ją bardzo powoli i bardzo boleśnie.

– Ważniejszym pytaniem jest – odpowiedział, patrząc jej w oczy – to, że jeśli to nie ja jestem Xanderem, to co stało się z prawdziwym?

– Żółwiu...

– Nazywam się Argus.

– Argus – szepnęła złodziejka, ni to do rycerza, ni to do siebie. – Co, tu, na Kaim, znaczy „prawdziwy”? Czy ty jesteś prawdziwy?

– Nie wiem – odpowiedział mężczyzna nie od razu. – Przez cały ten czas, przez wszystkie te dni ani razu mnie nie dotknęłaś. Zrób to, a przekonamy się oboje.

Alyn przekrzywiła lekko głowę i powoli wyciągnęła dłoń. Zatrzymała ją tuż przed zimnym metalem jego zbroi. Zagryzła wargę.

Nie musiała go dotykać. A może nie chciała.

Przez chwilę trwali w świętym milczeniu. Czas nagle zaczął płynąć bardzo szybko.

– Co teraz?

– Teraz przeszedł czas, by się pożegnać. Dzięki tobie dotarłem do celu.

– Nie rozumiem – Alyn poczuła, jak w jej przetyku formuje się gula o wielkości pięści. Po co było to wszystko?

– Po to, by wrócić do domu. Czyż nie w tym celu wyruszamy w podróż? Aby w końcu dotrzeć tam, gdzie postawiliśmy jej pierwszy krok? Teraz twoja kolej, by osiągnąć swój cel. Spełnić swoje zadanie. Jesteś tuż-tuż.

Argus usiadł na skraju łoża, zdjął rękawice i położył je obok. Wyciągnął dłoń w stronę stężałej łydki trupa. Gest wydał się Alyn wyjątkowo czuły. Mężczyzna spojrzał na złodziejkę.

– Powinnaś już iść, Alyn. Zakończ to wszystko.

Czując napierający pod powiekami słony potok, złodziejka objęła jeszcze raz spojrzeniem jedyne przyjaciela, jakiego – obok niezliczonych trosk i niezmiernego bólu – ofiarowało jej Kaim. Myśli o zostawieniu go sprawiały jej fizyczny ból, ścisnęły przetyk i nie pozwalały oddychać.

Odwróciła się i wypadła z komnaty.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Sala główna urządzona była na modłę północną. Przestronna i majestatyczna onieśmielała szerokim korytarzem w centrum, zamkniętym po obu stronach długimi stołami. Ich blaty były puste, jeśli nie liczyć umieszczonych w równych odstępach srebrnych kandelabrow. Między stołami a ścianami – niczym miejsca dla publiczności – ustawiono po rzędzie krzesel. Duchy byłych gości i biesiadników miały wyśmienity widok na to, co działo się na środku. Lepsza perspektywa była udziałem jedynie wydłużonych w arystokratycznych grymasach twarzy, które spoglądały z okalających salę portretów. W oddali, naprzeciwko wrót wejściowych, znajdowało się niewielkie podwyższenie. Na nim w wąskim szeregu stało kilka bogato zdobionych foteli. Wyglądały na wygodne. Wszystko zastygło w ciszy i chłodzie grubych ścian wyciosanych ze skał Góry Gigantów. Tylko kurz – wzburzony otwarciem swego sanktuarium i pchany powiewami nieśmiałej bryzy – wirował zapamiętałe w ukośnych słupach światła.

Oszpecony, okaleczony pałac śnił swój sen.

Alyn trafiła tu po opuszczeniu skrzydła mieszkalnego i powrocie do głównego holu. Nie odważyła się wyjrzeć przez główne wrota w dół, na miasto. Miała niewiele czasu, nim Gedyminus sforsuje wreszcie bramę i pozna prawdę o Ganiyi, a następnie stanie tryumfalnie na schodach do siedziby władców Kaim. W dupie miała całą tę przeklętą wyspę, jej historię i dziedzictwo. Ale gdzieś w tych murach – żywy lub martwy – czekał na nią Toryn. Być może w spiżarni, być może w ukrytym za tajnym przejściem skarbcu.

Sala główna wydawała się wręcz zbyt oczywistym wyborem na rozpoczęcie poszukiwań jego śladów. Po dokładnych oględzinach podłogi, ścian, obrazów i mebli złodziejka uznała jednak, że – prócz niezaprzeczalnego piękna, którym sala niegdyś musiała wręcz emanować – nie było w niej niczego, co mogłoby naprowadzić na ślad Toryna. Ani kogokolwiek innego. Jedynie świece w kandelabrach – niezakurzone, o nadpalonych knotach – świadczyły o tym, że w pałacu wciąż gdzieś tlił się ogarek życia.

Złodziejka kończyła właśnie przyglądać się obiciu książęcego tronu, gdy w sali rozległo się echo kroków. Natychmiast przeskoczyła za oparcie siedziska i wyjrzała ostrożnie.

Po drugiej stronie sali uchylły się drzwi i do środka weszła kobieta. Miała na sobie długą, bogato zdobioną suknię o barwie późnego zmierzchu. Bładość jej twarzy kontrapunktowała jarząca się, krwistoczerwona kropka ust. Na tle wysokiego kołnierza błyszczała kaskada jasnych, kręconych włosów. Poruszała się powoli, pewnie, z gracją.

– Heloisa... – szepnęła Alyn.

– W tych murach nazywano mnie Elise!

Kobieta nie musiała krzyżeć. Miała naturalnie donośny głos, a ten potęgowany był przez gromkie, równomiernie rozchodzące się po sali echo. Szła, szeroko rozłożywszy ramiona. Z wyglądu przypominała

dziewczynę z chatki w lesie, ale nie zachowywała się ani jak ona, ani jak związana liną, zboląta babinka. Była w swoim żywiole.

– Możesz wyjść z tego foteliszca, Alyn – powiedziała z szerokim uśmiechem. – Ten pałac nie ma dla mnie tajemnic. Jeśli chcesz mi zagrozić drogę do Geremy’ego, zrób to z honorem.

Złodziejka wstała i stanęła u szczytu schodków wiodących na podwyższenie. „Droga do Geremy’ego”? Gdzieś tu musiało być w takim razie przejście. Ukryte drzwi.

– Heloiso... jak...

– Jak dostałam się do pałacu? Kochana, może i Kaim zaroilo się ostatnimi czasy od bestii, ale pamiętaj, że zwierzęta to nie tylko kłapiące pyskami czworonogi.

Księżna wykonała nieznaczny ruch dłońmi i tuż za jej plecami mignął ogromny cień o nieokreślonym kształcie. Alyn przysięgłaby, że usłyszała jednocześnie trzepot ptasich skrzydeł.

– Wiesz, dlaczego tu przybyłam, prawda? – zapytała Elise, świdrując Alyn oczami.

– Jesteś... Byłaś księżną Kaim. Żoną księcia Geremy’ego.

– Taaak. Co za baśń, nie sądzisz? Księżę poślubia piękną, ale podstępą dziewczynę z dalekich krajów. Na szczęście ostatecznie orientuje się, że jest zła i wyrzuca ją na bruk. Ratuje księstwo. Bohater Geremy – księżna zaplotła ręce na piersi i opuściła głowę. – Dam ci jedną szansę, by postąpić właściwie. W swej naiwności pewnie nie wiesz nawet, kogo chronisz.

Alyn powstrzymała chęć otwarcia ust. Ukradkiem rozglądała się za czymkolwiek, co mogło robić za mechanizm otwierający ukryte drzwi w tej części sali. W najgorszym razie za czymś twardym, mieszczącym się w dłoni. Na wszelki wypadek.

– Nikt. Nikt nie zadał sobie trudu w tamtych czasach, by zastanowić się, kto był tak naprawdę... zły – głos Elise ciął powietrze jak najwyśmienitsza z zakkańskich szabel. – Ja? Czy może sam księżę? Geremy zdobył władzę przy pomocy swych dwóch najbliższych sprzymierzeńców: okrucieństwa i strachu. Wiedziałaś o tym? Oczywiście, że nie, bo cała prawda o tym wydarzeniu została spalona i pogrzebana w ogniu Góry Gigantów. Bohater ludu. Miał szesnaście lat, gdy został wybrany na regenta po zapaści urzędującego księcia i jego stryja. Miał być marionetką w rękach możnych tych ziem, ale już następnego dnia po zaprzysiężeniu zwołał walne zgromadzenie ganijskiej arystokracji. Nikt z zaproszonych nie wiedział dlaczego. Ale przyszli do pałacu. Tu, do tej sali, co do jednego. Geremy siedział na fotelu i popijał wino, a tu, gdzie ty stoisz, przeprowadzono jego wuja. Pokrewieństwo było dalekie, ale faktyczne – i to się najbardziej liczyło. Bo ów wuj zaczął swoje przemówienie od przyznania się do uczestnictwa w spisku przeciwko swojej rodzinie. Przeciwno Geremy’emu. Był to wrak człowieka, złamany na tysiące sposobów, błagał o szybką śmierć za swoją zdradę. A gdy skończył... zaczął wymieniać nazwiska tych, którzy byli z nim w zмовie. Powoli. Jeden, dwa, dziesięć, dwadzieścia nazwisk. Mówił, a każdego z wyczytanych natychmiast chwytały żołnierze Księżęcego Miecza i wyprowadzali na zewnątrz, na dziedziniec. Wyobrażasz sobie to napięcie? Tę trwożę? Cisza była tak przytłaczająca, że gdy pierwszy z tych, którzy nie zostali jeszcze wymienieni, wstał i zaczął skandować imię nowego księcia i wielbić księstwo ponad księżyc i słońce, natychmiast przyłączyła się reszta sali. Geremy pozwolił wyprowadzić jeszcze piątkę osób, aż wreszcie odstawił puchar, wstał i poprowadził tych szlachciców, którzy pozostali, szczających w spodnie z ulgi, na miejsce kaźni. A tam każdemu z nich kazał ściąć głowę któremus

ze swoich byłych współtowarzyszy. Gdy zaczęli się kończyć spiskowcy, reszta ustawiła się w kolejce do sztyletu, którym raz po razie dźgano resztki. Oczywiście nikt prócz samego Geremy'ego nie wiedział, kto tak naprawdę uczestniczył w spisku. I czy w ogóle był jakiś spisek. Miał szesnaście lat. Ja go poznałam dwa lata później.

Choć twardo postanowiła nie brać na wiarę czegokolwiek, co miała do powiedzenia księżna, złodziejka nie mogła wyrzucić z umysłu obrazu Xandera, tego prawdziwego Xandera wyprowadzającego na śmierć niewinnych ludzi. Szukała wzrokiem jakiegokolwiek oparcia w wystroju wnętrza sali, ale jej oczy naturalnie podążały w kierunku białej twarzy Elise. W przenikliwym spojrzeniu kobiety nie było smutku ani żalu. Tylko czysta determinacja.

– A teraz – powiedziała księżna i zadarła brodę – bądź skarbem i zaprowadź mnie do mojego męża. Nie każ mi powtarzać naszej małej zabawy z siekierą i pniakiem.

– Nie da rady – odpowiedziała złodziejka, gdy wreszcie znalazła swój głos w przełyku. Przeczynała, że nie skończy się na zwykłej pogawędce. – Nie spotkałam tu żywej duszy. To była bardzo poruszająca opowieść. Naprawdę. Ale to nie Geremy'ego szukam w tym pałacu.

– No, pewnie, że nie – zaśmiała się nagle Elise. – Co ci po księciu, skoro zamiast niego możesz mieć książęcą rezerwę strategiczną.

Księżna ruszyła ku podwyższeniu. Alyn kątem oka zauważyła, że stoły i krzesła, które minęła zmieniły swoją pozycję. Najpierw nieznacznie, potem zaczęły z jękiem przesuwać się po posadzce, tworząc za nią złowrogi półokrąg. Jakby zasysała je tajemną, niewidzialną siłą.

Złodziejka zacisnęła pięści i zakłęła, żałując że nie zaopatrzyła się chociażby w nóż stołowy. Łyżkę chociaż. Cokolwiek.

– Niestety książęca rezerwa strategiczna już za chwilę będzie mi potrzebna. W całości.

Księżna Kaim stanęła tuż przed podwyższeniem i spojrzała na Alyn spod oka. Gdy nie doczekała się żadnej odpowiedzi, nabrała powietrza w płuca i wydała z siebie ryk.

– Teraz, dziewczyno!

Jej słowa wstrząsnęły pałacem i stłumiły wpadające przez okna światło. Z pleców kobiety wystrzeliły ku ścianom dwa ogromne, czarne skrzydła, zagarniając sobą niemal całe pole widzenia złodziejki. Elise uniosła się nad ziemię i zrównała wzrokiem z rudowłosą.

Alyn cofnęła się, ale tylko o krok. To tylko zjawa. To tylko Kaim. Jak wtedy, gdy Tabitha... jeśli potrafiłam sprawić, by pojawił się przy mnie Żółt...

– Nie – powiedziała złodziejka i wyciągnęła przed siebie dłoń.

Księżna ze zdumionym wyrazem twarzy zachwiała się w powietrzu. Machnęła swymi potężnymi skrzydłami, które zamigotały i zgubiły kilka czarnych piór. Sekundę później dzień na powrót wlał się do wnętrza pałacu, który zastygł w swym zwyczajowym stuporze. Elise znów była na dole.

Ale jej zaskoczenie szybko ustąpiło determinacji. Nie, pomyślała Alyn i spojrzała kobiecie prosto w niespokojne oczy – już nie determinacji. Furii.

– Kaim! Jest! Moje!

Niczym skrzydłami księżna zagarnęła ramionami powietrze wokół siebie i skierowała je wprost w złodziejkę. Za jej gestem meble oderwały się od ziemi, a ramy obrazów od ścian. Srebrne kandelabry upadły na ziemię i zaczęły wirować wokół własnej osi.

I nagle, w jednym momencie, wszystko to runęło na Alyn.

– Nie!! – wrzasnęła złodziejka, ostatkiem woli powstrzymując odruch wykonania uniku.

Meble i przedmioty z hukiem rozbiły się tuż przed jej wyciągniętą dłonią. Jakby pełnym pędem zderzyły się z emanacją niewiary. Napierając z bezwzględna zaciekłością, skręcały się, ścierały na drzazgi i wióry.

– Och, właśnie, że tak, skarbie! – Z głosu Elise na powrót zaczęła sączyć się buta. – To nie jest starcie, które możesz wygrać! Robię to przez całe życie!

To była prawda i Alyn wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Tnąca chmura pyłu przelatywała obok niej, mijała jej twarz o włos. Złodziejka czuła jej zapach.

To tylko iluzja, powtarzała w myślach, ale jej przekonanie z każdą chwilą słabło. Znalazła się w pułapce. Bez pomocy, bez broni. Przyszła na bójkę na pięści, bez noża.

Toryn miałby używanie.

Na Isztar, Toryn...

Nagle wiedziała, co musi zrobić. Wolną ręką sięgnęła za poję kurtki. A potem drugą. Zmacała kołnierz i szew na jej spodzie.

Jest!

Wyczuła go pod palcami. Był wszyty w skórę, ale w taki sposób, by można było go łatwo wyjąć w razie potrzeby. Był najbardziej prawdziwym przedmiotem, jaki знаła. Totemem rzeczywistości.

Powoli opuściła drugą dłoń i czując narastający, wszechogarniający spokój, wyszarpnęła skózaną łąkę, która służyła za zatyczkę i wysunęła kozik. Miał – oczywiście – ciemnobrązową rękojeść i krótką głownię z płaskim sztychem.

(Od dziś będziesz...

... prawdziwą złodziejką.)

Kąśliwy samum wiórów i drzazg zelżał do lekkiej bryzy, a po chwili zniknął całkowicie. Zza chmury na nowo wyłoniła się postać księżnej.

– Nie... to niemożliwe...

Elise kręciła głową, cofając się krok za krokiem. Na jej twarzy zdumienie walczyło z przerażeniem.

Złodziejka nie zamierzała dać jej drugiej szansy. W dwóch susach zbiegła z podwyższenia, a kolejne dwa wykorzystwała do nabrania rozpędu.

– To za rzucenie na mnie uroku, suko! – krzyknęła.

Następnie, z całej siły, pięścią ściskającą rękojeść nożyka, gruchnęła księżną w twarz.

Bezwładne ciało staruszki upadło i sunąc po śliskiej podłodze, przemierzyło jeszcze kilka dobrych kroków, nim zatrzymało się na dobre. Gdy upewniła się, że Heloisa wciąż oddycha, Alyn przycisnęła zaczerwienioną dłoń do piersi i jęknęła z bólu. A potem wzięła głęboki haust powietrza.

Choć była nieprzytomna, podobnie jak Gedyminus księżna stanowiła problem, który miał jeszcze o sobie przypomnieć. Czas uciekał stale i nieubłagane. Na szczęście Alyn wiedziała już, gdzie szukać dalszej

drogi.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tunel wił się, co i raz atakował występami nieregularnych ścian to z lewej, to z prawej. Był wystarczająco wysoki, by Alyn nie musiała się schylać, gdy wiódł przed siebie, ale przez większość czasu wznosił się. Prowadził wyżej i wyżej we wnętrzu ciepłych, pachnących woskiem i piaskiem skał Góry Gigantów. Jego wejście, jakże nieoryginalnie, umiejscowione było za przesuwaną boazerią na ścianie bezpośrednio za podwyższeniem władców Kaim. Mechanizm zwalniający blokadę drzwi złodziejka odnalazła stopą głęboko pod siedziskiem księcia. Tuż za wejściem, w skalnej niecce, znajdował się niewielki stos świec i miejsce na kandelabr – z rodzaju tych, które jeszcze przed momentem tańczyły na posadzce sali głównej. Obok leżało prymitywne krzesiwo, ale Alyn postanowiła jeszcze raz skorzystać z żarokamieni wiedźm. Choć słabsze niż rozjarzony knot, ich światło było zarazem łagodniejsze.

Szła w ciszy, którą – prócz odgłosu jej kroków – łamał jeszcze jeden, zrazu nieokreślony dźwięk, który zarejestrowała i zidentyfikowała dopiero po pewnym czasie jako głębokie dudnienie. Jak cichy pomruk gigantycznego kota rozchodzący się we wnętrzu ziemi, przenikający ciało, rezonujący w sercu i płucach. Nie wiedziała, jak długo to trwało. Nie liczyła czasu od momentu zagłębienia się w przejścia za pałacem, sumowała jedynie krople potu, które spływały po policzku i skapywały z brody na spodnie, buty i nagą skałę.

Gdy liczba kropeł przekroczyła pięćdziesiąt, złodziejka na szyi poczuła lekką bryzę, a kilka kolejnych później – pierwszy prawdziwy podmuch wiatru. Zapuszczające się w tunel powietrze było suche i zimne. Jego kolejne smagnięcia, coraz częstsze i natarczywsze, z pewnością zdmuchnęłyby płomień świecy. Dopiero po pokonaniu jeszcze jednego stromego wzniesienia Alyn dojrzała jasną poświatę za najbliższym zakrętem korytarza. Gdy dotarła do wyjścia, zapięła kurtkę Toryna, objęła się i wynurzyła się z ciemności.

Wprost na wąską skalną półkę, za którą czekała stroma, złowrogo łypiąca poszarpanymi graniem u dna przepaść. Rozejrzała się. Wokół rozpościerało się przesłaniające pół świata morze gołej skały. Daleko w dole okolicę wyściełał zgaszony brąz wypalonych lasów na stokach okalających Ganię. Samo miasto kryło się za załomem, Alyn mogła jedynie dostrzec koniec białej nitki muru. Tuż obok niego widoczny fragment łąki-pobojowiska – podobnie jak tamta ulica niedaleko pałacu – przecięty był szerokim jęzorem zastygłej skały. Złodziejka mogłaby przysiąc, że z dołu to wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Zielonej. Żywej. Z góry Kaim wyglądało na wycieńczone chorobą. Złamane śmiertelnymi ranami. Coraz trudniej było rozróżnić, co jest prawdziwe.

(Potem wzięli się za nią. Zdarli z niej ubranie. Na szyi zawiesili jej dzwonek).

Jedyna droga, która wiodła z tego miejsca, była wyciosana w skale jako biegnąca w poprzek i w górę ściany półka. Gdy Alyn podążyła nią ostrożnie, ta wkrótce zamieniła się w niekończące się, strome schody, które wiodły ku jeszcze zimniejszemu i jeszcze bardziej nagłym podmuchom wiatru. Gdy złodziejka odwracała

za siebie głowę, Góra Gigantów odsłaniała przed nią coraz szerszy i pełniejszy pejzaż wyspy. Migoczącą nitkę Indiry. Żółte, wysuszone połacie łąk. Spokojne morze i zarys gęstych, szarych chmur wtapiających się w jego horyzont.

Schody skończyły się tuż przed kolejną niewielką dziurą w skale. Tuż nad nią widniał na poły wytarty przez erozję, wyciosany w skale symbol. Alyn musiała zdjąć i przetrzeć szkła, by upewnić się, że dobrze widzi, ale nie było co do tego dwóch zdań – było to pięć okręgów symetrycznie wpisanych w jeden większy.

Gwiazda Zakarego.

Płaskorzeźba była poza zasięgiem rąk złodziejki. Wyglądała na najprawdziwszą na świecie, a jednocześnie starszą od wszystkiego, co Alyn widziała w życiu. Gdyby tylko mogła jej dotknąć. Upewnić się, że to nie kolejny kaprys Kaim. Że to nie halucynacja.

Po kilku nieudanych próbach doskoczenia do symbolu – zakończonych utratą równowagi i groźbą sturlania się z grani ku poszarpanym skalistym zębom paszczy Góry Gigantów – poddała się i pchana uczuciem bliższym desperacji niż nadziei jeszcze raz wkroczyła w chłodny, ciasny mrok.

*

Jeżeli gdzieś, w urywkach wolnych chwil i przypadkowej zadumy, wyobrażała sobie, co ujrzy na końcu tej drogi, na pewno nie było to coś takiego. Jaskinia, a raczej równo wykrojone ze skały pomieszczenie, oświetlone było bladym, niebieskim światłem, jakie daje czasem płomień palącego się gazu. Słyszalny wcześniej pomruk góry tu był dużo wyraźniejszy. Wszystko delikatnie drżało, ale nie w złowrogi sposób. Ciepło i zapraszająco.

Złodziejka minęła ostrożnie kilka załomów, aż w oddali dojrzała źródło nietypowego światła. Była nim niemal cała przeciwległa ściana, a raczej oplatające ją pnącza, które – choć nieruchome – pulsowały światłem, imitując ruch. W jej centrum – zajęło jej chwilę, by zrozumieć, na co patrzy – w wyprostowanej pozycji, z rozłożonymi szeroko ramionami i w niewielkim rozkroku stał człowiek. Stał... albo był do niej przyczepiony. Miał opuszczoną głowę.

– Toryn... – szepnęła Alyn i nie zważając na cokolwiek innego, co mogło się czaić w skrytych w mroku zakamarkach jaskini, ruszyła ku mężczyźnie. Szybkim marszem. Truchtem. Pędem.

Gdy zatrzymała się, a blady blask błękitno-zielonych węży padł na jej twarz, jej serce stanęło wraz z nią. Człowiek, przed którym stała, był wzrostu Toryna, ale jego ciało było dużo chudsze. Miał długie, zakrywające oczy włosy i zarost, więc trudno było rozpoznać szczegóły twarzy. Żył. Jego pierś poruszała się niezwykle powoli, z cichym, ale świdrującym świstem. Śmierdział brudem i nieczystościami.

Drżąc, złodziejka wyciągnęła dłoń, by odgarnąć mu włosy z czoła. Wtedy, kilka kroków za sobą, usłyszała szelest. I jego głos. A w głosie ból i rozczarowanie.

– Och nie... Alyn, dlaczego musiałaś to być właśnie ty?

Odwróciła się.

Był blady i zarośnięty. Na sobie miał kilka warstw płaszczy, grube spodnie i ciężkie buty. Ale to był on.

Przypadła do niego całym ciałem. Wczepiła się miękkie rękawów jak tonący, który trzyma się resztek życia na otwartym morzu. Chciała ryczeć. Wyc z radości, gniewu i zmęczenia.

– Cześć, siostra – usłyszała, a szept Toryna sprawił że wszystko, czego doświadczyła, wszystkie rany, otarcia i zwichnięcia, cała Tabitha i cały Godryk, stało się tego warte.

Fala euforii, która na nią spłynęła, obmyła ją z lęku i brudu, które towarzyszyły jej, od kiedy postawiła nogę na suchym lądzie w Rede. A może jeszcze dłużej. Otworzywszy rany, zalała je odkażającym ogniem, rozluźniając mięśnie i pozwalając ciału poczuć wszystko to, czego doświadczyło przez ten czas, a czego nie zdążyło zarejestrować. I dopiero to, pomyślała, był przyjemny ból.

A gdy jej pierwsze łzy wsiąkły w materiał jego płaszcza i na powrót zebrała siły, lewym nadgarstkiem wytarła oczy, a prawą pięścią uderzyła brata w pierś.

– Kurwa, Toryn...

Chciała warknąć, ale choć jej głos łamał się i brzmiał bardziej jak jęk niż groźba, zapała się stopami i chwyciła brata za połą.

– Coś ty zrobił?

Złodziej westchnął i pocałował siostrę w czoło. Następnie powoli, acz stanowczo obrócił ją w kierunku obcej, zimnej poświaty i zatopionej w niej sylwetki umęczonej postaci.

– Wiesz, kto to jest? – zapytał.

– Księżę Geremy...

– Tak. Władca Kaim. A to wszystko wokół to Hiiglane. Gigant z Kaim. Słyszysz jego pomruk? To właśnie on... to mieszka we wnętrzu góry. Stoimy oko w oko z mitem. Fantastycznym mitem i ludzką legendą. Jeden czuwa, drugi śpi.

Alyn chrząknęła i odwróciła głowę w stronę brata.

– Słyszę, co mówisz, ale mam problem ze słuchaniem. Skup się, Toryn, bo Isztar mi świadkiem, że od tego, co zaraz powiesz, zależy to, czy wrócimy stąd do domu razem na piechotę, czy wywelekę cię za kołnierz. Dlaczego zniknąłeś z Saahii? Dlaczego opuściłeś mnie i Kai?

Toryn westchnął głęboko i podszedł powoli do Geremy'ego. Wyciągnął dłoń, by dotknąć jego ręki, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Pół roku temu wykonałem zlecenie dla Silvestriego. Nie przerywaj. Działalem sam. Nie dla pieniędzy. Powiedzmy, że z ciekawości. Zrobiłem to tylko dlatego, że od... od lat nie dawał mi spokoju pewien symbol. Tak, ten właśnie symbol z szyldu Zakarego. Widziałem go w kilku zupełnie niezwiązanych ze sobą miejscach – zawsze u przedstawicieli elity, zawsze chowanych gdzieś głęboko, pod kluczem. Najpierw myślałem, że tylko w Saahii, ale nie. Natknąłem się na niego wcześniej, w Rowan. Nigdy Ci o tym nie mówiłem, bo nie było o czym. Myślałem zresztą... myślałem, że wariuję. Że pamiętam go z dzieciństwa. Że może któryś z tych bandytów, którzy... że może któryś z nich miał to wytatuowane na dłoni. Albo na szyi, nie wiem. To nieprawda. Ale Silvestri, u którego przez przypadek zauważyłem coś noszącego podobną pieczęć, wydawał się oferować odpowiedzi. Trop wiódł na Kaim, ale było jeszcze coś. Albo raczej ktoś. „Wtajemniczeni”. Wszędzie mieli oczy. Tydzień zajęło mi obmyślenie planu, by wydostać się z Saahii samemu – nie było potrzeby narażać się, podróżując we trójkę. Chciałem dotrzeć do Ganiyi, sprawdzić wszystko i wtedy, ewentualnie, znaleźć jakąś dziuplę i posłać po was pod jakimś zmyślnym pretekstem. To było... jest zbyt wielkie, by tego nie zbadać. Zdajesz sobie sprawę z tego, że ta... maszyna może być najstarszym przejawem cywilizacji? I po tym, jak

spędziłem tu tyle czasu, studiując je, głęboko wątpię, czy naszej.

– „Wtajemniczeni”? – zapytała Alyn, a było to pierwsze z długiej listy słów, które cisnęły jej się na usta.

Przed oczami miała swoją karkołomną ucieczkę przez ulice miasta na statek kapitan Margo. I dwóch zakapturzonych ludzi pustyni.

– Ci, którzy mają władzę i pragną jej jeszcze więcej? – Toryn wzruszył ramionami. – Takie wyjaśnienie musi ci póki co wystarczyć. Tak jak mi.

Nie była gotowa tego przed sobą przyznać, ale myśl po myśli zaczynała mierzyć skalę tego, z czym miała właśnie do czynienia. I czuła, że brakowało jej odpowiedniej perspektywy.

Toryn oparł się o ścianę. Jego palce zaczęły bezwiednie gładzić rozjarzone wiję rurek.

– Minął tydzień, od kiedy wylądowałem na Kaim i trzy dni od przekroczenia bramy Ganiyi, gdy Góra Gigantów najpierw zadrżała, a potem zaczęła wypluwać z siebie pył, głązy i rzeki płynnej skały. Pamiętam to tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Gdy się zaczęło, była wczesna noc. Byłem w pałacu... no, na jego dachu – robiłem rekonesans. Złapałem się z całych sił okiennej framugi jednej z wież pałacowych i patrzyłem na dół, jak na służbę spadają żyrandole, jeden po drugim. Akurat sprzątno po jakiejś obfitej kolacji w sali głównej. Potem na dziedziniec i dalej na te ich wypindrzone darlenitowe domy zaczęły ze świstem spadać pałace się kamienie wielkości człowieka. To był huragan ognia, Alyn. Spadł na miasto od razu, nawet nie było czasu, by zastanowić się, dokąd uciekać. To niesamowite, że w całej tej jatce większość ludzi zachowała zimną krew. Wiedzieli, co robić, gdy Gigant wpadnie w gniew – ale tylko z opowieści starszyny, która pamiętała ostatnie takie wydarzenie. Nazywali je tchnieniem Kaim. Natychmiast pochowali się w głębokich piwnicach swoich domów. Dopiero jakiś czas później dotarło do mnie, że gdy na Ganiyę spłynęła z góry rzeka płynnego ognia, ich schronienia stały się pułapkami. Sami skazali się na śmierć. W pałacu, za to, nikt nie chował się do podziemi. Ludzie potykali się i zataczali, wybiegali frontowymi drzwiami grubym sznurem. Część była pokrwiwiona, część pędziła na oślep, byle przez bramę murów i dalej do lasu. Ale Kaim w tej chwili było stracone całe – od brzegu do brzegu. Widziałas zresztą dzieło zniszczenia na zewnątrz. Na pewno widziałas. Z tej wysokości wszystko doskonale widać. Czarne kikuty zamiast lasów, wypalone łąki, gruba warstwa pyłu na ziemi, jeziora zatrute siarką. Zupełnie inaczej niż na dole, co? Przeżyłem wtedy tylko dlatego, że zamiast uciekać po ścianie w dół i potem wraz ze służbą byle dalej od pałacu, wszedłem przez okno i podążyłem za przecuciem. Kątem oka zarejestrowałem, jak jeden z dworzan wbiega w drzwi przy książących fotelach. Drzwi, których wcześniej tam nie było. Przetrwałem noc i poranek w tunelu. Bałem się podążyć w którąkolwiek stronę. Czekalem, aż góra na powrót się uspokoi.

Jak na ironię, w tym momencie skały zadrżały z przeciągłym gardłowym rumorem. Krótko, ale intensywnie. Geremy poruszył się i wydał z siebie cichy jęk. Po brodzie pociekła mu, błyszcząc się w upiornej poświacie, strużka ciemnej śliny.

– Nie mamy czasu, Alyn. On nie ma czasu – powiedział Toryn.

Odwrócił się do nieprzytomnego mężczyzny i położył dłoń na jego nadgarstku. Alyn dopiero teraz zauważyła, że jedno z pnączy chowa się w przedramieniu Geremy'ego, tuż nad punktem, w którym chwycił go jej brat.

– Co to jest, Toryn? Co robisz?

– Gdy następnego dnia wyszedłem z powrotem z tunelu do pałacu i dalej, na zewnątrz, stanąłem jak oniemiały. Ganiya była nienaruszona. Jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Niebo było niebieskie, lasy za murami zielone. Żadnych pożarów, żadnych ruin. Tylko ludzi na ulicach było mało, ale i oni wydawali się nie na miejscu. Byli oszołomieni, ale jakimś cudem zgodni co do tego, że byli świadkami zbiorowej halucynacji. Że w zasadzie wszystko było w porządku. Ich rodziny nie żyły, ale to było w porządku. Tak było od dawna. Tak właśnie mi powiedział jeden z nich: „tak było od dawna, chłopcze”. I pałac, jak się obróciłem, był bez skazy. Wszystko białe i sterylne. I puste. Wyobrażasz to sobie? Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Wróciłem więc do tunelu i podążyłem nim w górę, aż dotarłem tutaj. Znalazłem Geremy’ego tak, jak go widzisz i tak jak ty zupełnie nie miałem pojęcia, co to wszystko znaczy. Ale gdy zobaczyłem symbol nad wejściem do tej jaskini, wiedziałem, że to tu znajdował się cel mojej podróży. I tu w zasadzie spędziłem ostatnie pół roku. Opiekowałem się nim, przynosiłem z dołu jedzenie i wodę. Maszyna... miała sposób, by go karmić tym, co udało mi się przytargać. Przez ten czas pokonałem drogę w dół i z powrotem dziesiątki razy. I starałem się zrozumieć, aż w końcu zrozumiałem. Zrozumiałem, Alyn. Geremy wiedział o tym miejscu od dziecka. Studiował je. I oddał się mu. Oddał się Gigantowi, a on pomógł mu wywołać w umysłach poddanych subtelne myśli, iluzje. Tak właśnie sprawował władzę, przez proste, skuteczne idee, które w jakiś niepojęty sposób objawiały się możliwym Kaim. Przez dziesięciolecia kierował ich poczynaniami i tłumił wszelkie bunty w zarzewiu. A gdy Góra z niewiadomego powodu wybuchła, poświęcił wszystko, by ją uspokoić. Zachować księstwo takim, jakie zbudował.

– To wszystko iluzja – stwierdziła Alyn, a wypowiedzenie tego na głos sprawiło, że świadomość tego faktu naparła na nią z ciężarem, pod którym niemal osunęła się na ziemię.

– Kotara nierzeczywistości – odpowiedział Toryn po dłuższej chwili. – Od gęstych borów w środku wyspy do mgieł daleko na morzu, które stanowią jej naturalną granicę. Geremy od pół roku śni sen o potędze Kaim i my wszyscy w nim uczestniczymy, czy chcemy, czy nie. Śni i umiera. Jego sen się wali, a Góra znów drży. Geremy jest stary i chory, Alyn. Jeśli umrze... i nikt nie zajmie jego miejsca... zginą tysiące ludzi, a ci, którzy obudzą się w spalonym świecie bez nadziei na nic, umrą po nich. Wolniej i okrutniej. Dlatego... dlatego gdybym nawet mógł wysłać ci wiadomość, nie zrobiłbym tego. Nie zrobiłbym tego, dopóki nie znalazłbym kogoś, kto mógł zastąpić Geremy’ego.

– Toryn... pod bramą miasta stoją wojska Gedyminusa z Crux, a w pałacu zostawiłam za sobą Elise. Gdyby któremuś z nich to pokazać... wytłumaczyć... w przeciwnym razie oni też przecież zginą.

– Nie, Alyn. Ani jedno, ani drugie nie potrafiłoby się na to zdobyć. To nie są dobrzy ludzie.

– O tak, a Geremy? Wiedziałeś o tym, że kazał ściąć połowę arystokracji w Ganiyi? Nazywasz go dobrym człowiekiem?!

– Geremy kochał władzę, ale bardziej kochał swój kraj. Inaczej nie byłoby go tutaj. I mnie też. Jesteś w stanie powiedzieć to samo o tych dwojgu?

– Jesteś pewien, że nie ma innego wyjścia? Wiesz, co ta iluzja robi z ludźmi tam w dole? Ludźmi, którzy mieli żyć w błogiej nieświadomości i dobrobycie, którzy zamieniają się w zwierzęta? Albo całą resztą, która dzień po dniu świruje? Tam jest piekło, Toryn. Kaim to piekło. Widziałeś, jak wyglądam?

– Bardzo mi przykro, Alyn. Naprawdę. Ale nie ma innego wyjścia. To jest...

– ... wiem, Toryn. Mała zła rzecz – Alyn wzięła głęboki wdech i powoli, długo wypuściła powietrze z płuc. – Ile mamy czasu?

– Jeżeli pytasz o to, czy zdążymy uciec z Kaim, zanim wybuchnie Góra, to nie mogę odpowiedzieć szczerze, czy zdążymy. Nie wiem. Ale i tak się stąd nie ruszę.

– Toryn, nie jesteś im nic winien.

– Jeżeli opuścimy to miejsce, skazemy na śmierć wszystkich na Kaim. Co do jednego. Jak myślisz, jak będzie ci się żyło z tą świadomością w ciepłym, słonecznym Zakkanie?

– A ty co zamierzałeś tu, kurwa, robić? – Alyn czuła, że gniew bierze nad nią górę, ale nie powstrzymała go. – Czekać na cud?

– Nie.

Głos Toryna był spokojny, ale on sam był kłębkim nerwów. Słyszała to w jego oddechu. Widziała w oczach. I nie było to wyłącznie wyczerpanie.

– Mimo że ogromna połać wyspy została zniszczona, są na niej wciąż czyste rzeki i żyzne pola uprawne. Choć są tego nieświadomi, dzięki Geremy'emu powoli naprawiają szkody, korzystają tylko z nienaruszonych miejsc. Karmią Kaim. Tak wpływa na ich umysły iluzja.

– Ale płacą też straszliwą cenę.

– To nie wszystko. Geremy nie zgłębiał całej tej tajemnej wiedzy w sekrecie przed wszystkimi. Wtajemniczonych na Kaim było zaledwie kilkoro ludzi, ale ta wiedza mi wystarczyła. Udało mi się dotrzeć do Xandera, Książęcego Miecza. On też tu bywał, czasami wręcz bez wiedzy księcia. Też uczył się tego miejsca, tej mocy. Cudem przeżył wybuch Góry, stracił przy tym nogę, a zasłonił go ciałem jego własny giermek. Dogoniłem go w drodze na wybrzeże. Był w szoku i jedyne, czego chciał, to uciec z wyspy. Po rozmowie ze mną uspokoił się i choć nie udało mi się go namówić na powrót do Ganiyi, obaj doszliśmy do wniosku, że Geremy'ego wcale nie musi zastąpić ktoś z dworu. Ba, nie musi być to nawet mieszkaniec Kaim. Byłoby nawet lepiej, gdyby pieczę nad kotarą i bezpieczeństwem kraju trzymał ktoś, kto wciąż miał dziewczynę, romantyczną wizję tego miejsca, rozumiesz? W drodze z powrotem trafiłem do Harrii... tam znalazłaś moją kurtkę, prawda?

Alyn milczała.

– Przez ostatnie miesiące bardzo poważnie rozważałem, czy będę to ja. Czy los sprawi, że po odkryciu największej tajemnicy tego świata zostanę tu wraz z nią do śmierci. Kilka razy... spróbowałem zasnąć snem stwórcy. Wystarczyło chwycić to w dłoń i przebić skórę. I, Alyn, to był raj. Prawdziwy raj, tam po drugiej stronie. Ale czekałem. Czekałem, bo Xander przysiągł mi, że zanim odpłynie, znajdzie kogoś godnego. Człowieka o walecznej duszy i czystym sercu. I skieruje go tutaj. Nie wiem, jak chciał to zrobić, ale...

– ... udało mu się – przerwała Alyn. Siły miała jedynie na szept. – Użył iluzji swojego giermka. Zagubionego fantoma człowieka, który go kochał, by poprowadzić owego... bohatera przez Kaim. I oto jestem, Toryn. Jestem, a to na zewnątrz, to nie jest sen. To prawdziwy koszmar.

Valas. Żółw. Zwierzoludzie. Wszystko nieprawda. Wszystko ukartowane.

Alyn pustym wzrokiem podążyła w dół za Torynem, pod którym ugięły się nogi. Złodziej opuścił głowę

i utonawszy w mroku, zaczął się śmiać. Pusto, bezgłośnie. Jedyne, czego chciała, to dołączyć do niego. Rozluźnić się wreszcie, poczuć spokój. Pójść skąpanymi w wieczornym świetle uliczkami Saahii na rynek. Zapalić sziszę z Kai. Była tam. Całą swoją wolą i pragnieniem przeniosła się do stolicy Zakkanu. Na biały most nad Szikrą. Do chłodnej, pachnącej drewnem pracowni Zakarego.

Ziemia zadrżała i dziewczyna nie była pewna, czy to znów odezwał się Gigant, czy i jej kończyny właśnie odmawiały współpracy.

Kolejne huknięcie – głośnie i potężne – sprawiło, że wylądowała na czworakach. Otrząsnęła się i wtedy zauważyła, że Toryn wciąż trzyma w dłoni jarzące pnącze, które wyjął z ręki Geremy'ego. Ten zaś trząsał się. Konwulsyjnie i bezgłośnie. Miał opuszczoną do połowy głowę i nie oddychał. Jakby coś wielkości pięści stanęło mu w przetyku. Alyn poczuła zapach moczu. Kolejny wstrząs odłupał z sufitu kilka słusznej wielkości kawałów skały, które z hukiem rozbiły się o podłogę.

– Tak mi przykro, Myszo – szepnął Toryn i przyłożył igłę do naznaczonego czarnymi kropkami ranek przedramienia. – Zrozumiałem to wreszcie. Zrozumiałem, że jestem tchórzem. Nie ma już dla mnie miejsca na tym świecie. Cieszę się, że mogłem cię jeszcze raz zobaczyć. Przepraszam.

– Nie!

Walcząc o utrzymanie równowagi i zostawiając za sobą mokry ślad łez, Alyn dopadła ściany i odepchnęła brata. Chwyliła bezwładne, chude ciało Geremy'ego za poły zmurszałego płaszcza i zaparła się nogami, by wyrwać je z kleszczy Giganta. Po krótkiej chwili szamotaniny ułożyła nieprzytomnego księcia na ziemi i spojrzała na znieruchomiałego, pozostającego w ni to transie, ni to hysterii brata. Wyjęła nożyk i po namyśle przełożyła go do drugiej dłoni.

– Toryn – powiedziała.

I gdy na nią spojrzał pustym wzrokiem, nie dając sobie chwili na wątpliwości, włożyła całą swoją siłę i furię w zamach.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Uderzenie nadeszło znikąd. Parne południe nagle stało się środkiem nocy, a brukowany rynek Jurgi – wsi, która bardzo chciała być miastem – na moment przeistoczył się w twardą taflę lodu na zamrzniętym jeziorze. Alyn mogła tylko biernie obserwować, jak jej ciało ląduje najpierw na tyłku, a potem na plecach. Nie czuła bólu uderzenia, co najwyżej silny ucisk i pulsowanie w skroni.

– Ta niedojda?! – usłyszała głos Toryna. Wrzeszczał. – Ta idiotka?! Nie rozśmieszajcie mnie! Ona sobie nie potrafi nawet sama butów zawiązać!

– Co pan na to, panie Feyn? – to był sołtys Garga. Mówił jak wyglądał: przygarbiona, oślizgła, skrzekliwa żaba.

– Wim, co widzieliście!

To z kolei był Feyn, właściciel największej fabryki w regionie, honorowy obywatel Jurgi. Nie do końca człowiek interesu w nie do końca mieście. Gospodarz willi łąpiącej najwyższymi piętami i dachem zza muru stanowiącego południową granicę ryneczku. Chudy, węzłowaty i jeszcze głośniejszy niż Garga.

– Dwóchże ich było! Nie inaczej mogłoby być, tego muru nikt by jednym susem nie przeskoczył!

– A ja, to co?!

W bitwie na hałas Toryn toczył z nimi wyrównaną walkę, ale tu nie miało znaczenia to, kto kogo przekrzyczy. Próbując wyłowić z rozmazanego obrazu sylwetki głównych bohaterów przedstawienia dla rozentuzjarmowanej gawiedzi, Alyn zaczęła czuć skutki uderzenia i upadku. Przytknęła związane dłonie do pulsującej połowy twarzy. Będzie siniak jak nic, pomyślała. Czy to Toryn ją tak walnął?

– A tyś, sukinsynu, złodziej i oszust! Tfu! Gębę zawrzyj, jak o tobie mówią, bo ci zara tymi rękoma wszystkie kły z niej powybijam!

– Ja ci dam oszust, starcze! Złodziej?! Kradnę, bo mam dwie gęby do wykarmienia! Ale kłamcą nazwać się nie dam! Mówię, jak było!

– Spokój, spokój – z dumnie wyprostowaną postawą i pańskim gestem Garga był w swoim żywiole. Choć zwracał się bezpośrednio do zainteresowanych, jego widownią był tłum gapiów. – Panie Feyn, nie ma co się gorączkować, zaraz przecież wszystko może być jasne, a prawda wyjść na wierzch. Ten tu młodzian twierdzi, że sam owej nocy ów mur przeskoczył i że mu jego siostra w niczym nie pomogła. Uwierzyć w to niełatwo, ale nikt nikomu w nie wierzyć nie każe. Masz-li, chłopcze, mur przed sobą. Jeśliś go sam przeskoczył, uciekając przed słusznym gniewem pana Feyna, to i przeskoczysz go dziś. I tylko od ciebie zależy, czy ten tu pan Kowacz jednego czy oboje was biczem pogłaska.

Pan Kowacz był ogromnym mężczyzną o szerokich ramionach, wysuniętej szczęce i krótkich, nierówno

przyciętych, tłustych włosach. Przyglądając się scenie zza pleców sołtysa, stukał bardzo nieprzyjemnie wyglądającym kańczugiem o wnętrze masywnej dłoni. W jego półotwartych ustach ziała pustka przerywana nie-licznymi żółtymi palikami zepsutego szkliwa.

Jeszcze groźniej wyglądał jednak kamienny mur posesji Feyna. Był wysoki na dwoje ludzi i niemal całkowicie goły, jeśli nie liczyć kilku występów i drobnych ubytków w zaprawie. Mieli niemały problem wraz z Torynem, by wspiać się na niego nocą we dwójkę. Nie było szans, by ktokolwiek dokonał tego sam. To było przedstawienie Gargi – dla wpływowego Feyna i okolicznego pospólstwa. Ukarać, ale wcześniej ośmieszyć. Odrzec z godności. Sprowadzić niżej od kogokolwiek, kto pojawi się na rynku, by przyglądać się kaźni. By cała Jurga mogła poczuć się lepsza, czystsza i ważniejsza niż jest.

Gdy odzyskała w pełni przytomność, Alyn podniosła z ziemi tułów i splunęła w bok. Miała nadzieję, że trafi kogoś z niesfornych ciurów w brudne, wystające z butów palce. Ktoś natychmiast do niej dopadł, złapał za włosy, pochylił się i coś zaczął mówić, chuchając jej prosto w nos przetrawionym wińskiem. Kątem oka zauważyła przytknięte do swojego policzka zardzewiałe nożyce i pęk jej własnych włosów. Całą uwagę jednak skupiła na Torynie, który w oddali stał się już tylko rozmazaną plamą na tle jaśniejszej i jeszcze mniej wyraźnej plamy muru. Wzrok pogarszał się jej nieprzerwanie już od roku, ale nie przyznała się do tego bratu.

Gdy z nami skończą, pomyślała, jeżeli przeżyjemy, powiem mu. Najpierw się nim zaopiekuję, a potem mu powiem.

W momencie, gdy po jej policzkach spłynęły dwie pierwsze łzy, krzyki tłumu przybrały na sile. To Toryn brał rozbieg. Alyn otarła oczy rękawem i pozostawiła na nich tyle wilgoci, by dzięki jej warstwie przez półotwarte powieki – miała okazję przetestować tę sztukę już wielokrotnie – mogła przez moment zobaczyć świat tak wyraźnie, jakby miała go na dłoni.

Spojrzała w stronę muru.

Ktoś westchnął. Ktoś gwizdnął w zdumieniu.

Toryn, jakimś nieludzkim wysiłkiem, wdrapał się na szczyt i siadł na murze okrakiem.

Na ryneczku Jurgi nagle zrobiło się przeraźliwie cicho.

*

Góra westchnęła z potężnym rumorem. Nadeła się i skurczyła, a zmęczony tym wybrykami sufit jaskini poddał się i wpadł do środka, zasypując drogę do wyjścia. W jego miejsce, długą, postrzępioną szczeliną wdarło się światło, które z trudem przecisnęło się przez grubą chmurę kurzu i – odbite blaskiem od jaśniejszego obiektu, który pojawił się tuż za jej ramieniem – wpadło Alyn wprost do oka.

Czy fantom człowieka, który nie może zaznać spokoju po własnej śmierci – fantom, który został stworzony przez innego człowieka i przywołany wolą jeszcze innego, ma w sobie sumarycznie wystarczająco człowieczeństwa, by... zaistnieć? By być?

Nie mając odwagi, by odwrócić głowę, Alyn uklękła przy nieprzytomnym bracie. Miał zaczerwieniony policzek i w kąciку jego ust zebrała się kropla krwi, ale oddychał.

– Żółwiu! – wrzasnęła złodziejka w bok, bardziej by przekrzyczeć myśli niż rumor. Zabrzmiało to jak zawodzenie rannej zwierzyny. – Weź księcia i mojego brata i znieś ich z tej góry! Błagam cię! I przepraszam...

Ostatnie słowa dodała szeptem, gdy rycerz – na powrót w hełmie – minął ją i kucnął, by podnieść i zarzucić sobie na ramię najpierw Geremy’ego, a później Toryna.

– Patrz, tam, po gruzie w górę powinno być wyjście!

– A ty, Myszo? – Pewność w głosie Żółwia mogłaby skruszyć skały całej Góry Gigantów. I jednocześnie była pełna troski.

– Idźże!

Alyn odprowadziła wzrokiem przyjaciela, po czym zrzuciła kurtkę i dopadła pustej przestrzeni pozostawionej w starożytnej maszynie snów po ciele Geremy’ego. Wdrapała się na jego miejsce, gdzie jej ciało natychmiast wygodnie zagłębiło się w niewielką, miękką nieckę. Zakasała rękaw i wyszukała luźne pnącze, którego koniec przybliżyła do twarzy. Był biały, wykonany z nietypowego materiału – niby twardego, ale podatnego na niewielkie odkształcenia. Z jego końca wystawała niedługa, cienka jak włos igła. W chmurze pyłu poruszanego nagłymi podmuchami wiatru, w sercu nieustającego trzęsienia rozsierdzonej ziemi, operacja, którą miała zamiar wykonać, wydawała się ostateczną niedorzecznością.

Słowo to mogło równie doskonale opisać ogół ostatnich dni, pomyślała Alyn. Zaciśnięta powieki i płynnym ruchem wsunęła igłę pod skórę przedramienia.

– Tylko ją uspokoję – okłamała samą siebie. – Znajdę na ciebie sposób, Gigancie. Dogadamy się. Wejdę tylko na chwilę. Tylko cię uspokoję.

Poczuła ukłucie i lekkie ciepło wokół niego. I nic więcej się nie stało.

Góra warczała przeciągle, zimne powietrze wciskało się do jaskini w beznadziejnej walce z narastającym ciepłem skał, które znajdowały się w środku. Ogrzewanych gorącym oddechem Giganta. Zdezorientowana złodziejka spojrzała najpierw na rękę, a potem na oplatające ją oprzyrządowanie. A potem ktoś – lub coś – kopnęło ją w plecy z tak potworną siłą, że wygięła się do tyłu w obwarzanek i wystrzeliła brzuchem do przodu przez szczelinę w skale. Przez moment świst i przejmujący chłód powietrza były wszystkim, co były zdolne zarejestrować jej zmysły, ale oba szybko oddały miejsca uczuciu błogiej swobody. Ciepła, bezpieczeństwa i kontroli. Kiedy się wyprostowała się, Alyn stwierdziła, że szybuje w dół zbocza, które, choć straszło poszarpanymi zębami skał i kamieni, usłużnie oddawało jej pole, uczynnie usuwało z drogi. Pędziła, a gdy skały pod nią zarosły trawą i krzewami, zrobiło się cieplej, a chwilę potem w dole zamajaczyły białe mury Ganiyi. Darlenit błyszczał i raził w oczy tak, jakby wykuto i ociosano go zaledwie wczoraj. Spod nieba stolica jawiła się jak misterny śnieżnoperłowy naszyjnik samej Góry Gigantów – wreszcie cichej, zatopionej w głębokim śnie. Obok niej, u stóp pofalowanego, niespokojnego zbocza rozciągała się – niczym posłanie samej Natury – szeroka, porośnięta wielobarwnym gobelinem kwiatów i krzewów łąka. Zbliżała się w ogromnym tempie, ale Alyn wiedziała, że nic tak pięknego i dobrego nie było w stanie wyrządzić nikomu krzywdy. I gdy poczuła na twarzy ciepło letniego popołudnia i gdy miała już nosem wyróżnąć w zielony puch, miękko wyrównała lot – przez krótki moment gładząc wyciągniętą dłonią kłaniające się jej źdźbła i lodygi. Następnie wstrzymała oddech i wzbijała się z powrotem w górę, a krew w jej żyłach zawrzała i rozplynęła się po jej ciele ciepłym, gęstym miodem. Wirowała z wiatrem, stała się wiatrem, a z jej gardła wydobył się – po raz pierwszy od dawna czysto i melodyjnie – okrzyk radości i rozkoszy.

Tryumfu.

Była Panią Kaim, a Kaim było jej.

Gdy na powrót otworzyła oczy, w dole zauważyła drogę, która wiodła w dół masywu ku darlenitowym żlebom i Harrii. Podążyła wysoko nad nią, zostawiając za sobą las i jaskinię, w której stanęła twarzą w twarz z szaleństwem. Poleciała dalej. Kolonia była pusta. Trawa naniesiona do wypełnionej ziemią niecki wokół siedziby straży urosła wysoko, a pomiędzy ździebeł wystawały pojedyncze łodygi kwiatów, których nasiona przywiał wiatr. Swobodnie, szybując jak ptak, Alyn podjęła lot – aż do przeprawy przez wartkie, czyste wody Indiry. Pofrunęła nad traktem do otoczonego skałami ogniska przy brzegu, z którego machała do niej Tabitha. Następnie, nie czując smutku ani żalu, odbiła ku równinom, łąkom i bujnym zielonym lasom centralnej części wyspy. Ich zapach – żywy, zdrowy i orzeźwiający – był jak delikatne dłonie Natury, która głaskała ją czule i dawała pewność, że wszystko będzie dobrze. Lecąc nad skuloną pod potęgą dębów karczma w środku lasu, zzuła buty i oswobodziła się z krępujących ruchy spodni. Jakiś czas później na samotny pieńek na pełnym rozgdakanego ptactwa podwórzu chaty Heloisy opadła, nadawszy się jak balon kaprysem wiatru, jej koszula. Kolorowo odzianym ludziom stłoczonym na alejach i deptakach Crux podarowała swoje szkła. Nie potrzebowała ich. Widziała wszystko wyraźnie. Od koniuszków palców swych stóp po rysującą się na horyzoncie łagodną linię brzegu. Była wyspą, oddychała każdym liściem drzew mijanych na drodze do pełnej życia, roztańczonej przyjęciem weselnym warowni na szczycie wzgórza. Nad polanką, na której rozbiła pierwsze ognisko, pozbyła się reszty odzieży i płynnie obniżyła lot, by zerwać kilka jagód, a następnie dać się pieścić dotykowi trawy na łąkach wiodących ku wybrzeżu. Pragnęła zasnąć w tej nieziemskiej podróży i nie obudzić się nigdy. Wniknąć w ziemię i napoić jej słodkim zapachem. Zwolniła i przystanęła na chwilę dopiero hen, przy leśnym grobie psiej matki szczeniaka, który uratował jej życie. Wyrósł wokół niego barwny kobieriec leśnych kwiatów, wśród których zapamiętałe uwijały się pszczoły. Góra Gigantów majaczyła dumnie w oddali. Pozdrowiała białą czapką śniegu i lodu u szczytu. Po chwili cichej zadumy Alyn jeszcze raz wzniosła się nad korony drzew i spłynęła niespiesznie w dół, tuż nad szeroką brukowaną drogą. Ku kolorowym domkom Rede i masztom kiwającym się niespiesznie w rytm fal witających się z przystanią. Ku solidnej drewnianej szopie, przy ścianie której siedział siwy, brodaty starzec o twarzy przeoranej zmarszczkami. Uśmiechał się łagodnie, a w wyciągniętej dłoni trzymał bogato inkrustowaną manierkę kapitan Margo. Złodziejka wylądowała miękko przed nim. Jak nimfa. Jak duch.

Wybaczam ci.

Tak brzmiały słowa, które chciała powiedzieć, które kołatały się jej głęboko w sercu i pragnęły wydostać na zewnątrz.

Wybaczam ci, Xanderze.

Otwierała usta, ale z jej gardła nie wydobywał się nawet najmniejszy szmer. Valas chwycił ją delikatnie za dłoń, jego oczy rozszerzyły się. Nie mówiąc nic, wpatrując się swymi łagodnymi oczami, wzmocnił chwyt i pociągnął ją do siebie. W jednej chwili Alyn poczuła się bardzo nie na miejscu i bardzo nago. Spróbowała krzyknąć, ale oddech uwiązał jej w gardle, gdy starzec szarpnął nią tak mocno, że straciła równowagę i poleciała do przodu, aż jej twarz znalazła się tuż przed jego twarzą.

– Idź ostrożnie – powiedział Valas nieswoim głosem. – Czekają na ciebie w pałacu.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Kaim rozpadło się wokół niej na tysiące fragmentów i nagle zapanowała

duszająca ciemność. Słyszeć było tylko szczepek metalu.

Znajomy szczepek metalu.

– Żółwiu?! – zakrzyknęła i w tym samym momencie zmaterializowała się z powrotem w zawałonej jaskini na Górze Gigantów.

– Jestem tu, Alyn.

Argus, zdjawszy hełm i rękawice, odpinał właśnie pasy trzymające w miejscu jego napierśnik. Nie minął moment, zanim i ten fragment zbroi z charakterystycznym odgłosem upadł na ziemię.

– Co ty robisz?! – zapytała, choć dobrze wiedziała. Był bohaterem. Ratował jeszcze jedno życie.

– Nasza więź – odpowiedział Argus – to, w jaki sposób mnie przywoływałaś, sprawiło, że uwierzyłem.

Uwierzyłem, że to prawda. Że oto mam jeszcze jedną szansę.

– Nie rozumiem – jęknęła, choć dobrze rozumiała. – Czy ty nie jesteś częścią...

– ... tej Maszyny? Tak. I nie. Potrzeba było wyobraźni, woli i... uczuć innych... prawdziwych ludzi, by zaszła zmiana. Ale zaszła.

– Żółwiu...

– To nie jest twoja odpowiedzialność, Alyn. To Kaim. Mój dom. Tu jest moje miejsce. To jest prawdziwy cel mojej podróży. Nie poznałbym go, gdyby nie ty.

– Nie możesz... po tym wszystkim... nie pozwalam ci!

Rycerz uśmiechnął się smutno i pozbył się wszystkich elementów pancerza, a potem wcisnął wygodnie w nieckę. Alyn nie próbowała go zatrzymać. Był od niej na wyciągnięcie ręki. Mogła mu przerwać. Mogła go... dotknąć.

Ale czy wtedy nie upewniłaby się, że nie jest prawdziwy? Że to wszystko wciąż jest jedną wielką iluzją?

– Na dworze księcia Geremy'ego poznałem niezliczone rzesze ludzi, którzy kazali zwać się różnymi, którzy takimi się czuli – powiedział i przymknawszy młode, zielone oczy, stanowczym ruchem wsunął igłę w przedramię. Uśmiechnął się. – Nie wiedziałem, że naprawdę wielkiego człowieka poznam długo po własnej śmierci.

Żółw na ostatnią chwilę otworzył oczy i wbił je wprost w Alyn. Przeszył ją na wylot, rozszarpał ból w jej sercu i natychmiast wzbudził w nim niewypowiedzianą, ciepłą tęsknotę.

A potem jego głowa łagodnie opadła i jeszcze raz, ostatni raz, zasnął.

*

Kiedy ujrzała Toryna podpierającego się o fotel, na którym leżał nieprzytomny książę, Alyn zdała sobie sprawę z tego, że nie pamięta nic z drogi na dół. Drżały jej ręce i bolało przewiane ucho, ale poza tym – i niezliczonymi siniakami, guzami i innymi stłuczeniami – było w porządku.

Wszystko było w porządku.

Tak właśnie odpowiedziała wzrokiem na nieme zapytanie brata. Uśmiechnęła się do niego oczami i kącikami ust. Wreszcie był wolny. Wreszcie mógł wrócić do domu. Potrzebował otuchy.

A nie prawdy.

*

Opuścili pałac chyłkiem, gdy tylko usłyszeli i upewnili się, że ludzie, którzy do niego wejdą – a była to służba, która wychynęła wreszcie z podziemnych schronów – dotrą do sali głównej i znajdą księcia. W zgiełku, który wnet zalał białe ulice i uliczki Ganiyi, za namową Alyn przedostali się przez nikogo nie niepokojeni do głównej bramy, gdzie dwoje gwardzystów usłużnie otworzyło im niewielkie drzwi wiodące na zewnątrz murów. Ku uldze złodziejki po drugiej stronie czekała na nich wszechzieleń bujnej, pachnącej latem łąki. Złamana była jedynie pojedynczą wąską nitką traktu, który wiodł na północ. Z kieszeniami wypchanymi prowiantem – zwędzonym po drodze z parapetów kamienic i rozstawiających się dopiero kramów na ganijskim ryneczku handlarzy – rodzeństwo złodziejki ruszyło ku Yarren.

*

– No, i jak się podobało?

Choć wydawało się to niemożliwe Szalona Margo brzmiała jeszcze bardziej ochryple i mówiła z jeszcze silniejszym akcentem niż ostatnio. Nie patrzyła na Alyn, wzrok miała skupiony na srebrnym kandelabrze, który obracała powoli w dłoniach. Popołudniowa bryza bezskutecznie próbowała zmusić tłuste sprężyny jej włosów do jakiegokolwiek ruchu. Odrapany pokład bujał się leniwie, jakby właśnie najadł się po wsze czasy i gotował do poobiedniej drzemki.

– Na Kaim, znaczy. Podobało się?

– To za rejs do Saahii – odpowiedziała Alyn.

Szukała wzroku kapitan, ale ta unikała jej oczu, zasłaniając się nieudolnie udawaną nonszalancją. Wreszcie skończyła oględziny i zaczęła lustrować okolicę, ale złodziejka natychmiast ostrym szeptem zwróciła na siebie jej uwagę.

– Nie kłopotz się, są z drugim pasażerem tego rejsu. Wszyscy twoi synowie. Wszyscy.

Przez chwilę Alyn mierzyła wzrokiem twarz kapitan, zastanawiając się, czy ta odważy się wspomnieć o manierce. Chciała, to było jasne. Pewnie pamiętała każdy jej szczegół. Pewnie była jej bardzo bliska. Bogato zdobiona manierka na rum.

Ale zachowała milczenie. I złodziejce było wszystko jedno, czy zrobiła to z szacunku, czy ze strachu. Tak czy siak oba uczucia miała wyraźnie wymalowane na swojej pomarszczonej twarzy.

– Wypływamy jeszcze dziś – powiedziała Alyn i sama była zaskoczona, jak stanowczo zabrzmiał jej głos. Inna sprawa, że rankiem wreszcie miała możliwość skorzystać z lustra w wynajętym na noc pokoju. A do tego, co w nim zobaczyła, nie pasowała żadna inna postawa. Żaden inny ton. – I tym razem nie licz na pomoc przy takielunku.

Złodziejka odwróciła się i zrobiła dwa kroki w stronę trapu, po czym przystanąła.

– Będziemy na pokładzie jeszcze przed zmierzchem – powiedziała i wyszczerzyła się w stronę portu przed sobą. – I tak, pani kapitan, podobało mi się bardzo.

*

- Żagle w dół!
- Jeeest, żagle w dół!
- Do wioseł, raz!
- Jeeest, do wioseł!

Chłopcy Margo, tupiąc ciężko twardymi podeszwami stóp o zmęczone deski schodków, zbiegli pod pokład, skąd dobył się stukot ciągniętego po podłodze drewna, a niedługo potem cichy plusk na płaskiej jak stół tafli morza.

Alyn siedziała na rufie, przyciskając do piersi głowę śpiącego brata. Po opuszczeniu Kaim jego stan błyskawicznie się pogorszył. Trząśł się i miał gorączkę jak ci, którym odebrano dostęp do ulubionego narkotyku. Miała wrażenie, że po tak głębokim zaczerpnięciu z kadzi tajemnic Góry Gigantów, nigdy już nie będzie taki, jak był. Wiedziała to, bo krople niebieskiej, jarzącej się krwi płynęły teraz również w jej żyłach.

Patrzyła na ścianę mgły, która sunęła powoli w ich kierunku. Wyspa i jej zimny, pomrukujący, biały dach zostały daleko w tyle.

Nic już nie będzie, jakie było.

Przed szkunerem nieubłaganie, z bezwzględną nieuchronnością, zbliżała się granica iluzji nad Kaim. Iluzji Żółwia, który poświęcił dwa życia za innych. Który uparł się odkupić grzechy swojego mistrza. Który przez całe życie szukał w ludziach bohaterów, choć krył w sobie największego z nich. Największego, jakiego widział świat.

Największego, jakiego świat nigdy nie zobaczył.

I gdy poczuła mokry, duszny pocałunek mgły, gdy na dziobie – zrazu nieśmiało – zatańczył pierwszy ogień, Alyn zacisnęła mocno oczy. Przysięgła sobie nigdy więcej nie wylewać łez za Kaim.

Zamiast tego mocniej przytuliła Toryna, a ostatnia zwrotka dawno zapomnianej ballady marynarzy umknęła z jej ust i potoczyła się miękko po spokojnej tafli morza:

Chmurami siny nieba bastion

Stoi wytrwale na świata szczycie.

I tylko on wie,

Dokąd prowadzą

Spokojne gwiazdy i księżyce.

EPILOG

– Ja, miła pani, nie mam czasu ani ochoty zajmować się niczym innym niż meritum. Byle owo meritum dało się zobaczyć, zmierzyć i zważyć. O to, kto lub co mi owo meritum pod nos podtyka, jest mi za jedno. Byle w księgach stało równo i byle Książę był kontent.

Grubawy poborca wydał swój wydatny brzuch tak bardzo, że nie stanąłby bliżej kontuaru, na którym Kai skrupulatnie rozłożyła mu w stosikach wyliczone monety, nawet gdyby chciał. Pamiętała go z jednego z przyjęć, na których lata temu zdarzyło się jej odwracać uwagę na rzecz nader zuchwałych szalbierstw Toryna i Alyn. On na szczęście miał krótszą pamięć.

Co więcej, wydawał się zadowolony.

Nie przejmując się odgłosami szurania ptasich stóp dochodzącymi z zakrytej klatki Gregory’ego, czarnowłosa dziewczyna przywołała na usta najpromienniejszy ze swych uśmiechów, po czym natychmiast złogodziła go o półtora tonu. Nikt nie powinien się tak szczerzyć, rozstając się z podobną ilością gotówki. Tym bardziej, że były to jej własne pieniądze.

– Tak. Wszystko się zgadza – podjął mężczyzna po chwili namysłu równie skrupulatnie, jak przed chwilą Kai, poukładał monety w stosownych przegródkach swej skrzynki. – I choć z lubością ponudziłbym jeszcze miłą panią, na mnie już czas. Pieniądz, jak to mówią, musi się toczyć. Ufam, że rychło ujrzę wuja na nogach i z powrotem w swoim żywiole. Proszę przekazać mu stosowne wyrazy.

Mężczyzna obrócił się zamaszyście, aż zafurkotała jego szata i ruszył w kierunku drzwi. W momencie, gdy Kai rozpoczęła długi proces wypuszczania uwięzionego w płucach powietrza, zatrzymał się.

– Aha, jeszcze jedno – powiedział i odwrócił się półprofilem. – Tak między nami i z dobroci serca. Wątpię, żeby Zakary docenił doświechtanie półek świecami. I ja też osobiście wolałbym zastać następnym razem warsztat cały i zdrowy, jeśli miła pani wie, co mam na myśli. Miłego dnia.

Poborca zadudnił dwukrotnie w drzwi, a gdy potężne przedramię jego ochroniarza uchyliło skrzydło, wyszedł dziarsko w żar przedpołudnia.

W warsztacie na najkrótszy moment zapadła cisza, którą natychmiast zburzył ruch czarnowłosej dziewczyny – wpięrowała zasunęła ze szczękiem mechaniczny zamek drzwi wejściowych, a następnie jednym ruchem zerwała szmatę z klatki Gregory’ego.

Papuga wykonała kilka kursów wte i wewte po swej krótkiej poręczy, a następnie wypięła pierś, jakby chciała coś swoim zwyczajem wykrzyknąć, ale ostatecznie zadowolona się kilkoma niemymi machnięciami głową w górę i w dół. Bez swojego wieloletniego przyjaciela ptak był wyraźnie nieswój.

– Gregory – szepnęła Kai, otworzywszy drzwiczki klatki. – Gregory, o co mu chodziło? Jaka świeczka?

Nie przestając machać głową, papuga niechętnie przeskoczyła na jej palec i wpiła się weń mocno pazurkami. Nie wyglądało na to, by miała właśnie teraz na nowo odnaleźć swój głos.

Dziewczyna rozejrzała się po całym warsztacie. Wpadające do środka przez kilka podłużnych szpar światło rozbijało się we wnętrzu o białawą posadzkę i spowijało pomieszczenie w mleczno-złotej poświacie. Kilka dobrych chwil zajęło jej zorientowanie się, że coś jest nie tak. Jedna z półek w narożnym kredensie pulsowała ze swej głębi światłem. Jakby ktoś zostawił tam kaganek. Albo...

– Żarokamień! – wykrzyknęła Kai i wyjęła przedmiot z trzewi głębokiej półki. – To żarokamień, Gregor, p... pulsuje... szyfrem... szyfrem! Dawaj mi tu coś do pisania. Gdzie on trzyma swoje pisadła?!

Nawet, gdyby dostała do swej ręki najznakomitsze pióro i zanurzyła je w najdroższym inkauscie w Zakkanie, Kai nie byłaby w stanie opisać rozmiaru swej euforii. Zakary zniknął trzy tygodnie temu, pozostawił po sobie niepilnowany warsztat i ani jednego słowa pożegnania. Opuścił miasto i jej życie, jak jej najbliżsi przyjaciele, za którymi tęskniła codziennie i z mocą, jaką sama siebie by nie podejrzewała. On i jego tajemnice. Jego niesłychane, starożytne, niebezpieczne tajemnice...

– Na Isztar, wybacz mi Gregory – szepnęła Kai i zdecydowanym szarpnięciem wyrwała ptaku jedno z piór z ogona.

Papuga zaskrzeczała przejmująco, ale nie uciekła. Zeskoczyła z jej palca na drewniany kontuar warsztatu i szeroko otwartym okiem, w którym odbijały się ich obojga smutek i nadzieja, patrzyła, jak Kai wydziera na pierwszym pochwyconym pergaminie symbole odpowiadające długości kilku ostatnich błysnięć kamienia. Jak z całych sił próbuje sobie przypomnieć litery, jak przeszukuje biblioteczkę opasłych tomów Zakarego w poszukiwaniu odpowiedzi.

Jak wreszcie, spocona szamotaniną i południowym saahijskim żarem, który nie oszczędza nawet tych, którzy chowają się za grubymi murami, zapisuje jedyny odzyskany fragment wiadomości. Jak szepcze jej dwa ostatnie słowa.

– Serce Imoren.

KONIEC TOMU I

PODZIĘKOWANIA

Z całego serca dziękuję Izie „9kier” za wsparcie, inspirację i popchnięcie do napisania tej powieści, a także nieocenioną pomoc w uczynieniu jej lepszą.

Agnieszce, Szymonowi i Justynie dziękuję za entuzjastyczne i brutalne rozprawienie się z wątkami, dla których w tej historii nie było miejsca.

Mamie dziękuję za nieustającą pomoc w odkrywaniu dobrej literatury i całej reszty niesamowitych inspiracji.

Wreszcie, dziękuję Tobie za tę wspólną podróż!

Tchnienie Kaim

Wydanie drugie, autorskie ISBN: 978-83-954475-2-5

© Michał Kuszewski 2018-2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autora.

REDAKCJA: Aleksandra Urzędowska

KOREKTA: Kinga Dolczewska

OKŁADKA: Michał Kuszewski

ILUSTRACJA: Emil Kiwak

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

www.michalkuszewski.pl

www.facebook.com/enkizm

kontakt@michalkuszewski.pl